



ALWYN
HAMILTON

BUNTOWNICZKA
Z PUSTYNI

KSIĄŻKA NAGRODZONA
GOODREADS BOOKS AWARDS 2016



**BUNTOWNICZKA
Z PUSTYNI**

ALWYN
HAMILTON

BUNTOWNICZKA Z PUSTYNI

Przekład
Agnieszka Kalus



 CZW
ARTA
STR
ONA

Tytuł oryginału: *Rebel of the Sands*

Copyright © 2016 by Blue-Eyed Books

Copyright © for the Polish translation

by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2017

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2017

Redaktor prowadząca: Milena Buszkiewicz

Redakcja: Dawid Wiktorski

Korekta: Kamila Markowska / panbook.pl

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Fotografia na okładce: ©aaabbbccc/Shutterstock

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2017

eISBN 978-83-7976-659-8

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

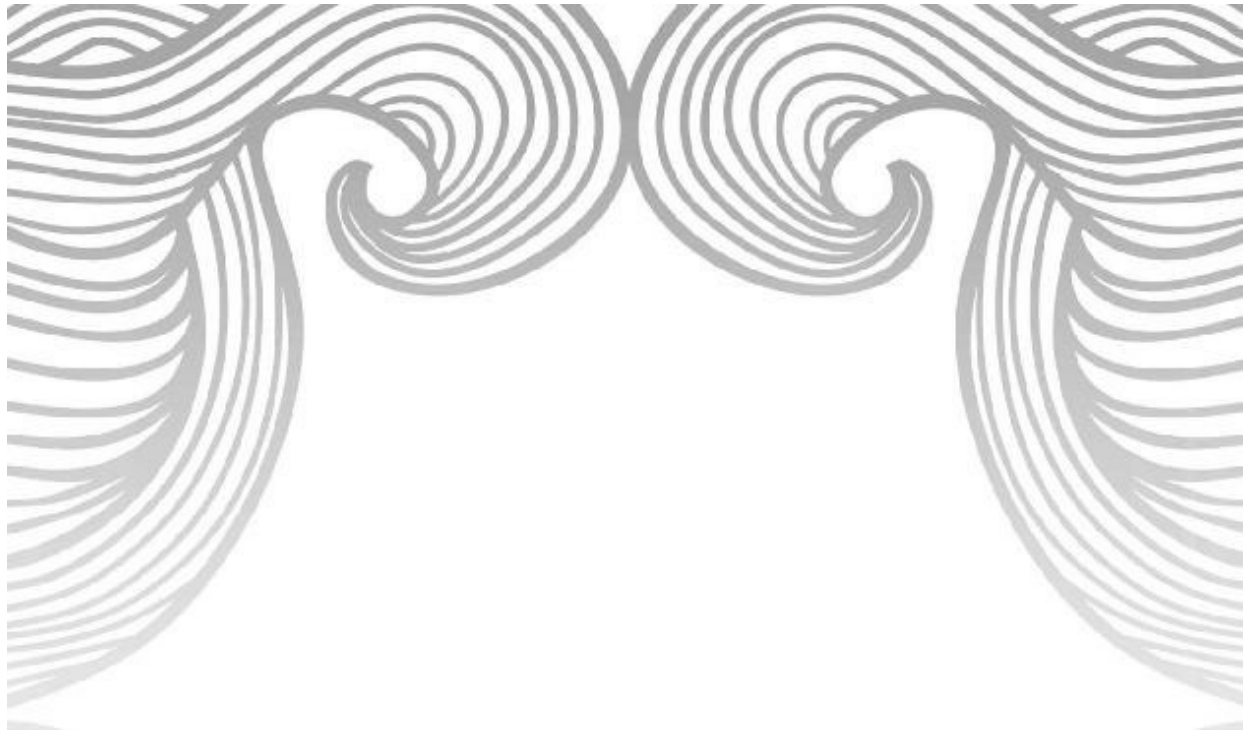
www.czwartastrona.pl

Kiedy miałam piętnaście lat, na kuchennej tablicy korkowej moi rodzice powiesili rysunek przedstawiający dziewczynę, która ze złością pisała list rozpoczynający się od słów: „Droga Mamo, drogi Tato, dziękuję za szczęśliwe dzieciństwo. Nie daliście mi szansy na zostanie pisarką”.

Tę książkę dedykuję moim rodzicom.

Droga Mamo, drogi Tato, dziękuję za szczęśliwe dzieciństwo. Na tak wiele sposobów sprawiliście, że mogłam zostać pisarką. Wśród nich były i takie małe, pozornie nic nieznaczące gesty, jak zawieszenie obrazka na tablicy korkowej i żartowanie z tego, że ja i tak kiedyś napiszę książkę.

A teraz napisałam, ta pierwsza jest dla Was.



JEDEN

Mówili, że po zmroku do Deadshot zaglądali tylko tacy, po których nie można się było spodziewać niczego dobrego. Nie można się było po mnie spodziewać niczego dobrego. Ale też niczego złego.

Zsunęłam się z siodła Blue i przywiązałam ją do słupa za barem o nazwie Zakurzona Gęba. Siedzące przy płocie dziecko podejrzliwie mierzyło mnie wzrokiem. A może po prostu miało takie czarne oczy. Gdy wychodziłam z podwórza, nasunęłam niżej szerokie rondo kapelusza. Kapelusz ukradłam wujowi, konia też. Cóż, raczej pożyczyłam. Zgodnie z prawem wszystko, co posiadałam, należało do mojego wuja, łącznie z ubraniem, które miałam na sobie.

Otworzyły się drzwi baru, na zewnątrz wydostało się światło, hałas i gruby pijak obejmujący ładną dziewczynę. Zanim zdążyłam się zastanowić, moja ręka wystrzeliła do góry, żeby sprawdzić, czy szima jest dobrze zawiązana i zakrywa większość mojej twarzy. Byłam okutana po same oczy i nawet po zachodzie słońca pociłam się pod ubraniem jak grzesznik podczas modlitwy. Wyglądałam raczej jak jakiś zagubiony nomada niż prawdziwy strzelec wyborowy, ale jeśli tylko nie wyglądałam jak dziewczyna, nie miało to większego znaczenia. Dziś wieczorem wyjadę i wezmę życie w swoje ręce. A jeszcze lepiej będzie, jeśli wywiozę stąd parę monet w kieszeni.

Nietrudno było dostrzec strzelnicę po drugiej stronie Deadshot. Był to najgłośniejszy budynek w mieście, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Ogromna, wybebeszona stajnia na końcu zakurzonej uliczki, gdzie roilo się od ludzi oraz błyskających świateł, opierała się o na wpół zawalony dom modlitw z zabitymi drzwiami. Możliwe, że dawno,

dawno temu stajnia należała do jakiegoś uczciwego handlarza końmi, ale na pierwszy rzut oka dało się zauważyć, że to musiało być przed naprawdę wielu laty.

Im bliżej podchodziłam, tym więcej było ludzi. Niczym muchy rojące się nad świeżą padliną.

Dwaj faceci przytrzymywali gościa z zakrwawionym nosem, podczas gdy ich kumpel raz za razem uderzał go pięścią w twarz. Jakaś dziewczyna wychyliła się z okna i posłała taką wiązanekę, po której zaczerwieniłby się nawet sztylet. Grupa robotników z fabryki, wciąż w roboczych ubraniach, tłoczyła się wokół stojącego na rozklekotanym wozie nomady, który głośno zachwalał krew Dżina, mającą moc spełniania skrywanych w sercu pragnień. Nic dziwnego, że w świetle lampy oliwnej jego szeroki uśmiech upodabniał go do desperata. Od lat nikt w okolicy nie widział prawdziwego, żywego Pierwszego Stworzenia, a co dopiero Dżina. Poza tym, powinien wiedzieć, że kto jak kto, ale mieszkańcy pustyni nie uwierzą w to, że Dżin krwawi czymś innym niż ogień, ani w to, że ktokolwiek w Deadshot uważa się za dobrego człowieka. Każdy w Ostatnim Okręgu modlił się wystarczająco często, by być świadomym obu tych rzeczy.

Starałam się patrzeć przed siebie, jakbym już wcześniej to wszystko widziała.

Gdybym minęła budynki, ponad piaskiem i zaroślami, dostrzegłabym rodzinne Dustwalk, chociaż nie byłoby tam nic poza ciemnymi domami. Dustwalk wstawało i kładło się razem ze słońcem. Dobrze, uczciwe zachowanie nie miało nic wspólnego z ciemnymi godzinami nocy. Gdyby można było umrzeć z nudów, wszyscy w Dustwalk byłiby już trupami przysypanymi piaskiem.

Deadshot tętniło życiem.

Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, gdy wślizgnęłam się do stajni. Przy strzelnicy zgromadził się już spory tłum. Na okapie wisiał rząd dużych lamp oliwnych, w świetle

których twarze gapiów błyszcząły tłustym blaskiem. Wątle dzieci ustawiały cele i unikały ciosów wymierzanych przez wielkiego faceta, który wrzeszczał na nie, by uwijały się szybciej. Sieroty, sądząc po ich wyglądzie. Prawdopodobnie dzieci ojców, którzy pracowali w ogromnej fabryce broni na przedmieściach Dustwalk, dopóki nie zostali rozerwani na strzępy przez zepsutą maszynę. Albo do dnia, gdy poszli do pracy po pijanemu i doznali śmiertelnych poparzeń. Praca przy prochu strzelniczym nie była bezpieczna.

Tak mnie pochłoneło obserwowanie tego, co się dzieje, że prawie wpadłam na ogromnego faceta przy drzwiach.

– Przód czy tył? – zapytał, swobodnie trzymając jedną rękę na bułacie na lewym biodrze, a drugą na rewolwerze na prawym.

– Co? – W samą porę przypomniałam sobie, żeby mówić niższym tonem. Przez cały tydzień ćwiczyłam, naśladowując mojego przyjaciela, Tamida, ale nadal brzmiałam bardziej jak chłopak niż mężczyzna. Mięśniakowi przy drzwiach chyba było wszystko jedno.

– Trzy fouza za stanie z tyłu, pięć za stanie z przodu. Zakłady zaczynają się od dziesiątej.

– Ile za stanie pośrodku? – Cholera. Nie powinnam się odzywać. Ciotka Farrah przez rok bezskutecznie próbowała utemperować mój język, za każdym razem bijąc mnie po twarzy. Gdyby ten człowiek tego spróbował, bolałoby o wiele bardziej.

Ale on tylko zmarszczył brwi, jakby wziął mnie za ograniczoną.

– Przód albo tył. Nie ma żadnego środka, chłopcze.

– Nie przyszedłem oglądać – powiedziałam, zanim zdążyłam spanikować. – Jestem tu, żeby strzelać.

– To po co marnujesz mój czas? Musisz iść do Hasana. – Popchnął mnie w stronę przysadzistego mężczyzny z ciemną, przylizaną brodą, noszącego marszczone, jasnoczerwone spodnie, stojącego przy niskim stole ze stosami monet, które

podskakiwały, gdy bębnił palcami w blat.

Głęboko odetchnęłam pod chustą i starałam się wyglądać tak, jakby żołądek nie chciał mi uciec przez usta.

– Ile za udział?

Blizna na ustach Hasana sprawiała, że wyglądał, jakby szyderczo się uśmiechał.

– Pięćdziesiąt fouza.

Pięćdziesiąt? To prawie wszystko, co miałam. Wszystko, co oszczędziłam przez rok, żeby uciec do Izmanu, stolicy Miraji.

Chociaż miałam twarz zakrytą od nosa w dół, Hasan chyba zauważył moje wahanie. Już przestał się mną interesować, jakby wyczuł, że chcę się wycofać.

To przeważyło. Rzuciłam pieniądze na stół, garść brzęczących monet o nominałach louzi i pół louzi, które skrupulatnie zbierałam przez ostatni rok. Ciotka Farrah zawsze mówiła, że nie mam nic przeciwko robieniu z siebie idiotki, jeśli tylko w ten sposób mogę udowodnić, że ktoś inny nie ma racji. Wygląda na to, że miała rację.

Hasan sceptycznie spojrział na monety, ale kiedy przeliczył je z wprawą profesjonalnego kutwy, musiał przyznać, że wszystko się zgadzało. Przez krótką chwilę satysfakcja ukołysała moje nerwy.

Rzucił mi kawałek drewna zawieszzonego na kawałku sznurka niczym wisior. Był na nim namalowany czarną farbą numer dwadzieścia siedem.

– Jakie masz doświadczenie z bronią, dwudziestko siódemko? – zapytał, gdy zakładałam sznurek na szyję. Numerek odstawał na piersi, więc starałam się skulić, żeby ją przypłaszczyć.

– Jakieś – wykręciłam się od odpowiedzi. W Dustwalk brakowało nam niemal wszystkiego, jak i w całym Ostatnim Okręgu. Jedzenia. Wody. Ubrań. Były tylko dwie rzeczy, których mieliśmy pod dostatkiem: piasek i broń.

Hasan prychnął.

– Wobec tego powinieneś umieć powstrzymać drżenie rąk.

Przycisnęłam ręce do ciała, żeby je uspokoić, gdy podchodziłam do strzelnicy. Jeśli nie uda mi się trzymać pewnie broni, bez znaczenia będzie to, że nauczyłam się strzelać, zanim poznałam alfabet. Stałam na piasku obok mężczyzny, który wyglądał, jakby pod brudnym kombinezonem składał się głównie z kości. Inny mężczyzna, z numerkiem dwadzieścia osiem na grubej szyi, stanął z mojej drugiej strony.

Stanowiska wokół nas się zapełniały. Zbierający zakłady wykrzykiwali kwoty i numery. Gdybym miała się zakładać, obstawiłabym, że nie mam żadnych szans. Nikt o zdrowych zmysłach nie postawiłby pieniędzy na jakiegoś chudego chłopaka, któremu brakowało odwagi, by opuścić chustę i pokazać twarz. Może udałoby mi się wygrać fortunę nędzarza, udowadniając, że rozsądni nie mają racji.

– Dobry wieczór, panowie! – Hasan przekrzyczał tłum, sprawiając, że ludzie umilkli. Pośród nami pojawiły się dzieciaki rozdające rewolwery. Bosa dziewczynka z warkoczami podała mi mój. Jego ciężar podziałał na mnie uspokajająco. Szybko otworzyłam bęben; było w nim sześć kul. – Wszyscy znają zasady. Lepiej więc się ich trzymajcie, bo jak nie, to jak Boga kocham, sam obiję mordy oszustom. – Z trybun rozległ się śmiech, niektórzy coś krzyczeli. Wśród tłumy krążyły już butelki, mężczyźni wskazywali na nas w sposób, który przywodził mi na myśl mojego wuja na targu koni. – Runda pierwsza: macie sześć kul i sześć butelek. Jeśli zostanie wam jakaś butelka, wypadacie z gry. Niech wystąpi pierwsza dziesiątka.

Reszta z nas nie ruszyła się, gdy numery od jeden do dziesięć zajęły swoje miejsca, czubkami butów dotykały białej linii namalowanej na klepisku. Oceniłam, że pomiędzy nimi a butelkami było około dwunastu stóp.

Nawet dziecko by sobie poradziło.

Dwóch mężczyzn nie trafiło już przy pierwszym strzale.

Ostatecznie tylko połowa zawodników trafiła wszystkie cele.

Jeden z nich był dwa razy większy od pozostałych. Był ubrany w coś, co kiedyś mogło być wojskowym mundurem, chociaż był zbyt znoszony, żeby stwierdzić na pewno, czy dawniej lśnił złotem czy też kurzem pustyni. Na piersi miał numer jeden. Kibicowano mu najgłośniej. Krzyczano „Dahmad! Dahmad! Mistrz!”. Dahmad odwrócił się i złapał jedno z dzieci uwijających się przy zbieraniu potłuczonego szkła. Powiedział coś zbyt cicho, żebym mogła go usłyszeć, po czym odepchnął dzieciaka. Ten po chwili wrócił z butelką brązowego napitku. Dahmad zaczął pić, opierając się o przegrodę oddzielającą strzelnicę od trybun. Jak będzie dalej tak złopał, to nie pozostanie faworytem zbyt długo.

Następna runda była jeszcze bardziej rozczarowująca. Tylko jeden zawodnik stracił wszystkie butelki. Gdy przegrani wycofywali się, przyjrzałam się lepiej twarzy zwycięzcy. Ten chłopak zupełnie nie wyglądał tak, jak się spodziewałam. Nie był stąd, nie miałam żadnych wątpliwości co do tego – to pierwsze, co zauważyłam. Każdy z tutaj obecnych pochodził z okolicy. Nikt o zdrowych zmysłach nie wybrałby Ostatniego Okręgu na swoje miejsce zamieszkania.

Był młody, może kilka lat starszy ode mnie, ubrany jak jeden z nas. Miał na sobie niedbale zarzuconą wokół szyi zieloną szimę oraz ubranie noszone na pustyni, wystarczająco luźne, by nie można było stwierdzić, czy był aż tak rozrośnięty, na jakiego wyglądał. Miał czarne włosy, jak każdy chłopak z Miraji; nawet jego skóra była tak ciemna, że mógłby uchodzić za jednego z nas. Ale nim nie był. Miał dziwne, ostre rysy, jakich nigdy dotąd nie widziałam, wysokie kości policzkowe, prostą, kwadratową szczękę i brwi, wyglądające jak ciemne ukośniki nad najbardziej niesamowitymi oczami, jakie kiedykolwiek przyszło mi oglądać. Nie mogę powiedzieć, że nie był przystojny. Kilku mężczyzn, których pokonał, splunęło mu pod nogi. Kącik ust młodego obcokrajowca uniósł się

do góry, jakby próbował powstrzymać się od śmiechu. A potem chyba wyczuł, że mu się przyglądam, bo zerknął w moją stronę. Szybko spojrzałam gdzieś w bok.

Zostało jedenastu strzelców i rozpychaliśmy się na stanowiskach, walcząc o miejsce, z racji tego, że był jeden dodatkowy zawodnik. Było ciasno, chociaż zajmowałam tylko połowę miejsca, co każdy mężczyzna.

– Przesuń się, dwudziestko siódemko! – Czyjś łokieć wbił mi się w bok. Na końcu języka miałam już złośliwy komentarz. Został tam, bo w osobie rozpychającej się obok mnie rozpoznałam Fazima Al'Motema.

Zwalczyłam w sobie chęć przeklinania. Fazim nauczył mnie każdego przekleństwa, jakie znałam, kiedy miał osiem, a ja sześć lat. Kiedy przyłapano nas na przeklinaniu, natarto moje usta piaskiem, a on zrzucił całą winę na mnie. Dustwalk był małym miastem. Znałam Fazima od urodzenia, nienawidziłam, odkąd zaczęłam sensownie myśleć. Obecnie większość czasu spędzał w domu mojego wuja, gdzie i ja musiałam mieszkać, i próbował wsadzić łapy pod ubranie mojej kuzynki, Shiry. Od czasu do czasu, gdy Shira nie widziała, mnie też obmacywał.

Co tu robił, do licha? Właściwie mogłam się domyślić, skoro trzymał broń w ręce.

Cholera.

Jedną rzeczą jest to, że zostanę rozpoznana jako dziewczyna. Zupełnie inną, jeśli rozpozna mnie Fazim. Od czasu, gdy przyłapali mnie na przeklinaniu, często miewałam kłopoty, ale tylko raz w życiu dostałam takie lanie, którego nigdy nie zapomnę. Stało się to niedługo po śmierci mamy, kiedy próbowałam pożyczyć jednego z koni wuja i wydostać się z Dustwalk. Ujechałam zaledwie pół drogi do Juniper City, nim mnie złapali. Przez miesiąc nie mogłam usiąść po tym, jak ciotka Farrah i jej różga rozprawiły się ze mną. Gdyby ciotka dowiedziała się, że byłam w Deadshot i oddawałam się hazardowi za skradzione

pieniądze, złałaby mnie jak jeszcze nigdy dotąd.

Najsensowniej byłoby odwrócić się na pięcie i wyjść. Ale to oznaczałoby stratę pięćdziesięciu fouza. A pieniędzy miałam mniej niż rozumu.

Uświadomiłam sobie, że stoję jak dziewczyna i wyprostowałam się, zanim jeszcze zajęłam pozycję do strzału. Dzieciaki wciąż się uwijały, ustawiając butelki. Fazim trzymał sieroty na muszce, krzyczał: „Bum, bum, bum!” i śmiał się, gdy się wzdrygały. Życzyłam mu, żeby kula z jego broni zrykoszetowała i odstrzeliła mu uśmiech.

Dzieci szybko się uwinęły i zostaliśmy tylko my: zawodnicy i nasze butelki. Byliśmy ostatnią grupą w pierwszej rundzie. Z obu stron słyszałam już strzały. Skupiłam się na swoich sześciu butelkach. Mogłabym je zestrzelić z zamkniętymi oczami. Ale byłam ostrożna. Sprawdziłam odległość, wycelowałam, jeszcze raz się upewniłam. Kiedy byłam pewna, pociągnęłam za spust. Butelka stojąca najdalej na prawo eksplodowała, a napięcie w moich ramionach nieco zelżało. Kolejne trzy butelki rozpadły się jedna za drugą.

Po raz piąty położyłam palec na spuście. Czyjś krzyk mnie rozproszył. To było jedyne ostrzeżenie, a zaraz potem ktoś na mnie wpadł.

Kula nie trafiła do celu.

Inny strzelec odepchnął Fazima, który potracił mnie, zanim upadł na podłogę, pociągając za sobą jeszcze jednego mężczyznę. Tłum gwizdał, gdy Fazim walczył z nim w piasku na podłodze. Pojawił się wielkolud spod drzwi, żeby przerwać bójkę. Zarzucił ramię na szyję Fazima i odciągnął go na bok. Hasan przyglądał się ze znudzoną miną, po czym zwrócił się do tłumu:

– Zwycięzcy tej rundy...

– Hej! – krzyknęłam bez zastanowienia. – Chcę jeszcze jedną kulę!

Zgromadzeni wybuchnęli śmiechem. I to by było na tyle,

jeśli chodzi o niezwracanie na siebie uwagi. To jednak było zbyt ważne. Zbyt ważne, by milczeć. Na twarzy Hasana dostrzegłam pogardę, poczułam się poniżona, a jednocześnie gardło zacisnęło mi się ze złości.

– Tak to nie działa, dwudziestko siódemko. Sześć kul, sześć butelek. Nie ma drugiej szansy.

– Ale to niesprawiedliwe! On mnie popchnął. – Wskazałam Fazima, który obmacywał swoją szczękę pod ścianą.

– A to nie jest boisko szkolne, chłopcze. Nie musimy dociekać, co jest sprawiedliwe. Możesz wykorzystać ostatnią kulę i przegrać albo zejść ze strzelnicy i się poddać.

Tylko ja miałam jeszcze kulę. Tłum zaczął ze mnie szydzić i podjudzać do zejścia z linii, pod przykryciem na twarzy wykwitł mi gniewny rumieniec.

Zostałam sama na linii i podniosłam rewolwer. Czułam ciężar tej ostatniej kuli w bębunku. Głęboko odetchnęłam, aż uniosła się szima przylegająca do moich ust.

Jedna kula. Dwie butelki.

Zrobiłam dwa kroki w prawo, potem pół kroku do tyłu. Przekręciłam ciało i spróbowałam to sobie wyobrazić. Martwy punkt i nie trafię w tę drugą. Kula przejdzie zbyt daleko i nie rozbiję żadnej z nich.

Pięćdziesiąt fouza.

Wyłączyłam się na otaczające mnie okrzyki i drwiny. Nie przejmowałam się tym, że wszyscy na mnie patrzyli i że przepadła szansa na bycie niezauważoną. Pojawił się strach. Ten sam strach, jaki zalał się w moim żołądku trzy dni temu. Od tego wieczoru, gdy skradałam się na czworaka po domu, próbując wymknąć się do Tamida, i podsłuchiłam jak ciotka Farrah wypowiada moje imię.

– ...Amani?

Nie słyszałam tego, o czym była mowa, zanim padło moje imię, ale to wystarczyło, żebym się zatrzymała.

– Potrzebuje męża. – Głos wuja Asida dostarczył więcej informacji niż głos jego pierwszej żony. – Mężczyzny, który

wybije jej z głowy głupoty. Za niecały miesiąc minie rok od śmierci Zahii, Amani zostanie oczyszczona i będzie mogła wyjść za mąż. – Odkąd powiesili moją mamę, ludzie stopniowo przestali wypowiadać jej imię, jak przekleństwo. Teraz mój wuj odniósł się do jej śmierci, jakby mówił o interesach.

– Wystarczająco trudno jest znaleźć mężów dla twoich córek. – Ciotka Farrah była poirytowana. – A teraz chcesz, żebym zatroszczyła się o męża dla bękarta twojej siostry?

– Wobec tego to ja ją poślubię. – Wuj Asid powiedział to takim tonem, jakby chodziło o sprzedaż konia. Prawie ugięły się podę mną ręce.

Ciotka Farrah syknęła z niezadowoleniem.

– Jest za młoda. – W jej głosie słychać było ten zniecierpliwiony ton, którym zwykle kończyła rozmowę.

– Nie młodsza niż Nida, gdy wychodziła za mąż. I tak mieszka pod moim dachem. Je moje jedzenie. – Ciotka Farrah prowadziła dom jako pierwsza żona, ale od czasu do czasu jej mąż zaczynał się wtrącać i właśnie teraz wuj Asid niebezpiecznie szybko zapalał się do swojego pomysłu. – Może tu zostać jako moja żona lub odejść jako żona kogoś innego. Wolę, żeby została.

A ja nie wolałam.

Wybrałam odejście lub śmierć podczas próby ucieczki.

I właśnie wtedy odzyskałam ostrość widzenia. Ja i mój cel. Oprócz niego nic się nie liczyło.

Nacisnęłam spust.

Pierwsza butelka rozprysła się od razu. Druga przez chwilę chwiała się na krawędzi drewnianej półki. Widziałam szczerbę w grubym szkłe w miejscu, gdzie trafiłam. Wstrzymałam oddech, gdy butelka chwiała się w przód i w tył.

Pięćdziesiąt fouza, których już nigdy nie zobaczę.

Pięćdziesiąt fouza, które straciłam wraz z szansą na uciezkę.

Butelka spadła na podłogę i się rozbiła.

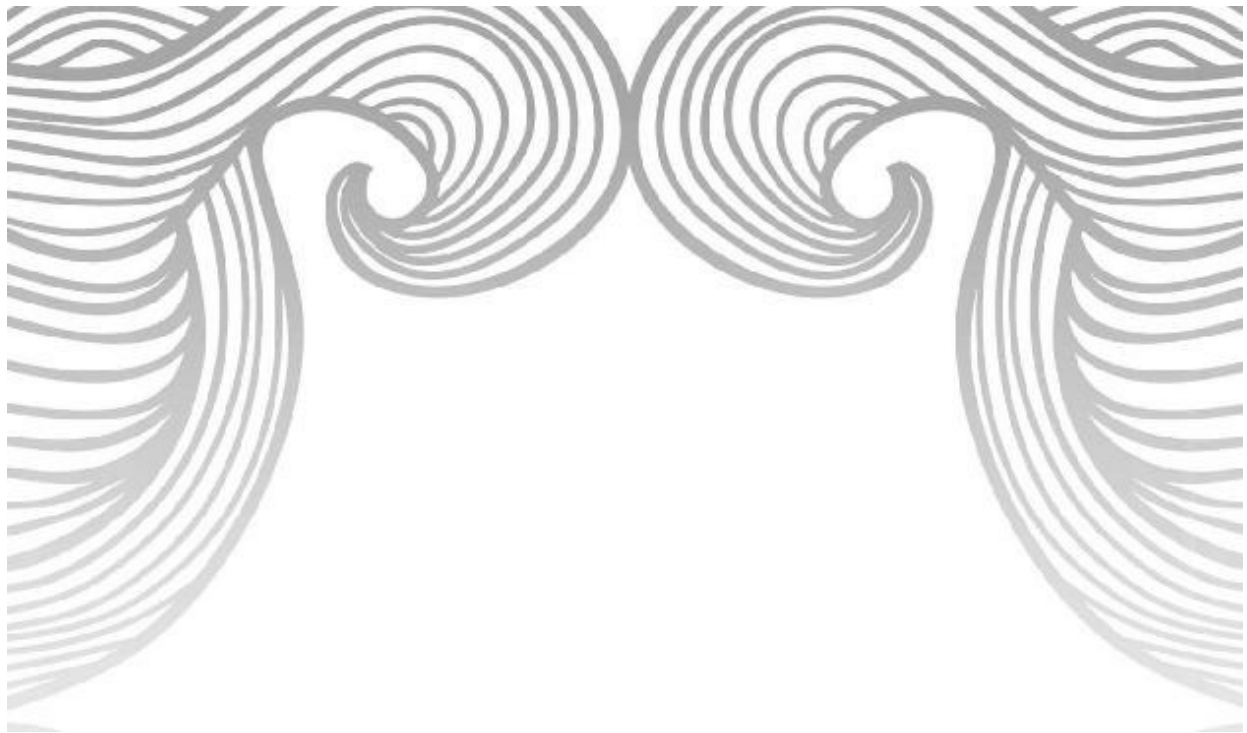
Tłum wrzeszczał. Powoli odetchnęłam.

Kiedy się odwróciłam, Hasan patrzył na mnie, jakbym byłam wężem, który wymknął się z pułapki. Za nim stał obcokrajowiec i przyglądał mi się, unosząc wysoko brwi. Nie mogłam się nie uśmiechnąć pod szimą.

– Jak mi poszło?

Hasan wykrzywił usta.

– Ustawcie się do drugiej rundy.



DWA

Nie wiem, jak długo strzelaliśmy.

Na tyle długo, że plecy miałam mokre od potu. Na tyle długo, żeby Mistrz Dahmad wyłopał trzy butelki whisky pomiędzy kolejnymi rundami. I na tyle długo, żeby zawodnicy jeden po drugim wypadali z gry. Ale ja wciąż miałam broń.

Cel był po drugiej stronie pomieszczenia, butelki przesuwały się po wolno obracającej się desce, którą przesuwało jedno z dzieci, kręcąc korbą. Sześć razy nacisnęłam spust. Nie słyszałam ani roztrzaskującego się szkła, ani wiwatującego tłumu.

Czyjaś ręka opadła na moje ramię.

– Twój przeciwnik dziś wieczorem! – Hasan krzyczał koło mojego ucha. – Nasz mistrz, Dahmad! – Mężczyzna oderwał się od picia i podniósł obie ręce do góry. – Powracający pretendent, Wąż ze Wschodu. – Obcy zignorował prześmiewców i buczących, uniósł kącik ust do góry i nawet nie podniósł głowy. – Oraz nowy, który pojawił się tego pięknego wieczoru. – Poderwał do góry moją rękę, a tłum szalał, wrzeszczał i tupał nogami, aż trzęsła się podłoga. – Niebieskooki Bandyta.

W jednej chwili to przezwisko zabiło moją radość. Panicznie lustrowałam wzrokiem strzelnicę, żeby namierzyć Fazima. Nieważne, czy zdołam udawać, że jestem chłopakiem, oczu nie dam rady schować. Wszystko inne mam tak ciemne jak każda dziewczyna z pustyni, ale wyróżniają mnie jasne oczy. Chociaż Fazim był głupkiem, może być na tyle rozgarnięty, żeby dodać dwa do dwóch. Wyszczrzyłam się jednak pod szimą i przeczekałam wiwaty na swoją cześć. Hasan opuścił moją rękę.

– Dziesięć minut na ostatnie zakłady. Zaraz przechodzimy

do rozstrzygającej rundy.

Ludzie rzucili się obstawiać. Nie mając nic innego do roboty, zapadłam się w piasku w pustym kącie strzelnicy i oparłam się o barierki. Nogi wciąż jeszcze drżały mi z nerwów, koszula lepiła się do brzucha, twarz miałam zarumienioną pod tkaniną szimy.

Ale wygrywałam.

Zamknęłam oczy. Może naprawdę uda mi się wyjechać ze sporą sumką.

Szybko obliczałam w głowie. Nagroda wynosiła ponad tysiąc fouza. Musiałabym oszczędzać do śmierci, żeby odłożyć tysiąc fouza. Zwłaszcza że kilka tygodni wcześniej zawaliły się kopalnie w Sazi. Wypadek. Źle założone ładunki wybuchowe. Taka była oficjalna wersja. Takie rzeczy zdarzały się już wcześniej, ale nigdy na taką skalę. Słyszałam jednak, że to mógł być sabotaż. Ktoś podłożył bombę. A jeszcze inni twierdzili, że to było Pierwsze Stworzenie. Dżin ukarał Sazi za grzechy.

Nieważne, co tam się stało; gdy w kopalniach nie wydobywano metalu, nie produkowano broni, co oznaczało, że nie było pieniędzy. Ostatnio wszyscy zaciskali pasa. A ja nawet nie miałam za co kupić pasa.

Ale mając tysiąc fouza, mogłabym pozwolić sobie na o wiele więcej. Wyrwać się z tej zabitej dechami pustynnej okolicy, która żywiła się dymem z fabryk. Mogłabym uciec do samego Izmanu. Jedyne, co musiałabym zrobić, to dostać się do Juniper City z następną karawaną. A stamtąd do Izmanu jeżdżą pociągi.

Izman.

Nie umiałam myśleć o tym mieście, nie słysząc jego nazwy wypowiedanej szeptem przez moją matkę, jakby to była modlitwa. Obietnica większa niż cały świat. Lepsze życie. Takie, które nie kończy się krótkim skokiem w dół i nagłym szarpnięciem.

– Zatem Niebieskooki Bandyta. – Otworzyłam oczy, gdy

obok mnie usiadł obcokrajowiec, opierając łokcie o kolana. Mówił, nie patrząc na mnie. – Przynajmniej lepsze to niż Wąż ze Wschodu. – Trzymał bukłak z wodą. Do tej chwili nie czułam, jaka byłam spragniona, śledziłam wzrokiem, jak pociągnął długi łyk. – A mimo wszystko jest w tym pewna nieuczciwość. – Zerknął na mnie kątem oka. W jego słowach dało się wyczuć podstęp, nawet najbardziej łatwowierny dureń nie dałby się nabrać. – Masz jakieś prawdziwe imię?

– Pewnie. Możesz mówić na mnie Oman, jeśli musisz mnie jakoś nazywać. – Chyba trochę zdradziły mnie oczy, ale zdradziłabym się bardziej, gdybym podała mu swoje prawdziwe imię i nazwisko. Amani Al’Hiza.

Obcy zachnął się.

– Zabawne, ja też mam na imię Oman.

– Zabawne – zgodziłam się bez entuzjazmu, aczkolwiek uśmiechnęłam się pod nosem. Domyślałam się, że połowa mężczyzn urodzonych w Miraji nosiła imię Oman, na cześć naszego Sułtana. Nie mam pojęcia, czy ich rodzice sądzili, że dzięki temu zyskają przychylność naszego władcy – nie żeby kiedykolwiek mieli okazję się do niego zbliżyć – czy może sądzili, że Bóg przez przypadek obdarzy ich łaską. Ale tak naprawdę wiedziałam, że nieznamy nie ma na imię Oman, tak samo jak ja. Wszystko, co się z nim wiązało, było obce, od jego oczu po rysy twarzy oraz sposób, w jaki nosił ubranie, jakby nie chciało się trzymać blisko jego skóry. Nawet mówił z akcentem, chociaż jego mirjański był lepszy niż u większości ludzi.

– A tak w ogóle, to skąd pochodzisz? – zapytałam, zanim zdążyłam ugryźć się w język. Ilekroć otwierałam usta, mogłam zostać przyłapana na tym, że jestem dziewczyną. Nie mogłam się jednak opanować.

Nieznamy upił łyk wody.

– Z żadnego konkretnego miejsca. A ty?

– Z nieciekawego miejsca. – Też umiałam grać w tę grę.

-- Spragniony? – Podał mi bukłak. Jego zainteresowanie

było zbyt duże. Umierałam z pragnienia, ale nie chciałam podnosić szimy, nawet odrobinę. Poza tym to była pustynia. Można się było przyzwyczaić do pragnienia.

– Przeżyję – powiedziałam, próbując zwilżyć językiem suche usta.

– Jak chcesz. – Pociągnął długi łyk. Zazdrośnie przyglądałam się, jak porusza się jego gardło. – Nasz przyjaciel na pewno jest. Spragniony.

Wzrokiem pokazał mi Dahmada. Był czerwony na twarzy i opróżnił kolejną butelkę.

-- Lepiej dla ciebie. – Wzruszyłam ramionami. – I tak zamierzam pokonać was obu. Przynajmniej masz szansę na drugie miejsce.

Nieznajomy wybuchnął śmiechem. Czułam się głupio zadowolona z siebie, że udało mi się sprowokować go do śmiechu. Jeden z mężczyzn przepychających się do zbierających zakłady spojrzął na nas i zmarszczył brwi. Jakbyśmy coś knuli.

– Podobasz mi się, dzieciaku – powiedział przybysz. – I masz talent, więc pozwól, że udzielę ci rady. Wycofaj się.

– Naprawdę sądzisz, że z niej skorzystam? – Spróbowałam udawać chojraka, wyprostowałam się.

– Widzisz tam naszego przyjaciela? – Skinął w stronę Dahmada. – Jest zawodnikiem stąd. Hasan się bogaci, gdy Dahmad wygrywa. Nie lubią, gdy obcy go pokonują.

– Skąd tyle o tym wiesz? Nie pochodzisz z tych stron.

Przybysz pochylił się konspiracyjnie w moją stronę.

– Ponieważ pokonałem go w zeszłym tygodniu. – Przyglądaliśmy się, jak Dahmad chwieje się na nogach i dla złapania równowagi opiera się o ścianę.

– Chyba nie było trudno.

– To nie. Ale ci dwaj faceci, których nasłał Hasan, żeby napadli na mnie w alejce i zabrali pieniądze, stanowili większe wyzwanie. – Otworzył i zacisnął dłoń, zobaczyłam gojące się siniaki na jego kostkach. Przyłapał mnie na tym,

że patrzę. – Nie martw się. – Puścił do mnie oko. – Powinieneś zobaczyć tych drugich.

Starłam z twarzy to, co mógł z niej wyczytać, skoro pomyślał, że się martwię.

– I oto wróciłeś, żeby dać im drugą szansę.

Skierował na mnie całą swoją uwagę, przestał żartować.

– Ile ty masz lat? Trzynaście? – Szesnaście, prawie siedemnaście, jako dziewczyna, ale jako chłopak wyglądałam młodziej. – Ktoś, kto potrafi strzelać jak ty, może daleko zajść za parę lat, o ile nie zostanie zabity dziś wieczorem. To żaden wstyd się wycofać. Wszyscy wiemy, że potrafisz strzelać. Nie musisz ryzykować życia, żeby to udowodnić.

Popatrzyłam na niego.

– Dlaczego *ty* wróciłeś, skoro to takie niebezpieczne?

– Ponieważ potrzebuję pieniędzy. – Napił się jeszcze z bukłaka, zanim dźwignął się na nogi. – I zawsze wychodzę cało z kłopotów. – Wtedy coś mnie tknęło. Wiedziałam, jak to jest, gdy człowiek jest zdesperowany. Wyciągnął rękę, żeby pomóc mi wstać. Nie chwyciłam jej.

– Na pewno nie potrzebujesz pieniędzy bardziej niż ja – powiedziałam cicho. I przez chwilę poczułam, że się rozumiemy. Byliśmy po tej samej stronie. Ale i tak występowaliśmy przeciwko sobie.

Przybysz opuścił dłoń.

– Jak chcesz, Bandyto. – Odszedł. Siedziałam jeszcze przez chwilę, przekonując się, że po prostu próbował mnie zniechęcić i namówić do wycofania się. Wiedziałam, że oboje możemy pokonać Dahmada. Ale obcy dobrze strzelał.

Ja byłam lepsza. Musiałam być lepsza.

Przyjmujący zakłady odprawiali już ostatnich klientów, gdy finałowa trójka podeszła do linii. Tym razem bosonoga dziewczynka przybiegła z tylko jedną kulą. W drugiej ręczce trzymała pasek czarnego materiału.

– Runda finałowa! – zawołał Hasan. – Blef ślepeca.

Sięgnęłam po opaskę na oczy, lecz wtedy usłyszałam

strzał.

Uchyliłam się, lecz po chwili uświadomiłam sobie, że dźwięk dochodzi z zewnątrz. Ktoś krzyczał. Połowa naszej widowni zerwała się na nogi i wyciągała szyje, żeby zobaczyć, na czym polega ta nowa rozrywka. Nic nie widziałam, ale wyraźnie słyszałam krzyk.

– W imię Księcia Ahmeda Buntownika! Nowy świt, nowa pustynia!

Miałam gęsią skórkę.

– Cholera. – Przybysz potarł szczękę zaciśniętą pięścią. – To nie było mądre.

Nowy świt. Nowa pustynia. Każdy słyszał okrzyk bojowy Księcia Buntownika, choć tylko podawany szeptem. Trzeba być idiotą, żeby wykrzykiwać swoje poparcie dla awanturniczego syna Sułtana. W Ostatnim Okręgu było zbyt wielu ludzi o tradycyjnych poglądach i zbyt wiele nowej broni, żeby zwracać się przeciwko Sułtanowi.

Z tłumu zaczęły dochodzić urywki zdań: „Książę Buntownik kilka tygodni temu został zabity w Simar”. „Słyszałem, że ukrywa się w jaskiniach Derva razem ze swoją demoniczną siostrą”. „...powinno się go od razu powiesić”. „My tu sobie gadamy, a on ruszył na Izman!”.

Sama słyszałam niektóre z tych opowieści. I jeszcze pół tuzina innych. Od dnia prób Sultima, gdy pojawił się książę Ahmed, który zniknął piętnaście lat wcześniej, żeby teraz stanąć do walki o tron, historie o nim czasem brzmiały rozsądnie, innym razem ocierały się o mit. Mówiono, że odniósł zwycięstwo w próbach Sultima i że Sułtan próbował go zabić, zamiast okrzyknąć go swoim następcą. Mówiono, że oszukiwał i posługiwał się magią oraz że przegrał. W każdej wersji powtarzało się tylko to, że po tym jak nie udało mu się odzyskać tronu, zniknął gdzieś na pustyni i wszczął rebelię, żeby odbić kraj.

Nowy świt. Nowa pustynia.

Gdzieś we mnie rozżarzyła się iskra ekscytacji. Większość

znanych mi opowieści dotyczyła historii, które wydarzyły się dawno temu ludziom, którzy już nie żyli. Opowieść o Księciu Buntowniku odnosiła się do naszych czasów. Nawet jeśli ich bohater miał wkrótce zostać zabity.

Zamieszanie na zewnątrz trwało krótko, a potem głupek stojący przy drzwiach wciągnął do środka jakiegoś chłopaka, którego trzymał za kołnierz. Był chyba w takim wieku, jaki przypisywano mnie w moim przebraniu. Wśród zalanego tłumy rozległo się buczenie.

– No, no! – Hasan próbował przekrzyczeć harmider i odzyskać uwagę zgromadzonych. Chłopak z trudem utrzymywał się na nogach, z twarzy skapywała mu krew. Wyglądał, jakby dostał kilka potężnych ciosów w twarz, lecz chyba nie przytrafiło mu się nic gorszego. Nie miał ran postrzałowych czy ciętych. – Chyba mamy ochotnika!

Głupiec przywlókł chłopaka i popchnął go w stronę tarczy. Postawił na jego głowie butelkę. Poczułam, że moje serce zmienia się w głąz i spada do żołądka.

– No to mamy nową zabawę! Blef *zdrajcy* – zapiał Hasan, szeroko rozstawiając ręce. Tłum odpowiedział rykiem.

Mogłam oddać strzał, nie raniąc dzieciaka. Przybysz też mógł to zrobić. Ale mistrz zataczał się i pił następną kolejkę. Nie byłam pewna, czy uda mu się trafić w ziemię, gdy upadnie, a co dopiero we wskazany cel.

Chłopak zakołysał się i butelka spadła na piasek. Tłum szydził. Dzieciak wyglądał tak, jakby miał się rozpłakać. Jakiś osiłek szarpał go za ramię, dopóki ten nie stanął prosto, po czym z powrotem postawił mu butelkę na głowie.

– Chłopak jest zbyt osłabiony, żeby stać prosto, a co dopiero utrzymać butelkę. – Dotarły do mnie słowa przybysza. Zwracał się do Hasana. – Nie da się zestrzelić celu, który nie stoi w jednym miejscu.

– To nie strzelaj. – Hasan machnął ręką. – Jeśli ty i Bandyta jesteście tchórzami, możecie sobie iść. Niech wygra mój człowiek. – Właśnie na to liczył Hasan. Myślał, że ja i

przybysz podwinimy ogony i pozwolimy Dahmadowi wygrać. Żeby ocalić chłopaka.

Jakiegoś dzieciaka młodszego ode mnie, który miał już na rękach blizny od pracy w fabryce.

Nie.

Albo ja, albo on.

Chłopak i tak nie przeżyje zbyt długo na pustyni, wykrzykując rewolucyjne hasła. Nie wtedy, gdy połowa Ostatniego Okręgu chciałyby rozszarpać go na kawałki za zdradę. Czy to coś zmieni, jeśli ja oddam strzał, a zabije go ktoś inny? Jeśli umrze, to nie będzie moja wina.

– Albo strzel mu w głowę, a my uznamy, że było blisko – zażartował Hasan. Napięłam mięśnie. – Mnie tam wszystko jedno. – Oczywiście, że tak. Liczył na to, że się wycofamy. Oboje o tym wiedzieliśmy.

– Nie sądzisz, że to będzie trochę podejrzanę, jeśli obaj się wycofamy i pozwolimy wygrać twojemu człowiekowi? – zapytałam, nie dopuszczając przybysza do głosu.

Hasan przesunął nabój pomiędzy palcami.

– Sądzę, że moje kieszenie będą wypełnione złotem, a wasze nie.

– No jasne. – Wysunęłam rękę przed siebie, nie odrywając oczu od żałosnego młodego buntownika stojącego plecami do celu. Nie zasłużył na to, by zostać ofiarą pustyni, podobnie jak ja. – A ty będziesz miał więcej kłopotów niż złota, jeśli twoi klienci uznają, że zostali oszukani. – Hasanowi zrzędała mina. Nie pomyślał o tym. Popatrzyłam na tłum, starając się zachować znudzony wyraz twarzy, jakby mi na tym wszystkim nie zależało. Jakbym próbowała z nim pogrywać tak, jak on z nami. – Masz tu całą salę pijaków, którzy postawili na to ciężko zarobione pieniądze. A ostatnio nie za dobrze im się powodzi, bo z Sazi nie dociera surowiec. Zauważyłam, że przez to ludzie są bardziej nerwowi. Ty pewnie też to odczułeś?

Nie musiałam sprawdzać, czy Hasan patrzy tam, gdzie ja;

nawet ślepiec zauważyłby tłum splukanych robotników z fabryki i niedożywionych chłopców i mężczyzn, których aż świerbiły ręce skore do bójki. Służący za cel dzieciak z rozciętymi ustami również był jednym z tych niespokojnych. On jednak upił się rebelią księcia, a nie tanim alkoholem. Cholera, znałam to uczucie. Liczyłam na to, że poniesie mnie aż do Izmanu.

– Życie pod naszym słońcem nieszczególnie pomaga mężczyznom w utrzymaniu chłodnej głowy. Zwłaszcza wtedy, gdy Wąż ze Wschodu i Niebieskooki Bandyta mieli zacząć strzelać. – Popatrzyłam na Hasana kątem oka, modląc się, żeby nie kazał mnie zastrzelić. – Powiem ci coś. Mogę ci pomóc wyjść z tej sytuacji.

– Teraz? A niby co chcesz zrobić? – zakpił Hasan, ale nadal mnie słuchał.

– Teraz. Poświęcę się i stanę na miejscu tego dzieciaka. Za tysiąc fouza.

Obcokrajowiec naskoczył na mnie, mówiąc coś w języku, którego nie znałam, ale brzmiało to jak przekleństwa.

– Oszalałeś, dzieciaku?! – Znowu mówił w języku Mirajin. – Chcesz się dać zabić zamiast niego?

– Jeśli będę miał szczęście, nie trafi we mnie. – Czułam, jak przy każdym płytkim oddechu moja klatka piersiowa wznosi się i opada. Chłopak chwiał się w przód i w tył na piasku, który, byłam pewna, pełny był odłamków szkła. Był boso, ale nie marudził.

– Strzelamy czy jak? – wrzasnął Dahmad i rzucił pustą butelką w chłopaka. Minęła go o stopę.

Nadal patrzyłam na Hasana; jeszcze nie dobiliśmy targu.

– Jak mi się nie uda, nie będziesz musiał mi nic płacić, a twoi goście będą mieli krwawy pokaz.

Usta Hasana uformowały się we wredny uśmiech.

– I każdy pójdzie do domu zadowolony – dodałam.

– Oprócz martwego Bandyty – powiedział obcy, na tyle cicho, że tylko ja mogłam go usłyszeć. – Specjalnie

przegramy – powiedział głośniej. Nie spuszczał ze mnie wzroku, chociaż wiedziałam, że mówi do Hasana. Otworzyłam usta, żeby zaprotestować, ale spojrzał na mnie tak, że zrezygnowałam. Byliśmy po tej samej stronie. – Jeśli Niebieskooki Bandyta jest tak zdeterminowany, żeby stanąć jako cel, ja będę strzelał pierwszy. Nie trafię w butelkę ani w jego głowę. Potem pozwolisz strzelać Bandyce. A ja będę jego celem. On również spudłuje. – Mimowolnie napięłam mięśnie rąk, wiedząc, że nie jestem w stanie pogodzić się z niecelnym strzałem. Ale on mi ufał. Wobec tego lekko skinęłam głową. – Twój mistrz wygra, nie oddając strzału. Wyjdziemy stąd niepodziurawieni kulami.

– I z pieniędzmi – wtrąciłam, zanim obcy doprowadził do sytuacji, że odejdziemy z honorem i biedni. – Odejdziemy z tysiącem przeznaczonym dla zwycięzcy i jeszcze jednym. Oboje.

– Dam wam po słowie – powiedział Hasan.

– Po osiem – odparłam.

– Po pięć. I możecie być wdzięczni za to, że nie poślę za wami nikogo, żeby połamał wam palce i przyniósł z powrotem moje pieniądze.

– Umowa stoi. – Pięćset to nie tysiąc, ale i tak lepiej niż nic. Z tą sumą też będę mogła dotrzeć do Izmanu.

Tłum zaczął się niecierpliwić.

– Będziecie w końcu strzelać, wy przebrzydłe tchórze?! – wrzasnął ktoś z publiczności. – Dzieciak zaraz poszcza się ze strachu!

Hasan odsunął się od nas.

– Panowie! Kto chciałby patrzeć na śmierć tego zbuntowanego łobuza? I tak jest za niski. – Hasan zdjął butelkę z głowy chłopaka. – Zmywaj się stąd! – Dzieciak popatrzył na niego jak na kata, który właśnie przeciął pętlę. *Uciekaj* – dopingowałam go w myślach. Wreszcie ruszył.

Ucisk w mojej piersi zmalął, chociaż dało się słyszeć pomruk niezadowolenia wśród zebranych. Hasan uciszył ich

podniesioną dłonią.

– A nie wolelibyście popatrzeć, jak ci trzej mężczyźni, którzy mają wobec siebie rachunki do wyrównania, biorą na muszki siebie *nawzajem*? – Ryk publiczności był ogłuszający, tupanie tak silne, że budynek trząsał się w posadach. – Wystąp, Bandyto!

Wzięłam długi, drżący oddech. Może powinnam to lepiej przemyśleć. A przynajmniej bardziej upierać się przy tysiącu.

– Idź, dzieciaku. – Usłyszałam tuż przy uchu. – Ufasz mi, prawda?

Spojrzałam na pyszałkowaty uśmiech obcokrajowca.

– Nawet cię nie znam.

Podniósł rękę i zdjął mi z głowy kapelusz. Jak dobrze, że schowałam włosy pod szimę, którą naciągnęłam aż na brwi. Mimo wszystko czułam się naga bez kapelusza.

– Tym bardziej powinienes mi ufać.

Przejsie na drugą stronę stajni ciągnęło się w nieskończoność.

Hasan szyderczo szczyrzył zęby, stawiając butelkę na mojej głowie.

– Chyba chcesz zarobić, więc przestań się ruszać. Albo wszyscy zobaczą, że butelka trzęsie się jak dziewczyna w noc poślubną.

Złość sprawiła, że stanęłam jak wryta; butelka ani drgnęła. Nawet wtedy, gdy obcokrajowiec podszedł do linii. Nawet wtedy, gdy wsadził jedyną kulę do komory. Nawet wtedy, gdy uniósł broń i wycelował w moją głowę. Nie mogłam jedynie oddychać. Starannie wymierzył, poprawił ustawienie. Nie spieszył się, a mnie już zjadały nerwy.

– Strzelaj, tchórze! – wrzasnęłam w tej samej chwili, gdy wystrzelił.

Nie było czasu na unik.

Tłum buczał z dezaprobatą. A ja nadal żyłam, bo to słyszałam.

Pochyliłam głowę, butelka spadła w moje nadstawione

dłonie. Zobaczyłam, że kula utkwiała w ścianie o włos od mojej lewej skroni. Dopiero wtedy zaczęłam się trząść. Nie byłam pewna, czy z nerwów, czy z ekscytacji. Objęłam dłońmi butelkę, żeby to ukryć.

Ruszyłam do linii witana gwizdami. Obcokrajowiec minął mnie w połowie drogi na strzelnicę, gdzie miał zostać celem. Zatrzymał się na chwilę i założył mi kapelusz na głowę.

– W porządku? – zapytał.

– Niewiele brakowało. – Naciągnęłam kapelusz niżej.

– O co ci chodzi, Bandyto? – Chyba myślał, że jest cholernie zabawny. – Poczujesz, że nie jesteś aż tak nieśmiertelny, jak ci się wydawało?

Rzuciłam mu butelkę.

– Nie drażniłbym się z kimś, kto ma wycelować broń w moją głowę.

Roześmiał się i poszedł dalej.

Teraz ja stanęłam za białą linią, a on był celem. Gdybym chciała, bez problemu zestrzeliłabym butelkę. Jakie były szanse, że Dahmad naprawdę śmiertelnie zraniłby przybysza? A nawet jeśli, to kim on dla mnie był? Na pewno nie tysiącem fouza nagrody.

Oddałam strzał. Butelka wciąż była w jednym kawałku.

– Koniec rozgrywki! – Hasan przekrzykiwał hałas. – Dahmad pozostaje mistrzem! – Niektórzy wydali okrzyk radości, chyba ci, którzy trzymali w ręce karteczkę z jego numerem.

Najpierw nieśmiało, potem coraz wyraźniej z tłumu dało się usłyszeć nowy okrzyk:

– Strzelaj! Strzelaj! Strzelaj!

Mistrz kołysał się na nogach.

– Tak! Ja też chcę strzelać do Węża.

Obcokrajowiec zdjął już butelkę z głowy, ale mistrz zawadiacko stanął przy linii, wycelował i gestem pokazał mu, żeby wrócił na miejsce.

– Mają rację! – krzyknął Hasan. – Nie możemy wyłonić

zwycięzcy, dopóki Dahmad nie oddał strzału. – Spojrzał na mnie. Doskonale wiedziałam, co ma na myśli. Brak zwycięzcy oznaczał brak pieniędzy dla zbierającego zakłady. A to z kolei oznaczało, że nie będzie pieniędzy dla nas. – Co ty na to, Wężu ze Wschodu?

Skrzyżowałam spojrzenie z obcokrajowcem i pokręciłam głową. Przez dłuższą chwilę patrzył mi w oczy – nie było mu już do śmiechu. Następnie zrobił krok w tył i postawił butelkę na głowie.

Mistrz, zataczając się, stanął przy linii. Ledwie utrzymywał się na nogach. Zerknął na obcokrajowca, jakby próbował wykombinować, gdzie właściwie się znajduje. Mój ojciec był zazwyczaj tak samo pijany, gdy wracał z pracy w fabryce. Pewnego dnia złapał za broń. Zastrzeliłby mamę i mnie, gdyby był w stanie dobrze wymierzyć.

Dahmad podniósł broń. Z miejsca, gdzie stałam, widziałam, że celuje prosto w pierś przybysza.

Ostatnim razem obcokrajowiec pokonał mistrza. Dahmad był tak pijany, że pewnie sądził, iż rewanż jest czymś lepszym niż wygrana. Poza tym mężczyzna stanowił wystarczająco duży cel, by mógł w niego trafić zalany strzelec.

Gdy palec mistrza zaciskał się na spuście, dotarły do mnie słowa Hasana. W tej rozgrywce nie było możliwości oddania drugiego strzału. Nie zastanawiając się, rzuciłam się w bok i wpadłam na Dahmada.

Pchnięcie sprawiło, że kula poleciała trzy stopy w lewo. Przez wypity alkohol Dahmad upadł na piasek, podczas gdy ja starałam się podnieść, trzymając się za ramię.

Tłum zareagował jak beczka prochu w zetknięciu z iskrą.

Wiedzieli, że zostali oszukani, ale chyba nikt nie wiedział jak. Niektórzy krzyczeli, że obcy i ja działaliśmy w zмовie; inni wrzeszczeli, że Hasan ich oszukał. W jednej chwili zwrócili się przeciw tym, którzy zbierali zakłady.

– Skurwysyn! – Czyjeś ręce chwyciły mnie za przód koszuli.

Dahmad już wstał i poderwał mnie w górę, dotykałam ziemi tylko czubkami palców. Zaczęłam się rzucać, ale pchnął mnie na ścianę strzelnicy, aż powietrze uszło mi z płuc. A potem ujrzałam nóż w jego dłoni. Dahmad zbliżył do mnie twarz, obnażył zęby, jego oddech cuchnął alkoholem. – A teraz wypatroszę cię od pępka do nosa i zostawię na ziemi, żebyś pozbierał swoje flaki.

Dłoń obcokrajowca zacisnęła się na nadgarstku mistrza – pojawiła się tam tak szybko, że nie zdążyłam nawet tego zauważyć. Ale usłyszałam obrzydliwy trzask. Upadłam na piasek, gdy mistrz zwałił się na bok, wrzeszcząc z bólu, nóż upadł daleko od niego. Dostrzegłam kość wystającą z rany. Przybysz podniósł nóż z podłogi.

– Uciekaj! – rozkazał.

W stajni rozpętało się piekło.

Jakiś pijak rozbił lampę, gdy ugięły się pod nim nogi; spadła na trybuny, rozpryskując płonący olej.

Odwróciłam się w stronę wyjścia, ale rozpoczęła się już regularna bijatyka. Nie dało się tamtędy uciec. Obcokrajowiec i ja staliśmy odwrócenii plecami do ściany. Zostaliśmy zapomnieni, w tej awanturze już nawet nie chodziło o nas. Stajnia wypełniała się dymem. Wkrótce zaczniemy się dusić.

– Przypuszczam, że nie umiesz latać? – przekrzyczał hałas, brodą wskazując coś ponad nami. Okno było poza zasięgiem, nad trybunami.

Wyszczrzyłam do niego zęby, choć nie mógł tego widzieć.

– Nie umiem latać, ale nie ważę zbyt dużo.

Doskonale zrozumiał, o co mi chodziło. Splótł palce obu dłoni, żeby utworzyć oparcie dla mojej stopy. Wciąż miałam rewolwer, więc zatknęłam go za pasek. Przecież nie zostawię tutaj porządnej broni.

Zrobiłam kilka kroków do tyłu i nabrałam rozpędu. Przy trzecim kroku moja prawa stopa wylądowała na złączonych palcach obcokrajowca, a on poderwał mnie do góry. Rękami

uderzyłam w parapet z takim impetem, że nabiłam sobie siniaki. Ale jego ręce były pode mną, podtrzymywały mnie, gdy podciągałam się w górę. Dach domu modlitewnego znajdował się nieco niżej, w kilka sekund byłam na świeżym powietrzu. Pragnęłam znaleźć się jak najdalej stąd.

Ale odwróciłam się, zaparłam stopami o dach i ciągnęłam go za ręce, aż znalazł się w oknie, a po chwili na dachu obok mnie.

Zeskoczyliśmy ze starego domu modlitw, przetaczając się na bok, gdy zetknęliśmy się z piaskiem na ziemi. Jakaś kula przebiła deskę i przeleciała koło mojej głowy.

– W porządku, Bandyto – wysapał. – Dokąd teraz?

Dokąd? Zapytał mnie o to w mieście, gdzie powietrze śmierdziało dymem, a w ciemnościach dochodziło do brutalnych aktów przemocy.

Musiałam wracać do domu mojego wuja. Musiałam się z nim rozstać. Moja mała kuzynka Nasima pewnego razu dostała lanie, bo przyniosła do domu myszkę, którą znalazła pod szkołą. Mogłam się jedynie domyślać, co stałoby się ze mną, gdybym przyprowadziła do domu nieznanego. A poza tym ciekawe, co zrobiłby nieznanomy, gdyby odkrył, że jestem dziewczyną.

– Nigdzie, dam sobie radę.

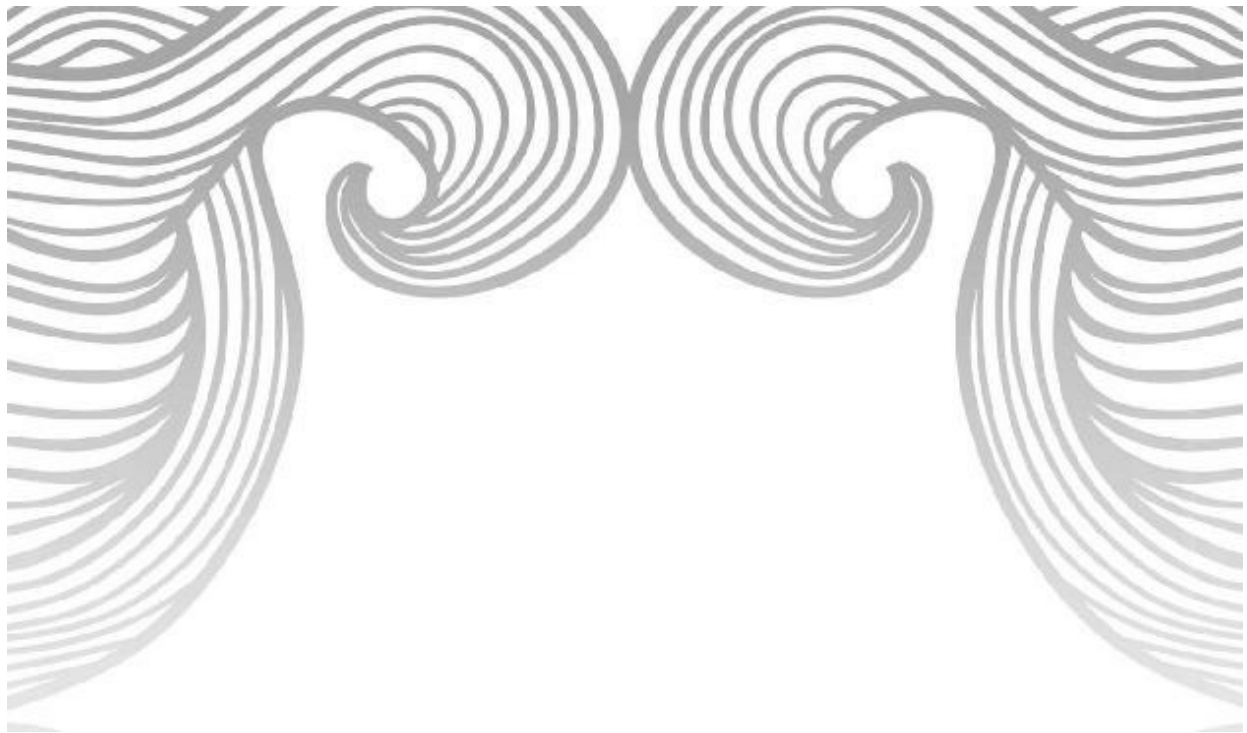
Obejrzał się za siebie.

– Masz dokąd iść?

Już się wycofywałam, szukając wzrokiem słupa, do którego przywiązałam Blue, mając nadzieję, że koń wciąż tam będzie.

– Dzięki za wszystko. – Posłałam mu wymuszony uśmiech, chociaż nie mógł go zobaczyć. – Muszę zajrzeć do baru i zabrać konia.

Zanim zdążył coś powiedzieć, ruszyłam biegiem.



TRZY

– Bierz dupę w troki i idź do sklepu, bo nie będziesz dzisiaj jadła. – Ktoś zdarł ze mnie koc gwałtownym szarpnięciem. Jęknęłam, zaciskając powieki, żeby nie patrzeć na światło słoneczne ani na twarz ciotki. – I nie oczekuj, że jutro dostaniesz jedzenie!

Liczyłam jej kroki, gdy się oddalała. Dziesięć kroków oznaczało, że poszła do kuchni. Uniosłam jedną powiekę. Ile spałam? Może kilka godzin. Bardziej niż jeść chciało mi się spać. Ale światło brzasku przesączało się do środka, rozlegały się nawoływania do modlitwy.

Przetoczyłam się z maty na drewnianą podłogę, naciągnęłam koc na głowę i zaczęłam rozglądać się za ubraniami. Wokół mnie budziło się sześć kuzynek, z którymi dzieliłam ciasny pokój. Mała Nasima usiadła na posłaniu wyprostowana jak struna, po czym znowu się położyła i wsadziła do buzi rozek koca.

Między naszymi matami prawie nie było widać podłogi. Pokój przypominał pole bitwy, ubrania leżały wszędzie jak martwi ludzie, poniewierały się przybory szkolne, igły do cerowania oraz jakaś rozszarpana książka, która wyglądała jakby dostała szrapnelem. Tylko w kącie Olii było czysto. Próbowwała nawet powiesić u sufitu końską derkę, żeby odgrodzić się od sióstr. Można było się przyzwyczaić do tego pokoju.

W domu mojego ojca mieliśmy tylko dwa pokoje. Ten, w którym spał z mamą, oraz większy, w którym jedliśmy i gdzie spałam prawie przez szesnaście lat. Ten pokój to przeszłość, tak jak i reszta domu, w którym się wychowałam.

Wymagało to pewnego wysiłku, ale wreszcie znalazłam luźną tunikę z długimi rękawami – mój niebieski khalat

zwinięty w kulkę i wsunięty pod matę. Był pognieciony, więc robiłam co w mojej mocy, żeby wygładzić zagięcia rękami, zanim naciągnęłam go na brązowe, szerokie spodnie, które nosiłam pod spodem. Nazywaliśmy je seroual.

Shira westchnęła w poduszkę.

– Możesz przestać tupać jak zdychająca koza? Niektóre z nas chcą się wyspać.

W swoim kącie Olia naciągnęła koc na głowę.

Znalazłam jeden but, podniosłam go najwyżej jak mogłam i zrzuciłam na podłogę z wielkim hukiem. Shira podskoczyła. Patrzyła na mnie, unosząc ciężkie powieki.

– Okropnie wyglądasz, kuzynko. Źle spałaś? – Moje palce zadrżały na szarfie, którą zawiązywałam w pasie. Shira uśmiechnęła się znacząco. – Chyba mocno się rzucałaś i wierciłaś. – Opanowałam się w porę i nie podwinęłam rękawa ponad posiniaczony łokieć. Oczywiście Shira wiedziała, że wymknęłam się w nocy. Spała tuż obok mnie.

Nie mogła jednak wiedzieć, dokąd się udałam. Ale to nie powstrzyma jej od zdradzenia mnie, jeśli tylko uzna, że może coś na tym zyskać. Nawet jeśli nagrodą będzie tylko to, że zobaczy, jak dostaję lanie.

– Jak mogłam spać? – Wróciłam do zawiązywania szarfy sztywnymi palcami. – Wiedziałaś, że chrapiesz?

– Widzisz, mówiłam ci. – Olia odezwała się spod swoich kołder do swojej przyrodniej siostry. Czasami prawie lubiłam moją drugą najmłodszą kuzynkę. Dogadywałyśmy się ze sobą, zanim zamieszkałam pod dachem wuja i nienawiść do mnie stała się jedną z wielu zasad przestrzeganych w tym domu.

– Chociaż może to nie ty chrapałaś tej nocy – odgryzłam się Shirze. – To niemożliwe, żeby stos koców chrapał.

Łóżko Shiry również było puste, kiedy wdrapałam się przez okno, po tym jak obmyłam się z dymu i prochu strzelniczego w odrobinie cennej wody. Sądząc po dusząco słodkim zapachu olejków, jakimi się wysmarowała, spotkała się

z Fazimem. Prawdopodobnie powiedział jej, że jedzie na strzelnicę i wróci bogaty.

Próbowałam się nie uśmiechać na wspomnienie tego, jak został wywalony z zawodów. Nie byłam nawet pewna, czy Fazim uszedł z tego z życiem.

Znalazłyśmy się w patowej sytuacji. Nie wygadam się, dopóki ona nic nie powie. Po chwili Shira oparła się o posłanie i zaczęła czesać włosy, zupełnie mnie ignorując.

Idąc do kuchni, palcami rozczesywałam swoje splątane, czarne włosy. Moi kuzyni zaczynali się już kręcić po domu, szykując się do pracy i przekrzykując dzwony modlitewne. Nikt, kto pracował w fabryce, nie miał czasu na modlitwy poza dniami świątecznymi. Obeszłam wkoło kuzyna Jiraza, który naciągnął kombinezon do pasa i drapał się po gojącym się oparzeniu na klatce piersiowej. Nabawił się go kilka miesięcy temu, gdy jedna z maszyn niespodziewanie buchnęła na niego ogniem. Miał szczęście, że stracił tylko miesiąc pracy zamiast życia.

Z najwyższej półki zdjęłam puszkę kawy. Była bardzo lekka. Kawa zmieszano z trocinami, żeby ją rozrzedzić. Poczułam, jak ściska mi się żołądek. Zawsze, gdy brakowało jedzenia, było źle. Właściwie to zawsze było źle. Bez jedzenia po prostu było jeszcze gorzej.

– Farrah. – Wuj Asid wszedł do kuchni, pocierając dłonią twarz. Nida, jego najmłodsza żona, szła tuż za nim z oczami wbitymi w podłogę, obejmując dłońmi ciężowy brzuch. Odwróciłam wzrok w samą porę, żeby móc udawać, że nie zauważyłam, że wuj obdarzył mnie przeciągłym spojrzeniem.
– Jest jeszcze kawa?

Poczułam silny niepokój. Nie mogłam tu zostać. Nieważne, jak lekka po zeszłej nocy była portmonetka, którą miałam pod ubraniem.

– Daj mi to. – Ciotka Farrah wyrwała mi puszkę jedną ręką, a drugą uderzyła mnie mocno w tył głowy. Skuliłam się. – Mówiłam ci, że masz iść otworzyć sklep, słyszysz

mnie?

– Nie można cię *nie* słyszeć. – Odsunęłam się poza zasięg jej rąk, chociaż to i tak nie uchroni mnie od późniejszego lania. Cieszyłam się, że mogę pójść w cholerę z tego domu i zejść wujowi z oczu, ale oczywiście nie mogłam ugryźć się w język. – Jeszcze trochę głośniej, a całe miasto usłyszy, jak zrzędzisz. – Trzasnęłam drzwiami i zbiegłam po schodach na ulicę. Z każdym krokiem coraz słabiej słyszałam pogróżki ciotki Farrah.

Sklep wuja znajdował się po drugiej stronie Dustwalk, co oznaczało, że musiałam przejść całe dwieście pięćdziesiąt kroków.

Jedyna ulica Dustwalk była zatłoczona jak zawsze, mężczyźni spieszyli się do fabryki, kobiety i starsi ludzie szli do domu modlitw, zanim słońce nie rozgrzało resztek chłodnego, nocnego powietrza. Ciążyły mi znajome widoki. Ostatnio myślałam, że ktoś po prostu powinien z litości zabić to miasto. Z gór nie dochodziła stal. Minęły lata, odkąd widziano ostatniego Buraqi. Zostało kilka zwykłych koni na sprzedaż, ale nie były wiele warte.

W Dustwalk lubiłam tylko jedną rzecz – przestrzeń wokół miasta. Wyminawszy domy z martwymi oknami, można było biec przez wiele godzin i nie napotkać niczego poza skarłowaciałymi krzewami i piaskiem. Teraz żałowałam, że byliśmy tak oddaleni od wszystkiego. Ale kiedy byłam młodsza, wystarczało mi, że mogę się oddalić na odległość, z której nie słyszałam ojca obrażającego mamę, wrzeszczącego, że jest nikim innym tylko zużytą, nietutejszą kurwą, która nie umie mu dać syna. Odchodziłam tak daleko, że nikt mnie nie mógł zobaczyć, dziewczynka z ukradzionym rewolwerem, strzelająca aż do bólu rąk, a celowałam wystarczająco dobrze, by móc wytrącić kieliszek spomiędzy drżących palców pijaczyny.

Najdalej wypuszczałam się wtedy, gdy mama opowiadała mi przed snem o Izmanie. Robiła to, gdy ojciec nie słyszał.

Miasto z tysiącem złotych kopuł, z wieżami, które ocierały się o błękit nieba, i tyloma opowieściami, ilu mieszkało w nim ludzi. Gdzie dziewczyna może należeć tylko do siebie, a miasto daje tyle możliwości, że na ulicach niemal potykasz się o przygody. Czytała mi historie o księżniczce Hawie, która wyśpiewała świt, kiedy nocą Izman został zaatakowany przez Koszmary. I o córce kupca, która oszukała Sułtana i zdobyła jego klejnoty, gdy jej ojciec stracił swój cały majątek. Czytała mi też listy od swojej siostry, Safiyah.

Safiyah była jedyną osobą, o której wiedziałam, że udało jej się wyjechać z Dustwalk. Uciekła w nocy poprzedzającej jej ślub i dotarła do Izmanu. Raz na jakiś czas karawana przywoziła od niej listy ze stolicy zaadresowane do mojej mamy. Opowiadały o cudach wielkiego miasta, większego świata i lepszego życia. Wtedy mama najczęściej mówiła o Izmanie. O tym, jak stąd wyjedziemy i pewnego dnia dołączymy do Safiyah.

Przestała o tym mówić w najbardziej upalny dzień, jaki ludzie pamiętali. A może był to jeden z takich dni, które ludzie zapamiętują tak dobrze ze względu na to, co się wydarzyło? Byłam na pustyni, najdalej jak się dało, ale żeby nie stracić domu z oczu. Słońce odbijało się tak bardzo od sześciu pustych szklanych butelek, które ustawiłam w rzędzie, że celując mrużyłam oczy mimo szimy naciągniętej aż na nos i kapelusza osłaniającego oczy. Pamiętam, że gdy usłyszałam trzy strzały, opędzałam się od muchy, która siadała mi na szyi. Zamarłam. Ale nie zastanawiałam się za wiele nad nimi. To był Ostatni Okrąg. Potem zaczął unosić się dym.

Wtedy ruszyłam biegiem do miasta.

Palił się dom mojego ojca. Później dowiedziałam się, że mama strzeliła trzy razy w brzuch ojca, a potem podpaliła dom. Jedyne, co wtedy do mnie dotarło, to ulga, gdy wyciągnięto ciało mojego ojca z budynku. Nie był nawet moim prawdziwym ojcem. Pamiętam, że moja mama

próbowała do mnie dobiec, ale odciągnięto ją ode mnie. Gardło bolało mnie od krzyku, kiedy zakładali jej pętlę na szyję.

Wyobrażanie sobie miejsc, o których opowiadała mama, przestało mi wystarczać, kiedy otworzono zapadnię pod jej stopami.

≈≈≈

Znajdowałam się w połowie drogi przez miasto, gdy zauważyłam, że obok domu modlitewnego zebrał się duży tłum, w miejscu, gdzie stał dom, w którym się wychowałam. Wśród zgromadzonych zauważyłam prościutki przedziałek w czarnych włosach Tamida. Przeciskałam się tak długo, aż znalazłam się obok niego. Ludzie nie zbliżali się do Tamida. Jakby myśleli, że mogą się od niego zarazić kalectwem. Dzięki temu znalazłam miejsce dla siebie.

– Na co się gapimy? – Przesunęłam się, żeby zająć miejsce drewnianej kuli pod jego ramieniem. Dobrze się to sprawdzało, ale głupi chłopak ciągle rósł i ilekroć ktoś skonstruował dla niego nową kulę, on wystrzeliwał w górę. Uśmiechnął się do mnie, a ja do niego, wystawiając przy tym język.

– Jak to wygląda? – Podał kulę Hayfie. Była jedyną służącą w mieście, bo tylko rodzina Tamida mogła sobie pozwolić na zakup jedzenia i opłacanie osoby, która by je gotowała. Oparł się na mnie. Tamid był blady jak śmierć w porównaniu z ludźmi pustyni. Ale dzisiaj ten wysoki chudzielec przynajmniej się nie garbił.

Z początku, oślepiąca blaskiem wschodzącego słońca, widziałam tylko znajomą, poczerniałą cegłę murów należącej do Sułtana fabryki broni, która znajdowała się na skraju miasta. Jedynym powodem istnienia tych zrujnowanych miasteczek było to, że służyły fabryce. Po chwili dostrzegłam błysk słońca odbijającego się od metalu.

Nadchodziła armia Sułtana.

Maszerowali w trzyosobowych szeregach, schodząc ze wzgórz. Złote szimy chroniły ich przed słońcem, na jednym biodrze mieli szable, na drugim broń palną, białe pumpy zatknęli w cholewy butów, a złote koszule przyłgnęły do ich bioder. Maszerowali powoli, lecz ich nadejście było nieuniknione. Zawsze było nieuniknione.

Przynajmniej pomiędzy bielą i złotem nie było widać żadnych niebieskich mundurów. Niebieskie mundury oznaczały armię Gallanów. Armia Sułtana nie ułatwiała nam życia, ale oni byli również z pochodzenia Mirajinami, a my byliśmy ich ludźmi.

Gallanie byli obcy. Byli okupantami. Stanowili zagrożenie.

Na naszym krańcu świata ludzie niewiele rozmawiali o polityce i historii, ale z tego, co słyszałam, dwie dekady temu nasz najdostojniejszy Sułtan Oman stwierdził, że nadaje się do panowania w Miraji bardziej niż jego ojciec. Wobec tego zawiązał sojusz z armią Gallanów. Obcokrajowcy zabili jego ojca i każdego, kto nie chciał pokłonić mu się jako Sułtanowi. W zamian pozwolił armii Gallanów założyć obozowisko w Miraji i zabierać broń, którą produkowaliśmy, dzięki czemu prowadzili wojny na odległych ziemiach.

– Chyba nieco za szybko wracają z Sazi? – Mrużyłam oczy, próbując ich policzyć. Wydawało mi się, że nie było ich aż tylu co zawsze.

– Nie słyszałaś? Strzelnica w Deadshot doszczętnie spłonęła dzisiejszej nocy. – Zamurowało mnie, miałam nadzieję, że Tamid tego nie zauważył. – Były jakieś zamieszki. Ojciec słyszał o tym dziś rano, poszło o Księcia Buntownika. Mówi, że wojsko schodzi z gór, żeby zrobić z tym porządek. To znaczy powiesić pijaków i hazardzistów.

Armia Sułtana zaledwie kilka dni temu wyruszyła do Sazi. Mieli tam obejrzeć kopalnie, prawdopodobnie po to, by stwierdzić, czy warto je zachować. Niepokojące było to, że wrócili tak szybko. Normalnie Piętnasta Kompania Miraji

przechodziła przez nasze okolice raz na trzy miesiące, żeby zabrać wyprodukowaną broń i dostarczyć ją Gallanom.

– Deadshot zawsze było wylęgarnią grzechu, doigrali się. Dziś rano rozmyślałem o złotym mieście Habadden. – Tamid uderzył w cnotliwy ton. Miał w zwyczaju czytać Święte Księgi, aż rozpadały się ich grzbiety i przysięgam, że ostatnio zaczął mnie pouczać bardziej niż Święty Ojciec. – Lud był tam tak zepsuty bogactwem, że zwrócił się przeciw Bogu. Więc Bóg zesłał Dżina-wojownika, żeby oczyścił ich ogniem bez dymu.

Pewnie, były też mniej święte opowieści o Dżinie uwodzącym kobiety, wykradającym je od ojców i mężów i unoszącym je do ukrytych wież.

To były stare dobre czasy. Nikt nie widział Dżinów od wielu dekad. Teraz jedyne, czego trzeba, by spalić spelunę, to dziewczyna, obcokrajowiec i banda pijaków.

– No widzisz – ciągnął Tamid, teraz już znowu brzmiący jak mój rugający mnie przyjaciel. – Na pewno cieszysz się, że mnie posłuchałaś i nie pojechałaś na strzelnicę. – Skrzywiłam się. To wystarczyło za przyznanie się do winy. – *N i e* posłuchałaś?

– Zamknij się, dobrze? – Spojrzałam na Hayfę, która wydawała się za bardzo skupiona na kuli Tamida, ponieważ udawała, że nie podsłuchuje. – Chcesz, żeby mnie powiesili?

Kiedy westchnął, wiedziałam, że był zawiedziony.

– Więc to dlatego wyglądasz dziś jak wrak człowieka.

– A o tobie mówią, że nie jesteś zbyt czarujący. – Przetarłam jednak dłonią po twarzy, jakbym w ten sposób mogła zetrzeć zmęczenie zeszłej nocy. – Mogłam wygrać. – Zbliżyłam usta do ucha Tamida, żeby nikt nas nie podsłuchał. – Gdyby choć w połowie przebiegało to sprawiedliwie.

– Nie mówiłem, że nie, Amani. – Nie podzielał mojej ekscytacji. – Mówiłem, że nie powinnaś.

To była nasza stara kłótnia. Sprzeczaaliśmy się o to jeszcze

w czasach, gdy żyła moja mama. Kiedy jeszcze opowiadała o Izmanie. Przestaliśmy o tym mówić, gdy umarła. Nie mówiłam Tamidowi, że planuję tam pojechać. Aż do nocy, gdy podsłuchiłam wuja.

Gdy już oderwałam się od ziemi, z miejsca, gdzie tkwiłam na czworaka pod oknem, ruszyłam prosto do domu Tamida. Weszłam przez okno tak jak zawsze od czasów, gdy potrafiłam już doskoczyć do parapetu. I jak zawsze Tamid powitał mnie, starając się wyglądać na zirytowanego i słabowitego. Powiedziałam mu, że kończy mi się czas i że muszę się stąd wydostać raz na zawsze. Kiedy mówiłam, wyraz jego twarzy zmieniał się na coraz mniej rozbawiony.

Tamid nigdy nie rozumiał mojego pragnienia wydostania się z Dustwalk. On jeden ze wszystkich ludzi w tym zapomnianym przez Boga mieście, powinien.

Tej nocy powiedział to samo, co zawsze. Nieważne, gdzie się znajdujemy, nic nie zmieni tego, kim jesteśmy: kaleką i dziewczyną. Jeśli tutaj byliśmy bezwartościowi, dlaczego miałoby to się zmienić gdzieś indziej? Próbowałam przekonać go do swoich racji. Mówiłam o listach od ciotki Safiyah. O lepszym życiu. O rzeczach większych niż mieszkanie i umieranie w tym zapomnianym miasteczku na pustyni. Ale jak na kogoś przepełnionego żarliwą wiarą, Tamid nie był ślepo naiwny. Więc pozwoliłam mu uwierzyć, że udało mu się mnie przekonać i nie powiedziałam, że zamierzam ciasno obwiązać piersi i spróbować uciec, w taki czy inny sposób. Nie byłam taka jak on; musiałam wierzyć, że Izman był lepszy niż ta dziura albo nie miałabym po co żyć.

Hayfa odchrząknęła.

– Nie chcę przeszkadzać, ale spóźni się pan na modlitwę.

Tamid i ja wymieniliśmy spojrzenia, tłumiąc śmiech, jakbyśmy znów byli dziećmi w szkole.

– Jak wiesz, spóźnianie się jest grzechem – powiedział Tamid z powagą maskującą kpinę.

Tamid i ja zawsze się spóźnialiśmy do szkoły. Zwykle winę zrzucał na jego nogę, a nasz nauczyciel strofował nas, że spóźnianie się jest grzechem. Może i byśmy się bali, ale według niego wszystko było grzechem. Tamid przeczytał Święte Księgi już trzy razy i, o ile mu było wiadomo, ani spóźnianie, ani gadanie na lekcji, ani nawet zasypianie w szkole nie były grzechem.

Mimo wszystko Tamid wziął kulę od Hayfy, a ona poprowadziła go do domu modlitewnego.

– Jeszcze nie skończyliśmy o tym rozmawiać – zawołał Tamid, gdy odwróciłam się i ruszyłam w przeciwnym kierunku. Zadbałam o to, żeby zobaczyć, jak szyderczo salutuję i idę szybkim krokiem po gorącym piasku w stronę sklepu.

Otworzyłam żelazną bramę sklepu, a potem drzwi za pomocą kopniaka, chcąc wpuścić do środka jak najwięcej światła, zanim sama tam wejdę. Sprawdziłam worki z solą i półki zastawione jedzeniem w puszkach, rozglądałam się, czy nie porusza się żaden cień. Drzwi i okna sklepu były wykończone żelazem, tak jak w każdym domu w Ostatnim Okręgu, ale to nie zawsze powstrzymywało istoty od wejścia do środka ciemną nocą. Na pustyni uczyłeś się mieć na baczności przed złymi duchami i szukać ich w cieniu. Złe duchy występowały w tysiącach różnych form. Wysokich, pozbawionych twarzy Skórozmiennych, którzy żywili się ludzkim ciałem i przybierali postać ofiary, żeby posilić się również jej rodziną. Małych, skórzastych Koszmarów, które zatapiały zęby w ciele śpiących i żywiły się ich strachem, dopóki nie wysały duszy.

Żelazo było jedynym sposobem, by się przed nimi chronić. Tylko nim można je było zabić. Kryły się przed światłem słonecznym, ale jedyną skuteczną obroną przed nimi było żelazo między oczy lub dźgnięcie nim między żebra. Żelazo zmieniało wszystkie nieśmiertelne stworzenia w stworzenia śmiertelne. Bezsilne. W ten sposób Pogromczynie Światów

zabiła Pierwsze Stworzenia. A ludzie tak samo zabili złe duchy Pogromczyni Światów.

Nie było już tak wiele złych duchów jak kiedyś. Dziesięć lat temu w tej części świata zginął ostatni człowiek zabity przez jednego z nich. Ale od czasu do czasu jakiś wpełzał przez dziurę w żelazie, krył się w zacienionym kącie domu, za co dostawał kulkę w łeb.

Gdy upewniłam się, że w sklepie jest pusto, podparłam drzwi, żeby wpuścić do środka powietrze i wysypałam na ladę resztę moich pieniędzy. Zostało mi sześć fouza i trzy louzi, nieważne, ile razy je przeliczałam. Za mało, żeby zostawić za sobą Dustwalk, a co dopiero dotrzeć do Izmanu. Nawet jeśli opróżniłabym kasę sklepową i nie zostałabym złapana, nie dotarłabym tak daleko.

Musiałam opracować nowy plan. I to szybko.

Rozległ się odgłos kroków, dając mi możliwość schowania mojego żalostnego majątku, zanim weszła Pama Al'Yamim, prowadząc za sobą trzech chłopców.

Dzień ciągnął się nieznośnie, gdy próbowałam wymyślić, jak wydostać się z Dustwalk. Późnym popołudniem głowa opadała mi na piersi, a upał próbował mnie pokonać i uśpić.

Tętent końskich kopyt sprawił, że podniosłam głowę w samą porę, by zobaczyć kilku przejeżdżających obok żołnierzy. Pozbierałam się, miałam suche usta. Tamid mówił, że wojsko przybyło, żeby rozprawić się z Deadshot. Więc co robili tutaj? Czy ktoś powiedział im o Niebieskookim Bandyce i wskazał im drogę do jedynej dziewczyny na pustyni, która mogła nim być?

Jakiś kształt wpadł do sklepu szybko jak cień i stanął w martwym punkcie pomiędzy drzwiami i oknem. Ręką namacałam strzelbę, którą ciotka Farrah trzymała pod ladą. Mężczyzna jednak nie zaatakował. Stał w takim bezruchu, że wydawało mi się, że przestał oddychać. Inny koń przejechał obok, a jeździec nawet nie spojrzał w stronę sklepu.

– Świetny dzień na ukrywanie się – powiedziałam.

Odwrócił się w moją stronę. Niedbale zawiązana szima opadła z jego twarzy i mogłam mu się dobrze przyjrzeć w blasku popołudniowego słońca wpadającego przez okno. Serce podskoczyło mi w piersi. Obcokrajowiec.

Zrobiłam nieprzeniknioną minę. Uśmiechnął się do mnie, co nie pasowało do jego spiętych ramion.

– W dzień taki jak ten po prostu musiałem schować się przed słońcem – mówił pewnym, przyjemnym tonem, takim, jaki zapamiętałam z zeszłej nocy. Nie rozpoznał mnie, co było nieco rozczarowujące.

– To miasteczko, jak wiesz. Wcześniej czy później będziesz musiał poszukać sobie innej kryjówki. Raczej wcześniej. – Przed sklepem pojawił się kolejny koń, wyminął go, zwolnił, zawrócił. Zatrzymał się przed wejściem, a siedzący na nim żołnierz coś krzyknął. W polu widzenia pojawiły się jeszcze dwa wierzchowce. Mięsień na twarzy obcokrajowca drgnął. Przy boku miał nóż, który w nocy odebrał Dahmadowi. Kiedy mnie ocalił, a ja zostawiłam go na łaskę losu. – Chyba potrzebujesz lepszej kryjówki.

Dłoń cały czas trzymał na rękojeści noża, ale podniósł głowę i spojrzał na mnie pytająco.

Zrobiłam krok w tył, głową i wskazałam przestrzeń pod ladą. Żołnierz już zsiadał z konia. W chwili, gdy był odwrócony plecami do wejścia, obcy przebył niewielką odległość pomiędzy drzwiami a ladą.

Przeskoczył przez nią i znalazł się tak blisko mnie, że czułam, jak ociera się ramieniem o moje ramię, zanim zniknął pod ladą. Szybko ustawiłam się tak, żeby stać naprzeciw wchodzącego żołnierza. Pierwszy stał w wejściu przez dłuższą chwilę i rozglądał się po wszystkich kątach, pozostali stanęli obok. Wreszcie jego wzrok padł na mnie.

Był młody. Włosy miał zaczesane do tyłu porządniej niż większość żołnierzy, a okrągła twarz sprawiała, że wyglądał niegroźnie. Ale złota szarfa na mundurze mówiła mi, że

to on jest dowódcą.

– Dzień dobry panu – powiedziałam najuprzejmiej jak umiałam. Wciąż miałam świadomość, że ukrywam obcego pod ladą i próbowałam zamaskować jego oddech.

– Dowódco, jak dla ciebie. – Drgnęła mu dłoń; żeby to zamaskować, zaczął poprawiać mankiety.

– W czym mogę pomóc, dowódco? – Już dawno nauczyłam się, jak oddawać wojsku fałszywy szacunek.

Dwaj żołnierze, którzy weszli za swoim dowódcą, stanęli przy drzwiach. Jakbym chciała przez nie uciec. Jeden z nich był starszy i w każdym calu wyglądał jak zawodowy żołnierz: wyprostowane plecy, wzrok skierowany przed siebie. Drugi był młodszy niż dowódca, może nawet młodszy ode mnie. Nosił niedopasowany mundur, spoglądał szklistym wzrokiem. Mogłam się założyć, że nie pożyje na tyle długo, żeby wyglądać jak żołnierz.

– Szukam pewnego mężczyzny. – Dowódca mówił z silnym akcentem z północy. Poczułam, że obcokrajowiec musnął moją nogę, gdy spiął mięśnie. Nie wiedziałam, czy to na dźwięk głosu żołnierza, czy dlatego, że myślał, że go wydam.

Obdarzyłam dowódcę szczerym spojrzeniem.

– Zabawne, większość mężczyzn przychodzi tu w poszukiwaniu kobiety. – Słowa wypłynęły z moich ust zanim przypomniałam sobie, że może strzelić mi w głowę i nazwać to sprawiedliwością. Starszy z dwóch żołnierzy zakaszłał, maskując śmiech.

Dowódca zmarszczył brwi, jakby sądził, że go nie zrozumiałam.

– Przestępcy. Widziałaś go?

Wzruszyłam ramionami.

– Widziałam dziś jakichś ludzi. Kilka godzin temu przyszła gruba Pama z synami, a potem Święty Ojciec.

– Nie jest człowiekiem stąd. – Jego głowa obracała się w tę i we w tę, gdy rozglądał się po sklepiku. Ruszył przed siebie. Jego ciężkie kroki sprawiły, że stojące za mną butelki

z alkoholem zaczęły stukać o siebie.

– W porządku? – Śledziłam go wzrokiem, gdy przeszedł od drzwi do magazynu i spoglądał na puszkowane jedzenie. Nasze zapasy były nie dość duże, by móc kogoś za nimi ukryć.

Gdy dowódca odwrócił się w moją stronę, zauważyłam świeżą kropkę czerwieni na ładzie. Jakby krew. Położyłam dłoń na plamie najbardziej swobodnym ruchem, na jaki było mnie stać.

– Wiedziałybyś, gdybyś go zobaczyła.

Uśmiechnęłam się, chociaż serce o mało nie wyrwało mi się z piersi, każąc mi uciekać w góry.

– Tak jak mówiłam, nie ma tu zbyt wielu ludzi. Również obcokrajowców.

– Jesteś tego pewna?

– Cóż, spędziłam tu cały dzień. Było spokojnie ze względu na upał i całą resztę.

– Lepiej, żebyś nie kłamała, *dziewczyno*.

Ugryzłam się w język. Był ode mnie niewiele starszy. Miał osiemnaście lat. Może dziewiętnaście. Zapewne był w tym samym wieku co obcokrajowiec.

Założyłam rękę na rękę, uważając na plamę krwi, i pochyliłam się nad ladą z uśmiechem.

– Nie kłamię, dowódco. Przecież kłamstwo jest grzechem, prawda? – Gdzie był Tamid, kiedy mógł się ze mną pośmiać?

Ku mojemu zaskoczeniu odezwał się młodszy z żołnierzy:

– Ta pustynia jest pełna grzechu.

Dowódca spojrział na podkomendnego w tym samym momencie, co ja. Spodziewałam się, że udzieli mu ostrej reprymendy za to, że odzywa się niepytany. Ale milczał. Nic dziwnego, że ten drugi żołnierz nie starał się ukryć śmiechu. Żaden szanujący się dowódca nie pozwoliłby żołnierzowi na takie odzywki.

Moje spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem młodszego z nich i od razu uświadomiłam sobie, że miał tak samo

niebieskie oczy jak ja.

Nigdy nie widziałam Mirajińczyka z jasnymi oczami. Mieszkańcy pustyni mieli ciemne włosy, ciemną skórę i ciemne oczy. To był Gallan z jasną karnacją.

Ze względu na to, że mogli brać naszą broń, żołnierze armii Gallanów myśleli chyba, że mogą zabierać wszystko inne z pustyni. Kilka lat wcześniej mężczyźni z Dustwalk powiesili ładną dziewczynę, Dalalę Al'Yimin, po tym jak żołnierz Gallanów nieco za bardzo się do niej garnał. Wszystkie kobiety w mieście pocieszały matkę Dalali, mówiąc, że jest to najlepsze, co mogło się jej córce przydarzyć, biorąc pod uwagę to, że po zhańbieniu przez żołnierza nie była już wystarczająco dobra dla nikogo. Tej nocy myślałam o Gallanach z ich niebieskimi oczami i jasnymi włosami. Przez wiele lat nie rozumiałam, co ojciec miał na myśli, gdy po alkoholu wpadał w szal i nazywał mamę zagraniczną dziwką. Ale wtedy miałam już czternaście lat, wystarczająco dużo, żeby zrozumieć, że ludzie nie wierzyli, iż ciemnooki mężczyzna będący mężem mojej mamy naprawdę był moim ojcem. Wymyśliłam, że mama była mądrzejsza od Dalali. Na tyle szybko udało jej się poślubić Hiza, żeby udawać, że dziecko, które nosiła, było jego, a nie jakiegoś zagranicznego żołnierza, który dopadł ją, gdy była sama i wziął ją wbrew jej woli którejś pustynnej nocy. I zanim przyszedł na świat ze swoimi odmiennymi oczami, nie dało się stwierdzić, że nie byłam córką Hizy, na pewno nie w tym mieście.

Wyglądało na to, że cherlawy żołnierz miał równie sprytną mamę jak ja. Ale nie na tyle sprytną, żeby uchronić go od wojska. *Ojczym zapewne chciał się go pozbyć* – pomyślałam. Dlatego – mimo młodego wieku, niedożywienia i niewyparzonej gęby – był już w mundurze.

Jego niebieskie spojrzenie spotkało się z moim, pustynny żar nagle stał się nie do zniesienia. Sklep nas dusił, powietrze zrobiło się gęste od nerwowego napięcia. Kropla potu spłynęła mi po karku.

– Dokładnie tak, Noorsham. – Głos dowódcy sprawił, że przeniosłam moją uwagę na niego, a on ponownie nerwowo poprawił mankiety. Dał swoim żołnierzom jakiś znak. Starszy z nich pochylił się ku młodszemu i coś mu powiedział, po czym chwycił go za łokieć i wyprowadził na zewnątrz. Ten gest wydał mi się dziwny jak na żołnierzy.

Nie miałam czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Ponieważ ni z tego, ni z owego znalazłam się sam na sam z dowódcą... oraz obcokrajowcem, którego ukrywałam. Zaświtało mi w głowie, że może chciał się pozbyć każdego, kto mógł mu przeszkodzić. Dotknęłam ręką strzelby pod ladą.

Dowódca położył ręce po obu moich stronach i spojrzał mi prosto w oczy.

– Ten człowiek jest niebezpieczny. Jest najemnikiem, walczy dla tego, kto mu zapłaci, a teraz trwa wojna. – Jakby sądził, że przeżyłam szesnaście lat i nie zauważyłam żołnierzy Gallanu na pustyni. – Miraji ma więcej wrogów, niż jesteś w stanie to pojąć. A każdy z nich może być jego mocodawcą. Jeśli będzie trzeba, poderżnie gardło nawet kobiecie. Ale najpierw zrobi z nią inne rzeczy... Jeśli wiesz, co mam na myśli. – Myślami powędrowałam do ostatniej nocy, do obcego, który wystąpił przed szereg, żeby ocalić dziecko. – Jeśli go zobaczysz, lepiej powiedz o nim swojemu mężowi.

Zmarszczyłam brwi, udając konsternację.

– Nie mam męża.

– To powiedz ojcu. – Odsunął się ode mnie, ponownie poprawiając mankiety.

– Ojca też nie mam. – Nadal udawałam głupią. – Mogę powiedzieć wujowi, jeśli to się na coś zda.

Dowódca przytaknął. Wyglądał na zadowolonego z tego, że nie byłam kłamczuchą, tylko okazałam się durniejsza niż worek kamieni. Patrzyłam na niego, gdy szedł w stronę drzwi.

Nigdy nie byłam dobra w trzymaniu języka za zębami.

– Proszę pana... Dowódco! – krzyknęłam za nim, spuszczać wzrok jak dobra, grzeczna dziewczynka w obecności oficera. Pochylając głowę, patrzyłam prosto w oczy obcokrajowca. Zauważyłam grymas na jego twarzy, zastanawiałam się, czy mnie w końcu rozpoznał. – Ten najemnik. Dlaczego jest poszukiwany?

– Za zdradę. – Dowódca zatrzymał się na progu.

Uniosłam pytająco brew, patrząc na obcokrajowca. Puścił do mnie oko pod ładą, a ja nie mogłam się powstrzymać od uśmiechu.

– Cóż, będę się za nim rozglądała, proszę pana.

Odczekałam, aż ucichł tętent kopyt konia dowódcy, po czym wyciągnęłam rękę i pomogłam obcokrajowcowi stanąć na nogi.

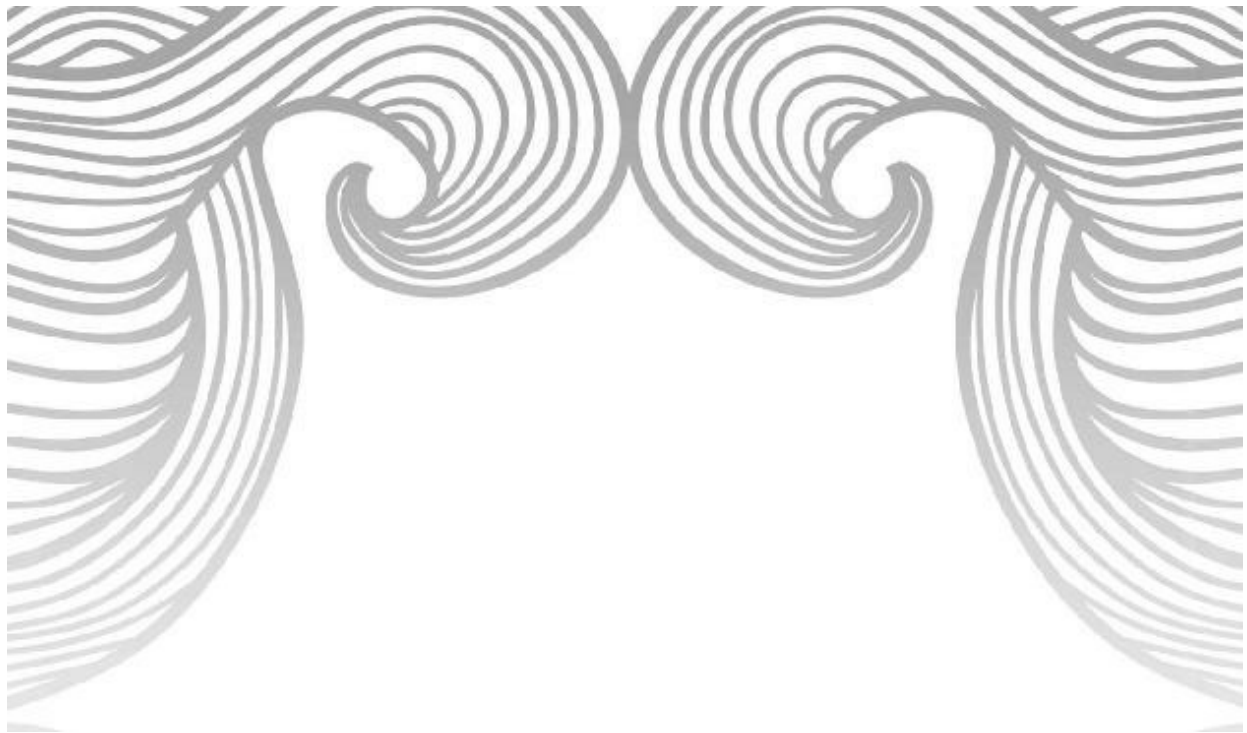
– Zdrada?

– Jesteś urodzoną kłamczuchą. – Wciąż nieznacznie się uśmiechał. – Jak na kogoś, kto nie kłamie.

– Dużo ćwiczyłam. – Cały czas trzymał moją dłoń. Opuściłam rękę i podniosłam wzrok. Wtedy dopiero zobaczyłam czerwoną plamę na jego białej koszuli i przypomniałam sobie krew na ladzie.

– Odwróć się. – Wciągnęłam powietrze przez zęby. Miał zakrwawione całe plecy. – Nie chciałam cię martwić – powiedziałam, starając się nie okazywać niepokoju – ale nie wiem, czy zauważyłeś, że zostałeś postrzelony?

– Ach. – Przyjrzałam mu się dokładniej i zauważyłam, że ściska ładę, żeby utrzymać się w pionie. – Prawie o tym zapomniałem.



CZTERY

Usiedliśmy na podłodze za ladą, żeby obcokrajowiec mógł się schować, gdyby ktoś wszedł do sklepu. Krew już prawie wyschła, koszula przylepiła mu się do skóry. Musiałam rozciąć ją nożem, żeby pomóc mu ją zdjąć. Miał szerokie ramiona i twarde mięśnie; unosiły się i opadały z każdym płytkim oddechem, gdy powoli odrywałam zniszczony materiał. Byłam tak blisko niego, że na jego skórze czułam dym pożaru, który wybuchł zeszłej nocy.

Zdjęłam z półki butelkę alkoholu. Obcokrajowiec nawet nie drgnął, gdy zamoczyłam czysty róg jego koszuli w spirytusie i przetałam nim jego skórę. Mieliśmy więcej alkoholu niż wody.

– Nie powinnaś mi pomagać, wiesz o tym – powiedział po chwili. – Nie słyszałaś, co mówił praworządny dowódca Naguib? Jestem niebezpieczny.

– On też. – Prychnęłam. Więcej prawdy nie mogłam mu wyjawić, nie mówiąc, że Niebieskooki Bandyta jest jego dłużnikiem. – Poza tym – rzuciłam i uniosłam rękę – mam nóż. – Zamarł, czując ostrze na szyi. A potem się roześmiał.

– Ty również. – Gdy mówił, jego skóra ocierała się o ostrze noża niczym podczas nieostrożnego golenia. – Nie zrobię ci krzywdy.

– Wiem, że nie. – Chciałam, żeby zabrzmiało to jak ostrzeżenie, po czym wróciłam do rany na jego ramieniu. Wbiłam czubek noża w skórę. Jego mięśnie naprężyły się pod moją dłońią, ale nie krzyknął.

Gdy próbowałam dostać się pod kulę, zauważyłam, że ma na żebrach tatuaż. Musnęłam go opuszkami palców. Jego mięśnie stwardniały pod moim dotykiem, aż przeszedł mnie dreszcz.

– To mewa. – Kiedy mówił, atramentowy ptak poruszył się

pod moimi palcami. – Tak nazywał się pierwszy statek, na którym służyłem. Czarna Mewa. Wówczas wydawało mi się, że to świetny pomysł.

– Co robiłeś na statku?

– Żeglowałem. – Pod palcami czułam, że się spiął. Wypuścił powietrze z płuc, które poderwałoby muchę do lotu. Zabrałam rękę i zauważyłam, że się odprężył.

– Kula chyba nie przerwała żadnych mięśni w ramieniu – powiedziałam, poruszając nożem. – Nie ruszaj się. – Dla zachowania równowagi wsparłam łokcie na jego plecach. Na ramieniu miał tatuaż przedstawiający kompas, który unosił się i opadał pode mną, gdy ciężko oddychał. Kula spadła na ziemię, z rany sączyła się krew. Jedną ręką szybko przyłożyłam do niej zniszczoną koszulę. – Trzeba założyć szwy.

– Nic mi nie będzie.

– Może, ale lepiej wygoi się zszyte.

Roześmiał się nerwowo.

– Masz medyczne przeszkolenie?

– Nie – odparłam, przyciskając do jego pleców materiał nasączony alkoholem mocniej, niż było to konieczne. Wzięłam z półki szpulkę brzydkich, żółtych nici i igłę. – Ale nie da się wychować w tej części świata, nie widząc kilkudziesięciu postrzelonych ludzi.

– Myślałem, że w tym miasteczku mieszka kilkadziesiąt ludzi.

– Dokładnie – powiedziałam i chociaż nie widziałam jego twarzy, wiedziałam, że się uśmiecha. Igła weszła w jego skórę, a on syknął z bólu. Wzbierało we mnie pytanie, które musiałam mu zadać: – Jak do tego doszło, że dopuściłeś się zdrady Sułtana, skoro nawet nie jesteś z Miraji?

– Urodziłem się tutaj – powiedział po chwili. Wiedział, że nie o to pytałam. *Jakiej zdrady mógł dopuścić się najemnik?* Miałam to pytanie na czubku języka.

– Nie wyglądasz – powiedziałam zamiast tego.

– Nie tutaj. W Izmanie. – Wzmianka o stolicy dotknęła mnie do głębi, bo przecież wczoraj byłam tak blisko wyjazdu do niej. – Moja mama pochodziła z kraju zwanego Xicha. Tam spędziłem większość życia.

– Jak tam jest?

Milczał. Byłam pewna, że nie odpowie.

– Nie sądzę, żebyś kiedykolwiek widziała burzę – powiedział – więc nie znasz tego charakterystycznego ciężkiego powietrza, które przyczepia ci się do skóry i wkłada swoje palce pod ubranie. – Spojrzałam ku moim palcom na jego gołych plecach; gdy mówił, jego ramiona unosiły się i opadały. – Powietrze w Xicha jest właśnie takie. I wszystko jest tam tak zielone i żywe tak, jak ten kraj jest suchy i martwy. Bambusy rosną tak szybko, że któregoś dnia mogą przewracać domy. Nawet w mieście. Jakby chciały odebrać nam ziemię, na której się pobudowaliśmy. I jest tam gorąco, kobiety spacerują z papierowymi wachlarzami, tak kolorowymi, że aż im zazdroszczą duchy. Kiedyś chłodziliśmy się, skacząc do morza w pełnym ubraniu i unikając pływających statków. Statków z całego świata. Tych z Albiszu z wyrzeźbionymi syrenami, i tych ze Svesu, zbudowanych tak, by chronić od zimna. A także tych z Xicha, które wyglądały jak smoki i powstały z jednego pnia drzewa. Niektóre drzewa w Xicha są wyższe niż wieże w Izmanie!

– Nie sądzę, byś chciał mi powiedzieć, co tutaj robisz? – zapytałam. – Jeśli Xicha jest tak wspaniała?

– Ja też nie sądzę – odparł, krzywiąc się, gdy igła ponownie przebiła skórę. – Nie sądzę, żebyś chciała mi powiedzieć, co sprawiło, że skłamałaś Naguibowi Al'Omanowi?

– Ja też nie. – Igła zatrzymała się. – Naguib Al'Oman? – Zarówno imię, jak i nazwisko były popularne, ale mimo wszystko. – Czy to syn Sułtana?

– Skąd wiesz? – Jego głowa opadła niżej, oddech się pogłębił, gdy po raz ostatni przepychałam igłę.

– Wszyscy znamy historię Księcia Buntownika. I innych książąt, którzy brali udział w próbach Sultima.

Historia opowiadała o czasach, gdy Sułtan Oman od niedawna zasiadał na tronie. Jedną z jego najpiękniejszych żon urodziła mu syna, Ahmeda. Silnego, mądrego chłopca. Nawet gdy harem Sułtana się rozrósł i inne żony powiły mu synów, Ahmed był oczkiem w głowie ojca. Trzy lata później ta sama żona urodziła córkę, ale nie księciu, lecz potworowi: pół człowiekowi, pół Dżinowi, z łuskami zamiast skóry, pazurami zamiast palców i rogami wyrastającymi z fioletowej głowy. Widząc, że żona zdradziła go z nieśmiertelnym Dżinem, Sułtan zatłukł ją. Tej samej nocy potworne dziecko i Ahmed zniknęli.

Czternaście lat później nadszedł czas prób. W ten sposób od zarania czasów w Miraji wybierano Sultima, następcę tronu. Zgodnie z tradycją dwunastu najstarszych książąt miało rywalizować o koronę.

To wydarzyło się ponad rok temu, gdy mama jeszcze żyła. Kiedy wieści o próbach dotarły do Dustwalk, nawet ludzie uważający hazard za grzech zaczęli obstawiać, który z młodych książąt zdobędzie tron.

W dniu zawodów dwunastu synów ustawiło się w szeregu, a całe miasto zebrało się, żeby oglądać ich potyczki. Wtem dołączył do nich trzynasty mężczyzna. Kiedy zdjął kaptur, wyglądał tak samo jak Sułtan Oman w młodości i nikt nie mógł zaprzeczyć, że powrócił książę Ahmed. Chociaż nagłe pojawienie się księcia było podejrzanym, to jego udział w próbach był zgodny z prawem i tradycją. Książę Ahmed mógł brać udział w próbach, a najmłodszy z dwunastu książąt został wydalony z zawodów. Ten książę miał na imię Naguib. Znałam to imię, ponieważ miejscowi obstawiali zakłady podczas prób Sultima, zanim nadeszły wieści o przybyciu Księcia Buntownika, i wielu postawiło na to, że Naguib zostanie zabity w pierwszej próbie. Jego marnotrawny brat być może ocalił mu życie.

Ahmed pokonał pozostałych braci w teście na inteligencję, w położonym na terenie pałacu ogromnym labiryncie pełnym pułapek, oraz w teście na mądrość, rozwiązując zagadkę wymyśloną przez najmądrzejszych z doradców Sułtana. Kiedy przyszło do sprawdzianu siły, próby rozstrzyganej w walce jeden na jednego, Ahmed wygrywał każdą z nich, dopóki nie pozostał tylko książę Kadir, pierworodny syn Sułtana. Walczyli przez cały dzień, aż wreszcie Kadir się poddał. Zamiast zabić swojego najstarszego brata, Ahmed go oszczędził. Odwrócił się do niego plecami, żeby stanąć przodem do ojca i zażądać dla siebie tytułu Sultima. Za plecami Ahmeda Kadir podniósł miecz, żeby zabić brata. W tej chwili wystąpiła z tłumu siostra Ahmeda, potworna córka Dżina, zrzuciła swoje ludzkie przebranie i użyła mocy odziedziczonych po ojcu, żeby zmienić tor lotu miecza. Wściekły za jej interwencję Sułtan ogłosił Kadira Sultimem i wydał wyrok śmierci na Ahmeda. Ale młody książę uciekł na pustynię wraz ze swoją siostrą-potworem, żeby stanąć na czele rebelii w walce o tron. Nowy świt, nowa pustynia.

Zawiązałam nitkę i odciąłam nadmiar nożem.

Obcokrajowiec odwrócił się i po raz pierwszy mogłam zobaczyć jego nagą klatkę piersiową. Nagle zapragnęłam patrzeć wszędzie indziej, byle nie na niego. Co było głupie, ponieważ znajdowaliśmy się na pustyni i widziałam bez koszuli każdego mężczyznę, którego znałam. Ale tego mężczyzny nie znałam. I zwykle nie zauważałam mięśni na ich ramionach ani tego, jak ich brzuch podnosił się i opadał, ani tatuaży, jak i słońca padającego tuż nad sercem.

Patrzył na mnie w blasku zachodzącego słońca.

– Nawet nie wiem, jak masz na imię – powiedział.

– Ja też nie znam twojego imienia. – Podniosłam głowę, wierzchem dłoni odrzucając włosy z twarzy, żeby nie pomazać się jego krwią.

– Jin. – Wczoraj wieczorem podał mi nieprawdziwe imię, ale on o tym nie wiedział. Nie byłam pewna, czy teraz przedstawił się prawdziwym imieniem. Nie przypominało żadnego, jakie znałam.

– Jesteś pewien? – naciskałam.

– Pewny tego, czy to moje imię? – Wykrzywił usta, poruszając zranionym ramieniem. Ruch sprawił, że napięła się skóra na jego brzuchu i mogłam zobaczyć kawałek innego tatuażu, który wystawał tuż nad paskiem. Nagle zapragnęłam zobaczyć go w całości. Ta myśl sprawiła, że oblałam się rumieńcem. – Całkowicie.

– Na pewno nie kłamiesz? – Spojrzałam mu w oczy.

– Kłamstwo to grzech, nie wiesz o tym? – Uśmiechnął się.

– Tak słyszałam.

Jin patrzył na mnie w taki sposób, że poczułam się nieswojo.

– Wiesz, że umarłbym bez twojej pomocy.

Podobnie jak ja bez twojej.

Ale nie powiedziałam mu tego. Nie zażartowałam, że powinien nazwać mnie Omanem, choć miałam ochotę. Albo Niebieskookim Bandytą, albo jakoś inaczej.

– Amani – powiedziałam. – Mam tak na imię. Amani Al'Hiza.

Cholernie trudno było zaufać chłopakowi z takim uśmiechem. Uśmiechem, który sprawiał, że chciałam pójść z nim w miejsca, o których mi mówił, a jednocześnie miałam pewność, że nie powinnam tego robić.

– Mogę przynieść ci czystą koszulę – zaproponowałam. Z trudnością przychodziło mi patrzenie na jego twarz, gdy na widoku było tyle ciekawszych rzeczy. – Jeśli tu poczekaasz.

– Wojsko po mnie wróci. – Podrapał się po karku, tatuaż, który miał na biodrze, wysunął się jeszcze o cal. Przypominał jakieś zwierzę, którego nie umiałam rozpoznać. – Chyba powinienem już jechać.

– Tak sędę. – Oderwałam od niego wzrok. Przypomniałam sobie, że nie mogę mu ufać. Nie znałam przecież tego chłopaka o dziwnym imieniu, pochodzącego z innego kraju. Nieważne, że wzajemnie ocaliliśmy sobie życie. Znałam go w sumie od dwóch dni. Ale do licha, i tak lubiłam go dwa razy bardziej niż mężczyzn z miasta, których znałam przez całe życie. A teraz moje życie znalazło się w niebezpieczeństwie. W taki czy inny sposób. – I powinienesz zabrać mnie ze sobą.

– Nie. – Jin odpowiedział tak szybko, że domyśliłam się, że spodziewał się mojej prośby, może nawet jeszcze zanim zdecydowałam, że ją wypowiem. Nie patrzył mi w oczy, gdy mówił dalej: – Ocaliłaś mi życie i odwdzięczę ci się za to.

– Nie proszę cię o to. – Próbowałam ukryć swoją desperację. – Proszę tylko, żebyś mnie stąd zabrał.

Wbił we mnie swoje spojrzenie. Znalazłam się w pułapce.

– Nawet nie wiesz, dokąd się wybieram.

– To nie ma znaczenia. – Przyłapałam się na tym, że stanęłam blisko niego, za blisko, ponieważ między nami jeszcze do niczego nie doszło. – Po prostu muszę dostać się w miejsce, które nie jest tym miastem. Gdzieś, gdzie jest pociąg i jakaś przyzwoita droga. A potem możemy zakończyć sprawę, a ja znajdę jakiś sposób, żeby dostać się do Izmanu. Nic tu mnie nie trzyma, podobnie jak ciebie.

– A kto mówi, że gdzieś tam znajdziesz coś dla siebie?

Jego słowa zabolaly.

– Tam na pewno będzie więcej możliwości. – Roześmiał się i przez ten ułamek sekundy miałam nad nim przewagę. Wykorzystałam ją. – Proszę. – Byłam tak blisko niego, jak tylko się dało bez dotykania go. – Czy nigdy nie chciałeś czegoś tak bardzo, że stało się to czymś więcej niż zachcianką? *Pragnę* wydostać się z tego miasta. *Pragnę* tego tak, jak *pragnę* oddychać.

Westchnął przeciągle. Widziałam, że zaczyna się wahać. Nie śmiałam się odezwać, żeby nie przegiąć w żadną stronę.

Odezwały się dzwony i chwila przeminęła. Odwróciłam się

tak szybko, że prawie rozbiłam sobie głowę o ladę.

– Nie za wcześnie na wieczorne modlitwy? – Jin powiedział głośno to, o czym pomyślałam.

– To nie są dzwony na modlitwę. – Czułam się tak, jakby stanęło mi serce, ale nadal oddychałam. Usłyszałam już dość, żeby zyskać pewność.

– Jeśli wojsko...

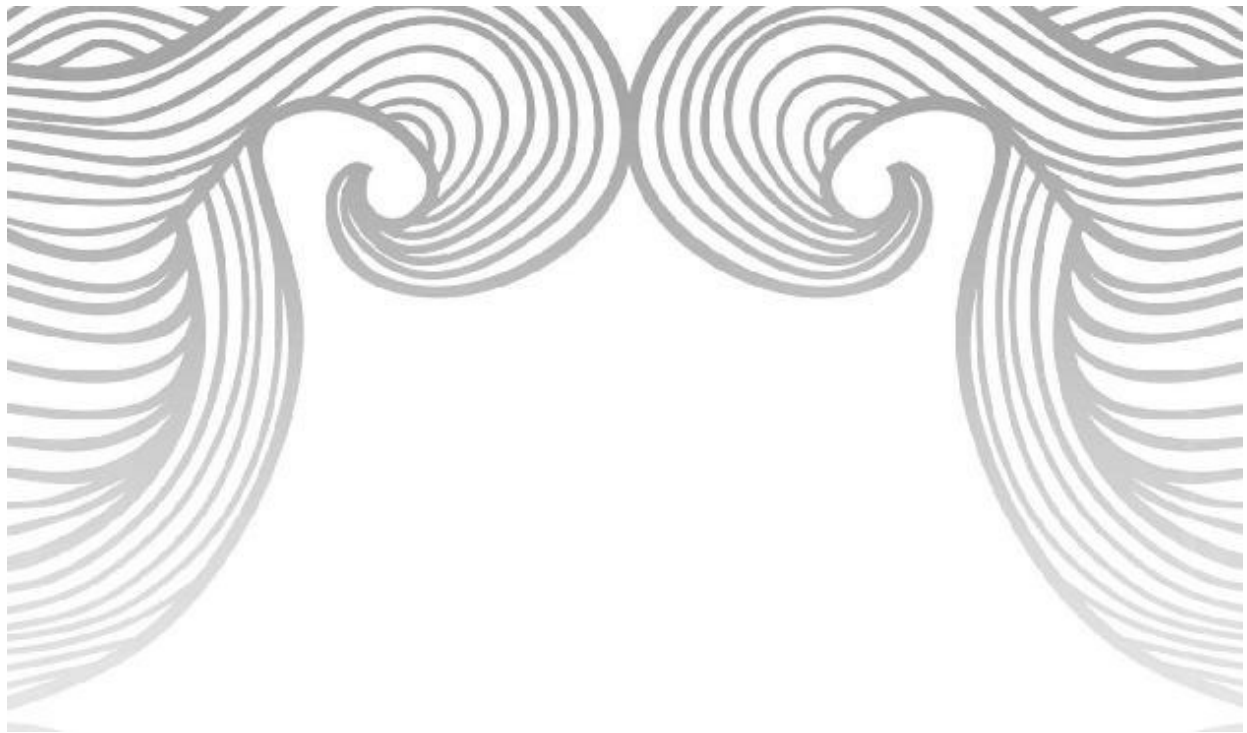
– To nie to! – przerwałam mu. Nie biliśmy w dzwony dla wojska.

– Powinnaś...

– Zamknij się. – Podniosłam dłoń, żeby go uciszyć. Żeby nasłuchiwać. Dobrze znałam to szaleńcze dzwonicie, choć nie słyszałam go od lat. Kilka sekund później dołączyły inne dzwony. Na gankach, w oknach. Żelazo walące w żelazo. Ten dźwięk przyprawił mnie o drżenie.

– To polowanie.

I pobiegłam w stronę drzwi.



PIĘĆ

Wybiegłam ze sklepu i wpadłam na Tamida.

– Przyszedłem po ciebie. – Był zasapany i ciężko opierał się na kuli. – Powinnaś wrócić do środka.

– Czy to... – zaczęłam.

– Buraqi – przytaknął. Serce podskoczyło mi z radości.

Pustynny koń. Pierwsze Stworzenie uformowało go z piasku i wiatru, jeszcze zanim pojawiliśmy się my, śmiertelni. Może obiecał cały świat i nie czuć zmęczenia. A jeśli uda się go złapać, jest wart tyle złota, ile waży. Już się palę, żeby wrócić do środka.

Wyteńczyłam wzrok, żeby zobaczyć, co działo się na skraju miasta. Z całą pewnością widziałam chmurę pyłu i zbliżających się mężczyzn z żelaznymi prętami, którzy prowadzili istotę. Zapewne wpadła w którąś ze starych pułapek.

– Pójdzie na konto pożaru w Deadshot – powiedział pouczającym tonem Tamid. – Pierwsze Stworzenia lubią ogień.

Zobaczyłam zgięty gwóźdź sterczący z ganku i wyjęłam go. Dawniej ludzie z pustyni zarabiali na życie, wydobywając rudę w górach i wysyłając swoje córki na piasek w żelaznych rękawicach, żeby pojmały i ujeździły Buraqi. Żeby zmieniły je z piasku i wiatru w ciało i krew, by mężczyźni mogli zabrać je do miast i sprzedać. A potem Sułtan wybudował fabrykę. Piasek zmieszał się z opiłkami żelaza. Nawet woda miała metaliczny posmak. Buraqi pojawiały się coraz rzadziej, namioty zmieniły się w domy, a handlarze końmi poszli do pracy w fabryce.

Żelazo mogło powstrzymać Pierwsze Stworzenia. Albo je zabić, tak jak złe duchy. Sprawić, że staną się śmiertelne. Ale tylko my mogliśmy zmienić je w istoty z krwi i kości.

Tamid przeczytał w jakimś świętym tekście, że wśród Pierwszych Stworzeń nie było płci żeńskiej. Nie potrzebowały żadnych synów. Mogły żyć wiecznie w przeciwieństwie do istot śmiertelnych. Nie potrzebowały nas.

Ale jeśli wiedza była władzą, wówczas niewiedza była największą słabością istot nieśmiertelnych. Wszyscy znaleźliśmy te historie. Dżiny, które zakochiwały się w szlachetnych księżniczках i spełniały każde ich życzenie. Piękne niewiasty wabiły Koszmary wprost na ostrza szabel swoich mężów. Dzielne córki kupców, które chwytaly Buraqi i jechały na nich na kraniec świata.

Ciągnęło ich do nas, ale mogliśmy je łatwo zranić. Mogliśmy zmienić je w ciało i krew.

Ludzie zaczęli wylegać na ganki, nie kryjąc nerwowej ekscytacji. Buraqi oznaczał albo mnóstwo złota dla tego, kto go złapał, albo mnóstwo krwi. Czasami też jedno i drugie.

Na skraju miasta widać już było Buraqi.

Ktoś krzyknął, ktoś inny trzasnął drzwiami. Ale większość ludzi wychyliła się, żeby lepiej widzieć. Wyjrzałam za róg sklepu i wyciągałam szyję razem z innymi.

Walczył zaciekle.

Przez chwilę wyglądał jak zwykły koń. Po chwili był samym piaskiem. Zmieniał kolor od jaskrawozłotego po wściekle czerwony, niczym ogień i słońce na smaganej wiatrem pustyni. Przeszedł przede mną dreszcz podniecenia – w końcu płynęła we mnie krew mieszkańców pustyni. Fabryka zmieniła nasze zwyczaje. Nie byliśmy już pustynnym ludem polującym na Buraqi. Ale nadal zastawialiśmy na pustyni żelazne pułapki. Kiedy jedna z nich została poruszona, każdy wiedział, co ma robić.

Moją uwagę odwrócił brzęk łańcucha. Młoda wdowa, Saira, zaczepiała jeden koniec na oknie pod skrzynią z za'atorem – mieszanką ziół pomocną przy polowaniu – a drugi Święty Ojciec zamocował drugi do ściany domu modlitewnego. Pół miasta wysypywało przez okna żelazny pył, ten sam, który

każde gospodarstwo domowe trzymało na podorędziu na wypadek ataku pustynnych złych duchów. Mieszał się z piaskiem i powietrzem, dopóki całe miasto nie stało się więzieniem dla Pierwszego Stworzenia.

Buraqi cofnął się i zarżał. Otoczyli go mężczyźni z żelaznymi prętami, starając się powstrzymać go od ucieczki na pustynię. Kopyta Buraqi zaryły w piasku. Rozległ się krzyk przerywany przez chrupnięcie, gdy kopyto uderzyło w czaszkę. Krew rozbryzgnęła się.

Wuj Asid dziabnął Buraqi ostrym czubkiem swojego żelaznego pręta. Buraqi cofnął się, a rana spłynęła krwią, lecz zaraz się zasklepiła. Dało to mężczyznom wystarczająco dużo czasu na to, by przejść za żelazne łańcuchy, gdzie stali wszyscy inni. Ich zadanie zostało wykonane.

Mężczyźni wspólnie doprowadzili Buraqi do miasta. Ale teraz każda kobieta działała w swoim imieniu. Jeśli złapało się Buraqi i zdołało utrzymać tak długo, żeby uwięzić go w jego śmiertelnej postaci, wówczas należał do ciebie, a raczej do twojego męża lub ojca. Lub wuja w moim przypadku. Pieniądze ze sprzedaży również należały do niego.

Nie miałam zamiaru go oddawać, jeśli go złapię. Do licha, zastanawiałam się nad nowym sposobem wydostania się stąd. Cóż, teraz miałam tę możliwość. Po prostu musiałam go złapać.

Inne kobiety stały tuż przy łańcuchach. Wdowa Saira oblizywała popękane usta. Nawet Shira wyszła z domu wuja. Wyglądała, jakby się modliła, palce zacisnęła na łańcuchu. Serce waliło mi tak, że czułam je w całym ciele – w żołądku, gardle, wszędzie, lecz nie tam, gdzie powinno być.

Wystarczyły dwa kroki, żebym znalazła się przy łańcuchu. To była moja szansa. Moja droga ucieczki.

– Amani! – zawołał Tamid. Odwróciłam się, żeby odpowiedzieć. Zauważyłam różowy kolor khalatu. Ciotka Farrah wykrzyknęła imię Shiry, gdy moja kuzynka przeszła pod łańcuchem i podbiegła do Buraqi.

A niech ją szlag. Jeden jedyny raz postanowiła zrobić coś innego niż zbijanie bąków. Buraqi, który wściekle zmieniał postać z piaskowej w cielesną, odwrócił się i zaszarżował w jej kierunku.

Nie uda jej się wygrać tego pojedynku.

Rzuciłam się na ziemię i przetoczyłam pod żelaznym łańcuchem. Podniosłam się i pobiegłam, zanim Tamid zdążył dokończyć zdanie, w którym chyba chciał mnie ostrzec.

Wpadłam na Shirę i obie zwałyśmy się na ziemię. Kopyto uderzyło mnie w głowę i zostałam spowita pajęczyną oślepiającego bólu.

Zaczęłam się podnosić, lecz Shira chwyciła mnie za kostkę i powaliła na ziemię. Oczy miała niemal tak oszalałe jak Buraqi.

– Mama ci za to wleje – syknęła, wbijając paznokcie w mój nadgarstek.

– Najpierw będzie musiała mnie złapać. – Wbiłam kolano w jej brzuch, zanim doprowadziła do śmierci nas obie. Wyswobodziłam się i wstałam, zostawiając ją kaszlącą na ziemi.

Pół tuzina innych kobiet weszło na żelazny ring, gdy my przepychałyśmy się jak dzieciaki na boisku. Trzymały się na odległość. Kopyta Buraqi zaczęły zapadać się w piasku. Jeszcze chwila a uda mu się wrócić do swojej nieśmiertelnej postaci i stanie się częścią pustyni.

Zagwizdałam. Odwrócił się.

Staliśmy naprzeciw siebie przez kilka uderzeń serca. Zrobiłam krok. Potem jeszcze jeden. I drugi. On wciąż się nie ruszał.

Naraz skoczyła ku niemu Shira, ściskając żelazo w garści. Buraqi odskoczył od niej. I ruszył na mnie.

Zmusiłam się do pozostania na miejscu. Jakbym znowu czekała na kulę Jina. Nie chciałam dzisiaj umrzeć, nawet teraz, gdy kopyta Buraqi przemierzały piasek, a jego ciało

chciało mnie przygnieść.

Uskoczyłam mu z drogi chwilę przed tym, jak mnie dopadł. Wyciągnęłam rękę, w której miałam gwóźdź; moja skóra musnęła jego sierść, a potem opadła na jego bok. Żelazo i skóra.

Buraqi wydał z siebie taki dźwięk, jakby ktoś coś rozdarł – poczułam go głęboko w trzewiach. Poruszałam się wraz z nieśmiertelną bestią, która walczyła z furją. Poruszałam się z nim, starając się dotykać jego skóry. Widziałam ból na jego obliczu. Chciał się uwolnić z pułapki. Rozumiałam to. Ja też chciałam. Gwóźdź wypadł mi z ręki, ale to nie miało znaczenia.

Oplotłam ręce wokół jego szyi, gdy zmieniła się w mięśnie. Świat zdawał się rozpadać, gdy Buraqi sapał z głową przy mojej piersi. Słońce i piasek stały się ciałem i krwią pod moim dotykiem. Czułam w sobie jego siłę, starą jak świat, starszą niż śmierć i ciemność, i grzech. Jedyne, co musiałam zrobić, to wskoczyć mu na grzbiet i pozwolić, żeby poniósł mnie na skraj pustyni.

Buraqi zarżał, a moje myśli rozpierzchły się. Jego głos sprawił, że coś się we mnie rozpadło.

Ktoś mnie odepchnął, gdy mężczyźni z moim wujem na czele otoczyli zwierzę. Straciłam szansę na ucieczkę. Buraqi cicho skowyczał, gdy między zęby wsadzono mu wędzidło, a na kopyta przybito podkowy. Trzy z żelaza, by na stałe zakotwiczyć go w tej postaci, i jedna z brązu, by zmusić go do posłuszeństwa.

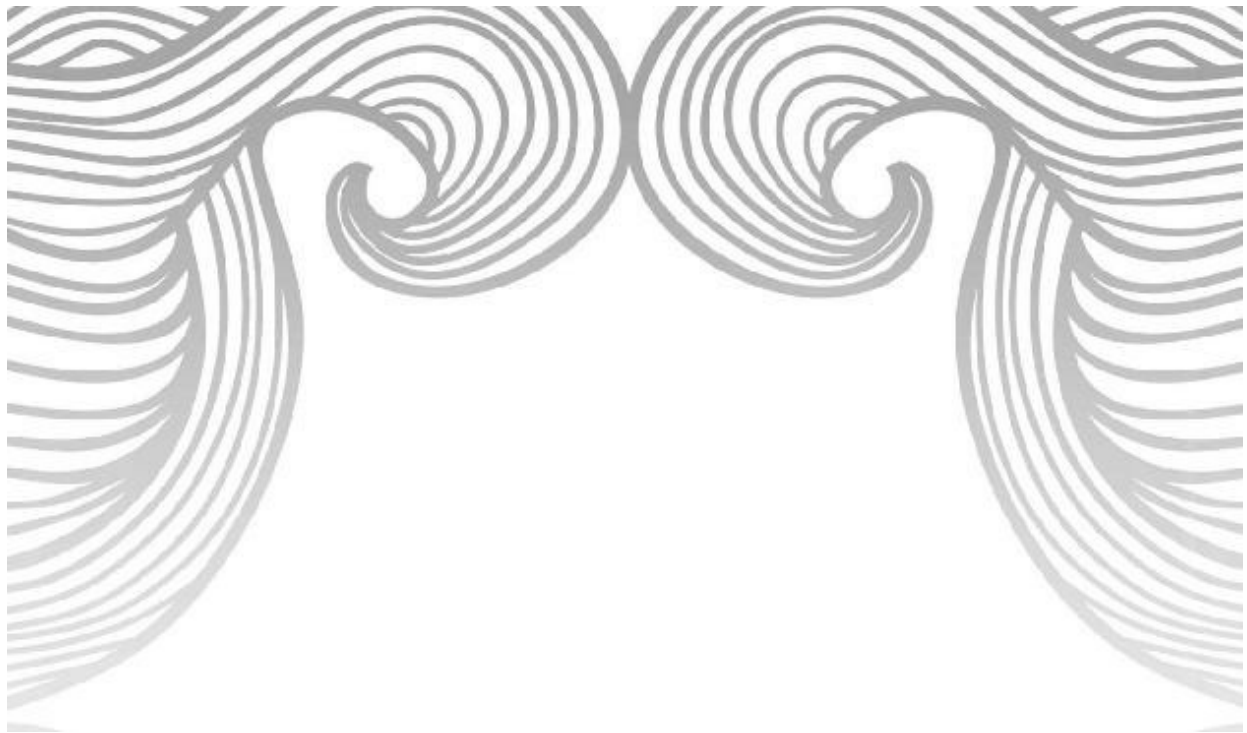
Mężczyźni krzyczeli, żeby wszyscy dowiedzieli się, że złapaliśmy Buraqi. Gapie pohukiwali i śmiali się. Dzieciaki biły brawo. O mnie już zapomniano. Zwierzę zarzuciło głowę i popatrzyło na mnie tak, jakbym je zdradziła.

Miałam krew we włosach i na ubraniu. Nie. Nie pozwolę, żeby ot tak go sobie zabrali. Zanim ochłonęłam, zaczęłam przepychać się przez tłum.

Ktoś chwycił mnie za ramię i odciągnął na bok pomiędzy

dwa domy. Czyjaś ręka zasłoniła mi usta, żebym nie krzyczała.

– Kogoż ja widzę! – Wredny głos sączył mi się do ucha –
Mała Panno Bandytko.



SZEŚĆ

– Cholera jasna, Fazim! – Odepchnęłam go. Domyśliłam się, że jednak udało mu się ujsć z życiem ze strzelnicy. I nazwał mnie Bandytką. Wiedział. – Co, do licha, rzuciło ci się na głowę?!

Fazim puścił mnie, wetknął ręce do kieszeni. Odsunął się dwa kroki ode mnie, stając na krawędzi cieni pomiędzy dwoma domami. Nie musiał mnie pilnować. Oboje wiedzieliśmy, że nie mam dokąd uciec.

– Zawsze zaciągasz dziewczyny za dom, żeby je tam pobić, gdy któraś z nich przytrzyma kolaniem twoją wybrankę? – Oparłam się plecami o słabą, drewnianą konstrukcję.

– Wyjdź za mnie. – Powiedział to tak niespodziewanie, że przez sekundę patrzyłam na niego z otwartymi ustami.

Potem parsknęłam śmiechem.

Nie mogłam się powstrzymać. Wyglądał na tak cholernie zadowolonego z siebie. Jakby naprawdę spodziewał się, że powiem „tak”.

– Cóż, pomaluj mnie na fioletowo i nazywaj Dżinem, jeśli to nie jest najgłupsza rzecz, jaką dziś usłyszałam. – Odgarnęłam zakrwawione włosy z twarzy.

On nadal się uśmiechał.

– Wiesz, masz ładne oczy. Wczoraj wieczorem w Deadshot był ktoś z oczami takimi, jak twoje. Nazywali go Niebieskookim Bandytą. Pomyślałem sobie, że niewiele osób na pustyni ma takie oczy.

Akurat teraz musiał coś skojarzyć.

– Mówisz więc, że mam jakiegoś zaginionego brata?

– Wiesz, o czym mówię, Amani. – Zrobił krok w moją stronę, a ja musiałam się powstrzymać, żeby nie kazać mu się odsunąć. Zaledwie kilka stóp dalej nadal było słyhać hałas i zamieszanie wokół Buraqi, ale ja czułam, że

w tej chwili ja i Fazim jesteśmy jedyni na całym świecie. – A ty mnie poślubisz, żeby nikt inny się o tym nie dowiedział.

– I co dalej? – Kątem oka zauważyłam coś kolorowego w szparze pomiędzy budynkami – ktoś tamtędy przechodził. Chciałam, żeby następna osoba spojrzała w naszą stronę. – Mówisz mi, że mnie kochasz, a te miesiące z Shirą były wielkim oszustwem, bo czekałeś, aż minie rok od śmierci mojej mamy?

Fazim wyszczerzył zęby. Jakby tylko czekał na to pytanie.

– Cóż, dopóki nie złapałaś tego Buraqi, Shira była najlepszą partią w tym mieście, która mogła uczynić mnie bogatym.

– Tym bardziej teraz, gdy mój wuj go sprzeda. – Czy to dlatego Shira rzuciła się do walki? Żeby skłonić tego idiotę do małżeństwa? Z miłości czy dla pieniędzy?

– Zrozum, już to przemyślałem. – Poklepał się po głowie. Był taki głupi, a zachowywał się, jakby pozjadał wszystkie rozumy. – Pewnie, jeśli poślubię Shirę, dostanę część tych pieniędzy. Ale widziałem, że go złapałaś, więc jeśli poślubię ciebie, Buraqi nie będzie należał już do twojego wuja.

Będzie należał do mojego męża.

A niech to szlag. Nie był najbystrzejszy, ale miał rację. A co gorsza, mówił poważnie. Oto chwila, przed którą próbowałam uciec, z tą różnicą, że propozycja nie wyszła od mojego wuja.

Złość wypaliła we mnie strach.

– Prędeż się zastrzelę.

A raczej zastrzelę ciebie.

– Nie będziesz musiała. – Nadal się uśmiechał, jego zęby zdawały się być za duże w przystojnej twarzy. – Zrobi to wojsko, gdy powiem im, że byłaś z obcokrajowcem, którego szukają. – Rozbierał mnie spojrzeniem. – Oczywiście najpierw będą cię torturować.

Uśmiechnęłam się do niego słodko, choć miałam ochotę wybić mu zęby.

– To wciąż brzmi lepiej niż perspektywa spędzenia życia z tobą.

Ręka Fazima opadła na ścianę obok mojej głowy. Natychmiast zapomniałam o ironii.

– Wiesz przecież, że nie muszę brać cię za żonę. – Miał niski głos i przyklejony do twarzy uśmiech, jakby sądził, że mnie oczaruje. – Mogę sprawić, że będziesz bezwartościowa. A wtedy nie będziesz miała wyboru. Będziesz mogła wyjść za mnie... albo zawisnąć. Jeśli jesteś podobna do swojej matki, masz szyję pasującą do pętli. – Wolną ręką przesunął po moim gardle. Mogłam pokonać prawie każdego mężczyznę na tej pustyni, gdy miałam rewolwer. Ale teraz byłam bezbronna.

– Fazim. – Ocalił mnie głos Shiry. – Co robisz?

Fazim odsunął się na tyle, że mogłam zobaczyć Shirę stojącą w wąskim przejściu pomiędzy dwoma domami. Zacisnęła usta w sposób, który pamiętałam z okresu dzieciństwa, gdy próbowała się nie rozplakać. Uwolniona od niego, ruszyłam w stronę ulicy. Zwolniłam kroku, gdy mijałam Shirę. Myślałam, że może będzie chciała mnie zatrzymać, wystawi rękę lub zapyta, co robiłam pomiędzy ścianą a jej kochankiem. Ale w ostatniej chwili zeszła mi z drogi. Wzrok miała wbity w ziemię.

Uciekłam do domu.

≈≈≈

Musiałam wyjechać. Żeby blefować, trzeba być bardziej rozgarniętym niż Fazim. Pójdzie do żołnierzy i powie im o zdrajcy. Nie zamierzam błagać Jina. Zamierzam zmusić go do tego, żeby zabrał mnie ze sobą.

Zatrzymałam się w wejściu do domu wuja, starając się wychwycić dźwięki mówiące o tym, że nie byłam pierwsza, której udało się wrócić do domu. Gdy byłam już pewna, weszłam do środka. Deski skrzypiały pod moimi stopami,

a ja modliłam się, żeby to był ostatni raz, kiedy przekraczam ten próg.

Z bałaganu na podłodze sypialni pozbierałam wszystkie rzeczy należące do mnie, oraz kilka takich, o których wiedziałam, że nie są moje.

Wpadłam do pokoju chłopaków. Był w jeszcze gorszym stanie niż nasz, na podłodze leżał w stosy ubrań; złapałam koszulę, która wydawała mi się tak czysta jak wszystko wokół mnie. Gdzieś po drugiej stronie domu otworzyły się drzwi. Usłyszałam, jak woła mnie ciotka Farrah.

Zawiesiłam koszulę na szyi i wyskoczyłam przez okno. Spadłam na piasek, zanim wpadło jej do głowy, żeby sprawdzić w pokoju chłopców.

Główna ulica była zatłoczona, ludzie zawieszali latarnie, wystawiali stoły i jedzenie na sprzedaż i stroili instrumenty w ostatnich promieniach słońca. Nie mieliśmy czego świętować od Shihabian, najdłuższej nocy w roku, kiedy wspominaliśmy czasy, gdy Pogromczyni Światów sprowadziła ciemność i świętowaliśmy powrót jasności. To było prawie rok temu. Ostatni Okrąg był spragniony fetowania. Dziś będzie miał go pod dostatkiem. Ale mnie przy tym nie będzie.

Nikt nie zauważył, że weszłam do sklepu. Zamknęłam drzwi, odgradzając się od hałasu ulicy. Gdy tylko to zrobiłam, wiedziałam, że jest tu zbyt cicho. Deski skrzypiały pod moimi stopami, gdy zrobiłam krok. Pomiędzy półkami latały koty z kurzu.

– Jin? – wyszeptałam. Poczułam się głupio, gdy to powiedziałam.

Przyszłam za późno.

Zniknął.

Nie wiedziałam, dlaczego wydawało mi się, że zostanie.

Opuściłam rękę, w której trzymałam koszulę. Ależ byłam głupia, sądząc, że mi pomoże; nie był mi nic winien. Poza tym to była pustynia, każdy troszczył się o siebie.

Przez jedną, niedorzeczną chwilę rozważałam pójście do młodego dowódcy. Mogłabym wydać Jina, zanim Fazim wyda mnie. Nie. Oddaliłam od siebie tę myśl, jak tylko się pojawiła. Nigdy nie będę zdrajcą. Nigdy nie doniosę wojsku.

Wrzuciłam koszulę do torby. Będę musiała znaleźć inny sposób na wydostanie się z miasta, zanim mnie znajdą.

Słońce już zaszło, zanim wyszłam ze sklepu. Rozświetlone Dustwalk świętowało. Pomiedzy domami wisiały niewielkie lampki oliwne, zaś na ulicach płonęły pochodnie, oświetlając żałosny spektakl. To, co zostało z naszego jedzenia, zostało wyłożone na stołach na sprzedaż, alkohol płynął nieprzerwanie, gdy ludzie snuli się w takt muzyki i śpiewali. Obstawiałam, że jeszcze kilka kolejek i ktoś wywoła burdę.

Połowa ludzi zamieszkujących Ostatni Okręg już tu była, przybyli, żeby zobaczyć Buraqi, który został przywiązany pośrodku miasta i ze złością zarzucał łbem. Wuj Asid próbował go uspokoić, ale nieśmiertelna bestia była coraz bardziej zmęczona gapiami, którzy przychodzili jej dotknąć. W końcu wuj postanowił zabrać Buraqi z miejsca, gdzie mógł kopnąć kogoś w głowę. Patrzyłam na to jednym okiem, a drugim szukałam Fazima, cały czas przepychałam się przez tłum, omijając tańczących i pijanych.

Coś uderzyło mnie w kostki i poczułam ostry ból w nodze. Nie zastanawiając się wiele, zrobiłam wymach nogą, po czym odwróciłam się i zobaczyłam Tamida stojącego wśród ludzi, poza zasięgiem mojej nogi, wspierał się na kuli i wyglądał tak niewinnie, jakby mnie nią przed chwilą nie uderzył.

– No dalej, chcesz się bić z kaleką? – zażartował. Chciałam się również uśmiechnąć, ale czułam się wyżęta z sił. Tamid również stracił dobry humor. – Hmm, no wiesz, szukałem cię. – Potykał się o swoje słowa, aż bolało mnie serce. Będę za nim tęsknić. Zawsze gdzieś z tyłu głowy miałam świadomość tego, że nadejdzie dzień, kiedy wyjadę, a on tu zostanie, ale nie spodziewałam się, że stanie się to tak szybko. – Proszę. – Wcisnął mi coś do ręki. – Wydawało

mi się, że zostałam trochę poturbowana, jak łapałaś tego Buraqi. – To była mała szklana fiolka z białymi pudrowymi pigułkami. Tabletki przeciwbólowe. Jego ojciec sprzedawał je robotnikom z fabryki, którzy zostali ranni przy pracy. Albo gdy postrzelili się nawzajem podczas bójki.

– To te, które zwałają z nóg, prawda? – Znałam te leki bardziej niżbym chciała. W przeciągu roku wiele razy zostałam wychłostana za mój długi język. – Nie mogę ich wziąć. – Próbowałam oddać fiolkę. Wzięłam głęboki, drżący oddech. – Zamierzam uciec stąd na Buraqi. Chcesz jechać ze mną?

Tamid uśmiechnął się ochoczo.

– Pewnie, dokąd jedziemy? – Wydawało mu się, że żartowałam. Nie odpowiedziałam. Po prostu podniosłam torbę, żeby ją zobaczył. Zrozumienie powoli malowało się na jego twarzy. – Amani... – wymówił moje imię w taki sposób, jakby musiał skumulować w sobie cały strach, swój i mój. – Powieszą cię.

– To samo mnie spotka, jak tu zostanę. – Odeszłam z nim na bok, z dala od tłumu. Stanęliśmy obok szkoły, żeby zejść innym z drogi. Od wielu godzin czułam wzbierającą we mnie dziką brawurę. Od dni. Tygodni. Lat. Wypełniała mnie już tak bardzo, że musiałam dać jej ujście. – Mogą zrobić coś znacznie gorszego niż mnie powiesić. – Prawda uderzyła we mnie w chwili, gdy ludzie wciąż świętowali wokół nas. Przypomniałam sobie o wszystkim – o wuju, Jinie i Fazimie, o tym jak Jin wyjechał i zostawił mnie, jak Fazim mnie szantażował, że albo go poślubię, albo umrę, jeśli tu zostanę. A ja na pewno nie chciałam być niczyją żoną. Na pewno nie jego. Ani mojego wuja.

– W którym momencie tego doskonale obmyślonego planu zamierzałaś powiedzieć mi, że wyjeżdżasz? – Najwyraźniej poczuł się dotknięty.

– Nie sądziłam... – Przełknęłam ślinę, próbując pozbyć się poczucia winy. Nawet o tym nie pomyślałam. Taka była

prawda. Nie miałam czasu na myślenie. Nie miałam kiedy pomyśleć o czymś innym niż Fazim i ucieczka. – Nigdy nie zamierzałeś ze mną uciekać, Tamid – powiedziałam cicho. – Próbujesz jedynie skłonić mnie do pozostania, a ja mam zbyt wielkie problemy, żeby móc tu zostać.

– Nie miałabyś ich, gdybyś się nie wychylała i nie jechała na strzelnicę. Dlaczego nie porozmawiałaś ze mną? Moglibyśmy coś razem wymyślić, ty i ja. Dlaczego zawsze... – Tamid zamilkł na chwilę. – Dlaczego zawsze musisz wszystko komplikować? – Pomiedzy nami rozciągnęła się cisza, zajmąwszy miejsce kłótni, którą powtarzaliśmy setki razy. – Wiem, co zrobić. – Tamid nie patrzył na mnie. W cieniu rzucanym przez budynek oświetlony huśtającą się lampą trudno było dostrzec, jaką ma minę. Nerwowo rozglądałam się wokół, próbując namierzyć Fazima. – Mogłabyś... mogłabyś wyjść za mnie.

Te słowa sprawiły, że znów skupiałam na nim swoją uwagę.

– Słucham?

– Fazim nic nie będzie mógł ci zrobić, gdy będziesz zamężna. – Wyglądał tak pocziwie, że zapragnęłam go objąć. – Mógłbym zapewnić ci bezpieczeństwo. Przed nim. Przed wojskiem. Przed twoją rodziną. Nie musiałybyś już mieszkać pod dachem ciotki Farrah. Już wcześniej doszedłem do wniosku, że poproszę twojego wuja o twoją rękę. – Nie patrzył mi w oczy i wyglądał na zażenowanego. – Jak tylko będziesz trochę starsza. Nie chciałem narzucać się wcześniej niż rok po śmierci twojej mamy. Chciałem dać ci czas. Ale nigdy bym nie pozwolił, żeby on został twoim mężem, Amani, gdybyś mi tylko powiedziała. To by oznaczało, że oświadczyłbym się po prostu trochę wcześniej.

Zamierzał prosić mnie o rękę? Od jak dawna? Nigdy nie przyszło mi to do głowy. Sądziłam, że rozumie, że mam zamiar wyjechać. A może myślał, że nigdy mi się to nie uda?

– Tamid – odezwałam się cicho, nie mając pewności, co tak naprawdę chcę powiedzieć. Nie wiedziałam, jak wyjaśnić,

czego chcę. Nie teraz, gdy mieliśmy zupełnie rozbieżne plany.

Wśród ciżby wypatrzyłam Fazima. Nie był sam. Tuż za nim zauważyłam złoto-białe mundury, przed którymi rozstępował się tłum.

Żołądek podskoczył mi do gardła, schowałam się w cieniu. Tamid odwrócił się przez ramię. Zobaczył to, co ja. Kiedy ponownie na mnie spojrzał, zapewne wyczytał odpowiedź z mojej twarzy. Nie mogłam zostać. Nie mógł zapewnić mi bezpieczeństwa.

– Uciekaj.

– Tamid... – Nie chciałam odchodzić, gdy on się na mnie gniewał. Ale nie był na tyle rozgniewany, żeby chcieć widzieć mnie martwą.

– Uciekaj!

Choć raz zrobiłam, co mi kazano.

Na ulicy było aż gęsto od ludzi. Wyminęłam Starego Rafaata, ciężko opierając się na ramieniu jego wnuczki i przebiegłam obok jakiegoś nieznajomego, który grał na rozstrojonym sitarze, po czym dopadłam bocznej ściany domu wuja. Znajdowałam się kilka kroków od stajni. Gdyby udało mi się dostać do Buraqi...

– Tutaj jesteś! – Ciotka Farrah szarpnęła mną, żebym spojrzała jej w twarz. Po raz pierwszy zimna furia na jej obliczu nic nie znaczyła. Zapewne nawrzeszczy na mnie za to, że pyskuję, że przewróciłam jej córkę, że nie pomogłam przy obiedzie. Wszystko to miało znaczenie jeszcze dziś rano, ale teraz już mnie nie obchodziło.

– Pozwól mi odejść. – Próbowałam wyszarpnąć ramię, ale ścisnęła mnie jeszcze mocniej.

– A dokąd się wybierasz?

– Daleko stąd. – Przestałam się szarpać i spojrzałam jej prosto w oczy. – Z dala od tego miasta i od was. Nie chcecie mnie tutaj. Nie chcę, żeby twój mąż mnie pożądał. – Wbiła palce mocniej w moją skórę. – I nie chcę stać się własnością

twojego męża ani nikogo innego. – Obejrzałam się przez ramię, ale nie zauważyłam nikogo wśród tłumu. Ale to było cholernie małe miasteczko. Fazim mnie znajdzie. – Puść mnie, a ja zniknę. – Odwróciłam się z powrotem do ciotki Farrah. Zniknęła nienawiść, którą zwykle mnie obdarzała. Miałam rację, a ona o tym wiedziała. W tej kwestii byliśmy sojusznikami. – Proszę.

Jej uścisk zelżał.

Za późno. Złapały mnie dłonie żołnierza, straciłam kontakt z podłożem i wydałam z siebie okrzyk. Zostałam zawleczone na ulicę przed domem. Świątowanie ucichło, hulanka zmieniła się w panikę, gdy wojsko ustawiło ludzi w rzędzie pod budynkami. Żołnierze maszerowali po ulicy, trzymali wysoko lampy i przyglądali się twarzom mężczyzn.

– Przeszukajcie wszystkie domy i sprawdźcie, czy tam go nie ma. – Rozpoznałam akcent młodego dowódcy, Naguiba. Szedł przez nasze miasto, jakby całe to przekłete miejsce było jego własnością.

Jin był poszukiwany za zradę. Jako najemnik, jak twierdzili. Nie wysyła się tak wielu ludzi na poszukiwanie zdrajców pracujących za pieniądze. Albo nie znaleźli się tutaj z powodu Jina, albo był kimś więcej niż najemnikiem.

Trzymający mnie żołnierz puścił mnie przed młodym dowódcą, który obrzucił mnie spojrzeniem, po czym odwrócił się do Fazima stojącego tuż za nim.

– To ona?

– Tak. Była razem z obcokrajowcem w Deadshot. – Huśtająca się lampa sprawiła, że Fazim wyglądał potwornie, gdy pochylał się nad ramieniem dowódcy. Bałam się już wcześniej, ale teraz poczułam zupełnie inny strach. – Była z nim w zмовie. Jest Niebieskookim Bandytą.

Jeden z żołnierzy stojących na skraju światła bijącego od lampy zachnął się.

– Ze strzelnicy? Ta dziewczyna?

– To kłamca! – Odzyskałam głos. Próbowałam zachowywać

się odważnie. Ale miałam tylko swoje słowa przeciw słowom Fazima. Zawsze będą wierzyć mężczyźnie, nie dziewczynie.

Dowódca chwycił mnie za brodę i przyciągnął lampę tak blisko mojej głowy, że myślałam, że mnie oparzy.

– Masz piękne oczy. – Dalsze udawanie nie miało sensu.

Zdradziła mnie własna twarz.

– Więc gdzie jest twój zagraniczny przyjaciel?

– Gdybym to wiedziała, nie musiałabym odpowiadać teraz na głupie pytania. – Jego dłoń zetknęła się z moim policzkiem tak raptownie, że myślałam, że przetrącił mi szyję, a nie umarłam tylko dlatego, że byłam tym za bardzo zdziwiona. Ból odbijał się echem od moich zębów i czaszki.

– Gdzie on jest? – Głos dowódcy przedarł się przez dzwonienie w moich uszach. Trzymałam się w pionie tylko dlatego, że podtrzymywał mnie jeden z żołnierzy. Usilnie starałam się odzyskać równowagę. Dowódca ponownie złapał mnie za brodę. – Mów. – Przystawił mi broń do skroni. – Albo odstrzelę ci łeb.

Bolała mnie szczeka, ale zmusiłam ją do działania.

– Cóż, nie byłoby to zbyt mądre, bo wówczas już nie usłyszeliście, co mam do powiedzenia. – Kliknięcie odwodzonego kurka było dźwiękiem, który znałam aż za dobrze. Nigdy jednak nie słyszałam go tak blisko ucha.

– To na nic. Na nią nie podziała – odezwał się Fazim. – Jeśli naprawdę chcecie ją wystraszyć, przyprowadźcie jej kalekę.

Poczułam przypływ złości, spychającej strach na drugi plan. Rzuciłam się na niego tak szybko, że ten, który mnie trzymał, nie zdążył zareagować. Zacisnęłam dłonie na jego szyi, ale czyjeś ręce odciągnęły mnie, zanim udało mi się wyrzucić mu krzywdę. Ktoś mnie znowu spoliczkował. Kiedy odzyskałam ostrość widzenia, Tamid klęczał na piasku w kręgu lamp. Chorą nogę niezdarnie wyciągnął przed siebie, ktoś przytknął lufę do jego karku.

Nienawidziłam Fazima, lecz siebie nienawidziłam jeszcze bardziej. Tamid ostrzegał mnie, że narobię sobie kłopotów. Nie dotarło do mnie, że narobię kłopotów również innym.

– Proszę bardzo – powiedział dowódca. – Czy teraz będziesz łaskawa powiedzieć nam, czy byłeś ze swoim przyjacielem ze wschodu w Deadshot?

Przełknęłam złościwości, które pchały mi się na język. Pyskówki nie były warte życia Tamida.

– Nie byłam z nim – wycedziłam przez zaciśnięte zęby. – Oboje tam byliśmy.

– A gdzie jest teraz?

– Nie wiem. – Myślałam, że znowu mnie uderzy. Ale dowódca tylko zacisnął usta, jakby był rozczarowany złym zachowaniem ucznia. Odwrócił się do Tamida. Nagle znowu poczułam strach.

– Co się stało z twoją nogą?

– Zostaw go!

Tamid i dowódca zgodnie mnie zignorowali.

– Została wykręcona przy porodzie – odparł ostrożnie Tamid. Mieliśmy publiczność złożoną z około dwóch tuzinów żołnierzy i kilkuset mieszkańców Ostatniego Okręgu. Wszyscy przyglądali się nam z mieszaniną przerażenia i fascynacji.

– Ach tak. – Dowódca okrążył Tamida. – Nie za bardzo ci się przydaje, prawda?

Kula przeszła jego kolano. Wrzasnęłam na cały głos, nie słyszałam nawet krzyku Tamida, który upadł na ziemię. Pojedynczy pisk przeszył nagłą wrzawę. Matka Tamida. Przytrzymało ją dwóch żołnierzy.

– Co sądzisz, Bandytko? – Dowódca Naguib zwrócił się do mnie ponad hałasem dobiegającym od strony tłumów. – Mężczyzna z jedną nogą może równie dobrze nie mieć obu nóg, bo i tak do niczego się nie nadaje. – Wycelował broń w zdrową nogę Tamida.

– Nie! – wrzasnęłam z całych sił.

- To powiedz mi prawdę. I to szybko. Gdzie on jest?
 - Nie wiem!
- Matka Tamida krzyczała.
- Nie! Nie! Nie wiem! Był tutaj. Przyjechał tu. A potem wyjechał!
 - Kiedy? - Dowódca z impetem rzucił się w moim kierunku, tamowana wściekłość ponownie uwidoczniła się na jego obliczu.
 - O zmierzchu. Kilka godzin temu.
 - Dokąd pojechał?
 - Nie wiem! - wrzasnęłam ponownie. Rewolwer wylądował na mojej głowie. Krew zalała mi oczy. Widziałam przebłyśki czerwieni i światła, dopiero po jakimś czasie dostrzegłam latarnie kołyszące się nad moją głową.
 - Gdzie on jest? - zapytał dowódca.
 - Nie wiem - powtórzyłam, ponieważ jedyne, co mi teraz pozostało, to prawda.
 - Znowu w niego strzelę, a tym razem nie będę celował w nogę.
 - Nie kłamię! Nie mówił mi. Dlaczego miałby powiedzieć?!
 - W którą stronę pojechał?
 - Nie wiem!
 - Kłamstwo to grzech, jak wiesz. - Przyłożył broń do mojego policzka, poczułam gorący metal przy skórze. I wtedy świat eksplodował. Huk i rozbłysk światła.

≈≈≈

Dzwonienie.

Wszystko dzwoniło.

Najpierw pomyślałam, że ktoś został zastrzelony.

Tamid?

Leżałam na ziemi twarzą w dół. Uniosłam się na łokciach.

W ciemności widziałam tylko ogień w miejscu, gdzie powinny stać ułożone czarne cegły.

Cała fabryka broni stała w płomieniach.

Wreszcie dotarł do mnie dźwięk. Najpierw krzyk. Ludzie z Dustwalk rzucili się na ziemię, modląc się lub tylko zasłaniając głowy; niektórzy już stanęli na nogi i tylko się gapili. Dowódca Naguib wykrzykiwał rozkazy, Tamid i ja zostaliśmy zapomniani. Żołnierze wskoczyli na konie i pojechali galopem w stronę płomieni.

Tamid.

Leżał bezwładnie na piasku, nie ruszał się, ale spojrzał na mnie, gdy zawołałam go po imieniu. W tej samej chwili ponownie usłyszałam jego imię. Jego matka, płacząc, czołgała się po piasku w jego stronę.

Wówczas usłyszałam też charakterystyczne rzenie Buraqi. Pustynny koń mknął po ulicy, biegł w naszym kierunku. Na jego grzbiecie siedział Jin. Jechał ku mnie. Strzelił, a żołnierz upadł na ziemię.

Odwróciłam się do leżącego Tamida.

Buraqi był już prawie obok mnie.

Miałam kilka sekund na decyzję. Nogi nie chciały się ruszać, instynkt podpowiadał, żebym została z Tamidem. Na pewną śmierć. Serce ciągnęło mnie do Jina, ku ucieczce i ku temu, co nieznane.

Jin wychylił się, wyciągnął w dół rękę. Kolejna kula wbiła się w piasek u moich stóp.

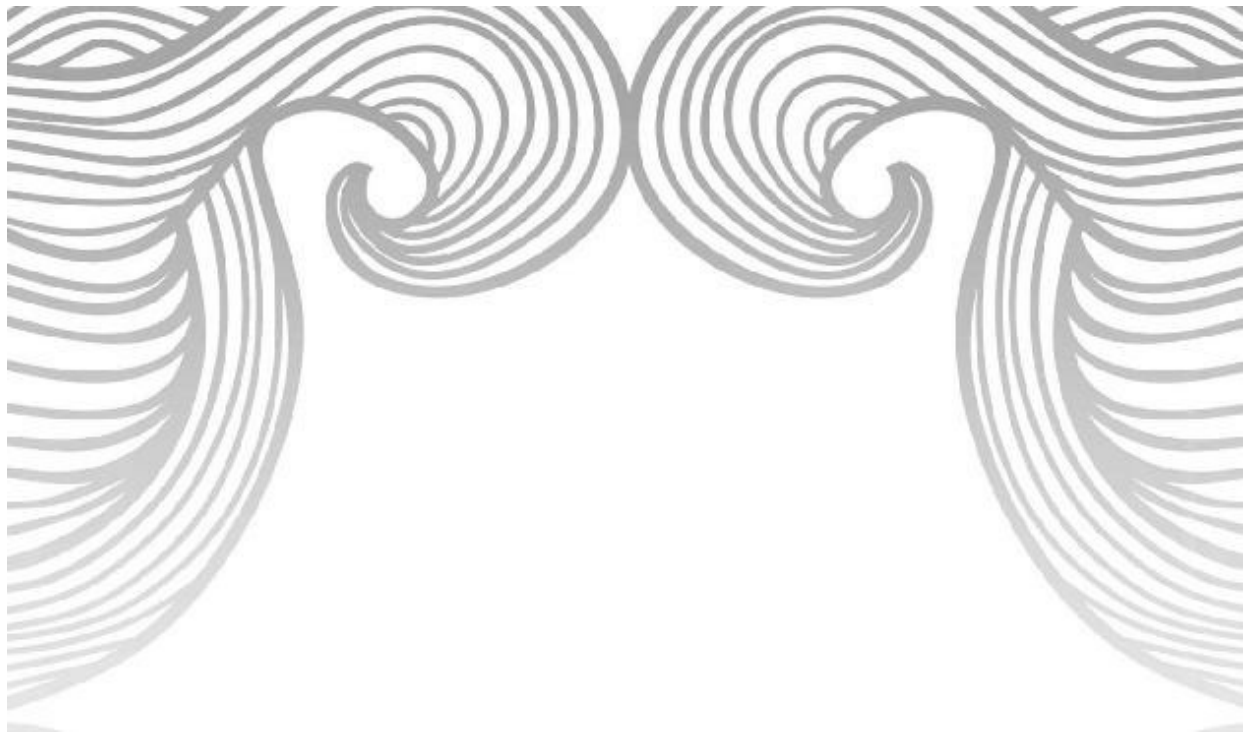
To nie była decyzja. Ani pragnienie.

To był instynkt. Potrzeba. Przetrwanie.

Ręka Jina znalazła się w moim zasięgu. Chwyciłam ją mocno i podskoczyłam, a Jin wciągnął mnie na grzbiet konia. Zobaczyłam bladą jak popiół twarz ciotki Farrah. Zobaczyłam Tamida leżącego na piasku. Zobaczyłam dowódcę Naguiba przeładowującego broń. Bezbronnego. Młodego.

To byłby czysty strzał. Jeden strzał i dowódca byłby martwy. Jin też o tym wiedział. Poznałam to po napięciu w jego ramionach. Zamiast tego ściągnął cugle, opuścił

broń, moje dłonie chwyciły jego koszulę sekundę przed tym, jak Buraqi rozwinął prędkość bestii stworzonej z wiatru i piasku.



SIEDEM

– Powiedz, że pijesz.

Obudziłam się, czując przy twarzy jakąś szorstką tkaninę oraz zapach prochu strzelniczego w nosie. Zasnęłam podczas jazdy z głową na plecach Jina. Jego słowa wibrowały przez łopatki i wdarły się do mojej głowy, gdzie odbijały się od siebie dopóki nie ułożyłam ich w zdanie.

– Widziałeś, gdzie się wychowałam. – Miałam skrzekliwy głos. Kiedy otworzyłam oczy, jedyne, co widziałam, to splot nici na jego koszuli, ale od razu zorientowałam się, że nie znajdowaliśmy się już w pobliżu Dustwalk. Powietrze miało inny smak, pachniało chłodniejszymi porankami i żwirem, a nie upałem, pyłem i prochem strzelniczym. – Oczywiście, że piję. – Bolało mnie ciało, miałam wrażenie, że coś ściska moją klatkę piersiową. Bóg mi świadkiem, że mogłam wypić butelkę whisky jednym haustem.

Podczas jazdy w pewnym momencie objęłam Jina w pasie, żeby nie spaść. Teraz go puściłam i wytarłam pot z dłoni we własną koszulę, gdy Jin zsunął się z siodła. Próbowałam wyprostować myśli, najlepiej razem z bolącym kręgosłupem.

Gdziekolwiek się znajdowaliśmy, było tam jak w większości miast na pustyni. Gęsto stojące drewniane domy i piaszczyste drogi. Miasto było bardziej kamieniste niż Dustwalk, a horyzont osnuty pojawiającą się przed świtem mgłą zdawał się być dość blisko. Musieliśmy wjechać w góry.

Przyjrzałam się rozhuśtanemu szyldowi, na którym narysowano byle jak niebieskiego mężczyznę z zamkniętymi oczami. Pijany Dżin. Słyszałam tę historię, ale teraz nie mogłam jej sobie przypomnieć.

W mieście było cicho jak w grobie.

– Gdzie jesteśmy? – zapytałam, po czym uświadomiłam sobie, że Jin zniknął. Okręciłam się na grzbiecie Buraqi

i zauważyłam go dwa domy dalej, gdy przeskakiwał przez obłazący z farby biały płot. Pomiędzy domem a krzywo stojącym słupem rozwieszono sznur z praniem, z którego Jin zdjął jakąś karminową szatę. Oderwałam od niego wzrok i spojrzałam dalej, na góry ciągnące się za domami. Odpowiedziałam na swoje pytanie.

Sazi znajdowało się o cały dzień drogi od Dustwalk. Albo kilka godzin jazdy na Buraqi. Dużo słyszałam o tym górniczym mieście, ale nigdy go nie widziałam. Mówili, że nie jest dobrze po upadku kopalni kilka tygodni temu. I tak nie umiałam sobie tego wyobrazić.

Wybuch. Wypadek. Eksplozja prochu, tak mówiło się w Dustwalk i wydawało mi się, że wiem, co mają na myśli. Razem z innymi dziećmi wysadzałam butelki i puszki na pustyni. Widziałam, jak rozpadają się, gdy my z wrzaskiem szukaliśmy schronienia. Czasami jakiś dzieciak oparzył palec, który potem trzeba było amputować, albo zranił się w brodę, ale przez większość czasu po prostu kończyło się na stopionych w jedną masę i wymieszanych z piaskiem odłamkach metalu i szkła.

Zawalone kopalnie wyglądały znacznie gorzej niż stopiona puszka. Przypominały mi ciało ojca, kiedy wyciągnięto je z domu, a jego skóra wciąż jeszcze się tliła. Nawet góra straciła swoją pierwotną formę, jakby ziemia zbuntowała się w jej wnętrzu i zamknęła stare usta góry, połykając kopalnie w całości.

Nic dziwnego, że wojsko nie zatrzymało się na dłużej w Sazi. Nie mieli tu wiele do roboty. Na skałach i palach na całej górze zawiązano setki szat modlitewnych, lecz Bóg i tak nie pomógł.

– Masz. – Jin położył dłoń na moim kolanie, co przywróciło mnie do rzeczywistości. Podał mi kawałek czerwonej tkaniny. Uświadomiłam sobie, że to szima. – Lepiej, żeby nikt nie widział twojej twarzy.

– W taki sam sposób zdobyłeś koszulę? – zapytałam. –

Zdjąłeś ją z czyjegoś sznura na pranie w drodze z miasta?

Przytaknął nieznacznie głową.

– Kiedy ty popisywałaś się z Buraqi. Musiałem się stamtąd wydostać, zanim przyszło wojsko. Skupiłaś na sobie uwagę, więc szkoda było nie wykorzystać takiej okazji.

Byłam przynęta.

Włożyłam rękę do torby, którą wciąż miałam przerzuconą przez ramię. Koszula, podniesiona przeze mnie z podłogi w pokoju chłopaków, leżała na samej górze. Chciałam mu ją dać, gdy naiwnie myślałam, że potrzebuje mojej pomocy. Zwinęłam koszulę i rzuciłam w niego. Jin złapał ją zwinnie wolną ręką.

– Kradzież to grzech, jak wiesz. – Wzięłam od niego szimę i zaczęłam ją zawiązywać, krzywiąc się, gdy palcami dotknęłam miejsca na policzku, w które zostałam uderzona bronią Naguiba. – Ta koszula niezbyt dobrze na tobie leży.

Jin dopiero po chwili zdjął koszulę, którą miał na sobie.

– A czy jest grzechem upijanie się w trupa? – Włożył nową koszulę, a ja nadal zawiązywałam chustę na twarzy w blasku wschodzącego słońca.

– Jeśli powiem nie – odparłam, poprawiając chustę – to stawiasz?

≈≈≈

Drugi drink parzył mniej niż pierwszy, ale nadal miałam wrażenie, że wypali dziurę w mojej piersi.

– Tamid – wyrzuciłam z siebie imię, które próbowałam stłumić od chwili, gdy usiedliśmy. – Mój przyjaciel. Został postrzelony w nogę. Jak myślisz, co się z nim stanie?

– Nie mam pojęcia. – W Pijanym Dżinie było ciemno. I tłoczno. Mnóstwo mężczyzn, którzy nie mieli dokąd pójść, odkąd nie było kopalń i nie mieli co robić, więc pili i opowiadali historyjki malowanym dziewczynom. Nie minęło jeszcze południe, a całe miasto było już pijane lub na dobrej

drodze ku temu. Ja też się do tego przyczyniałam. Włożyłam kapelusz Jina i naciągnęłam go tak głęboko, że zakryłam tyle, ile się dało. – Może pozwoli mu żyć. Może strzela mu w głowę, żeby zakończyć to, co zaczęli. Nigdy nie wiadomo, co zrobi armia Sułtana. Ale nic nie możesz zrobić w tej sprawie, już go zostawiłaś. – Chciałam powiedzieć, że wcale nie, że to on mnie zabrał, ale oboje wiedzieliśmy, że to nieprawda. – Można się o tym przekonać tylko w jeden sposób: wracając do miasta i dostając kulkę w głowę. Słyszałam, że to najnowszy krzyk mody w Izmanie.

– Cóż, to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewają – zażartowałam nieudolnie.

Wiedziałam, że nie wrócę. Przez niemal siedemnaście lat planowałam ucieczkę. Razem z mamą. A potem sama. A teraz wreszcie marzenie się ziściło. Po zaciskaniu pasa, oszczędzaniu, walce i przyciąganiu do siebie horyzontu poprzez odkładanie po jednym louzi, nareszcie byłam w drodze. Ciepło, które czułam, brało się nie tylko z alkoholu.

– Więc dokąd teraz? – Zaczęłam stukać stopą w podłogę. Tyle lat spędziłam w jednym miejscu, że teraz, gdy już ruszyłam w drogę, trudno mi się było zatrzymać.

Podeszła barmanka. Jin zatrzymał ją, gdy zaczęła nalewać alkohol do jego szklanki.

– Zostaw butelkę. – Przesunął monetę w jej stronę.

Podniosła ją do słabego światła, po czym rzuciła z powrotem na blat stołu.

– To nie są prawdziwe pieniądze.

Podniosłam ją. Rzeczywiście, okrągły kawałek metalu miał prawie taką samą wielkość jak louzi, ale był zbyt cienki i miał wizerunek słońca, a nie Sułtana.

– Mój błąd. – Jin nie podnosił głowy, żeby rondo kapelusza osłaniało jego charakterystyczne rysy twarzy, po czym podał jej nową monetę. Dziewczyna ścisnęła ją zębami i dopiero wtedy wróciła za bar.

Jin oparł łokcie na stole i napełnił moją szklanę po sam brzeg. Oszczędzał ramię, w które dostał kulę. Widziałam napięte mięśnie na jego plecach, koszula opadła na jedną stronę, więc mogłam zobaczyć słońce wschodzące nad kołnierzem. Zerknęłam na monetę leżącą w mojej dłoni. Był na niej ten sam rysunek.

– Co z tym słońcem? – zapytałam.

– Po czterech drinkach można to uznać za pytanie egzystencjalne – powiedział Jin, odstawiając butelkę, koszula znowu podniosła się tak, że zasłoniła słońce.

– Trzech drinkach. Razem z tym. – Sięgnęłam przez stół i odgięłam kołnierz, żeby przyjrzeć się tatuażowi na jego piersi. Na knykciach czułam bicie jego serca. Szybko go puściłam, zdając sobie sprawę, że niebezpiecznie zbliżyłam się do punktu, w którym zaczęłabym go rozbierać.

– To symbol szczęścia – powiedział Jin. Postawił kołnierzyk, ale nadal widziałam krawędź rysunku nad jego sercem.

– Znajduje się też na twojej zagranicznej monecie. – Uniósł brwi, słysząc oskarżenie w tonie mojego głosu. Ale domyślał się, co mam na myśli. Słońce widniało na, jak zakładałam, monecie z Xicha, co oznaczało, że musiało być symbolem narodowym. Jin może i nie urodził się tam, ale powiedział mi, że wychowywał się w Xicha. Tatuaż przedstawiający słońce będące symbolem państwa zdawał się nieco zbyt patriotyczny jak na najemnika.

– Dlaczego po mnie wróciłeś? – Pochyliłam się w jego stronę, starając się jakoś go rozgryźć. – Mogłeś uciec niezauważony.

– Potrzebowałam szybkiego konia – wyszeptałam konspiracyjnie, składając usta w ciup. Był tak blisko, że czułam od niego alkohol. Tak blisko, że mogłam go pocałować. Chyba dotarło to do niego w tej samej chwili, bo zaraz się odsunął. – Poza tym byłem ci to winien. Kiedy złapałaś Buraqi, żaden mieszkaniec Ostatniego Okręgu nie

zwracał uwagi na tę przeklętą fabrykę przez tak długi czas, że mogłem dostać się do środka i wysadzić ją w powietrze. Od tygodni próbowałem to zrobić. Zaczęły mi się kończyć pieniądze.

Więc to dlatego wczoraj wieczorem był na strzelnicy.

– I wszystko po to, żeby wysadzić jakąś fabrykę na końcu świata?

– Największą fabrykę broni w kraju. A także na świecie.

– Na świecie? – Nie wiedziałam o tym. To było niemożliwe.

– Nic dziwnego, nigdzie nie da się zbudować nawet w połowie tak dużej fabryki, żeby nie zburzyły jej Pierwsze Stworzenia.

Po alkoholu miałam lekką głowę, w ciemności panującej w barze z trudnością składałam słowa.

– Czy to znaczy, że są burzone?

Jin zamilkł z drinkiem w połowie drogi do ust.

– No nie, dziewczyno z pustyni. Kiedy ostatni raz widziałaś jakieś Pierwsze Stworzenie, zanim w mieście pojawił się Buraqi? Magia i metal nie mieszają się ze sobą. Zabijamy je. Ale one walczą. – Przypomniałam sobie paniczne rżenie Buraqi. – Większość innych krajów produkuje wszystko na małą skalę, w tym broń. Ale wiele lat temu kilka z nich próbowało wybudować fabryki takie jak wasze. Sama ziemia się zbuntowała. W Xicha jest dolina nazywana Grobem Głupków. Dawniej to było miasto. Zbudowali w nim fabrykę konserw. Legenda mówi, że działała przez miesiąc, zanim Pierwsze Stworzenia mieszkające w ziemi zbuntowały się. Otworzyły grunt pod miastem i zalały ruiny wodą. To samo działo się w innych miejscach. Po jakimś czasie ludzie przestali budować fabryki. Z wyjątkiem Miraji. Wasze Pierwsze Stworzenia są jedynymi, które wydają się to jakoś tolerować.

– Co czyni nas tak wyjątkowymi?

Jin wzruszył ramionami.

– Może dzieje się tak dlatego, że magia pustyni pochodzi

z ognia i dymu zamiast od żywych istot? A może ziemia tam obumarła? Ale faktem jest, że twój kraj leży na przecięciu dróg pomiędzy Wschodem, gdzie rodzi się broń, a Zachodem, gdzie trwa wojna imperiów. I jest jedynym na świecie, gdzie można produkować broń na skalę masową. Ta pustynia ma ogromną wartość. Dlaczego, według ciebie, przyszli tu Gallanie?

– Więc jesteśmy dla nich jedną, gigantyczną fabryką? – To było niepokojące.

Jin nalał sobie kolejnego drinka.

– Jest wiele krajów, które nie są zadowolone z tego, że wasz Sułtan dostarcza Gallanom broń, dzięki której na nich najeżdżają, jeśli przyjdzie im to do głowy.

– Dla którego z tych krajów wysadzasz fabryki? – Dźgnęłam palcem słońce na jego piersi. Symbol Xichanu.

Jin uniósł szklankę w kpiarskim toaście.

– Może po prostu jestem pacyfistą?

Stuknęliśmy się szklankami.

– Masz cholernie dużo broni jak na pacyfistę.

Wykrzywił usta, słysząc te słowa.

– A ty jesteś zbyt mądra jak na kogoś, kto prawie nic nie wie o swoim kraju.

Wypiliśmy. Gdy odstawiłam pustą szklankę na stół, w kącie rozległ się trzask. Podskoczyłam. Krzesło upadło na podłogę. Mężczyzna w brudnej zielonej szimie zerwał się na równe nogi i stanął naprzeciw innego, który siedział rozparty z nogami wyciągniętymi do przodu, na blacie stołu pomiędzy nimi leżały rozrzucone karty. Ładna dziewczyna kleiła się do tego, który stał i szeptała mu coś do ucha, aż udało jej się go namówić, żeby usiadł. Grający na sitarze podjął przerwana melodię w swoim kącie, a ktoś roześmiał się głośno, przerywając napięcie.

Nagle przyszło mi coś do głowy.

– To ty wysadziłeś kopalnie?

Jeśli Xicha chciała powstrzymać dostawy broni, wówczas

sensownym posunięciem było odcięcie dostaw surowca. Fabryki można odbudować. Zawalone kopalnie niekoniecznie..

– Tutaj? – Wyglądał na zaskoczonego. – Nie. Słyszałem, że to był wypadek.

– Dlaczego miałabym ci wierzyć? Czy Jin to twoje prawdziwe imię?

– Cóż, w tych okolicach wołają na mnie Wąż ze Wschodu. Ale wiesz o tym. – Spojrzał na mnie spod runda swojego kapelusza – Niebieskooki Bandyto. – Aż podskoczyłam, gdy to usłyszałam. Jin wyszczerzył zęby, widząc moje zaskoczenie.

– Wiedziałaś, kim jestem? – zapytałam. Brakowało mi tchu. – W Dustwalk?

– Twoje oczy nie zapewniają ci dyskrecji – powiedział Jin.

– Wiedziałaś, kim jestem i nie chciałaś mnie ze sobą zabrać? – Powrócił strach i rozczarowanie, które poczułam wróciwszy do pustego sklepu. – Dlaczego?

– Ponieważ nie powinnaś jechać do Izmanu. – Rozparł się wygodniej na krześle. – Nieważne, że potrafisz o siebie zadbać i władasz bronią, miasto rozerwie cię na strzępy.

– Nie będę sama – powiedziałam. – Moja ciocia tam mieszka. Jadę do niej.

– A wiesz, jak się tam dostać?

Wzruszyłam ramionami.

– A ty jak się tam dostaniesz?

– Nie dostanę – powiedział, zaskakując mnie jeszcze bardziej. Zastanowiłam się, czy kiedykolwiek powiedział, że się tam wybiera. Po prostu wydawało mi się, że tak musi być.

Rozległ się kolejny rumor. Sięgnęłam po broń, ale nie było jej, a Jin odwrócił się spięty, jakby miał zaraz walczyć. Stół z kartami po drugiej stronie baru leżał do góry nogami, a mężczyzna w zielonej chuście związał się na podłodze, trzymając się za zakrwawiony nos.

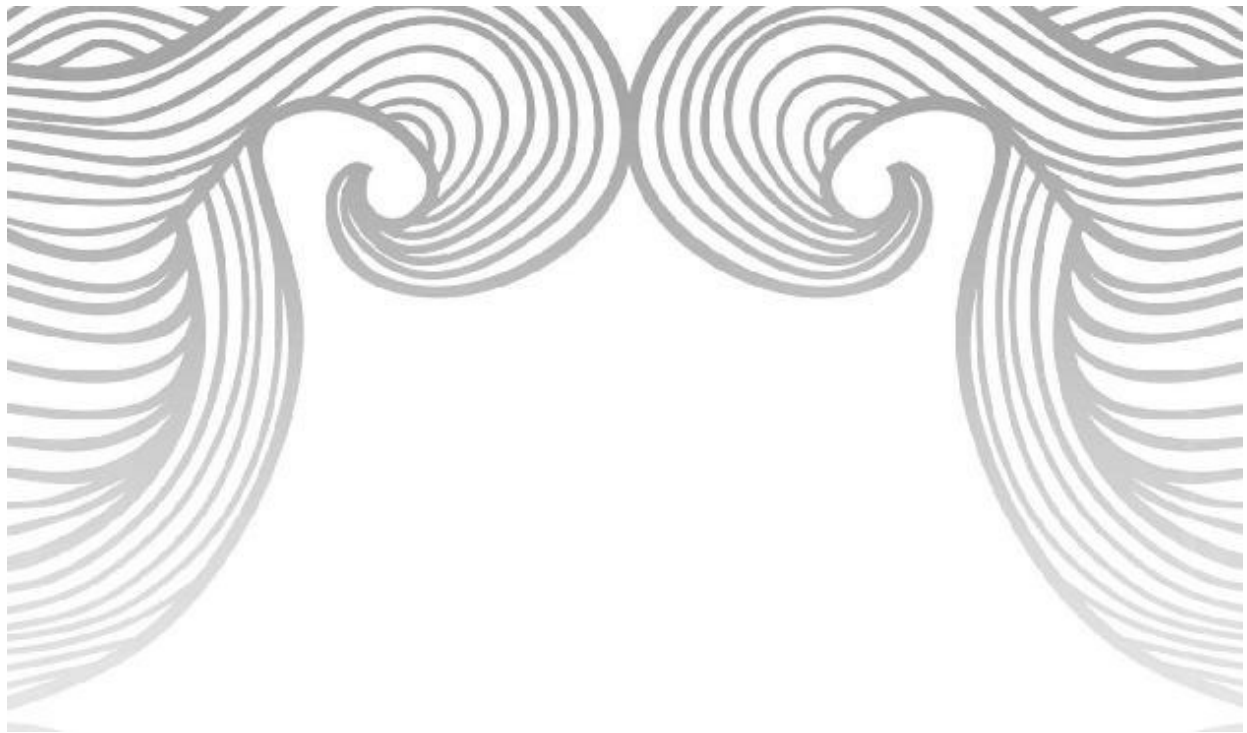
Miałam chwilę na podjęcie decyzji.

Gdybym została z Jinem, nie dotarłabym do Izmanu. Już raz mnie zostawił i mógł to zrobić ponownie.

Poza tym mieliśmy tylko jednego Buraqi.

Wyjęłam fiolkę, którą dostałam od Tamida. Rozgniotłam pigułki palcami i wrzuciłam je do szklanki Jina. Trzymałam rękę na swojej szklance, gdy przerwano bójkę, a Jin odwrócił się w moją stronę.

Przyglądałam się, jak opróżnia naczynie jednym haustem.



OSIEM

Nigdy w życiu nie widziałam tylu ludzi, ilu przed stacją kolejową w Juniper City. Po mojej lewej stronie stał mężczyzna z siwą brodą i nawoływał klientów przez parę unoszącą się z jego straganu, raz po raz dokładając kawałki mięsa na ruszt; po drugiej stronie miałam kobietę ubraną w złoto i dzwonki, które pobrzmiwały przy każdym kroku. Ponad rozgardiaszem słychać było głos kogoś, kto się modlił. Święty Ojciec stał na małym podwyższeniu z rękami w górze. Na obu dłoniach zwróconych w stronę tłumu miał identyczne okrągłe tatuaże. Gdy prawil kazanie, jego głos wznosił się i opadał, a to przypomniało mi o Tamidzie. Poczulałam się winna na myśl o przyjacielu. Zostawiłam go krwawiącego na piasku, ratując swoje życie.

Święty Ojciec opuszczał ręce pod koniec każdej modlitwy, błogosławiąc tłum zgromadzony u jego stóp. Przebaczał nam nasze grzechy.

Strumień wiernych przepychał się obok niego przez tylną część suku¹, pod osmolonym łukowatym przejściem. Obok mnie przechodziły kobiety niosące na głowie tłumoki, a mężczyźni ciągnęli skrzynie dwa razy większe od nich.

Przemieszczałam się razem z innymi do cienia rzucanego przez budynek stacji, potykając się, ilekroć zagapiłam się na coś, co widziałam przed sobą. Słyszałam o pociągach, ale nigdy nie umiałam ich sobie wyobrazić. Olbrzymia czarno-złota bestia stała na stacji niczym jakiś potwór ze starych opowieści, wydychając czarny dym pod brudną, szklaną kopułą. Tłum rzucił się w jej kierunku.

– Bilet? – Jakiś znudzony człowiek w spłowiałym żółtym kaftanie i czapce wyciągnął rękę w moją stronę.

Próbowałam oderwać palce od biletu, gdy mu go wręczałam. Droga z Sazi do Juniper City zajęła mi dwa dni,

nawet na Buraqi. Nie pomagało mi to, że kompas, który ukradłam Jinowi, gdy był nieprzytomny, razem z połową jego zapasów, był zepsuty i prowadził mnie w złą stronę, przez co musiałam czekać na wschód słońca, żeby znaleźć drogę.

Dotarłam do miasta w samą porę, by dać się oskubać na sprzedaży Buraqi za połowę tego, ile był warty. Ale lepsze to niż nic. A co ważniejsze, starczyło mi to na kupno biletu do Izmanu. Widząc nazwę stolicy wydrukowaną czarnym atramentem na żółtym papierze, czułam, jakbym trzymała w ręce kolejną historię, która mogła mi umknąć w każdej chwili. Schowałam bilet pod materacem w pokoju, który wynajęłam i co chwilę sprawdzałam, czy tam jest, aż wreszcie postanowiłam, że prościej będzie trzymać go przy sobie.

Człowiek od biletów spojrzał na mnie, a ja nieświadomie wytarłam dłonie o ubranie. W świetle dnia nie tak łatwo było mi udawać chłopaka, ale musiałam się postarać. Brzydki siniak na policzku przybrał żółtozieloną barwę i wystawał ponad moją czerwoną szimę, zaś nowe ubrania były za luźne we właściwych miejscach – resztę pieniędzy, kilka monet z Xichanu oraz popsuty kompas, który Jin przywiązał z wierzchu sakw, miałam upchnięte w zwojach, które miały ukryć moją talię. Wystarczyło mi przyjrzeć się przez chwilę, żeby przejrzeć moje przebranie. Ale nawet słaba imitacja chłopaka była lepsza niż samotnie podróżująca dziewczyna.

Naciągnęłam połę koszuli, żeby przykryła nowy rewolwer, który kupiłam z pieniędzy ze sprzedaży Buraqi. Nie uda mi się przepchnąć do pociągu, ale może, gdy będę zmuszona, uda mi się wyprzedzić mężczyzn w żółtych czapkach.

Pewnie zaraz się o tym przekonam.

– To bilet na pierwszą klasę. – Potrząsnął nim jak matka grożąca palcem.

– Och – rzuciłam, bo nie wiedziałam, o czym mówi. Moje

dłonie zamarły bez ruchu. – Tak?

Przez chwilę byłam pewna, że oskarży mnie o kradzież biletu. Czymkolwiek była pierwsza klasa, domyślałam się, że nie wyglądam na kogoś, kto taką podróżuje. Szczególnie przez mój obity policzek oraz ranę nad brwią.

– Musisz pójść na początek pociągu, do pierwszej klasy. – Oddał mi bilet i wskazał palcem przód metalowej bestii, gdzieś poza kłębiącym się tłumem.

– Och – powtórzyłam. Zabrałam bilet i przeciskałam się przez tłum, z trudem wymijając mężczyznę wiozącego przykrytą klatkę, z której dochodziło skrzeczenie wybijające się ponad hałas.

Człowiek, który sprzedawał mi bilet, zapytał, czy chcę przedziać dla siebie, a ja powiedziałam, że tak. Wydawało mi się to bezpieczniejsze i nie myślałam o niczym innym, gdy podawałam mu pieniądze. Teraz zastanawiałam się, czy nie zaoszczędziłabym z dwadzieścia fouza, gdybym była mądrzejsza.

Zauważyłam odgradzoną sznurem przestrzeń, gdzie czekali ludzie w ładnych khalatach z kolorowymi chustami, trzymający żółte bilety podobne do mojego. Moje ubrania choć nowe, były ciuchami, jakie nosi się na pustyni. Całe moje życie mieściło się w torbie przerzuconej przez ramię. Zresztą... Trudno nazwać to życiem. Dodatkowe kule, zmiana ubrań. To było raczej przetrwanie. Wszyscy pozostali wyglądali tak, jakby w swoich wypchanych kufrach wieźli z tuzin żyć.

Zauważyłam, że mężczyzna z brodą splecioną w warkoczyki kątem oka mierzy mnie od stóp do głów i wydawało mi się, że wiem, z czego śmieją się dwie dziewczynki stojące za mną. Nie byłam pewna, czy mężczyzna, który wziął mój bilet, zdziwił się moim wyglądem, czy może po prostu jego brwi znajdowały się tak wysoko na jego czole. Tak czy owak wziął bilet, przedarł ostrożnie i oddał mi go. Zrobiło mi się gorąco, więc wspierałam się po metalowych stopniach tak szybko, jak

umiałam, starając się nie wyglądać przy tym jak uciekinier.

Nigdy w życiu nie widziałam niczego przypominającego wnętrze pociągu. Długi korytarz wyłożony był dywanem w kolorze świeżej krwi i ciągnął się przez cały wagon. Znajdował się tam też rząd polerowanych, metalowych drzwi ze szklanymi okienkami zasłoniętymi przez czerwony kotary.

A ja sądziłam, że rodzina Tamida była majątna.

Chichoczące dziewczyny przepchnęły się obok mnie, owionął mnie zapach ich muślinowych welonów. Mężczyzna, który szedł za nimi, przeprosił ostrym tonem, tak jakby nikogo nie miał zamiaru przepraszać. Pochyliłam głowę i zerkiałam na kolorowe rąbki ich khalatów ciągnących się po puszystym dywanie.

Trzymałam się kilka kroków za nimi, aż wreszcie znalazłam przedział, mający taki numer, jak ten, który widniał na moim bilecie. Otworzyłam drzwi tak ostrożnie, jak wtedy, gdy sprawdzałam, czy wąż za szkołą był martwy, czy tylko spał. Okazało się, że mama wiedziała, jak pozbyć się jadu węża. Ale to... To było coś, o czym nie miałyby pojęcia.

Zamknęłam za sobą drzwi przedziału i wyciągnęłam się na łóżku, zdejmując szimę. Wyciągnęłam rękę, żeby pogłaskać niemożliwie czystą poduszkę, ale palce odsunęły się bez mojego udziału. Kąpałam się dziś rano. W porządnej łaźni. Nałożyłam olejek na włosy i czesałam je pod wodą, aż przestały być matowe. Para snuła się po wyłożonej terakotą wzorzystej podłodze łaźni, sprawiając, że włosy zaczęły się skręcać w loki. Ale nadal czułam się tak, jakbym wlokła za sobą całą pustynię. Jakby przez siedemnaście lat piasek wsiąkł zbyt głęboko pod moją skórę.

Gwizd wdarł się gwałtem w moje uszy. Alarm? Skoczyłam na nogi i odwróciłam się przodem do drzwi z rewolwerem w ręce. Czekałam, aż otworzą się z impetem.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, choć na zewnątrz panowało zamieszanie. A potem cały pokój się zachwiał. Szarpnęło mną tak mocno, że aż usiadłam na łóżku

i niewiele brakowało, żebym pociągnęła spust. Chwyciłam się łóżka. Pociąg jeszcze kilka razy szarpnął, a potem zaczął jechać łagodniej.

Nie zastanawiałam się, jakie to uczucie jechać pociągiem – sądziłam, że będzie podobnie jak podczas jazdy konnej. Bardzo się myliłam. Przez chwilę siedziałam na łóżku, czując jak pociąg nabiera prędkości, potem wstałam. Przez okno widziałam tylko czarny dym wypełniający stację.

Wtem, niespodziewanie, uwolniliśmy się. Dym poleciał do góry, wessany przez pustynne niebo. Widok za oknem się przejaśnił.

Oparłam czoło o szybę. Choć raz pustynia nie zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Horyzont zbliżał się szybko. Uśmiech boleśnie rozciągnął siniaka na moim policzku.

Byłam w drodze do Izmanu.

≈≈≈

Leżałam na miękkim łóżku, przyjemnie kołysana przez ruch pociągu. W przedziale ściemniło się, gdy słońce przeszło z jednej strony wagonu na drugą. W końcu z głodu zaczęło burczeć mi w brzuchu.

Ignorowałam to tak długo, jak się dało. Ale podróż do Izmanu miała trwać tydzień. Prędzej czy później musiałam wyjść z przedziału.

Pociąg tętnił życiem. Kobiety w pięknych ubraniach przechodziły obok mnie korytarzem, a mężczyźni stali, śmiejąc się i poklepując się po plecach dłońmi tak ciężkimi od pierścieni, że zastanawiałam się, jak udaje im się je podnosić. Przyłapałam się na tym, że idąc po pociągu, dotykam grubej tapety. Schowałam dłoń do kieszeni. To nie był gest kogoś, kto był przyzwyczajony do takich luksusów.

Wyszłam z części sypialnej i znalazłam się w wagonie, który wyglądał jak bar. Nie przypominał ciemnego, zakurzonego baru w Sazi – lśnił światłem, przy suficie zbierały się kłęby

dymu z fajek. Gdy przechodziłam, mężczyźni siedzący przy stoliku karcianym wybuchli śmiechem. Kawałek dalej znajdował się wagon restauracyjny. Przez chwilę wahałam się, stojąc w progu, ale jakiś elegancko ubrany człowiek zaprowadził mnie do stolika.

Ciemne obicie wgniotło się pod moimi plecami, gdy niespokojnie siedziałam na krześle przy oknie. Przy każdym moim ruchu krzesło pode mną trzeszczało. Jakaś kobieta przy stoliku obok podniosła głowę, słysząc hałas, gdy próbowałam wygodnie usiąść, starając się nie czynić przy tym zbędnych ruchów. Wciąż musiałam się przyzwyczajać do tego, że jestem sama w otoczeniu obcych ludzi, a nie tych, których znałam przez całe życie. Najlepiej nie zwracać na siebie uwagi. Gdyby ktoś spojrzął w moją stronę, mógłby się zastanawiać, dlaczego ten niechlujny chłopak, nadal obwiązany szimą, siedzi pomiędzy ich błyszczącymi kreacjami.

Postawiono przede mną kolorowe talerze wypełnione jedzeniem. Odsunęłam szimę z ust, rozglądając się, czy nikt za bardzo mi się nie przygląda.

Wszyscy jednak patrzyli na swoje jedzenie. Pochyliłam głowę i zaczęłam jeść. Niemal zakrztusiłam się pierwszym, wielkim kawałkiem. Te przyprawy były warte moich miesięcznych zarobków w Dustwalk! Przeżułam i połknęłam, po czym popiłam szklanką araku.

Drugi, mniejszy kęs smakował mi bardziej, bo już wiedziałam, czego mam się spodziewać. Po chwili szybko pałaszowałam potrawę. Wydrapywałam resztki jedzenia z malowanego we wzory talerza, kiedy ktoś po niego przyszedł.

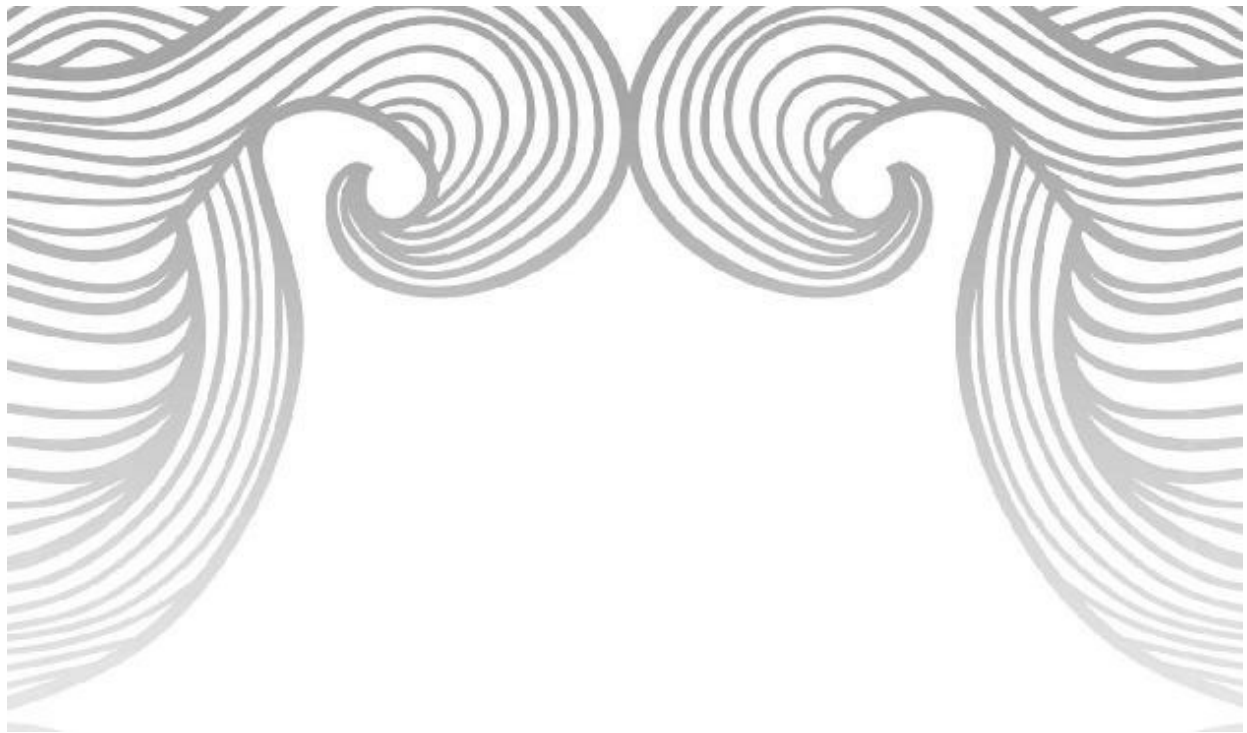
Przyniesiono kolejne danie. Gdy po zjedzeniu baklawy zlizywałam resztki miodu z palców, byłam tak najedzona, że bałam się, że wybuchnę. Ogarnęło mnie zmęczenie.

Przesypianie popołudniowego upału nie było luksusem, na który mogliśmy sobie pozwolić w Dustwalk. Ale

widziałam, że robiono tak w Sazi, kiedy bogaci znikali z ulic i wycofywali się za chłodne ściany swoich domów. Wydawało się, iż jest to tutaj uświęconą tradycją. Ludzie wchodzili do swoich przedziałów lub układali się na poduszkach w wagonie restauracyjnym i zamykali oczy.

Wróciłam do swojego przedziału, kopniakiem zamykając za sobą drzwi. Zdjęłam buty i rzuciłam się na pościel. Za tydzień będę w Izmanie. Zanim to nastąpi, muszę się nauczyć, jak należy jeść i ubierać się w wielkim mieście. Ale na razie mogę robić to, co mi się żywnie podoba.

1 Suk – rynek na świeżym powietrzu typowy dla państw arabskich (przyp. tłum.)



DIEWIĘĆ

Obudziłam się w ciemności. Słabe światło widoczne przez zasłony mojego przedziału mówiło mi, że niedawno zaszło słońce. Pustynna noc jeszcze na dobre się nie rozgościła. Ludzie zaraz będą się budzić, żeby zjeść kolację.

Spożyty posiłek wciąż jeszcze ciężko zalegał mi w żołądku, a podskakiwanie pociągu nie poprawiało samopoczucia. Rozgrzany przedział zdawał się mnie osaczać nawet po zachodzie słońca. Potrzebowałam powietrza. Próbowałam otworzyć okno, ale było zamknięte na stałe, jak zdążyłam się zorientować po omacku, obmacując krawędzie.

W Juniper City kupiłam trochę ubrań. Włożyłam świeżą koszulę, rozkoszując się jej chłodnym dotykiem, po czym wyszłam na korytarz. Było cicho, podróżni w wagonie wciąż korzystali z popołudniowej drzemki. Chociaż stłumione jęki dochodzące zza drzwi sugerowały, że niektórzy robili coś innego. Otworzyłam najbliższe okno, żeby wpuścić trochę chłodnego pustynnego powietrza.

W korytarzu było pusto, zdjęłam więc szimę z twarzy i oparłam się czołem o szybę. Stałam tak, głęboko oddychając i próbując pozbyć się ciężaru tłustego jedzenia. Ruch powietrza sprawił, że czułam się, jakbym biegła do Izmanu, w stronę przygody, szybciej niż kiedykolwiek. Wreszcie byłam w ruchu.

Za mną otworzyły się jakieś drzwi. Moja ręka była już w połowie drogi do podniesienia szimy, kiedy kątem oka dostrzegłam znajomą twarz.

Zamarłam jak lis przyłapany w kurniku.

Z przedziału wychodziła Shira. Głowę pochyliła do przodu, zapinając najwyższy guzik nowego, różowo-żółtego khalatu, odrzuciła do tyłu czarne włosy opadające jej na ramiona. To był znajomy widok, nie pasował jednak do tego nowego

miejsca, jak zardzewiały zadziór.

Nie zauważyła mnie. Zrobiła kolejny krok, nie patrząc na mnie, jak gdyby spodziewając się, że świat jak zwykle zejdzie jej z drogi. Nogi zaniósły ją prawie na mnie. Dopiero wtedy podniosła głowę. Była tak blisko, że widziałam, iż zamierza powiedzieć coś złośliwego. Jej usta jednak otworzyły się w pełne zaskoczenia „O”, a następnie rozciągnęły w szakalim uśmiechu.

– Kuzynko.

Zanim do końca wyartykułowała to słowo, już celowałam rewolwerem w jej głowę.

– Nie krzycz. – Rozglądałam się już za drogą ucieczki.

– Dlaczego miałabym krzyczeć? – W jej tonie była kpina. Założyła ręce do tyłu i oparła się swobodnie o ścianę. – Przecież mnie nie zastrzelisz.

– Skąd wiesz? – Położyłam palec na spuście.

– To grzech zabijać swoich krewnych. – Zrobiła nadąsaną minę. – Widzisz, uważałam podczas modlitw.

– Co tutaj robisz, Shira? – Obejrzałam się przez ramię tak szybko jak to możliwe, nie spuszczając z niej oka na tyle długo, żeby mogła coś wymyślić. W każdej chwili ktoś mógł się pojawić i nas zobaczyć.

Wywróciła oczami.

– Naprawdę sądzisz, że byłaś jedyną, która chciała wyrwać się z tego beznadziejnego miasteczka? – Prawdę mówiąc, nigdy się nie zastanawiałam nad tym, czego mogła pragnąć Shira. Założyłam, że była taka sama jak inni, głupio zadowolona z życia w Dustwalk. – Fazim i ja rozmawialiśmy o przyszłości, kiedy będziemy bogaci i będziemy mieli wszystko, czego zapagniemy. Ale w końcu okazało się, że Fazimowi było obojętne, kto uczyni go bogatym. – W dalszym ciągu miałam siniak na nadgarstku, w miejscu, gdzie trzymał mnie Fazim. – Wobec tego postanowiłam dorobić się fortuny bez niego, a ten czarujący, młody dowódca, który rozkwasił ci twarz, był tak miły, że zabrał

mnie ze sobą. Wiedziałam, że tu będziesz, kuzynko.

– Skąd mogłaś wiedzieć?

Wzruszyła ramionami z fałszywą skromnością.

– Cóż, nie da się spać obok kogoś i niczego o nim nie wiedzieć. – To była prawda. Wiedziałam, że Shira lubiła ubierać się na żółto, nienawidziła smaku kiszonych cytryn i bawiła się włosami, kiedy kłamała. A także wiedziała, że ruszę do Izmanu jak tylko wydostanę się z Dustwalk. Ale, do licha, niemożliwe było, żeby wiedziała, że pojedę właśnie tym pociągiem.

Nawet jeśli jeździł tylko jeden w miesiącu.

– Więc co daje ci ta wiedza? – zapytałam.

– Zaraz ci pokażę, kuzynko. – Uśmiechnęła się, jakbyśmy wspólnie knuły jakiś dowcip. A następnie zaczęła krzyczeć.

Zanim zdążyłam uciec, otworzyły się drzwi najbliższego przedziału i wyszedł z nich Naguib. Był to ten sam przedział, z którego niedawno wynurzyła się Shira. Naguib wyglądał młodziej bez marynarki od munduru, miał rozpiętą koszulę pod szyją. Oczy wściekle mu się zaświeciły na mój widok.

– Pomóż! Znalazłam ją! – piszczała Shira. – Zdrajca nie może być daleko. Pomocy! – Zmarnowałam cenną sekundę, sądząc, że uda mi się wymyślić jakieś zgrabne kłamstwo.

Język mnie zawiódł.

Nogi nie miały tego komfortu.

Złapałam Shirę i ruszyłam w chwili, gdy pociąg przechylił się w jedną stronę. To sprawiło, że Shira z krzykiem wpadła na młodego dowódcę. Naguib złapał ją niezgrabnie.

Nie zwracałam uwagi na krzyki za moimi plecami. Przebiegłam przez cały wagon, przepychając się obok pasażerów, którzy zaczęli wychodzić na korytarz, wyminęłam kolejne drzwi, przystanąłam, szukając zamka. Chciałam spowolnić pościg.

Nie było go.

Klnąc, odwróciłam się i biegłam dalej, aż znalazłam się w wagonie drugiej klasy. Nadal słyszałam tych, którzy mnie

ścigali. Za chwilę wybiegnę z pociągu. Musiałam wymyślić, dokąd iść, zanim znajdę się na piasku.

Będę się tym martwić, jak znajdę się na zewnątrz.

Rzuciłam się na drzwi znajdujące się na końcu wagonu. Były zamknięte.

Poruszałam klamką, odwracając się i wyglądając ludzi w mundurach. Ramieniem uderzyłam w drzwi, i znowu, i znowu. Coraz wyraźniej słyszałam krzyki, choć trudno było przekrzyczeć turkot pociągu.

Drzwi ustąpiły. Gdy się wychyliłam, uderzyło we mnie nocne powietrze, zobaczyłam tory i piasek. W ostatniej chwili złapałam za drzwi.

Tam, gdzie znajdowało się przejście pomiędzy wagonami, była luka z wąskim metalowym mostkiem łączącym dwa wagony. W świetle padającym z przedziału znajdującego się za mną widziałam tory pod nogami. Powietrze smagało moje ubrania, niewidoczne palce próbowały ściągnąć mnie z powrotem na piasek, do którego należałam.

Po drugiej stronie znajdowały się kolejne drzwi. Mogłam się do nich dostać.

Chyba.

Był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Skoczyłam i z całym impetem zderzyłam się z drzwiami. Puściły z głuchym trzaskiem, a ja, żywa, choć poobijana i bez tchu, upadłam na podłogę wagonu.

Podciągnęłam niezgrabnie nogi zwisające na zewnątrz. Drzwi się zamknęły, o włos omijając moje palce u stóp. Z tej strony był zamek – wsunęłam zasuwkę na miejsce i szybko wstałam.

Nie było tu żadnych przedziałów tylko ciągnące się przez cały wagon rzędy piętrowych łóżek. Dziesiątki pasażerów wystawiły głowy, żeby na mnie spojrzeć. Wyglądali jak więźniowie, przyciskający zaskoczone twarze do żelaznych krat. Co najmniej jeden z nich mnie wydał, gdy tylko w drzwiach pojawią się żołnierze.

Szłam pomiędzy łózkami. Jacyś mężczyźni grali w kości i pili. Siedzieli na podłodze, a łóżko służyło im za stół. Wymiętoszone karty leżały na prześcieradle pomiędzy stosikami monet. Przemieszczałam się pomiędzy ludźmi, szukając jakiejś kryjówki. Cztery kobiety leżały na jednym łóżku, czesząc sobie nawzajem włosy i jedząc daktyle. Mały chłopiec podbiegł do nich boso i próbował zabrać jednego. Dostał szciotkę po ręce i zaczął płakać.

Uświadomiłam sobie, że moja szima zwisa luźno na szyi, mam rozpuszczone włosy, przez co znowu wyglądam jak dziewczyna. Dziewczyna w ciuchach faceta. Zaczęłam znowu obwiązywać chustą twarz. Gdy to robiłam, czyjaś ręka oplotła mnie w talii, dłoń przykryła moje usta. Napastnik wyciągnął mnie z tłumu i postawił pod ścianą pomiędzy dwoma piętrowymi łózkami.

Popatrzyłam prosto w oczy, które już znałam.

– Z ciebie – powiedział Jin, przygważdżając mnie do ściany – naprawdę niezła sztuka.

Opuściła mnie panika. Jin może i nie wyglądał na najszcześliwszego, widząc mnie tutaj, ale zawsze to lepsze, niż gdyby miał mnie złapać żołnierz. Odepchnęłam go tak, że jego ręka puściła moje usta.

– Zamierzam potraktować to jako komplement. Co tutaj robisz?

– Przeczესuję ten cholerny pociąg w poszukiwaniu ciebie – powiedział z ulgą.

– Cóż, nie dotarłeś do początku składu – powiedziałam.

– Początku? – Podniósł pytająco jedną brew, prawda dotarła do niego po chwili. – Kupiłeś bilet pierwszej klasy? Dlaczego? Jak?

Aż mnie korciło, żeby przyznać, że zrobiłam to przez pomyłkę.

– Sprzedałam Iksandra – powiedziałam jednak.

– Iksandra? – Jin nieco poluzował chwyt.

– Buraqi – wyjaśniłam, patrząc ponad jego ramieniem.

Niewiele dzieliło mnie od chwili, kiedy dojrzę błysk złotobiałego munduru.

– Nazwałaś go Iksandrem? – Miał taką minę, jakby próbował mnie rozgryźć.

– Musiałam jakoś na niego mówić, a to imię dobre jak każde inne. Mój wuj miał konia o imieniu Blue. Nie wiem jak ty, ale ja nigdy nie widziałam niebieskiego konia. – Nie mam pojęcia, dlaczego zaczęłam się bronić.

– Więc dałaś mu imię księcia, który dał się Dżinowi zmienić w konia dwieście lat temu?

– Co za różnica, jak dawno to było? – zapytałam rozdrażniona. – Nie będzie cię kłuło w uszy. Sprzedałam go. Kupcowi, który nazywał się Oman Zręczne Ręce, chociaż jego dłonie były zbyt spocone, jak na mój gust. Ale nie był uczciwy, ponieważ uczciwy handlarz doniósłby na mnie, że jestem dziewczyną.

– Albo niebieskookim złodziejem. – Jin wyglądał na rozbawionego. – To ja powinienem na ciebie donieść.

– Za chwilę będziesz miał okazję, ponieważ tym pociągiem jedzie wojsko i właśnie mnie ściga. A raczej *ciebie*, a ja tylko stanęłam im na drodze.

Jin odwrócił się i spojrzał w stronę, z której nadeszłam.

– Dobrze – powiedział. – Daj mi kompas, to nas stąd wyciągnę.

– Kompas? – Nie miałam pojęcia, czego się spodziewałam, dowiedziawszy się, że przez trzy dni ścigał mnie po pustyni, ale na pewno nie tego.

– Jesteś zbyt mądra, żeby udawać idiotkę, Bandytko. – Jin przyszpilił mnie wzrokiem, jakbym chowała kompas gdzieś na widoku.

– Mylnie interpretujesz moje zachowanie. Pomyślałam właśnie, że to ty jesteś idiotą, chcąc ode mnie niedziałający kompas.

Zacisnął rękę na moim nadgarstku.

– Więc oboje wiemy, że go zabrałaś. Oddaj go, a ujdzie

ci płazem to, że mnie otrułaś. Nawet nie poproszę o zwrot połowy pieniędzy, jakie dostałaś za skradzionego Buraqi.

– Nie otrułam cię. Tylko znieczuliłam. A Buraqi należał do mnie. – Próbowałam wyrwać rękę, ale był ode mnie silniejszy. – Ty go pierwszy ukradłeś. Gdybyś nie dawał mi takiego złego przykładu, nie ukradłabym ci zepsutego kompasu.

– Zepsutego? – Zacisnął dłoń tak mocno, że aż zaboląło.

– Tak. – Staralam się nie krzywić z bólu. Już się nie uśmiechał. – Przez całą noc podążałam za igłą tego kompasu, aż wstało słońce i okazało się, że jadę w złą stronę.

Poczułam, że się lekko odprężył.

– Jeśli nie jest dla ciebie wiele wart, nie będziesz za nim tęskniła.

– Biorąc pod uwagę, że nie jest wiele wart, po co miałabym go trzymać?

– Amani. – Pochylił się nade mną, aż poczułam ciepło jego ciała. – Gdzie on jest?

Zacisnęłam szczękę.

– Nadchodzą żołnierze.

– Więc lepiej powiedz mi szybko, Bandyto.

Nie odezwałam się od razu. Doszło do konfliktu naszych interesów. Chciałam skłamać. Powiedzieć, że sprzedałam go razem z Buraqi. Sprawić, żeby cierpiał za to, że nie chciał mnie zabrać z Dustwalk, za to, że w Sazi powiedział, że nie jadę do Izmanu. Za to, że chciał, bym została w miejscu, z którego tak bardzo chciałam się wyrwać.

– Amani – powiedział ciszej. Usłyszałam w jego głosie nutę prawdziwej desperacji. – Proszę. – Moja złość rozplynęła się pod wpływem jego głosu.

– Mam go pod ubraniem – przyznałam w końcu. Puścił mnie.

Uniosłam koszulę, świadoma, że nie spuszczał ze mnie wzroku, odsłoniłam skórę na biodrach, żeby dostać się

do zwoju, którym obwiązałam się w talii. Wsunęłam rękę pomiędzy materiał a skórę i dotknęłam chłodnego metalu. Puściłam koszulę i wyjęłam kompas. Szkiełko było zadrapane i ukruszone na krawędzi. Igła kołysała się w przód i w tył po tle przedstawiającym niebieskie niebo upstrzone żółtymi gwiazdami. Stwierdziłam, że może mieć jakąś wartość.

Zmienił się wyraz jego twarzy, gdy dotknął ręką kompasu, który przez chwilę znajdował się pomiędzy naszymi dłońmi. Napięcie opuściło jego ciało, dotknął czołem mojego czoła, całkowicie zaskakując mnie tym gestem. Czułam od niego zapach pustyni.

– Dziękuję – powiedział.

Zamknął oczy, lecz moje były otwarte. Był tak blisko, że widziałam malutką bliznę nad jego górną wargą. Byłam świadoma, że nasze oddechy mieszają się ze sobą. Niewiele brakowało, żebym poruszyła się i dotknęła moimi ustami jego bliznę.

Z drugiej strony wagonu dobiegł nas hałas i krzyk. Jin otworzył oczy. Wreszcie dotarło do niego to, co mówiłam o żołnierzach.

– Chodź. – Chciał wyprowadzić mnie pomiędzy łóżek. – Pójdziemy...

W wagonie pojawiły się białe-złote mundury, niepasujące do obskurnych pasażerów trzeciej klasy.

Za późno.

Nie było czasu na ucieczkę, a tym bardziej na myślenie. Musieliśmy się ukryć. Ale nigdzie nie było żadnej kryjówki – może tylko tam, gdzie staliśmy. Przyciągnęłam Jina z powrotem do siebie. Palcami dotykałam zarysu słońca wytatuowanego nad jego sercem. To ostatnia rzecz, jaką zauważyłam, zanim go pocałowałam.

Przez chwilę był tak zaskoczony, że cały się spiął i chwycił mnie za ramię tak mocno, że zabolowało. Ale zaraz zareagował właściwie, przypierając mnie do ściany pociągu.

Byłam dziewczyną z pustyni. Myślałam, że wiem, co to żar. Myliłam się.

Kontakt z jego ciałem sprawił, że poczułam taki żar, że zaczęłam się wycofywać z obawy, że spłonę. Ale Jin chwycił moją twarz w swoje dłonie. Nie miałam dokąd uciec. Nie miałam dokąd iść.

Nie chciałam nigdzie iść.

W zasadzie w ogóle tego nie przemyślałam, a teraz w ogóle nie miałam ochoty na myślenie. Skupiałam się na dotyku jego palców na mojej twarzy.

Czułam jego oddech, a potem zdominowało mnie pragnienie.

Więcej niż pragnienie.

Pożądanie.

Położył kciuk na miejscu, w które dostałam rewolwerem Naguiba. Z moich ust wyrwał się syk.

Jin odskoczył ode mnie i chwila minęła. Pomiedzy nasze ciała wdarło się zimne powietrze, zajmując na mojej skórze miejsce jego dłoni. Teraz opierał ją o ścianę tuż za mną.

Nie patrzył już na mnie. Patrzył na rewolwer, który miałam przy biodrze. Zauważyłam mignięcie munduru pod jego ramieniem. Już się do mnie nie przytulał. Nie pożył mnie.

Jedynie mnie krył.

Próbowałam złapać oddech, jakby brakowało mi powietrza. Gdzieś na dnie płuc odnalazłam słowa:

– Jeszcze sobie nie poszli.

Jin nie patrzył na mnie.

– Nie. – Ręce trzymał po obu stronach mojej głowy, za moimi plecami dygotała ściana wagonu. Pochylił się nade mną nieco niżej, przylgnęłam do niego ciałem. – Nie, jeszcze nie.

Ktoś klepnął go w plecy, świat się zatrzymał.

– Ile bierze, brachu? – Ktoś na górnym łóżku zarechotał.

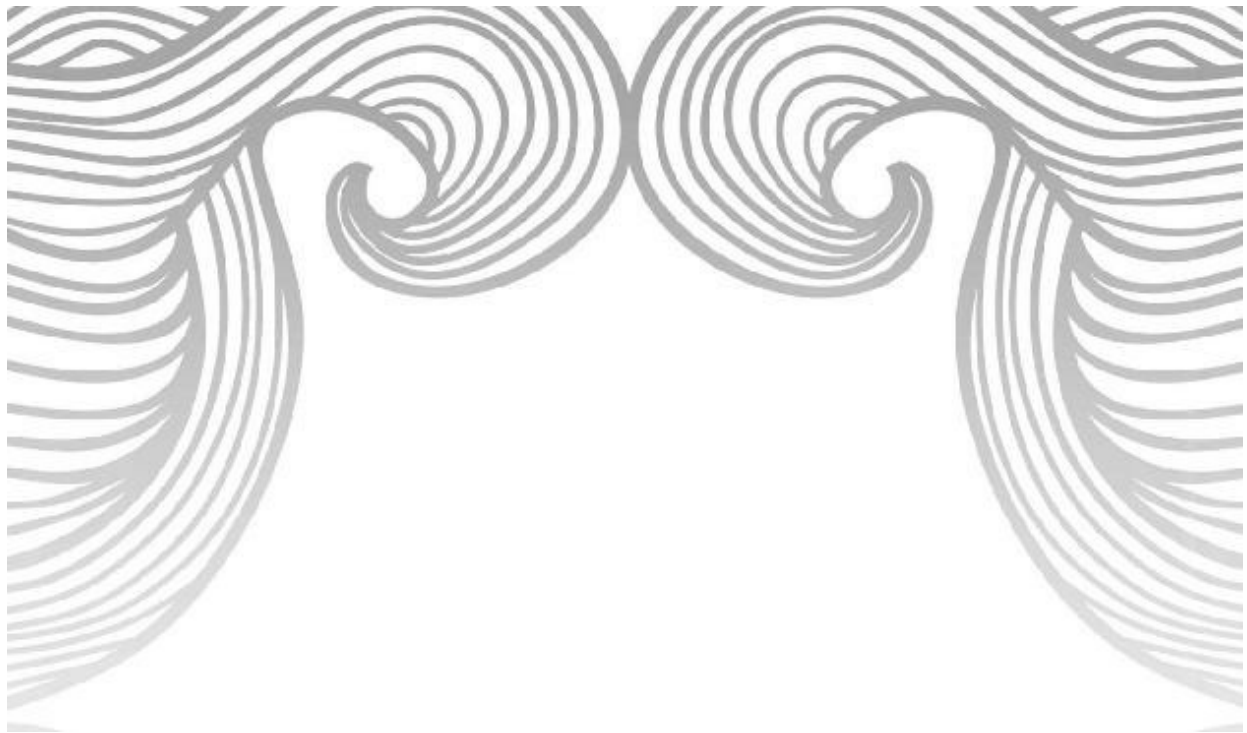
Po drugiej stronie wagonu jakaś głowa, być może należąca do żołnierza, odwróciła się na ten dźwięk. Jin chwycił mnie

za rękę.

– Chodźmy stąd.

Drzwi, przez które przyszedłam, nadal były otwarte. Już miałam mu powiedzieć, że lepiej tamtędy nie iść, że nie będziemy mieli gdzie się schować. Ale wtedy poczułam jego dłoń na mojej talii.

Nie miałam czasu na powiedzenie czegokolwiek, zanim skoczył.



DZIESIĘĆ

Leciałam przez ułamek sekundy.

Potem w pole widzenia wdarły się tory, o włos rozmijając się z szansą na lepsze zaznajomienie się z moją czaszką. Moje żebra i ziemia nie były tak powściągliwe.

Mocno uderzyliśmy w ziemię. Powietrze uszło z moich płuc. Toczyliśmy się, Jin cały czas mocno trzymał mnie w ramionach, pociąg huczał w moich uszach, chłonąc wszystko, co chciałam mu odkrzyknąć. W końcu zatrzymaliśmy się w hałdzie piachu.

Zepchnęłam go z siebie. Ból promieniował od ramion aż do bioder. Zaklął, chwytając się za bok. Podniosłam się na nogi w samą porę, by ujrzeć, jak noc i czarny dym połykają ostatnie wagony.

Przez jedną szaloną sekundę rozważałam bieg za nim i uchwycenie się wagonu. Brałam pod uwagę prawie tygodniową podróż na tyle pociągu.

Ale pociąg już odjechał, zabierając ze sobą setki ludzi do Izmanu. Beze mnie. Czułam, że coś we mnie pęka. Objęłam się rękami, próbując to powstrzymać.

– Wszystko w porządku? – Jin patrzył na mnie, trzymając się za bok. – Amani?

Sposób, w jaki wymówił moje imię na długim wydechu podziałał na mnie jak iskra w prochowni. Moja pięść wystrzeliła w stronę jego twarzy.

Jin złapał mnie za nadgarstek, zanim moje knykcie dotarły w pobliże jego nosa. Przyciągnął mnie do siebie, wytrącając z równowagi.

– Mam dla ciebie radę. – Stał blisko mnie, tak blisko jak wtedy, kiedy mnie pocałował, a raczej ja pocałowałam jego. – Nie próbuj bić po twarzy mężczyzny, który patrzy prosto w twoje oczy. Masz oczy zdrajcy, Bandytko.

Wbiłam pięść w jego żołądek z taką siłą, że aż strzeliły mi kostki. Jin zgiął się wpół i zaczął kaszleć.

– Dziękuję za radę. – Jedyne, czego się obawiałam to tego, żeby zwycięstwo aż tak bardzo nie kojarzyło mi się ze zwichniętą ręką.

– Do usług. – Trzymał się za brzuch, w miejscu, gdzie go uderzyłam, ale wyglądał tak, jakby się śmiał. Miałam straszną ochotę uderzyć go ponownie. Zamiast tego podciągnęłam koszulę i wyjęłam rewolwer, który trzymałam przy biodrze.

– Powinniśmy ruszać – powiedział Jin. – Jesteśmy prawdopodobnie o niecały dzień drogi od Massil. Musimy iść wzdłuż torów. Jeśli nie będziemy się ociągać, możemy tam dotrzeć, zanim słońce będzie wysoko na niebie.

– Co każe ci myśleć, że pójdę z tobą? – Gdyby nie ciągnął za sobą wojska, nadal byłabym w drodze do Izmanu. Zarazem jednak gdyby nie on, nadal mieszkałabym w Dustwalk. Ale nie zamierzałam się teraz w to zagłębiać. Zatknęłam broń za pasek, nie musiałam go jej tutaj chować. Lepiej, żeby ludzie wiedzieli, że jestem uzbrojona.

– Masz jakiś lepszy plan? – Jin pokazał ręką bezludną pustynię, jakby zachęcał mnie do wzięcia udziału w święcie głupców. – Wolałabyś raczej paść gdzieś na pustyni i stać się pokarmem dla kondorów, niż spędzić jeszcze jeden dzień ze mną?

Miał rację. Wszędzie wokół nas rozciągała się pustka. Poza torami, które biegły jak stalowa blizna przez piasek. Były tylko dwie drogi, jeśli chciałam przeżyć. Do przodu z nim. Do tyłu z powrotem do Juniper City.

Nie chciałam się cofać.

– Nie schlebiaj sobie. – Przeczesałam palcami włosy, wyciągając je spod szimy i ruszyłam przed siebie. – Nie warto przez ciebie umierać.

≈≈≈

Szliśmy w ciszy, zmierzch pełzał po niebie. Złość kazała mi iść trzy kroki przed Jinem. Ale nawet ten ogień zaczął się wyczerpywać, gdy zapadła noc. Powtarzałam sobie, że na pewno znalazłby się jakiś sposób. Mogliśmy zostać w pociągu. Znaleźć jakąś kryjówkę. Cokolwiek.

Po kilku godzinach obracania tego tematu w głowie nie mogłam wymyślić niczego lepszego od wyskoczenia z pociągu.

Trudno się gniewać na kogoś, kto uratował ci życie.

Szliśmy prawie przez całą noc, kiedy zauważyłam jakąś postać.

Myślałam, że to mglisty świt płata mi figle przed oczami. Ten niepewny czas pomiędzy dniem a nocą, gdy ani Bóg, ani Pogromczyni Światów nie mają pełnej władzy, był najbardziej niebezpieczny. Ale nie, ktoś szedł w naszą stronę przy torach.

Instynktownie rzuciłam się na ziemię, próbując zlać się z krajobrazem. W ciągu sekundy, nie zadając żadnego pytania, Jin leżał obok mnie.

– Co to? – Miał dość rozsądku, żeby mówić szeptem, gdy obok mnie wspierał się na łokciach.

– Ktoś idzie? – Skinęłam głową w tamtą stronę. Jedyne, co widziałam, to jakąś postać idącą pieszo, zmierzającą w naszą stronę. Mógł to być samotny pustynny nomada opuszczający Massil, do którego my szliśmy. Albo ktoś z wagonu trzeciej klasy powiedział żołnierzom, że widział dziewczynę przebraną za chłopaka oraz obcokrajowca, którzy wyskoczyli z pociągu.

Ta sama myśl zaświtała Jinowi.

– Chodź. – Zaczął czołgać się, odpychając się łokciami, żeby oddalić się od torów. Szliśmy pomiędzy nimi, stąpając po drewnianych podkładach, żeby nie zostawiać śladów. Czołgałam się obok Jina, próbując zasypać butami ślady, jakie zostawiały nasze ciała. Wyminęliśmy piaszczystą

wydnię. Przetoczyłam się i rozpląszczyłam na plecach, gdy już nie było nas widać z torów.

Na wszelki wypadek wyjęłam rewolwer. Jin trzymał w ręce nóż.

Leżeliśmy w piasku bez słowa. Czułam, jak z każdym oddechem pustynia przesuwa się pode mną. Nasłuchiwałam kroków. Problem z piaskiem polegał na tym, że tłumił większość dźwięków. Nie usłyszelibyśmy go, dopóki nie wszedłby na wydnię i znalazł się nad nami. Mieliśmy przewagę, ale zaskoczenie mogło sprawić, że ten człowiek stanowił dla nas zagrożenie.

Prawdopodobnie nie był żołnierzem. Żołnierze raczej nie poruszają się w pojedynkę. Ale wciąż było wiele nieciekawych opcji. Głodny Skórozmienny. Chciwy bandyta grasujący po pustyni. Dżin.

Nie. To było niedorzeczne. To nie mógł być żaden zły duch – trzymały się z dala od żelaza. I nikt nie widział Dżina od dziesiątek lat. Nie mieszkają już wśród nas tak jak kiedyś.

Były jednak nieśmiertelne. A to była pustynia. Prawdziwa, otwarta pustynia. Legenda mówiła, że tutaj działy się rzeczy, jakich nie widziano od lat w cywilizacji.

Nieznane sprawiło, że musiałam wspiąć się na wydnię i rzucić okiem. Poruszałam się oszczędnymi ruchami, pełzając pod górę. Jin wysyczał ostrzeżenie. Położyłam lufę na ustach, żeby go uciszyć. I przypomnieć mu, że jestem uzbrojona i prawdopodobnie potrafię lepiej strzelać niż ten, kto szedł po torach. Nie zatrzymywał mnie, więc przebyłam resztę drogi na szczyt wydmy.

Tory były puste jak butelka w dniu modlitwy.

– Nikogo tam nie ma. Poszedł dalej. – Albo zniknął w słupie ognia bez dymu jak Dżin z opowieści.

– Życie ci niemiłe? – Jin usiadł i mówił tonem, w którym wyczuwałam podziw, nie ściszał już głosu.

– Gdyby tak było, to, biorąc pod uwagę, że nadal żyję, nie

miałabym zbyt wielkich osiągnięć w tej dziedzinie – powiedziałam, zatykając rewolwer za pas.

– Tylko Bóg wie, jak to robisz. – Jin w geście wyrażającym zmęczenie potarł dłońmi twarz. Ja też byłam okropnie zmęczona. Dopiero teraz to do mnie dotarło. – Nikt nigdy nie opowiadał ci o porywczej Atiyah i Dżinie Sakhrze, kiedy byłaś mała?

– Chyba o Dżinie Ziyah – poprawiłam go bez zastanowienia.

– Co?

– Atiyah i Ziyah, rymuje się. Kto w ogóle słyszał o Sakhrze? – spierałam się. Wszyscy znali historię Atiyah, porywczej dziewczyny, która ciągle pakowała się w kłopoty, i jej kochanka, Dżinie Ziyah, który tak bardzo bał się o jej życie, że oddał jej swoje imię. To prawdziwe imię. Mogła je wymówić i zostać uratowana. Mogła go użyć, żeby zmusić go do wypełniania swojej woli. Imię, które mogła wyszeptać do zamka jakichkolwiek drzwi, one otwierały się, a za nimi czekało jego sekretne królestwo.

– Uważasz, że imię Dżina jest najważniejsze w tej historii?

– Nie, ale uważam, że powinieneś używać właściwego. Ona umarła, bo źle wypowiedziała jego imię, a nie dlatego, że była porywczą. A właściwie dlaczego o tym rozmawiamy? – Urwałam. Oboje zamilkliśmy.

– Czy twoja ciotka w Izmanie naprawdę zasługuje na to, żeby poświęcić dla niej swoje życie? – zapytał wreszcie.

– Nie wiem, nigdy jej nie poznałam.

Jin zamarł w pół gestu z rękami we włosach. Rękawy koszuli miał podwinięte i widziałam, jak napięte są jego mięśnie na przedramionach. Obdarzył mnie uważnym spojrzeniem.

– Jedziesz do Izmanu, żeby odnaleźć kogoś, kogo nawet nie znasz?

– Jadę do Izmanu, ponieważ będę miała tam lepsze życie niż tutaj.

– Nieprawda – powiedział Jin. – Miasta są gorsze od całej reszty. Jest tam inaczej niż w Dustwalk, gdzie każdy cię zna i może cię zabić, mając jakiś dobry powód. Tam zabijają cię bez żadnego powodu. To będzie niepowetowana strata. Jesteś zbyt wyjątkowa, żeby skończyć jako trup w rynsztoku. – Wstał i podał mi rękę. Zignorowałam ją. Zignorowałam także to, że powiedział, iż jestem wyjątkowa.

– Mówisz jak mój ojciec – powiedziałam, wstając bez jego pomocy.

– Twój ojciec? – Opuścił dłoń.

– Mawiał, że miasto jest dla złodziei, dziwek i polityków. – Naśladowałam ton głosu ojca, udając, że wypłam o jednego za dużo. – Lepiej żebym została tam, gdzie rodzina może zapewnić mi bezpieczeństwo. Chcesz wiedzieć, jakie bezpieczeństwo zapewnił mi mój ojciec?

– Co się z nim stało? – zapytał Jin. W jego głosie wyczułam napięcie, ale nie wiedziałam, z czym się wiąże.

– Mama go zabiła. – Otworzył usta. – Nie musisz mówić, że jest ci przykro. Był dupkiem, poza tym nie był moim prawdziwym ojcem. – Pomyślałam o niebieskookim żołnierzu i zaczęłam się zastanawiać, ile dzieci na pustyni było pół-Gallanami. Sama nie znałam żadnych, ale nie za wiele podróżowałam. Aż do teraz.

– Chciałem tylko powiedzieć, że najwyraźniej na to zasłużył – odparł Jin. – A co z twoją mamą? – Jego głos mówił, że już wiedział.

– A co się zwykle dzieje z mordercami? – Czasami w koszmarach sennych nadal widziałam, jak wisi na sznurze. Wzruszyłam ramionami. Niech mi teraz powie, tak jak inni, że sobie na to zasłużyła.

– Z tego powodu jest mi przykro – powiedział. – Niełatwo poradzić sobie ze stratą matki. – Przeszło mi przez myśl, że może coś wiedzieć na temat martwych matek.

– Nie mam do czego wracać – przyznałam. – Ciotka Safiyah w Izmanie to jedyne, co mam. Więc dlaczego miałabym nie

jechać do Izmanu?

Nie odpowiedział od razu. W jego oczach dostrzegłam, że toczy ze sobą jakąś wewnętrzną walkę.

– Dobrze – powiedział, wzdychając przeciągle. – Oto, co zrobimy. – Klęknął i zaczął na piasku szkicować przechylony trójkąt, który, jak zrozumiałam, miał reprezentować Miraji. – Idziemy do Massil. Tutaj. – Dźgnął palcem dolny róg trójkąta. – O tej porze roku można przejechać przez góry tylko pociągiem. Nie sądzę jednak, że zostało ci dość pieniędzy, żeby poczekać na następny. – Spojrzał na mnie, szukając potwierdzenia dla swoich słów, po czym narysował linię przez Massil, odcinając nas od Izmanu.

– Bilety pierwszej klasy są drogie – przyznałam.

– Ale – ciągnął – karawany będą przygotowywać się do podróży przez Morze Piasku. W stronę miast portowych na północno-zachodnim wybrzeżu.

– Tę stronę wskazywał twój kompas – wtrąciłam. Nasunięty nisko na czoło kapelusz zakrył przede mną jego odpowiedź.

– Będą rekrutować.

– Kogo rekrutować? – zapytałam.

– Mięśnie. – Wzruszył ramionami. – Broń. Sama wiesz, że wasza pustynia nie jest aż taka bezpieczna. Droga z Massil do Dassamy to sam piasek. – Wskazał na kolejną kropkę, którą postawił w górnym lewym rogu trójkąta. Północ i zachód. – Podróż trwa miesiąc.

– Ale to inny kierunek niż Izman. – Dotknęłam czubkiem buta górnego prawego rogu, który, jak zakładałam, reprezentował stolicę.

Posłał mi zirytowane spojrzenie, mówiące, że mam się zamknąć i pozwolić mu skończyć.

– Z Dassamy jest jeszcze dziesięć dni drogi przez równiny, karawany po drodze zatrzymują się, żeby pohandlować, więc może to potrwać trochę dłużej. Potem dotrzesz do morza. Do Izmanu płynie się stamtąd dwa dni. Będziesz mogła

zapłacić za podróż pieniędzmi, które zarobisz, pracując przy karawanie. Co ty na to, Bandytko?

– Chyba minąłeś się z powołaniem, powinieneś zostać kartografem. – Patrzyłam na gmatwaninę linii na piasku, będących szkicem naszej drogi. Na rysunku wszystko wyglądało łatwo. Ale wiedziałam, że nie można lekceważyć pustyni.

– To o wiele trudniejsze niż podróż pociągiem. – Zabrzmiało to jak oskarżenie.

– Tak, ale bez tyłu żołnierzy chcących cię zabić. – Jin wstał i strzepnął piasek z rąk i ubrania. To był gest niespotykany w tych okolicach. Gest człowieka, który nie był przyzwyczajony do tego, że piasek dostaje się wszędzie. Który wciąż próbował z nim walczyć.

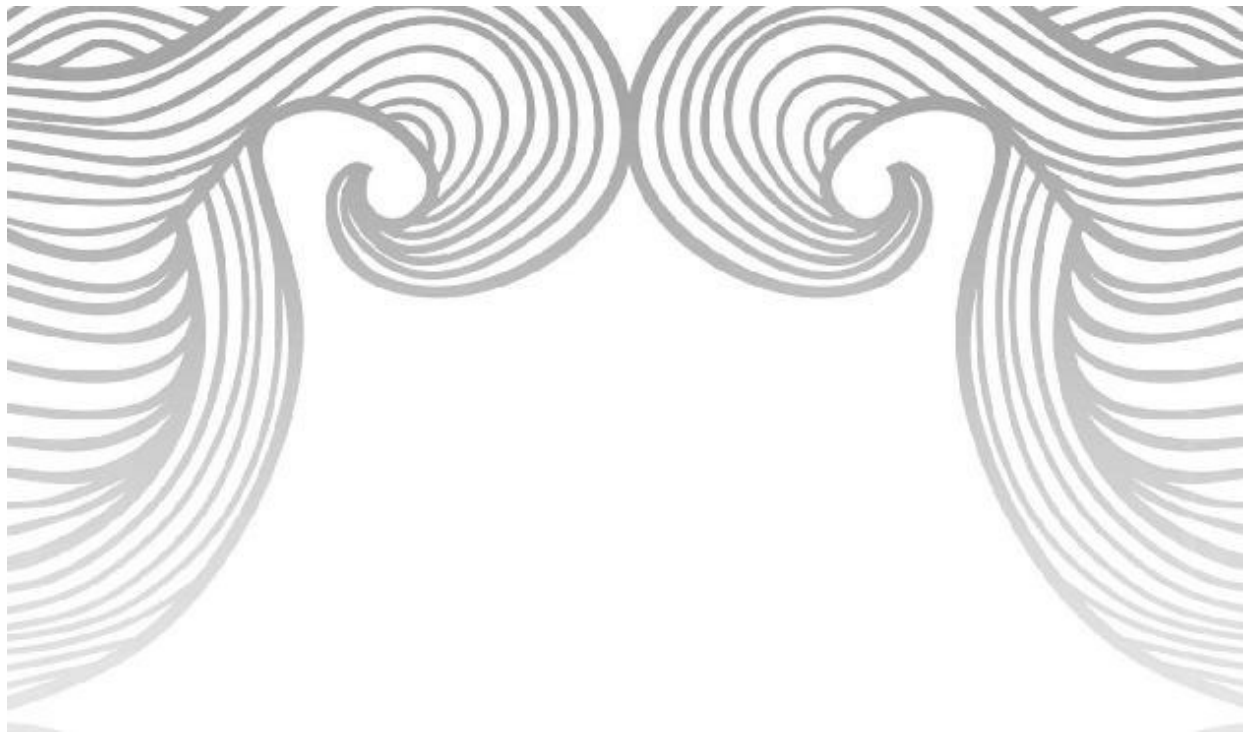
– Szukają *ciebie* – przypomniałam mu. – Ja tylko próbuję dostać się do Izmanu w jednym kawałku. – Musiałam przyznać, że był to najlepszy plan, jakim dysponowałam. Wydawało się, że zna Miraji lepiej niż ja. I skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie chciałabym podróżować razem z nim. A kłamstwo było grzechem.

Ale coś mnie korciło.

– Wydaje mi się, że chcesz, bym myślała, że to zbieg okoliczności, iż twój kompas pokazuje najlepszą drogę przez pustynię.

– Chcę wielu rzeczy, Bandytko. Wydostać się z tego twojego przeklętego kraju, zimnej kąpieli, porządnego posiłku... – Jin wymieniał i przez chwilę, mogłabym przysiąc, jego wzrok powędrował ku mnie. – Ale teraz *musimy* zacząć iść, jeśli chcemy dotrzeć do Massil, zanim umrzemy z pragnienia. Co ty na to, Bandytko? – Wyciągnął do mnie rękę. – Idziesz ze mną?

Nasze dłonie dobrze do siebie pasowały.



JEDENAŚCIE

Jin stał bez ruchu pośrodku ringu, a lśniące od potu mięśnie na jego plecach podnosiły się i opadały. Pozwolił, by przeciwnik obszedł go wkoło. Ten rzucił się na Jina, który go złapał i walnął nim o ziemię. Usłyszałam trzask łamanego nosa, zanim wrzaski kibiców zagłuszyły wszelkie inne dźwięki.

– Trzeba mu przyznać, że potrafi zarówno przyjąć, jak i wymierzyć cios. – Parviz z karawany Kolana Wielbłąda potarł knykciami swoją szczękę, gdy przyglądał się, jak przeciwnik Jina ociera krew z twarzy.

Prychnęłam, pilnując się, by mówić niskim tonem współgrającym z moim przebraniem. Tego wieczoru znowu byłam chłopakiem. Nieważne, ile nosów rozkwasił Jin, nikt nie zatrudniłby dziewczyny jako pomocnika. Musieliśmy dostać się do karawany, żeby przejść przez Morze Piasku, nie umierając z pragnienia.

Droga do Massil zajęła nam cały dzień i pochłonęła wszystkie nasze zasoby. Pieniądze, które nam zostały, wydaliśmy na to, żeby dostać się do miasta. Wejście kosztowało pięć fouza za wielbłąda i trzy fouza za każdą osobę przekraczającą starożytne mury. Cena życia mówiła wszystko, co trzeba było wiedzieć o danym miejscu, zwłaszcza w Mieście Kupców, gdzie wszystko było na sprzedaż. Tutaj życie ludzkie było najtańszym towarem. To były słowa Jina, które wypowiedział, gdy przechodziliśmy pod potężnym kamiennym łukiem, wkraczając do miasta o utraconej świetności.

Nawet ja wiedziałam co nieco o Massil. Kiedyś, w czasach, gdy miasto było potęgą na skraju Małego Morza, panował tu mądry i mocarny Dżin. Dżin zakochał się w córce jednego z kupców i zaproponował mu całe miasto w zamian za jej

rękę. Dziewczyna była już obiecana innemu kupcowi zza Małego Morza, ale chciwy ojciec chciał dostać miasto. Zrobił więc żywą lalkę z wosku i magii, żeby oszukać Dżina, córkę natomiast wydał za kupca. Kiedy Dżin przejrzał jego sztuczkę, miasto było już w posiadaniu oszusta. Dżiny mogły jedynie mówić prawdę, co oznaczało, że były związane własnym słowem. Nie mogąc odebrać mu miasta, wzniecił burzę piaskową o takiej sile, że morze wypełniło się piaskiem i jak okiem sięgnąć rozciągała się tylko pustynia. A następnie zniknął, zostawiając chciwemu kupcowi bezużyteczne miasto na skraju pustyni.

Massil, ostatni bastion cywilizacji przed przeprawą przez Morze Piasku.

Tłum zaryczał, gdy pięść Jina wylądowała na twarzy jego przeciwnika, który znowu padł na ziemię.

Nie byli bardziej cywilizowani niż inni, to najlepsze, co mogłam o nich powiedzieć.

– Musisz go zobaczyć w prawdziwym zwarciu – powiedziałam do Parviza. – Widziałem, jak złamał facetowi rękę ot tak. – Pstryknęłam palcami, mając na myśli łamany nadgarstek Dahmada. Właśnie wtedy przeciwnik Jina znowu się na niego rzucił. Jin odsunął się, wysunął przed siebie nogę, złapał mężczyznę za kolano i przewrócił go na piasek. Parviz miał nieprzeniknione oblicze kupca, bardziej tajemnicze od tego u pokerzysty. Ale uznałam, że był pod wrażeniem.

– Musi umieć walczyć, skoro zawsze staje w obronie swoich fajtłapowatych braci. – Czyjś głos rozbrzmiał kilka osób ode mnie. Zanim jeszcze popełniłam błąd i podniosłam głowę, wiedziałam, że komentarz był skierowany do mnie. Chłopak z krzywym przednim zębem przez cały wieczór próbował wyprowadzić mnie z równowagi. Podejrzywałam, że liczył na to, że mu przyłożę, żeby mógł mnie pobić i zaimponować jakiemuś przewodnikowi karawany, bez konieczności wchodzenia na ring i walki z kimś swojego wzrostu. Jin

pewnie mógłby przyłożyć mu z taką siłą, żeby wyprostować mu ząb, ale ja nie chciałam złamać sobie ręki.

Parviz odwrócił się w moją stronę i zmierzył mnie wzrokiem.

– To twój brat?

– Mieliśmy różne matki. – Nasza zmyślona historia chwiała się jak stary kurnik, ale była jedynym, co mieliśmy, żeby zyskać szansę na zatrudnienie i przejście przez pustynię, nie ryzykując, że po dwóch dniach staniemy się pokarmem dla kondorów. – Będziemy pracować za połowę tego, co biorą inni – powiedziałam, wymigując się od odpowiedzi na jego pytanie. Już dwa razy zostaliśmy odrzuceni tego wieczoru, może ze względu na to, że Jin wyglądał jak obcokrajowiec, albo przez mój wzrost. Ale o klanie Kolan Wielbłąda mówiło się, że są dusigroszami.

– Jestem kupcem, odkąd sięgałem wielbłądowi do kolana.

– Parviz zarechotał ze swojego żartu. – Potrafię dobrze liczyć i wiem, że za waszą dwójkę zapłacę jak za jednego człowieka, ale będę miał dodatkową gębę do wyżywienia. Nie potrzebuję balastu, Alidadzie. – Nazwał mnie imieniem, które mu podałam. – Nawet jeśli prawie nic nie ważysz.

Parviz odwrócił się, drogę zastąpił mu mój prześladowca.

– Masz dobre oko do interesów, przyjacielu. Mógłbym zatrudnić każdego z nich o każdej porze dnia. – Zatoczył szeroki łuk ręką, w której trzymał szklankę z ciemnym płynem.

W ułamku sekundy trzymałam rewolwer, będąc gotowa do wykonania nie do końca przemyślanego przeze mnie planu.

Nacisnęłam spust.

Szklanka w ręce krzykacza roztrzaskała się na kawałki, a kula utkwiała w ścianie za nim.

W knajpie ucichło. Krzykacz patrzył oniemiały na swoją rękę, całą w szkle, krwi i alkoholu. Ktoś z obserwujących wybuchnął śmiechem, po chwili wszyscy powrócili

do przerwanych rozmów.

– Ty skurwysynu! – Z kciuka krzykacza wystawał kawałek szkła. – Strzeliłeś do mnie!

– Nie, strzeliłem w twoją szklanę. Nie martw się, alkohol zmyje krew. – Zatknęłam broń za pas w nadziei, że nie zostanę zastrzelona w odwecie. – Właśnie miałem powiedzieć, zanim mi przerwano, że czasy się zmieniły. Nie trzeba dużych mięśni, żeby pociągnąć za spust.

Parviz omiótł wzrokiem krzykacza, potem mnie. Kupcy znali się na interesach. I wiedzieli, kiedy trafia im się okazja.

– Wyruszamy spod Zachodniej Bramy o świcie. Nie spóźnijcie się.

Gdy Parviz odchodził, Jin stanął obok mnie, wkładając koszulę przez głowę.

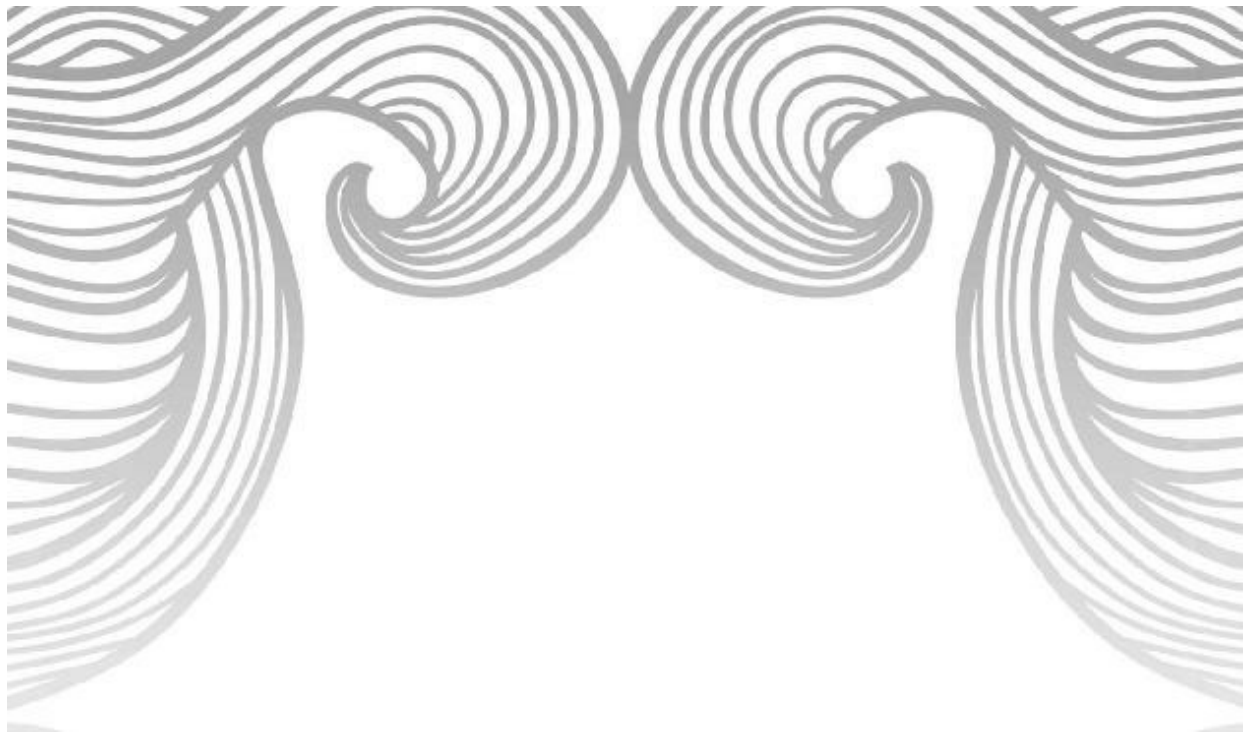
– Zastrzeliłeś kogoś?

– Znalazłam dla nas pracę, jeśli o to pytasz. – Podrapałam się po głowie i próbowałam przybrać niewinny wyraz twarzy. Byłam pewna, że dobrze oceniłam spojrzenie, jakie posłał mi Jin. – Zastrzeliłam tylko szklanę.

Jin objął mnie ramieniem i pochylił się nad moim uchem.

– Lubię cię, Bandytko.

A potem uśmiechnął się. Może i miałam oczy zdrajcy, ale za jego uśmiech oddałabym wrogowi całe imperia. Nagle poczułam, że dobrze go rozumiem, choć nic o nim nie wiedziałam. Poczułam, że jestem po dobrej stronie, że razem możemy wszystko. Miałam sześć tygodni, żeby przekonać się, czy to prawda.



DWANAŚCIE

Tak jak nam obiecano, wyruszyliśmy o świcie z karawaną Kolana Wielbłąda. Sądziłam, że znam pustynię, ale gdy patrzyłam na doskonale czyste niebo ciągnące się ponad nieskalanym piaszczystym krajobrazem, wiedziałam, że to coś innego. Morze Piasku było olbrzymie i niespokojne. Kolana Wielbłąda traktowały je jak coś pomiędzy bestią, którą należy złamać, a tyranem, któremu trzeba się kłaniać. Natychmiast poczułam się jak w domu.

Krajobraz zmieniał się z minuty na minutę, raz ruchome piaski ciągnęły mnie w dół wydmy, żeby po chwili uwieźć w jednym miejscu. Niektóre wydmy wydawały się nie mieć końca – szliśmy i szliśmy, i nadal nie było widać ich końca. Wiatr rozrzucał piasek, który dostawał się do oczu i ust pomimo zawiązanej szimy. W środku dnia cała pustynia się przesunęła i z piasku wyrosła duża, drewniana konstrukcja, z której płatami odchodziła czerwona i niebieska farba.

– Co to? – zapytałam Jina, osłaniając oczy dłonią

– Wrak statku – odparł. Piasek pochłonął szczątki tak szybko, jak się pojawił.

Kiedy pierwszego wieczoru rozstawialiśmy obóz, miałam szorstką skórę, zaś ciało obolałe od marszu, ale byłam szczęśliwa.

Kolana Wielbłąda liczyły około sześćdziesięciu ludzi w Kolanach Wielbłąda plus dwa tuziny wielbłądów niosących zapasy i towar. Było oczywiste, że podróżują ze sobą od lat – podczas rozbijania obozu działali jak jeden organizm.

– Czy tak wygląda prawdziwe morze? – zapytałam Jina, biorąc jedzenie i siadając obok niego na ciemnym piasku w pobliżu ogniska. Jin puścił plotkę, że jako dziecko zostałam poparzona i wstydzę się pokazywać swoją twarz. Poluzowałam szimę, żeby móc jeść, ale jej nie zdjęłam.

– Nie idzie się przez morze. – Maczał w jedzeniu kawałek przypieczonego chleba.

– To co robią marynarze przez cały dzień? Leżą i patrzą, jak rośnie im sadło? – Dźgnęłam go w brzuch składający się z samych mięśni. Roześmiał się, a ja poczułam zadowolenie. Zanim odpowiedział, odezwał się Stary Daud siedzący przy ogniu:

– Usiądźcie wygodnie, dzieci, opowiem wam historyjkę. – Opowiadacz miał głos głęboki jak pustynna noc i gwałtowny jak ogień. Dobry głos do snucia opowieści.

– Ciekawe, czy mógłby wskazać ci morał opowieści o Atiyah i Sakhrze – wyszeptał drwiąco Jin. Wiedziałam, że próbuje mnie zirytować.

– Może powinien opowiedzieć o Obcokrajowcu, który lubił ryzykować? – szepnęłam.

– W pierwszych dniach po stworzeniu świata Bóg spojrział na ziemię i postanowił ją wypełnić stworzeniami. Ze swojego ognistego ciała zaczerpnął nieśmiertelność. Najpierw powstały mądre Dżiny, potem gigantyczne Roki, które przemierzały niebo, lądując na szczytach gór, oraz dzikie Buraqi, które szusowały po pustyniach. W końcu ziemia była pełna.

– Boże, uchroni mnie przed słuchaniem tej historii po raz kolejny. – Na piasku między mną a Jinem bez ostrzeżenia usiadła dziewczyna. Już ją znałam: Yasmin, córka Parviza, księżniczka karawany.

Isra, jej babka, przechodząc, sięgnęła nade mną i uderzyła ją w tył głowy, aż podskoczył warkocz Yasmin.

– Bądź cicho i słuchaj, księżniczko Niewyparzona Gębo. – Uznałam, że przydomek do niej pasował.

Yasmin wystawiła odchodzącej babce język, po czym zwróciła się do mnie:

– Wiesz, że Stary Daud opowiada tę historię dla was – ściszyła głos. – To ostrzeżenie dla wynajętych pomocników, by mieli świadomość, jakie niebezpieczeństwa czają się

w ciemności. – Pomachała komicznie palcami, przez co niemal strąciła z kolan cynowy talerz. Złapała go, zanim spadł, przewracając oczami. Zaczęła wpychać jedzenie do ust i nie przestawała mówić: – Ze strony tych, przed którymi powinniście nas chronić. Chociaż minęło wiele lat, odkąd ostatni raz widzieliśmy tu złego ducha.

Tak samo jak w Dustwalk – pomyślałam. Ostatni raz widziałam Koszmar, kiedy miałam osiem lat.

– Ostatnimi czasy to śmiertelnicy sprawiają najwięcej kłopotów.

Isra podniosła rękę, grożąc jej z drugiej strony ogniska. Księżniczka karawany skrzywiła się, ale zamknęła się na dobre, pozwalając Staremu Daudowi kontynuować opowieść.

Wszyscy znali historię o Pierwszym Śmiertelniku. Ale Yasmin nie myliła się; Stary Daud rzeczywiście zdawał się znacząco patrzeć na mnie i na Jina, snując swoją opowieść. Więc słuchałam uważnie, gdy mówił o złotym wieku, kiedy Pierwsze Stworzenia zamieszkiwały ziemię. Jak, po jakimś czasie, z głębin ziemi wydostała się Pogromczyni Światów. Miała ze sobą wielkiego, czarnego węża, który połknął słońce, zapanowała niekończąca się noc i powstało tysiące nowych stworzeń – potworów, które nazywała dziećmi, zaś Pierwsze Stworzenia zwały je złymi duchami. A kiedy Pogromczyni Światów zabiła Pierwsze Stworzenie, to wybuchło i stało się pierwszą gwiazdą na czarnym niebie. Bóg obdarzył Pierwsze Stworzenia nieskończonym życiem, więc bały się, kiedy dowiedziały się o śmierci. To był początek pierwszej wojny. Gdy Pierwsze Stworzenia padały, niebo wypełniało się gwiazdami. Dżiny, najjaśniejsze z boskich Pierwszych Stworzeń, bały się śmierci tak bardzo, że zebrały się, wzięły ziemię, wodę i wiatr, żeby uformować i iskrą ognia ożywić swoje stworzenie. Tak powstał Pierwszy Śmiertelnik. Miał dokonać tego, czego najbardziej się bały, ale co wiązało się z każdą wojną: miał umrzeć.

Wobec tego Pierwszy Śmiertelnik wziął żelazo i ściął głowę wielkiemu wężowi, który połknął Boga w postaci słońca. Słońce zostało uwolnione z gardła potwora i skończyła się noc.

Pierwsze Stworzenia przyglądały się śmiertelnikowi, którego stworzyły, i ze zdumieniem przekonały się, że nie obawiał się śmierci. Miał odwagę walczyć, bo jego przeznaczeniem była śmierć. A kiedy Pogromczyni Światów stworzyła strach, Pierwszy Śmiertelnik miał dość odwagi, żeby stawić mu czoła. Nieśmiertelni nigdy wcześniej nie musieli tego robić. Ale śmiertelnicy tak.

Wobec tego Pierwsze Stworzenia uformowały kolejnego śmiertelnika, a potem następnych. Każdy kolejny coraz mniej przypominał obraz nieśmiertelnego – ludzie zamiast Dżinów, konie zamiast Buraqi, ptaki zamiast Roków. Pracowali, dopóki nie powstała armia. Pogromczyni Światów została obalona przez potęgę śmiertelnych. Jej władanie nad ziemią dobiegło końca, a stworzenia, które jej towarzyszyły, zostały same i przemierzały nocą pustynię.

Opowieść dobiegła końca, powietrze wciąż jeszcze emanowało magią słów Starego Dauda. Nagle świat powrócił, ten sam, za który walczył Pierwszy Śmiertelnik, obozowisko wypełniło się pogaduszkami, dymem z fajki Isry, która wołała Yasmin, żeby zrugać ją za jaskrawy khalat, znaleziony właśnie między jej ubraniami.

– Wezmę twoją wartę – zaproponowałam, gdy Yasmin, wywracając oczami, dołączyła do babki, a w obozie zrobiło się spokojniej. Czułam, że żyję. Wypełniała mnie pustynia. Rozświetlał ogień. – I tak nie będę mogła zasnąć.

– Wolę się nie kłaść po tej historii. – Jin podał mi alkohol.
– Jestem przerażony, boję się, że we śnie zjedzą mnie złe duchy.

– W Dustwalk mówią, że to przydarza się tylko grzesznikom. – Upiłam łyk z butelki i oddałam ją.

– I niewierzącym – powiedział Jin. – Takim jak ja.

– Nie wierzysz w Boga?

– Byłem w wielu miejscach – odpowiedział. – I słyszałem o rzeczach, które ludzie uznają za prawdziwe. W sytuacji, gdy każdy sprawia wrażenie tak pewnego siebie, trudno wierzyć w to, że wszyscy mają rację.

Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, czy wierzę w Boga. Wierzyłam w opowieści zawarte w Świętych Księgach w taki sam sposób, jak wierzyłam w historie o Pierwszym Śmiertelniku czy Zbuntowanym Księżu Ahmedzie. Nie miało znaczenia, czy są prawdziwe. Brzmiały dość realnie, by wyrażać większe idee, upamiętniać bohaterów i poświęcenie oraz to, czym każdy chciał być.

– W Miraji mówi się, że Bóg stworzył nieśmiertelnych, czyli waszych Dżinów, z ognia, a oni uformowali pierwszych śmiertelników. Na Półwyspie Jońskim mówią, że nieśmiertelni sami są bogami i stworzyli ludzi dla zabawy. Albiszowie mówią, że wszystko wywodzi się wprost z rzeki i z drzew, zostało stworzone przez serce świata, zarówno to, co śmiertelne, jak i nieśmiertelne. Gallanie wierzą, że Pierwsze Stworzenia i złe duchy niczym się nie różnią. Że jedni i drudzy są we władaniu Pogromczyni Światów, a jakiś inny bóg niż twój stworzył ludzkość, żeby je zniszczyć i oczyścić ziemię.

Nieśmiertelnych można zabić żelazem. Podobnie jak złe duchy. Ale wspomnienie o zamordowaniu Dżina sprawiło, że zaczęłam się buntować. Związek pomiędzy ludźmi a nieśmiertelnymi był skomplikowany. Istniało tysiące historii o śmiertelnikach oszukujących Dżinów, odkrywających ich prawdziwe imiona i wykorzystujących je do zastawienia na nich pułapki. Ale nieśmiertelni byli siłą natury. Stworzeniami Boga. Starymi niczym cały świat. A nasze krótkie życia były niczym w porównaniu z ich nieskończonymi istnieniami. Pogromczyni Światów zajmowała się zabijaniem nieśmiertelnych. Ludzkość stworzono, żeby ich chronić.

– Czy właśnie po to Gallanie potrzebują naszej broni?
– Obecnie używają jej głównie przeciw innym ludziom – powiedział. – Dawno temu wytępilli Pierwsze Stworzenia w swoim kraju. Teraz zajmują się wszystkim innym.
– Podobnie jak Xicha. – Mój wzrok powędrował ku jego rozpiętej pod szyją koszuli. Do tej chwili nie wiedziałam, że jakaś część mnie nadal gniewa się na niego za wysadzenie fabryki w Dustwalk. Chociaż dotknęło to Gallanów, osłabiło również cały Ostatni Okręg. I z pewnością ludzi, którzy nie zasłużyli sobie na to, żeby umrzeć z głodu. Byli też i tacy jak Tamid, którzy nigdy nie nauczyli się nienawidzić tego miejsca tak, jak on go nienawidził. I tacy jak moja kuzynka Olia, która czasami patrzyła na mnie zza pleców Farrah i wywracała oczami. I moja mała kuzynka Nasima, która jeszcze nie rozumiała, że powinna się wstydzić tego, że urodziła się dziewczynką. Ci ludzie nie zasłużyli na śmierć głodową.

A kraj Jina nie zasłużył na ciągłe najazdy Mirajińczyków.

Jin uniósł kołnierz.

– Przez tysiące lat Gallanie byli krótko trzymani przez swoich sąsiadów. Kiedy magia zderzała się z mieczami, walka była uczciwa. Ale teraz Gallanie mają broń palną, a magia wszędzie się wykrwawia, nieważne, w co się wierzy.

– Więc w co wierzysz ty? – zapytałam.

– Wierzę, że obecnie pieniądze i broń zawiodą cię dalej niż magia.

– Gdyby to była prawda, mieszkałbyś w jakimś mieście, miałbyś miękkie łóżko i pięć żon. Nie wysadzałbyś fabryk na końcu świata, chłopcze z Xichanu.

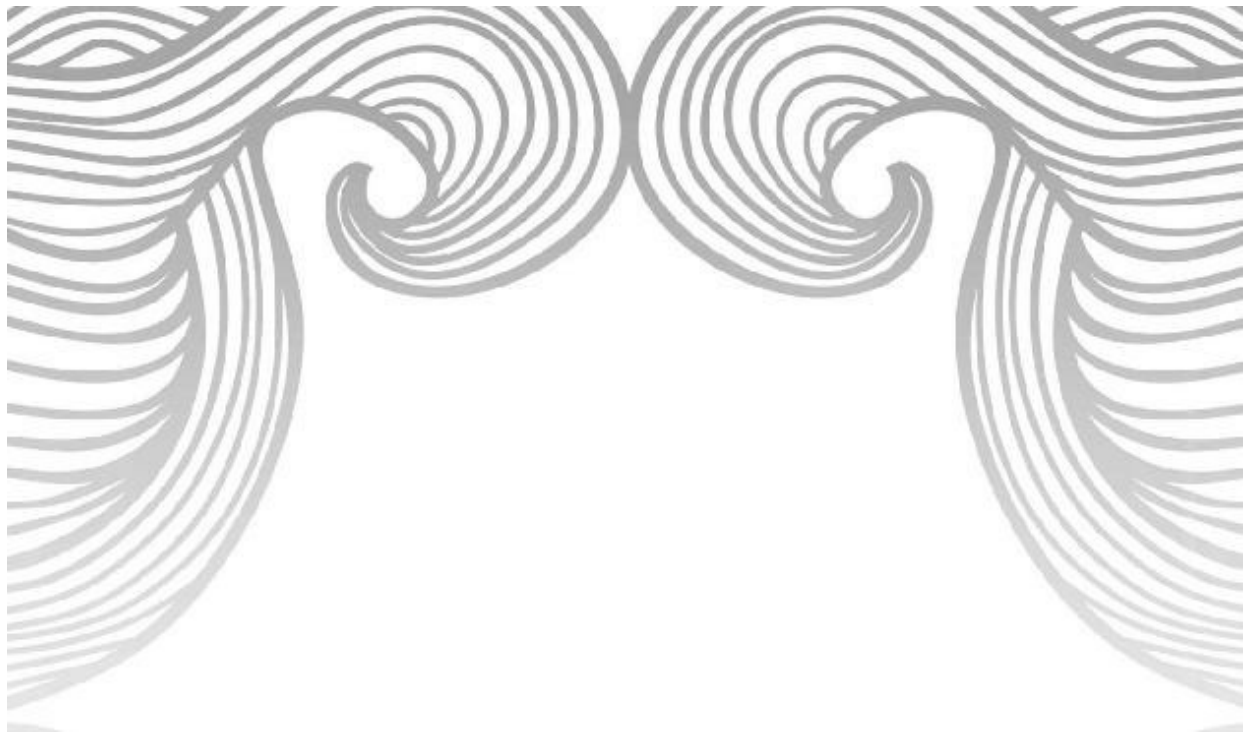
– Pięć żon? – Prychnął, pijąc z butelki. – Nie sądzę, żebym z tyloma wytrzymał. – Milczałam. Wiedziałam już, że jeśli damę mu dość czasu, zwykle mówi prawdę. – Zawsze myślałem, że ziemia tworzy Pierwsze Stworzenia, podobnie jak śmiertelników. W zielonych lasach i polach Zachodu ich magia wywodzi się z głębi ziemi. Na zamrożonej Północy

pełza po lodzie. A tutaj żarzy się w piasku. Na świecie jest miejsce na wszystko. Ryby w morzu, Roki na górskim niebie i dziewczyny ze słońcem pod skórą i perfekcyjną celnością na pustyni, na której nie przetrwa żadna słabość. – Nikt mnie nigdy tak nie opisał. Odwrócił spojrzenie zbyt szybko, bym mogła mu spojrzeć w oczy. – Oczywiście mój brat powiedziałby, że Pierwsze Stworzenia są po prostu ucieleśnieniem jednego Boga Stworzyciela na ziemi. Tak mawiają nowi filozofowie.

– Masz brata? – Gdy tylko to powiedziałam, zauważyłam, że ta wiadomość mu się wymknęła. Nie chciał mi tego mówić. Ale nie mógł już tego cofnąć. – Gdzie on jest?

Jin wstał, strzepał piasek z dłoni.

– Chyba jednak skorzystam z twojej propozycji wzięcia za mnie warty.



TRZYNAŚCIE

Pustynia wszędzie była taka sama. Przez sześć tygodni tylko piasek i niebieskie niebo. Bąble na moich stopach pękały i zalewały się krwią, po czym zaraz na ich miejscu tworzyły się kolejne. Nerwowość, którą przez całe życie spychałam gdzieś na dno umysłu, nie chciała się poddać mojej woli. Byłam w drodze do Izmanu i nigdy w życiu nie czułam się tak pobudzona.

Nocą, kiedy wszyscy spali, zrzucałam szimę, oddychałam pełną piersią i siedziałam z Jinem przez część jego warty, aż ogarniało mnie takie zmęczenie, że zasypiałam przed moją zmianą. Uczył mnie słów w innych językach, które poznał, gdy pływał po morzu. Po pierwszym miesiącu umiałam pogrozić człowiekowi i obrazić jego matkę w języku Xichanów, Albiszów i Gallanów. Pokazał mi, jak złamał nadgarstek Dahmada podczas zapasów – był to chwyt, którego nauczył się od marynarza z Jarpoorii w porcie Albiszów. Raz zapytałam go o jego złamany nos. Powiedział, że uderzyła go dziewczyna z Miraji, a złożył mu go brat. Niekiedy o nim wspominał, jakby przy mnie zapominał o samokontroli. O wszystkim innym mówił otwarcie. Opowiedział mi o miejscach, w których był, obcych brzegach, do których dopłynął, oraz o tym, co robił. Przez te opowieści zapragnęłam zobaczyć Złote Pałace Amonpour i poczuć pod stopami kołysanie statku. Opowieści o Izmanie należały do mojej mamy. Ale świat był znacznie większy od tego, o którym mi opowiadała. Od czasu do czasu docierało do mnie, że mogę udać się, gdzie zechcę.

Wiedziałam, że zbliżaliśmy się do końca pustyni, gdy po raz pierwszy zobaczyłam na horyzoncie coś innego niż wydmy.

– To Dolina Devy – powiedział Jin, gdy rozbiliśmy obóz. Znajdowaliśmy się tuż przy wejściu do niej. – Ciągnie się

przez całą zachodnią granicę Miraji, składa się z bezładnie stojących gór i otaczających je kanionów. Mówi się, że została wyryta w ziemi podczas wojny z Pogromczynią Światów. Zanim nadeszła era ludzi.

– To była piekielna bitwa. – Od celu dzieliły nas jakieś dwa dni marszu. Dwa dni to niedużo. Wpatrywałam się w noc. Piasek ciągnął się w nieskończonych fałdach, w świetle gwiazd miał niebieski kolor, trudno byłoby wskazać miejsce, gdzie spotykał się z niebem, gdyby nie miliardy gwiazd. – Maszerujemy już prawie od dwóch miesięcy. Gwiazdy zmieniły położenie.

– Pewien kapitan na statku, na którym pracowałem, potrafił nawigować, obserwując gwiazdy.

– A ty potrzebujesz zepsutego kompasu. – Za każdym razem, gdy mówiłam coś o kompasie, nie odpowiadał, tylko lekko krzywił usta.

– Chcesz, żebym wzięła twoją wartę? – zapytałam. Robiłam tak od pierwszej nocy.

– Jesteś nienormalna. – Jin przesunął ręką po twarzy. – Ta pustynia może wykończyć każdego faceta.

– Cóż, nie jestem facetem – powiedziałam. – Chciałam tylko być miła, więc...

– Nie, czekaj. – Palce Jina splotły się z moimi i pociągnęły mnie w dół. Usiadłam obok niego. Zanim mnie puścił, poczułam gwałtowny dreszcz. – Przepraszam. Po prostu mam już dość tego piasku.

– Ja chyba jestem do niego przyzwyczajona. – Patrzyłam na wydmy. Wyglądały, jakby ciągnęły się w nieskończoność, ale dzięki górcom wydawało się, że horyzont jest bliżej. – Po jakimś czasie dostaje się również do duszy.

– Masz go też na skórze. – Podniósł rękę i, zanim zdążyłam zareagować, jego ciepła i trochę szorstka dłoń dotykała mojego policzka. Kciukiem głaskał mnie po zarysie szczęki. Ten dotyk wyzwolił kaskadę piasku, która oderwała się od skóry i pozostawiła po sobie dziwny żar i drżenie.

– Amani. – Nie odrywał ręki od mojej twarzy. – Będziesz musiała zachować ostrożność, kiedy dotrzemy do Dassamy. Miasto od lat jest garnizonem żołnierzy Gallanu. Mieszka ich tam prawie tylu, ilu Mirajińczyków.

– A kiedy nie jestem ostrożna? – Próbowałam zbagatelizować jego słowa, ale prawdę mówiąc, myślałam przede wszystkim o jego dłoni na mojej twarzy.

– Nigdy nie jesteś – powiedział z goryczą. Jego kciuk wędrował po moim policzku, wzrokiem śledził jego ruch. Jakby chciał to zapamiętać. – Do licha, jakby teraz ktoś z karawany na nas patrzył, byłabyś spalona ze swoim przebraniem. – Jego dłoń głaskała mnie po twarzy. Czułam jego dotyk, mój oddech przyspieszył.

– Powiedziałabym, że teraz to właśnie ty nie zachowujesz ostrożności – Chyba dotarło do niego, co robił. Szybko cofnął rękę. Pozostał po niej zimny ból. – Poza tym – ciągnęłam – będziesz ze mną. Jakie kłopoty może sobie ściągnąć na głowę Atiyah, jeśli ma Sahkra? – Atiyah i Ziyah byli bohaterami historii miłosnej. Atiyah i Sahkr byli naszym żartem.

Nie roześmiał się. Wiedziałałam już, że cisza miała dla niego znaczenie. Coś przede mną ukrywał. Nagle zaświtało mi, że niedługo każde z nas pójdzie swoją drogą. Z ciotką Safiyah łączyły mnie więzy krwi, lecz Jina znałam. Nie chciałam go opuszczać. Sprawiał, że świat stawał się większy. Chciałam udać się do krajów, w których on bywał. A najbardziej chciałam, żeby zaproponował, bym podróżowała razem z nim. Ale nasz wspólny czas dobiegał końca.

W łagodnym świetle poranka wydawało się, że góry są jeszcze bliżej. Z niepokoju aż skręcało mnie w brzuchu. Ekscytacja związana z bliskością Dassamy, końcem pustyni i pierwszym przejawem cywilizacji, jaką widzieliśmy po upływie wielu tygodni, wdzierająca się do karawany z upływem dnia. Nasz marsz przez wydmy stawał się coraz

bardziej niespokojny. Dzieciaki biegały w tę i z powrotem wzdłuż rzędu wielbłądów, próbując naciągnąć każdego, kto chciał ich słuchać, na kilka louzi, żeby mogły kupić sobie łąkocie, kiedy dotrzemy do Dassamy. Mężczyźni i kobiety zaczęli głośno marudzić, że wypiliby szklaneczkę czegoś zimnego. Isra głośno męczyła Parviza o zapasy żywności. Że tym razem prawie ich zabrakło. Że trzeba będzie je uzupełnić, gdy tylko dotrzemy do miasta. Yasmin zajmowała swoich młodszych kuzynów zabawą, którą nazywała „Kiedy dotrę do miasta”.

– Kiedy dotrę do miasta, zdejmę stopy i kupię sobie nowe, mniej zmęczone. – Mały Fahim oklapł i bezwładnie machał rękami jak kukiełka.

– Kiedy ja tam dotrę – włączyła się jego siostra, ciągnąc go za połę koszuli – zjem sto ciastek yazdi!

– Sto?! – Yasmin udała zdumienie. – Jak zmieścisz tyle po zjedzeniu stu daktyli i stu kurczaków? – Wyliczała potrawy, które dziewczynka obiecała zjeść. Próbowałam zmusić swój żołądek, żeby przestał burczeć w odpowiedzi na to pytanie.

– A ty, Alidadzie? – zapytała Yasmin, próbując wciągnąć mnie w zabawę. – Co zrobisz, gdy dotrzemy do Dassamy?

Prawdę mówiąc, jedyne o czym marzyłam, to zmyć kurz ze skóry. Długa kąpiel zapewne zmieniłaby wannę w miniaturową wersję Morza Piasku. Ale nie mogłam tego zrobić, nie zdradzając swojego sekretu.

Ale bardziej niż o Dassamie myślałam o Izmanie, gdy zbliżaliśmy się do końca pustyni.

Kiedy nie było ojca, mama tak często powtarzała, że odnajdziemy jej siostrę w Izmanie, że stało się to w naszym domu niemal modlitwą. Ale nie wiedziałam, czy jeszcze tego chcę. Nie wiedziałam, czy sama tego chciałam, czy może mama chciała tak bardzo za nas dwie, że napędzało nas to przez lata.

Do licha! Ciotka Safiya może być taka podła jak ciotka

Farrah, a nawet jeśli nie, to nie byłam pewna, czy chcę oddawać się pod skrzydła kogoś, kto może rządzić moim życiem.

I nigdy już nie zobaczę Jina.

Nie odrywałam wzroku od jego pleców, kiedy uświadomiłam sobie, że przód karawany zatrzymał się.

– Co się dzieje? – Yasmin położyła dłoń na głowie Fahima, żeby nie pobiegł do przodu.

Przez całą długość karawany przebiegł pomruk, a ludzie podnieśli głowy, próbując zobaczyć, co dzieje się na przedzie, osłaniając oczy przed nisko wiszącym słońcem. Chcieli zobaczyć, ale karawana rządziła się swoimi prawami. Ja nie musiałam się do nich stosować.

Zaczęłam biec na przód karawany, która dotarła już na szczyt wydmy. Gdy wspinałam się pod górę, nade mną stał Parviz, zaś obok niego Jin z opuszczoną szimą. Wielbłądy uklękły, żeby odpocząć, nie rozumiejąc, dlaczego się zatrzymaliśmy.

Dotarłam na szczyt wydmy. Z początku nie rozumiałam tego, co widzę.

Tam, gdzie powinna być Dassama, znajdowały się ruiny. Stare, na wpół zburzone mury oświetlało zachodzące słońce, ostatnie światło tego dnia rzucało długie cienie na piasek. Wtedy uświadomiłam sobie, że to nie cienie.

Zaschło mi w ustach.

– Jak – powiedział Jin, akcentując każde słowo, kiedy stanęłam obok – pali się piasek?

≈≈≈

Im bliżej podchodziliśmy, tym gorzej to wyglądało. Tam, gdzie kamień nie był osmolony, skruszył się i zmienił w popiół. W niektórych miejscach sam piasek był czarny i zeszkłony. Nie odzywaliśmy się, idąc przez to, co zostało z wąskich ulic i spalonych domów. To nie był ogień.

Po przejściu ognia niektórzy ludzie mogli się uratować, można było przed nim uciec lub go ugasić, stłumić piaskiem.

Jin był pierwszym, który powiedział to, o czym oboje myśleliśmy, wyszeptał cicho, żeby nie usłyszała go reszta karawany:

– Nie ma ciał.

– Ciała palą się łatwiej niż kamień. – Kopnęłam odłamek, a on rozpadł się w pył. – Żaden ogień nie miałby szans, jeśli wszystko nie byłoby nasączone ropą.

– Bomba – powiedział Jin. To nie było pytanie, ale nie znaczyło również, że ma rację.

– Nie wygląda na to – odparłam.

Jin spojrzał na mnie kątem oka.

– Skąd wiesz?

– Przestań, chłopcze z Xichanu. – Zmusiłam się do lekkiego tonu. Wiatr szarpiący moją szimę miał smak popiołu i robiło mi się od tego niedobrze. – Chcesz powiedzieć, że nigdy nie wysadzałeś prochu strzelniczego razem z innymi dziećmiakami?

Jin zachnął się.

– Nie dorastałem przy fabryce broni.

Wzruszyłam ramionami.

– Kiedy wybucha bomba, zawsze jest jakieś epicentrum wybuchu. A tutaj budynki są spalone z każdej strony. – Jakby coś na nie spadło z góry i zalało miasto ogniem. Coś mi zaczęło świtać, ale nie wiedziałam jeszcze, o co chodzi. Wyszłam z za rogu i stanęłam jak wryta.

– Poza tym bomba nie oszczędziłaby domu modlitw.

Pośrodku zniszczenia stał najwyraźniej jedyny nietknięty budynek w całym mieście. Jego ściany nadal lśniły świeżą bielą, jęzory ognia zatrzymały się z dala od niego.

– Co tego dokonało? – wyszeptałam.

Jin pokręcił głową.

– Coś nie z tego świata.

– Mamy jeszcze jeden problem. – Doszliśmy do centrum miasta, skinęłam głową w stronę zwałów stopionego metalu i pokruszonych kamieni na środku placu. – Myślę, że tu była studnia.

Z niczym nie dało się pomylić strachu, jaki ogarnął całą karawanę, gdy wszyscy zobaczyli to, co ja. Nikt nie znał wartości wody tak dobrze jak ludzie z pustyni.

– Ile nam zostało wody? – Jin zapytał Parviza.

– Na jeden dzień. – Parviz był przygnębiony. – Na dwa, jeśli będziemy ją racjonować. Od Saramotai dzieli nas sześć dni drogi. – Rozpoznałam nazwę następnego miasta oazy, w którym mieliśmy się zatrzymać po odnowieniu zapasów w Dassamie.

– Do Fahali mamy dwa dni – powiedział Jin – o ile pójdziemy na zachód zamiast na północ.

– Ale to poza naszą trasą! – odparł Parviz zbyt szybko.

– Lepiej umrzeć niż pójść okrężną drogą, tak? – Jin skrzyżował ręce na piersi. Wzrok wbił w ziemię, lecz myślami krążył gdzieś daleko. Jakby miał na głowie ważniejsze rzeczy niż to, że wszyscy umrzemy z pragnienia. – Poza tym nie słyszę żadnych lepszych pomysłów.

Parviz zerknął na swojego brata, zwanego Wysokim Omanem. Mówiono na niego tak, żeby odróżnić go od pozostałych trzech Omanów w karawanie. Mężczyźni milcząco porozumieli się ze sobą. Wysoki Oman lekko pokręcił głową. Popatrzyłam na Jina, żeby sprawdzić, czy i on to widział, ale był pogrążony we własnych myślach.

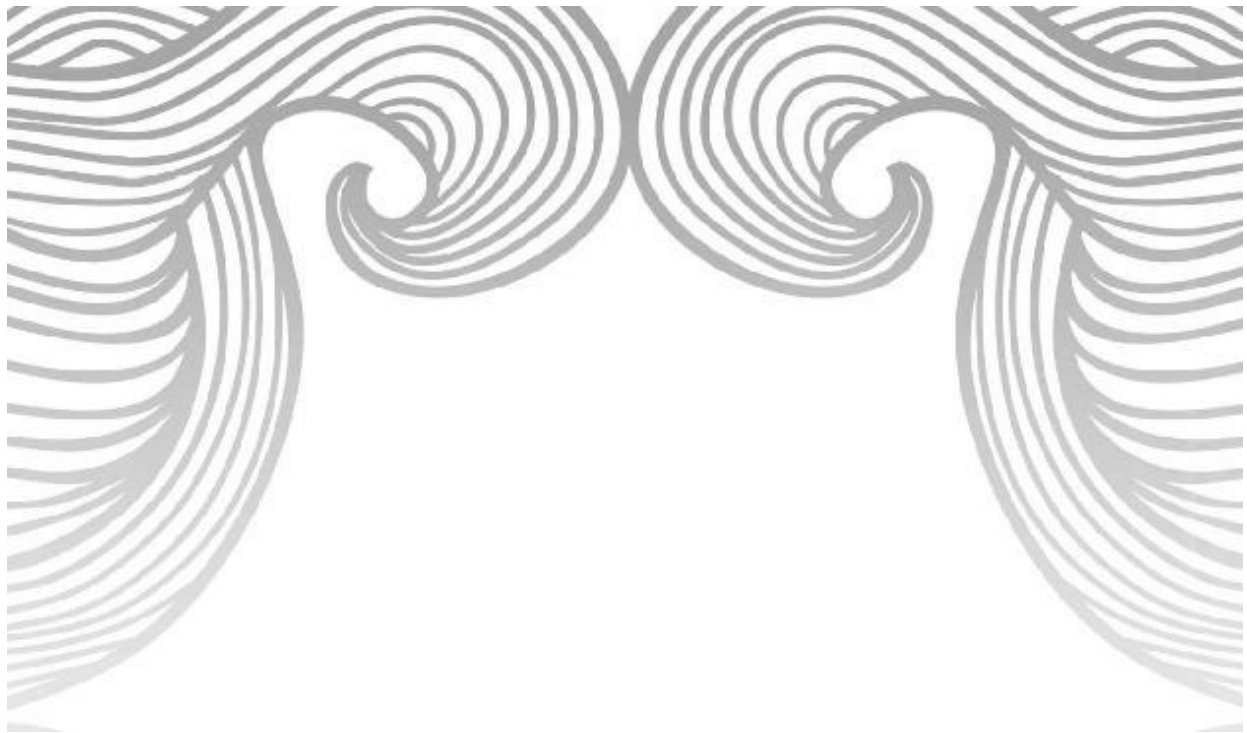
– Czy jest coś, co powinniśmy wiedzieć? – zapytałam. – O Fahali?

– To niebezpieczne miasto – rzucił zwięźle Parviz.

– To niebezpieczna pustynia – powiedziałam. Coś krył, ale jeszcze nie wiedziałam co. – Czyż nie dlatego nas zatrudniasz?

Zapadła pełna napięcia cisza. Potem Parviz skinął głową, był spięty.

– Dobrze, niech będzie Fahali. I módl się o dobry cel, młody Alidadzie.



CZTERNAŚCIE

Przez popołudniową mgiełkę widziałam góry Fahali wyglądające jak połamane zęby. Amonpour znajdowało się po drugiej stronie tych gór za Doliną Devy. A granica oznaczała żołnierzy. Zostaliśmy zatrzymani przy bramach przez strażników miejskich, znudzonych Mirajińczyków w bladożółtych mundurach, którzy leniwie przeglądali nasze juki, w międzyczasie rozmawiając z Parvizem. Większość członków karawany usiadła na piasku, opierając się o mury, gdy przeszukiwano ich torby.

Szliśmy prawie bez przerwy od Dassamy, zatrzymując się jedynie w najciemniejszych godzinach nocnych, kiedy marsz mógł narazić nas na śmierć ze strony złych duchów. Pamiętałam, co Jin powiedział podczas naszej pierwszej nocy na pustyni: pustynia wykorzystywała każdą słabość.

A my wciąż żyliśmy. Byliśmy Mirajińczykami i przetrwaliliśmy. Chociaż uginały się pode mną nogi, nigdy nie byłam dumniejsza z tego, że jestem dziewczyną z pustyni pośród ludzi wędrujących z Kolanami Wielbłąda.

Yasmin bezmyślnie przesuwiała między palcami monetę, od której odbijało się słońce. Na jej twarzy zagościł smutek, lecz zniknął szybciej niż słoneczny refleks. Zacisnęła dłoń na pieniądzu o nominale pół louzi. Parviz co chwilę odwracał oczy, gdy strażnik przeglądał jego rzeczy, miał nienaturalnie sztywne ruchy. Położyłam dłoń na rękojęści, nie zastanawiając się nawet, czego się obawiam.

Rozglądałam się za Jinem. Zauważyłam go dobre dwadzieścia kroków ode mnie – nasunął nisko kapelusz i oddalał się od karawany. Zapomniawszy o zmęczeniu i bolących nogach, podniosłam się i pospieszyłam za nim.

– Hej! – Pacnęłam go w ramię, dopadając go w chwili, gdy zniknął za rogiem. Odruchowo, zanim dotarło do niego, że

to ja, jedną ręką ścisnął mój nadgarstek, a drugą sięgał już po broń. Był bardziej podminowany niż bosy żebrak na gorącym piasku.

– Powinnaś wiedzieć, że nie można tak nikogo zaskakiwać, Bandytko. – Puścił moją rękę i próbował mówić swobodnie. Nie dałam się nabrać.

– A ty powinieneś wiedzieć, że tak łatwo mi się nie wymkniesz. – Znajdowaliśmy się na tyle daleko od Kolan Wielbłąda, że nikt nie mógł nas podsłuchać, ale i tak mówiłam cicho. – Coś przede mną kryjesz.

Jin roześmiał się, chociaż nie było w tym nic śmiesznego. Jakby nie wiedział, od czego powinien zacząć. Kiedy przeczesywał włosy dłonią, spadła jego szima. Po raz pierwszy od kilku tygodni widziałam go w pełnej krasie w świetle dziennym.

– Nie masz pojęcia o wielu rzeczach, Amani.

To była prawda. Jin niewiele mi mówił. Zdarzały się chwile, kiedy pękały mury, którymi się otoczył, a ja mogłam zajrzeć do środka – na przykład wtedy, gdy wyrwały mu się słowa o bracie czy nieżyjącej mamie – ale bardzo szybko zasklepił te pęknięcia.

– Czego więc nie wiem o Dassamie? – Pamięć o wypalonej ziemi zawisła między nami, sprawiając, że odechciało nam się podejmować jakąkolwiek próbę żartu. Oboje widzieliśmy całe miasto zniszczone przez płomienie. Od tego czasu prawie się do mnie nie odzywał. Jakby mnie unikał.

– Amani. – Wyciągnął rękę, żeby mnie dotknąć, ale opuścił ją w samą porę, bo bracia nie wykonywali takich gestów, a było nas widać od strony karawany. Obejrzałam się za siebie. Nadal trwało przeszukanie przy bramie. Jeden strażnik trzymał w ramionach kolorowe szale, które opadały do ziemi, przez co naraził się na krzyki Isry, która zaczęła je podnosić z piasku.

– Nie musisz iść przez pustynię, jeśli nie chcesz. – Skupiłam się na słowach Jina. Nie tego się spodziewałam.

Spoglądał na mnie uważnie, oceniając moją reakcję.

– O czym mówisz? – zapytałam ostrożnie.

– Stąd jeździ pociąg. Zatrzymuje się w placówce kilka godzin drogi z Fahali. Jedzie prosto do Izmanu. Jeśli masz ochotę, za kilka dni, mniej niż mam palców u rąk, możesz saczyć arak w cieniu pałacowych murów.

Pociąg. Podobny do tego, który wiozł mnie kilka tygodni temu po drugiej stronie pustyni. Prosta droga do stolicy, po szesnastu latach marzenia o niej, a on właśnie mi ją proponował. I nigdy już go nie zobaczę. Proponował mi sposób uwolnienia się od tej sytuacji. Żebym stanęła tyłem do Dassamy i tego, co wiedział, po czym odeszła w stronę życia, którego zawsze pragnęłam. A przynajmniej tak mi się wydawało.

– A jeśli nie tego chcę? – Miałam oczy zdrajcy i nie było możliwości, żeby błędnie zinterpretował moje słowa.

Wziął głęboki oddech. Nie umiałam stwierdzić, czy z ulgi, czy z rezygnacji. Kiedy wypuścił powietrze, zobaczyłam, że słońce Xichanu unosi się ponad horyzont jego kołnierza.

– W Sazi powiedziałem ci, że Sułtan produkuje broń dla Gallanów. Ale nie chodziło mi tylko o rewolwery.

– A o co? – Odkąd pamiętam, fabryka w Dustwalk nie produkowała niczego prócz rewolwerów. Jin zaciskał szczękę, jakby sprawdzał słowa. Wiele razy widziałam go w sytuacjach, kiedy patrzył w oczy śmierci i wymykał się jej jedynie z lekko przekrzywionym kapeluszem. Tym razem chodziło o coś innego. O coś większego niż kłopoty, w które się wpakował.

– Mówiono o innej broni – powiedział w końcu. – O czymś, nad czym pracowali daleko na południu. Bombie, która mogła równać z ziemią całe miasta, niczym boska dłoń. A nawet całe państwa!

Całe państwa, tak jak jego. Powiedział mi inne rzeczy o Gallanach: budowali imperium na granicach państw, dopóki nie udało im się zniszczyć ich magii. Taka broń, jaką

zniszczono Dassamę, pozwoliłaby im pochłonąć wrogów w całości.

– Myśleliśmy, że to coś, co można wypuścić i wystraszyć tym ludzi – ciągnął Jin. – Ale w końcu lepiej być bezpiecznym niż martwym. – Odetchnął głęboko, ale mój oddech był coraz płytszy. – Zostałem więc wysłany na obrzeża cywilizacji, żeby przekonać się, czy uda mi się coś znaleźć. I co za niespodzianka, natknąłem się na olbrzymią fabrykę broni. Wymyśliłem, że jeśli nawet istnieje większy wyznacznik cywilizacji, to ta fabryka coś znaczy. I może uda się osłabić Gallanów na jakiś czas i ograniczyć ich dostawy broni w różnych częściach świata. Kiedy ją wysadziłem, myślałem, że zlikwidowałem również potężną broń, która zdolna była zniszczyć całe miasta. Sądząc po spalonej oazie, Naguib dorwał się do niej wcześniej. Jeśli Sułtan wytwarzał dla Gallanów taką broń, nie będą potrzebowali nawet jednej kuli, żeby rzucić cały świat na kolana.

Sądziłam, że wiem, czym jest strach. Dorastałam w Dustwalk. Ale to był strach, który mnie pobudzał, kazał mi uciekać. Ten nowy zagnieżdżał się głęboko i mówił, że nie ma dokąd uciec. Sprawiał, że człowieka ogarniał paraliż.

– A Dassama była...

– Próba – dokończył ponuro. – Dowódca Naguib zapewne zawiózł broń do Izmanu, żeby przekazać ją dalej. Ale potrzebowali miejsca na przeprowadzenie testów. Jakiegoś miejsca, które Gallanie będą mogli zobaczyć na własne oczy. – Wobec tego Sułtan dał im jedno ze swoich miast, razem z ludźmi, by mogli wypróbować bombę, która mogła zaszkodzić światu. – Dassama była dużą bazą Gallanów, ale krążyły plotki, że w mieście dochodziło do buntów, na skutek czego tracili nad nim kontrolę. – Przypomniała mi się noc, kiedy się poznaliśmy w Deadshot. Nowy świt, nowa pustynia. Rebelia. Sułtan był sprzymierzony z Gallanami. Jego władza zależała od nich. Nigdy nie

przyszło mi do głowy, że Książę Buntownik może chcieć pozbyć się Gallanów oraz Sułtana. Podejrzewam, że Gallanie mieli taką świadomość.

– Sądysz, że ta broń jest gdzieś tutaj? – zapytałam. – W Fahali?

– To jedyne miasto w niedalekiej odległości od Dassamy – powiedział Jin. – Słyszałem, że w ostatnich miesiącach Gallanie podwoili tu swoje posterunki w pogoni za Księciem Buntownikiem. – Uśmiechnął się, jakby opowiedział dowcip.

Krzyczenie na niego byłoby małostkowe. Za to, że mi nie powiedział. Za to, że bez słowa próbował oderwać się od karawany.

– Narażasz nas na śmierć, odchodząc i szukając na własną rękę. A gdybym miała zginąć przez ciebie, wołałabym, żeby to się stało kilka tygodni temu, zanim przeszłam taki kawał drogi. – Może jednak byłam trochę małostkowa.

– Amani, nie masz żadnych związków z tym, jeśli ja... – Jin zamilkł. Spojrzałam na to, co przykuło jego uwagę. Zobaczyłam niebieskie mundury. Nie musiałam więcej patrzeć.

Chciałam uciekać, ale Jin złapał mnie za rękę i wciągnął w wąską boczną uliczkę. Objął mnie chłód cienia, oboje skryliśmy się w nim, gdy żołnierze Gallanu podeszli do Kolan Wielbłąda.

– Wszystkie karawany muszą poddać się przeszukaniu. – Gallański żołnierz mówił w języku Miraji z silnym akcentem, który wypląwał gdzieś z głębi jego krtani i brzmiał tak, jakby podczas mówienia przepłukiwał gardło.

– Już ich przeszukaliśmy. – Na przód wysunął się jeden z mirajińskich strażników. – Nic nie mają. Właśnie mieliśmy ich przepuszczać.

– Przeszukamy jeszcze raz. Rozkazy generała Dumasa. – Żołnierz przywołał gestem swoich ludzi.

Strażnicy miejscy przeglądali bagaże karawany leniwie, lecz żołnierze Gallanu rzucili się na nie z większym zapałem

i skutecznością. Patrzyłam, jak zrywali juki z wielbłądów i wysypywali resztki naszych zapasów na ulicę. Yasmin została zmuszona do podniesienia rąk nad głowę, podczas gdy żołnierze powoli ją przeszukiwali.

Nagle ktoś krzyknął. Młody Gallan podniósł to, co zostało z jednego z juków. Przeciął go nożem, odsłaniając warstwy skóry, po czym wyjął spomiędzy nich coś, co wyglądało jak jedwabny woreczek. Przechylił go i coś z niego wypadło, rozpierzchając się w popołudniowym wietrze. Wyglądało, jak niebieskie nici, cienkie jak włosy. Jin zaklął.

– Co to jest? – zapytałam.

– Lek – odpowiedział. – Sporządzone przy udziale magii, nie nauki. – To nie mogła być prawda. Na pustyni działało wielu zdesperowanych szarlatanów, którzy sprzedawali czerwoną wodę i twierdzili, że to lek z krwi Dżina, ale nikt w to nie wierzył. Ale przecież nikt by tego nie chował pod podszewką juków. – Magia będzie kogoś kosztowała głowę – powiedział ponuro Jin. – To dlatego Parviz próbował uniknąć tego miasta.

Przyglądałam się, jak wyciągają Parviza i rzucają go na kolana przed żołnierzem mówiącym w języku Miraji. Położyłam dłoń na rewolwerze w tej samej chwili, gdy żołnierz z Gallanu wyjął swój. Nagle poczułam gniew. Nie byli częścią naszej pustyni. Nie byli ze mną spokrewnieni. To ja byłam dziewczyną z pustyni. I nienawidziłam tej części siebie, która wywodziła się od tych ludzi.

Mogłabym go zastrzelić.

Ta myśl pojawiła się w mojej głowie tak szubko, jak kula w lufie. Może nie uda mi się uratować Parviza, ale mogłabym spróbować. Zanim wykonałam jakiś ruch, z grupy wyszła Yasmin, przepychając się między strażnikami. Rzuciła się pomiędzy ojca a żołnierza, stanęła na linii mojego strzału. Żołnierz nie opuścił broni, teraz celował w Yasmin zamiast w Parviza. Położył palec na spuście. Mój już był gotowy.

– Stop. – Na przód wysunął się strażnik. – Tutaj go nie

zabijesz.

– Prawo mówi, że należy wykonać egzekucję – powiedział żołnierz z Gallanu. – To rozkaz generała Dumasa. – Ponownie wymówił to nazwisko, jakby miało moc sprawczą samego Boga.

– Zgodnie z prawem przemytnicy muszą stanąć przed sądem, zanim nastąpi egzekucja – odparł żołnierz z Mirajin. – Rozkazy księcia Naguiba.

Poczułam, że na dźwięk tego imienia Jin podskoczył podobnie jak ja. Naguib był tutaj. Dowódca Naguib, który przyłożył broń do mojej głowy i przestrzelił Tamidowi kolano. Akurat on miał ich ocalić. Rewolwer wrócił do kabury.

Przylgnęłam z powrotem do chłodnej ściany, gdy odprowadzano karawaniarzy do więzienia. Jin i ja nie ruszaliśmy się z bocznej alejki. Gdy ucichły kroki, jego ciało się odprężyło.

– Wiesz, nigdy nie wierzyłem w przeznaczenie, dopóki cię nie spotkałem – powiedział, z powrotem opierając głowę o mur i wzdychając. – Potem zacząłem myśleć, że los nie może mieć tak wypaczonego poczucia humoru.

– Jesteś naprawdę czarujący, mówił ci to ktoś?

– Szczerze mówiąc, tak, ale zwykle nie przewracano przy tym oczami.

Czekaliśmy w ciszy. Nad nami wisiał sznur z praniem, które schło w popołudniowym słońcu, a ja zastanawiałam się nad naszą sytuacją. Utknęliśmy w mieście z Gallanami, ich potężnym niszczycielem miast i Naguibem, i zostaliśmy odłączeni od karawany.

– Musimy się stąd wydostać – powiedziałam.

– A co z pozostałymi, Bandytko? – Ilekroć tak się do mnie zwracał, coś, czego nie mogłam rozumieć, ciągnęło mnie do niego. – Planujesz ich tak zostawić?

Nie planowałam, że ich zostawię.

– Niczego nie planuję – powiedziałam. – Nie sięgałam tak daleko myślami. – Ale naprawdę o tym pomyślałam, Jin

miał rację. Wiedziałałam, że większość członków karawany Kolana Wielbłąda zrobiłaby tak samo, będąc na moim miejscu. To była pustynia. Tutaj dbało się o najbliższych i samego siebie. Resztę zostawiało się na śmierć. Tak jak Tamida.

– Jutro odjeżdża bezpośredni pociąg do Izmanu – powiedział Jin. – Twoje plany powinny się zamykać w tym czasie.

– Pojedź ze mną – powiedziałam to za szybko. – Nie znajdziesz tu bomby, zabiją cię. Przecież to wiesz. A jeśli zostaniemy tu dłużej, oboje skończymy tak samo.

Między nami zapadła cisza. Patrzyłam, jak unoszą się jego ramiona, gdy brał głęboki oddech. Potem drugi. Trzeci.

– Dobrze.

– Dobrze? – Byłam przygotowana na dyskusję z nim i zaciągnięcie go ze sobą. Ale do sprzeczki nie doszło przez to jedno słowo. – I tyle? Nie będziesz próbował swojej gadki, żeby przekonać mnie do swoich racji?

– Dobrze – powtórzył Jin. Rozłożył szeroko ramiona, jakby się poddawał, choć zaciśnięte usta sprawiły, że wyglądał, jakby wcale nie miał takiego zamiaru. – Masz rację. Więc co według ciebie powinniśmy zrobić?

Czułam się pewniej niż kiedykolwiek.

– Możemy dalej uciekać, Jin. Jeśli tak trzeba.

– To znaczy, jeśli będę chciał. – Jego oczy szukały moich, przez sekundę były tak samo ciemne i skupione, jak wtedy, gdy pocałował mnie w pociągu. Moje spojrzenie było prawdopodobnie jak wtedy, gdy po raz ostatni staliśmy tak blisko siebie. Na granicy życia i śmierci. Potrzeby i pożądania.

– Powiedz, że nie możemy tego zrobić. – Jin przerwał moje rozmyślenia. – Powiedz mi, że mimo starań, we dwoje nie damy rady uwolnić członków Kolan Wielbłąda i wyprowadzić ich bezpiecznie z miasta. Do licha, powiedz mi, że nie uda ci się tego zrobić w pojedynkę, nawet jeśli się uprzesz, tak

jak to potrafisz. – Na jego twarz wracał uśmiech. – Powiedz to i pójdziemy sobie. Od razu. Pójdziemy i uratujemy się, a ich zostawimy na pewną śmierć. Powiedz tylko jedno słowo. Powiedz mi, że chcesz, żeby twoja historia potoczyła się w ten sposób, a napiszemy ją od razu na piasku i morzu. Tylko powiedz.

Moja historia.

Całe życie spędziłam, marząc o własnej historii, która miała się zacząć, kiedy dotrę do Izmanu. Historii napisanej w odległych miejscach, jakich nie znałam i nie umiałam ich sobie wymarzyć. W drodze do tego miejsca zrzucę z siebie pustynię, aż nie zostanie na mnie nic, co mogłoby pobrudzić kartki.

Ale Jin miał rację. Byłam dziewczyną z pustyni. Nawet w Izmanie będę nadal tą samą Niebieskooką Bandytką, której matka została powieszona i która zostawiła umierającego przyjaciela.

Tak naprawdę nie chciałam, żebym odpowiedziała. Zbyt łatwo się poddałam. A może znał mnie zbyt dobrze.

– Masz jakiś pomysł, Bandytko?

I w taki prosty sposób znów byliśmy drużyną.

Odrzuciłam głowę do tyłu. Pomiedzy dwoma oknami pranie leniwie falowało unoszone gorącym pustynnym powietrzem.

– Kilka.

≈≈≈

Po raz pierwszy odkąd opuściłam Dustwalk, byłam ubrana jak dziewczyna. Prosty, niebieski khalat, który ukradliśmy ze sznura, był na mnie za ciasny w ramionach, bo pod spodem miałam swoje męskie ubrania.

– Prawie zapomniałem, że pod spodem jesteś dziewczyną. – Jin zmierzył mnie wzrokiem, a ręce założył za głowę. Nadal był trochę niewyspany. Wyczerpanie dało o sobie znać, gdy czekaliśmy na zapadnięcie ciemności i oboje zasnęliśmy

w wąskiej uliczce, która dawała nam schronienie. Obudziłam się ze sztywnymi plecami i ramieniem Jina przerzuconym przeze mnie, jakby tym razem próbował powstrzymać mnie od ucieczki podczas jego snu. Ale nie było takiej możliwości. Już wyczerpałam swój limit zostawiania ludzi w potrzebie.

– Chciałeś mieć rolę dziewczyny? – zapytałam, poprawiając czerwoną szmę, którą obwiązałam wokół talii jak pas.

– Wyglądasz lepiej jako dziewczyna niż ja. – Puścił do mnie oko, a ja przewróciłam oczami.

Nasz plan był prosty. Miałam udać się do miejskiego garnizonu i wrócić z informacją, gdzie znajduje się więzienie. Zwykle w garnizonie stacjonowali mirajińscy strażnicy, ale tutaj chyba połowa z nich musiała przenieść się do namiotów, podczas gdy ich miejsce zajęli żołnierze Gallanu. Jak już będziemy wiedzieli, gdzie są członkowie Kolan Wielbłąda, będziemy mogli wymyślić coś, żeby ich wyciągnąć. Gdyby ktoś mnie pytał, miałam powiedzieć, że przyszłam po wodę, jak czyniły to wszystkie kobiety, krzątając się tu i tam przez cały dzień.

Jak się okazało, plotki rozchodziły się tutaj szybciej niż woda w Fahali. Kolana Wielbłąda nie była jedyną karawaną, która się tu pojawiła z popękkanymi ustami i szokującymi wieściami o Dassamie. Zapasy żywności w mieście skurczyły się przez dodatkowe gęby do wyżywienia, karawany i żołnierzy. Racjonowano wodę, połowa studni i pomp była zamknięta. Ale nie w garnizonie.

– Będę w pobliżu, gdybyś miała jakieś kłopoty. Trzymaj się na widoku. – Wskazał na dach, z którego rozciągał się dobry widok na garnizon – na tyle dobry, że sprawny strzelec mógłby trafić znajdującego się tam żołnierza. Ja lepiej strzelałam. Ale on miał rację: byłam też lepszą dziewczyną. Co oznaczało, że musiałam zdać się na Jina w kwestii swojego bezpieczeństwa.

Znajdowałam się niedaleko wojskowego garnizonu, ale

chłód wieczora sprawił, że na ulicach było tłoczno. Nie podnosiłam wzroku, przedzierając się przez tłumy w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Prawie zapomniałam, jak to jest być dziewczyną w Miraji. Nie rzucałam się w oczy, ale inaczej niż wtedy, gdy byłam chłopakiem. Nie dlatego, że byłam taka sama jak inni. Dlatego, że nic nie znałam.

Nikt w Miraji nie miał takiego mniemania o dziewczynie, żeby posądzić ją o bycie szpiegiem.

Garnizon składał się z czterech długich, niskich baraków pomalowanych na biało i zbudowanych wokół nieubitego placu. Oprócz więzienia były tam także sypialnie, kuchnia, magazyn oraz stajnie. Przynajmniej tyle usłyszałam od Jina. Jedyne, co miałam zrobić, to dowiedzieć się, który z nich był więzieniem.

Starałam się wyglądać tak, jakbym nie odrywała wzroku od swoich stóp, gdy szłam przez zakurzony dziedziniec. Żołnierze ćwiczili na nim strzelanie do różnych celów. Jeden z gallańskich żołnierzy miał rewolwer zakończony czymś ostrym – nigdy nie widziałam tak zamocowanego noża. Wypalił do kukły z materiału, po czym podbiegł do niej i wbił ostry koniec w brzuch figury.

Pośrodku placu znajdowała się pompa z wodą, stało przy niej trzech żołnierzy i pobierało opłatę od każdego, kto chciał jej użyć. Kolejka kobiet z wiadrami wspartymi o biodra prowadziła pod samą pompę. Wszystkie miały spuszczone wzrok, jakby chciały pozostać niezauważone przez tych uzbrojonych mężczyzn wokół. Nie miałam wiadra. Miałam tylko nadzieję, że nikt tego nie zauważy ani nie będzie zadawał mi żadnych pytań.

Dziewczyna na przedzie kolejki była w moim wieku i nosiła zakurzony, różowy khalat. U jej boku pętała się mała dziewczynka ssąca swoją piastkę. Odziana w róż dziewczyna nie miała monety, lecz błagała o to, by pozwolili jej zaczerpnąć wody. Oczy miała zaczerwienione od płaczu.

Usłyszałam, co mówi, gdy przechodziłam. Jej rodzina była bardzo spragniona, mówiła. Spragniona i biedna. Nie mogła zapłacić nowego podatku za wodę, ale błagała ich o litość. Żołnierze pochłaniali ją wzrokiem w taki sposób, jak wycieńczone kobiety patrzyły na pompę z wodą.

Dwóch żołnierzy z Gallanu zaczęło się naradzać w swoim brzydkim języku. Potem jeden z nich z jasnymi oczami, takimi jak moje, i nienaturalnie żółtymi włosami skinął na dziewczynę i kazał jej iść za sobą. Dziewczyna przykucnęła, odczepiła dziecko od khalatu i podała mu wiadro. Byłam już zbyt daleko, ale domyśliłam się, że kazała dziewczynce poczekać. Mała zrobiła niepewny krok, żeby pójść za nią, ale złapała ją jedna z kobiet z kolejki. Trzymając dziecko, splunęła w stronę dziewczyny w różowym.

– Dziwka obcokrajowców! – zawołała tak głośno, że mogłam ją usłyszeć. Dziewczyna skuliła się.

Pomyślałam o mojej mamie. Zanim zdążyłam się opanować, ruszyłam w ich stronę. Nie miałam żadnego planu, nie miałam przy sobie broni, ale wymyślę coś po drodze.

Byłam pięć kroków za nimi, kiedy zatrzymałam się jak wryta, gdyż rozpoznałam dwie postaci, które wyszły z budynku. Naguib był ubrany w złoty mundur Miraji z dwukrotnie większą liczbą guzików niż wtedy, gdy widziałam go po raz pierwszy w Dustwalk. Wyglądał tak, jakby musiał się prężyć, żeby mundur dobrze na nim leżał. Natomiast Gallan stojący obok niego sprawiał wrażenie, jakby przyszedł na świat w mundurze. Był dość stary – mógł być ojcem Naguiba – oraz o głowę od niego wyższy. Miał na mundurze czerwone frędzle, ale mimo to nie wyglądał jak poduszka, frędzle bardziej przypominały mi blizny. Żołnierz puścił rękę płaczącej dziewczyny i zasalutował przed dowódcą.

– Generale Dumas.

Więc to był generał Gallanów. Ten, którego nazwisko wymawiali tak, jakby samodzielnie stanowił prawo. Ten, który przeprowadził tu pół armii, żeby ścigać Księcia Buntownika. Ten, który kazał spalić całe pustynne miasto, testując działanie broni zdolnej do podbicia świata.

Może i byłam niewidzialna jako kobieta, ale Naguib na pewno mógł mnie rozpoznać. Szybko się odwróciłam, szukając wzrokiem drogi ucieczki. Z prawej strony znajdowały się jakieś drzwi. W ich drewnie głęboko wryto święte słowa. To mogło znaczyć tylko jedno: dom modlitwy. Gallanie nie czcili tego samego boga, wiedziałam to od Jina. Drzwi otworzyły się pod naciskiem mojej dłoni, weszłam do środka, zamykając je za sobą.

Powitał mnie szmer modlitwy zmieszany ze szlochem.

Przez kraty w oknach wsączały się do środka ostatnie promienie słońca. Drewno w niektórych miejscach spróchniało, więc światło wpadało w nierównych snopach. Tam, gdzie oświetlało podłogę, widziałam, że kafle zostały pokruszone w pył. Gdy mój wzrok przywykł do ciemności, uświadomiłam sobie, że modli się jedna dziewczyna, klęcząca, z rękoma przykutymi łańcuchami do ściany. Twarzą dotykała podłogi, jej rozpuszczone, zmatowiałe włosy miały czerwony odcień, jakby wypłowieły od słońca. Jakby zostały pofarbowane. Albo zakrwawione.

Coś jeszcze poruszyło się w pomieszczeniu. W plamie światła pojawił się żołnierz ubrany w złoty mundur. Cofnęłam się w stronę drzwi, ale było już za późno. Zobaczył mnie.

– Przyszłaś się pomodlić? – zapytał z nutką sarkazmu w głosie. Coś zagrzechotało w jego rękach. Łańcuchy. To nie był dom modlitw, przynajmniej od jakiegoś czasu. To była część więzienia. – Nie mamy Świętego Ojca, ale i tak możesz do nas dołączyć.

Przez jedną głupią chwilę mogłabym przysiąc, że te słowa wypowiedział Tamid. Wróciłam myślą do niezliczonych,

pokrytych kurzem dni, kiedy klęczałam obok Tamida i powtarzałam święte słowa. Już po chwili znowu znalazłam się w terażniejszości, a Tamid nie żył. To tylko podobny akcent – uświadomiłam sobie. Przypominał ten z Ostatniego Okręgu. Było w nim jeszcze coś znajomego. Coś, co nie łączyło go z Dustwalk, ale i tak dobrze go znałam. W końcu jego twarz znalazła się w świetle, miał nienaturalnie jasne oczy, wreszcie go sobie przypominałam.

– Znam cię – powiedziałam. Z drugiej strony pustyni, ze sklepu mojego wuja, kiedy Jin krył się pod ladą, a dowódca Naguib pojawił się w środku. *Ta pustynia jest pełna grzechu.* Wygadany, niechlujny dzieciak z oczami podobnymi do moich, który wówczas osłaniał dowódcę.

– A ja ciebie. – Zmarszczył brwi i opuścił ręce, grzechotanie kajdan zagłuszyło modlitwę dziewczyny. Jego twarz przybrała wyraz skupienia. – Jesteś tą dziewczyną ze sklepu.

– Więc zostałeś tu zesłany za pyskowanie? – zapytałam. Nie mogłam się powstrzymać.

– Nie. – Jego akcent wydawał się wyraźniejszy, gdy mówił do mnie, słyszałam w nim mój własny zaśpiew charakterystyczny dla Ostatniego Okręgu. – Po prostu jestem wyjątkowy.

– Masz o sobie wysokie mniemanie. – Modlitwa dziewczyny stała się głośniejsza. – A co z nią?

– Ona też jest wyjątkowa – powiedział żołnierz.

Podejrzewałam, że musieli rozwścieczyć dowódcę Naguiba do szaleństwa, skoro kazał ich tu zamknąć z dala od reszty przestępców.

– A gdzie byście się znaleźli, gdybyście nie byli tacy wyjątkowi? – zapytałam.

– Czyżbyś próbowała się dowiedzieć, gdzie znajduje się więzienie? – Młody żołnierz przejrzał mnie na wylot.

Nerwowo oblizałam suche usta. Nie powinnam mu ufać. Był żołnierzem. Ale był również więźniem. A to mogło znaczyć, że znaleźliśmy się po jednej stronie. A przynajmniej

mieliśmy tego samego wroga.

– Gdybym pomogła ci się stąd wydostać, powiedziałbyś mi, gdzie jest? – Dotknęłam kajdan na jego rękach. Jego nadgarstki były bardzo ciepłe. Obiecałam Jinowi, że nie zrobię niczego głupiego. Ale jeśli mieliśmy wyciągnąć stąd członków karawany, moglibyśmy również uratować jeszcze kogoś innego. Jin umiał otwierać zamki. Powiedział mi o tym na pustyni. Było to któregoś razu, gdy zaczął mówić o czymś, czego nauczył się razem z bratem, po czym nagle ugryzł się w język.

– A dokąd bym uciekł? – zapytał.

– Nie wiem – przyznałam. Oboje znajdowaliśmy się bardzo daleko od domu. – Gdzie tylko byś chciał.

Podskoczyłam na odgłos wystrzału z zewnątrz. Potem zrobiło się cicho. Słysząc było tylko modlącą się dziewczynę.

– Amani. – Zaskoczyło mnie moje imię w ustach młodego żołnierza. – To ty, prawda?

– Skąd wiesz?

– Twoja kuzynka dużo o tobie gadała. Ta ładna z ciemnymi włosami. – To Shira, która wydała mnie w pociągu. Musieli ją ze sobą zabrać, żeby mnie odnaleźć, a przeze mnie również Jina.

– Co się z nią stało? – zapytałam. Próbowwała mnie zabić. Nie powinna mnie obchodzić. – Żyje?

– Okazała się mniej przydatna, niż naobiecowała dowódcy. Choć może po prostu okazało się, że nie było cię tam, gdzie powinnaś. Została z Sułtanem w Izmanie. – Sułtan raz pobił na śmierć kobietę, którą kochał. Co stanie się z dziewczyną, która nie miała nikogo bliskiego w Izmanie?

– Nazywam się Noorsham – powiedział. – Nawet mnie nie zapytałaś. – A co stanie się z tym biednym, cherlawym chłopakiem z końca pustyni z gębą zbyt pyską jak na żołnierza?

Za drzwiami ktoś rozmawiał. Dziewczyna zaczęła modlić się jeszcze gorliwiej. Podniosłam się gwałtownie.

– Powinnaś się ukryć – powiedział Noorsham, patrząc na mnie poważnie swoimi niebieskimi oczami.

Z bijącym sercem wycofałam się poza zasięg światła lampy. W tylnej części dużego domu modlitewnego zmienionego na więzienie nie było światła. Skryłam się w cieniu w chwili, gdy drzwi zostały otwarte. Naguib i generał Dumas weszli do środka. Jin powiedział, że nie wierzył w przeznaczenie, dopóki mnie nie spotkał; zaczynałam wierzyć, że miał rację. Od złapania dzieliła mnie jedynie cienka zasłona ciemności oraz Noorsham, trzymający język za zębami.

Jednak Naguib i generał Dumas nie zwracali uwagi na Noorshama. Zatrzymali się przed modlącą się dziewczyną.

– To ona? – Generał Dumas mówił w języku mirajińskim lepiej niż żołnierz, który aresztował Kolana Wielbłąda, jakby wygładził wymowę przez lata praktyki. Zerknął na Noorshama. – A ten?

– To tylko żołnierz, który nie potrafi wykonać prostego rozkazu – powiedział Naguib. Nawet ja wiedziałam, że niewykonanie bezpośredniego rozkazu w wojsku oznaczało natychmiastową karę śmierci. Jeśli nie wyciągnę stąd Noorshama, nie dożyje do rana.

– Nieposłuszni żołnierze przynoszą ujmę swojemu dowódcy – powiedział generał Dumas. Szczeka Naguiba drgnęła. – Nie darzą cię szacunkiem. – Generał wyjął broń. Dziewczyna nadal trzymała głowę na podłodze. Generał Dumas chwycił ją za włosy i odchylił. Jej modlitwa zmieniła się w krzyk bólu.

– Proszę! – błagała. – Nie chciałam tego zrobić!

– Rozepnij kajdany – rozkazał generał. Naguib wzdrygnął się, słysząc rozkaz, ale generał albo tego nie zauważył, albo było mu to obojętne. Naguib zrobił, co mu kazano i przekręcił klucz w zamku.

W chwili, gdy pęta spadły, coś stało się z dziewczyną. Zmieniły się rysy jej twarzy. Broda wydłużyła się, nos

spłaszczyl, oczy zapadły w głąb jej głowy, po czym znowu wyszły do przodu. Rysy zmieniały jej się tak szybko, jakby tasowała talię kart w poszukiwaniu takiej, która mogła ją uratować. Czy była Skórozmienną? Na pewno nie była człowiekiem.

Generał patrzył na nią ze znudzoną miną, po czym przytknął lufę do czoła dziewczyny. W jednej chwili przestała się przekształcać i zastygła z twarzą kobiety z okrągłymi policzkami i wysokimi brwiami. Gallan wciąż trzymał ją za włosy.

Byłam bezradna. Stałam w ciemności, niezauważona, a ktoś miał umrzeć na moich oczach. Podobnie jak wtedy, gdy naprzeciw mnie przetrzymywano Tamida z rewolwerem przy nodze.

Od ścian odbiła się modlitwa za zmarłych. Rozbrzmiała w *crescendo*, gdy prosiła o przebaczenie za swoje grzechy. Zamknęłam oczy.

Strzał. Poczułam go aż gdzieś w środku.

Modlitwa nagle ucichła. Przygryzłam kciuk, żeby powstrzymać się od krzyku.

– Trzeba będzie spalić jej ciało. – Z mroku dobiegł mnie głos generała. – I każdemu, kto o nią zapyta, mów, że jest naszym więźniem.

Kiedy otworzyłam oczy, dziewczyna leżała na podłodze bez ruchu, wokół jej głowy zbierała się kałuża krwi. Noorsham wycofał się pod ścianę tak daleko, jak pozwoliły mu łańcuchy i także patrzył na ciało.

– Dlaczego? – zapytał Naguib. Choć raz jego głos stracił pewność i zadziorność. – Już nie żyje. Po co mamy udawać?

– To jedna z rozgrywek, jakie prowadzimy, książę. Twój ojciec i ja. – Generał Gallanów schował broń do kabury. – Jak wiesz, byłem tam tej nocy, gdy doszło do zamachu stanu. Tej nocy, gdy twój ojciec zasiadł na tronie. Byłem wtedy tylko młodym żołnierzem. Ale stałem za moim generałem, gdy twój ojciec się z nim dogadywał i wiem lepiej

niż inni, co zostało powiedziane. Możliwe, że lepiej niż mój król. Wiem, że Sułtan publicznie przyjął nasze zwierzchnictwo, ale nie wyraził zgody na to, byśmy uwolnili wasz kraj od grzesznej wiary w demony, którą zwiecie religią. Wiem także o tym, o czym nie mówiono głośno, lecz przyjęto za obopólną zgodą.

Naguib zaczerpnął powietrza, jakby chciał odpowiedzieć, ale generał nie dopuścił go do głosu. Wydawało się, że dopiero się rozpędza.

– Moja matka również oddała się demonowi, podobnie jak żona twojego ojca, matka tego zbuntowanego syna, który wymknął się spod kontroli. Moja matka urodziła taką wrzeszczącą, zieloną kreaturę zamiast dziecka. Ojciec zrobił to, co powinien. Kazał matkę zakuć w żelazo i wrzucił ją do morza, by utonęła. Dziecko dał mnie, żebym coś z nim zrobił. Wyglądało, jakby wyszło z ziemi. Więc zwróciłem je ziemi. Płakało jeszcze, kiedy łopata rzucałem na nie piasek.

Widziałam, jak zaciska się gardło Naguiba, jakby przełykał swoją odpowiedź.

– Kiedy ten demoniczny dzieciak urodził się w pałacu Sułtana, podziwiałem twojego ojca, że własnymi rękami postanowił zabić żonę, tak jak nakazywało prawo Gallanów. Pamiętam, że myślałem, że dokonaliśmy dobrego wyboru, a ten mężczyzna rozumie wartości ważne dla Gallanów, chociaż nie wszyscy w twoim kraju je podzielają. W związku z tym, żeby zamknąć gęby wieśniakom, udajemy, że te dzieci demonów są tolerowane, a po cichu są nam przekazywane i zapomina się o nich. Jednak twój strażnik próbował ukryć przed nami tę dziewczynę i oddać ją tobie.

– Strażnik z miasta nie nawykł do tak licznej obecności Gallanów. Nie znają waszych zwyczajów. – Naguib mówił takim tonem, jakby przekomarzał się z rodzicem.

– Pustynia się zmienia. – Generał go zignorował. – Twój zbuntowany brat ma coraz większe wpływy. A Dassama jest

dla nas wielką stratą.

– Nie jest moim bratem. – Naguib splunął. – Mój ojciec się go wyrzekł.

– Jesteś dla niego większą ujmą jako brat niż on dla ciebie.
– Generał Dumas warknął. – W Izmanie mówi się, że wasz ojciec często wspomina, że żałuje, iż jego synowie nie są tacy silni i mądrzy jak ten, którego odrzucił. Sądziś, że nie wiem, że okazałeś mu swoje lekceważenie, przyjeżdżając tu na demonicznych piaskowych koniach?

Piaskowe konie. Miał na myśli Buraqi. Serce mi podskoczyło.

Jeden Buraqi wystarczył, żeby odwrócić uwagę ludzi w Dustwalk na dość długo, by Jin mógł się wymknąć i wysadzić fabrykę. Jeśli tutaj było ich więcej, można będzie nieźle namieszać.

– Nie ma takiego prawa... – zaczął Naguib.

– Nie, tylko gry, w które gramy – przerwał mu generał Dumas. Zrobił krok do przodu, Naguib cofnął się. – Zdobyłem pierwsze belki, ponieważ zabiłem trzech twoich wujów tej nocy, gdy twój ojciec sięgał po władzę. Ludzi, którzy byli zwolennikami grzesznych magicznych obrzędów i demonów, podobnie jak twój dziadek. Bardzo dobrze wychodzi mi pozbywanie się książąt. Jestem tutaj, żeby odnaleźć i zabić twojego brata, ale to ja decyduję, kto jest moim wrogiem, młody książę.

– Mój ojciec...

– Twój ojciec ma więcej synów niż jest godzin w ciągu dnia. Zastanawiam się, czy w ogóle zauważył, że wyjechałeś.

Generał Dumas odwrócił się na pięcie i odszedł. Naguib chwilę zwlekał, razem z Noorshamem patrzyli na odchodzącego generała. Kiedy jego kroki ucichły, Naguib ponownie się odezwał, zwracając się do Noorshama, ale mówił zbyt cicho, bym mogła go usłyszeć. A potem Naguib również wyszedł.

Oparłam się o ścianę, drżąc. W środku było już prawie

całkiem ciemno.

– Amani? – W mroku rozległ się głos Noorshama. Nie miałam dużo czasu. Jin będzie zaraz próbował mnie znaleźć.

– Noorsham. – Wyszłam z cienia. Ledwie go widziałam w świetle lamp przenikającym z zewnątrz przez szczeliny w drzwiach. Był wystraszony. – Powiedz mi, gdzie jest więzienie i stajnie, a wyciągnę cię stąd.

≈≈≈

Zastanawiałam się, czy Jin mógł mnie widzieć ze swojego miejsca na dachu. Było już ciemno i nawet w jasnym świetle księżyca nie dało się wypatrzeć człowieka z bronią leżącego na dachu nad garnizonem. Mówił mi, żebym nie robiła niczego głupiego. Ale zostawienie otwartego okna w stajni było cholernie głupim posunięciem. Więc byłabym cholernie głupia, gdybym tego nie wykorzystała.

Chwyciłam się krawędzi dachu i powoli opuszczałam, stopą szukając parapetu. Niejeden raz wchodziłam i wychodziłam od Tamida przez okno z posiniaczonymi plecami, żeby przehandlować jedną z moich książek za kilka tabletek przeciwbólowych. Mogłam z łatwością zawisnąć z dachu, podobnie jak wisiałam na zewnętrznym parapecie okna Tamida. A przynajmniej miałam takie same szanse na upadek i rozbicie sobie głowy jak wtedy.

Okienko było bardzo małe. Musiałam precyzyjnie przeczisnąć się przez nie tak, jakbym nawlekała na igłę wełnianą nić. Kamień podrapał moje biodra.

Wzięłam głęboki wdech i puściłam się.

Przez jedną mrozącą krew w żyłach sekundę jedyne, co widziałam, to gwiazdy, a jedyne, o czym myślałam, to głupota nieśmiertelnych stworzeń, które nigdy nie widziały śmierci, więc nie wiedziały, że trzeba się jej obawiać.

Plecami zawadziłam o parapet, aż zdarłam z nich skórę. Łokciem uderzyłam w mur chwilę przed tym, jak stopy

zderzyły się z podłogą, wstrząsając każdym stawem w moim ciele.

Podnosząc się, puściłam wiązaną przekleństw w swoim języku oraz każdym innym, w którym Jin nauczył mnie kląć. Po obu stronach znajdowało się kilkanaście boksów zwróconych przodem do siebie, a żelazne sztaby zabezpieczały drzwi.

Powietrze w stajni przypominało pustynne niebo przed burzą piaskową. Czułam je w całym ciele. Dziesiątki ciał poruszały się, zamknięte w swoich boksach, a magia ścierała się z żelazem. Głowy stworzeń ciekawsko wyglądały zza drzwi boksów.

Buraqi.

W życiu nie widziałam tylu nieśmiertelnych stworzeń, a tym bardziej zgromadzonych w jednym miejscu; prawie wszystkie przegrody były zajęte. Pomyślałam jednak, że skoro te konie żyły wiecznie, sułtani z Miraji mieli dość czasu, żeby wypełnić nimi pałacowe stajnie. Zastanawiałam się, czy któreś z nich były końmi ze znanych legend. Tymi, na których przez pustynie jeździli bohaterscy książęta, żeby przed zapadnięciem nocy uratować swoje ukochane.

Żelazna sztaba na pierwszych drzwiach odsunęła się z takim hukiem, że mogłaby zbudzić zmarłych. Ale wręcz przeciwnie, wszystko wokół mnie ucichło. Odetchnęłam głęboko, nie odrywając palców od chłodnego żelaza. Otworzyłam drzwi, choć byłam bliska paniki.

Głowa, która podniosła się, by spojrzeć na mnie, miała kolor słońca wiszącego nad wydumą. Ostrożnie podeszłam bliżej. Byłam siostrzenicą handlarza końmi, nauczyłam się, jak zdejmować podkowy mniej więcej w tym samym czasie, co posługiwać bronią. Nawet w ciemności z łatwością wykonywałam znane gesty. Buraqi niespokojnie zarzucił łbem, gdy czwarta podkowa spadła na ziemię. Pozbycie się zapachu żelaza z jego skóry i zrzucenie śmiertelnej formy mogło zająć chwilę, ale ja nie mogłam czekać. Byłam już

przy kolejnym boksie, przy Buraqi w kolorze chłodnego blasku jutrzeńki nad pasmem gór. Następny miał barwę nieskończenie ciemnej pustyni nocą.

Wszystkie Buraqi zaczęły się kręcić. Podnosiły łby ponad żelazne drzwi swoich boksów. Zaczynały zmieniać się w piasek, żeby po chwili wrócić do cielesnej postaci, były szybkie jak huragan, podczas gdy ja snułam się jak upał w bezwietrzny dzień, dopóki nie uwolniłam wszystkich.

Buraqi były nieśmiertelnymi stworzeniami, ale to nie znaczyło, że lubiły huk wystrzałów bardziej niż zwykłe konie. Stałam przy ścianie, uniosłam w górę lufę i wystrzeliłam.

Buraqi wystartowały ze swoich boksów, roztrzaskując je kopytami. Wzdrygnęłam się i zamknęłam oczy, ponieważ wokół mnie wirowały ciała, piasek i wiatr. Były już poza swoją śmiertelną postacią i bardziej przypominały burze piaskowe w kształcie koni. Tętent kopyt dźwięczał wokół stajni, aż dzwoniły mi zęby. A potem rozległ się odgłos przypominający eksplozję. Kiedy otworzyłam oczy, nie było już muru otaczającego garnizon.

Przebiegłam po szczątkach w chaos, który stworzyłam. Buraqi wdarły się na plac treningowy, zabierając ze sobą niemal połowę z niego – jeden z murów już się prawie rozpadł, a to, co pozostało, najwyraźniej zaraz miało pójść w jego ślady. Zbiegali się żołnierze w mundurach w różnych kolorach. Gallanie wyciągali broń, ale Mirajińczycy wiedzieli lepiej. Z burzą piaskową nie walczy się kulami. Jakiś człowiek w rozpiętej do połowy niebieskiej koszuli podniósł rewolwer, wycelował, po czym zniknął pod kopytami jednego z Buraqi. Wkrótce krzyki ludzi zawtórowały dźwiękom wydawanym przez dzikie konie.

To były stworzenia pustynne, więc będą chciały wydostać się na piasek. Gdy na nie patrzyłam, dwa z nich przedarły się przez kolejny mur i wybiegły na ulicę. W zamieszaniu dostrzegłam, że na dziedziniec wychodzi coraz więcej ludzi. Kobiety i dzieci, ludzie w strojach typowych dla pustyni.

Najpierw rozpoznałam Yasmin; szaleńczo pompowała wodę do dużego skórzanego juku zawieszzonego na wielbłądzie – starała się uzupełnić zapasy przed wyruszeniem na pustynię.

Noorsham. Prawie o nim zapomniałam w tym zamieszaniu. Odwróciłam się w stronę domu modlitw i wpadłam prosto na Jina.

– Co mówiłem o nieładowaniu się w kłopoty? – Gdy mnie złapał, oczy mu się śmiały. Był tak blisko, że mógł mnie pociągnąć, a ja wpadłabym w jego ramiona.

– Zdziałało, prawda? – odwarknęłam.

– Nie przeczę. – Puścił moją rękę. – A teraz musimy uciekać, póki ich uwaga skierowana jest w inną stronę. – Objął spojrzeniem zniszczenia dokonane przez Buraqi. – Powiedziałbym, że już najwyższa pora.

– Nie. – Próbowałam pociągnąć go w przeciwnym kierunku. – Był tam żołnierz. Obiecałam, że mu pomogę.

Gdy szłam w stronę domu modlitw, jakiś Buraqi przeciął mi drogę, niewiele brakowało, żeby mnie stratował. Jin odciągnął mnie z jego drogi. – Amani, nie mamy czasu. Musimy iść, dopóki mamy szansę, albo w ogóle się stąd nie wydostaniemy.

Zawahałam się. Nie mogłam zostawić kolejnego głupiego dzieciaka z pustyni, zbyt słabego, żeby przeżyć. Mogłam go ocalić.

– Amani – powtórzył Jin. – Jesteś cholernie dobra w ratowaniu swojego tyłka. Nie zmarnuj tego. – Miał rację. Noorsham to nie Tamid. Było za późno.

Pobiegłam.

Ulice szybko wypełniały się mężczyznami i kobietami z karawany, walczącymi o miejsce, wielbłądy stękały, ludzie z Fahali krzyczeli, gdy uciekali ku wolności.

Dołączyliśmy do innych. Przez moment patrzyłam na czyjaś przerażoną twarz, a zaraz potem zostałam popchnięta na ścianę. W jednej chwili Jin był przy mnie,

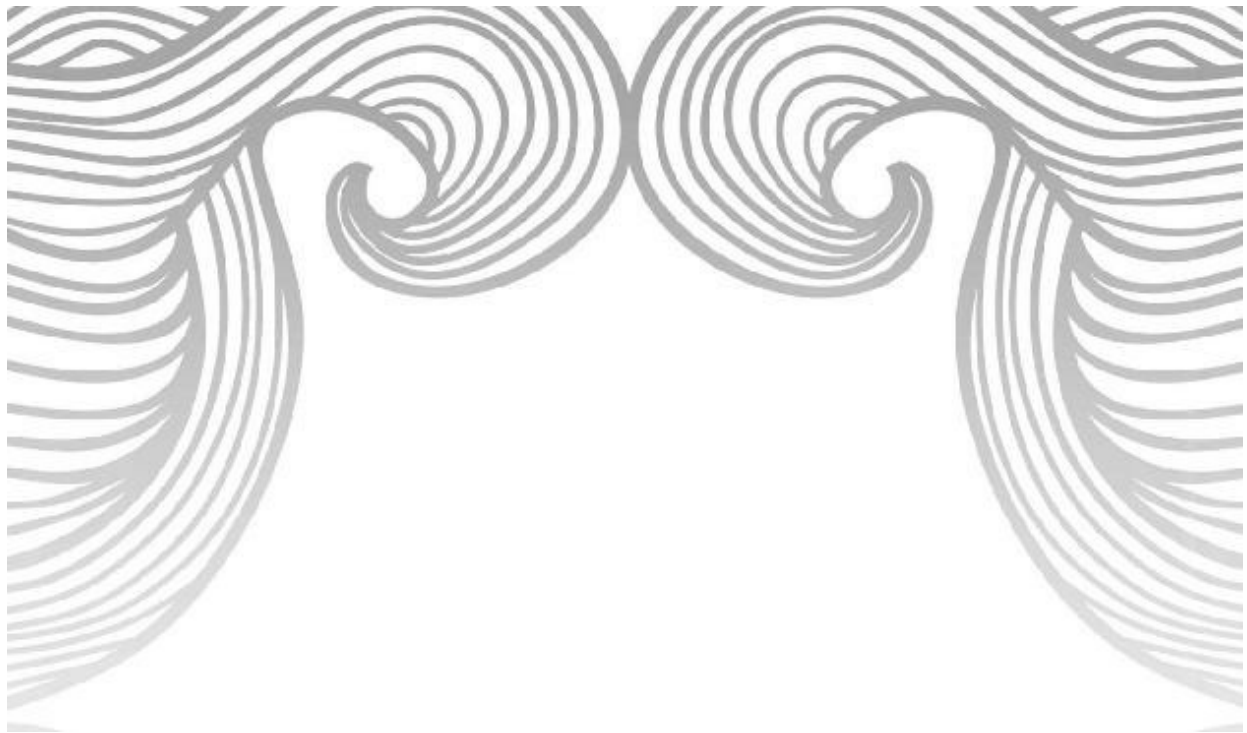
w następnej nasze dłonie zostały rozłączone. A potem biegłam pomiędzy obcymi ludźmi. Pozbyłam się khalatu i zmieniłam w chłopaka.

Za nami rozbrzmiewały wystrzały. Wbiegłam za róg, ręce miałam zajęte zawiązywaniem szimy, potknęłam się i upadłam. Czyjeś dłonie złapały mnie za ramiona i pomogły się podnieść. Obejrzałam się i zobaczyłam nieznanego człowieka, który uratował mnie przed rozdeptaniem.

Nawet nie zdążyłam mu podziękować, zanim połknął nas tłum i porwał w dół ulicy.

Otwarte bramy. Ten widok sprawił, że moje serce zaczęło wyrywać się do przodu szybciej niż Buraqi. Nogi przyspieszyły, przebierały dwa razy szybciej, niosły mnie do przodu, jakbym była stworzona z wiatru i piasku. Dalej. Byle dalej. Poza mury. Z dala od tej pułapki. Na moich ustach okrzyk ulgi i radości.

I nagle jedyne, co widziałam, to piasek i o wszystkim zapomniałam. O strachu. O bombach. O Jinie. Pustynia objęła nas swoimi wielkimi ramionami. Nieskładna masa stanowiąca chaos na ulicy, na piasku stała się uporządkowana, jakby znowu znalazła się w domu.



PIĘTNAŚCIE

Nie mieliśmy wyboru, musieliśmy wędrować w nocy. Na pustyni nocą było niebezpiecznie, ale w Fahali również czyhały na nas różne zagrożenia. Zanim nadejdzie świt, powinniśmy znaleźć się daleko od nich. Nawet Naguib nie był na tyle głupi, żeby ścigać nas teraz po pustyni.

Noc na pustyni była inna, jeśli nie spędzało się jej przy ognisku, gdy rozbrzmiewał śmiech, muzyka, opowieści z karawany, zagłuszające odgłosy ciemności. Pod piaskiem znajdowały się stworzenia, które wydawały dźwięki. Stworzenia, które hałasowały w górach. Teraz je słyszeliśmy.

Członkowie karawany Kolana Wielbłąda trzymali się blisko siebie. Jedynym dźwiękiem dochodzącym z ich grupy było dzwonięcie uprzęży zwierząt oraz ciche modlitwy. Yasmin wyglądała blado w świetle lampy niesionej przez najbliższego wielbłąda. Jeden z jej małych kuzynów zasnął z głową na jej ramieniu.

– Trzy godziny do świtu – powiedział Jin, patrząc w niebo.

Skinęłam głową, on zwolnił, żeby pójść na tyle karawany, podczas gdy ja zostałam na przedzie. Wiedziałam, że idziemy już od długiego czasu. Odległość pochłaniała Fahali za naszymi plecami. Pustynia nocą wydawała się znacznie większa niż kiedykolwiek wcześniej. A ja czułam się dużo mniejsza.

Usłyszałam jakiś hałas i zatrzymałam się. Coś tu było. Powoli się odwróciłam, wyteżając wzrok w słabym świetle księżycy i kilku lampek olejowych, dających nikłą poświatę i wiszących na wielbłądach, które udało nam się zabrać.

Dostrzegłam go na kilka sekund przed skokiem. Zły duch rozwinął się z lepkiej, skórzastej kuli, wystawił chude kończyny i skrzydła z błoną, a gdy skoczył, rozwarł paszczę i zaskrzeczał.

Strzeliłam. Kilka osób krzyknęło i skuliło się instynktownie, słysząc huk wystrzału.

Kula trafiła monstrum prosto w pierś. Na piasek wypłynęły czarne wnętrzności. Demon ponownie zaskrzeczał. Tym razem z ciemności odpowiedziała setka identycznych głosów.

Yasmin odwróciła ciało czubkiem buta, reszta karawany przyglądała się w ciszy. Zamarli z przerażenia.

– Koszmar – potwierdziła Yasmin.

Nie widziałam Koszmaru, odkąd byłam dzieckiem. Jeden wszedł nocą do domu, w którym dorastałam. Mama wbiła w niego kuchenny nóż, zanim zdążył się do kogoś dobrać. Niemal nie walczył. Lecz tamten był sam, zraniony i zdesperowany. Ten tutaj był na swoim własnym terytorium, gdzie przemieszczał się całym stadem.

Teraz już je widziałam, gdy moje oczy przywykły do ciemności. Biegały po piasku, ich żylaste skrzydła furkotały w mroku. Żywiły się strachem, nie ciałem i krwią. Jedno jadowite ukąszenie sprawiało, że ofiara zapadała w niespokojny sen, drugie wyciągało strach, którym krwawiła pierwsza rana. Niektórzy mówili, że potrafiły wyssać samą duszę. Większość ludzi nie budziła się po ukąszeniu Koszmaru.

Sprawdziłam, ile mam naboju w kieszeni.

– Niech wszyscy zgromadzą się w pobliżu światła – zawołałam. Złe duchy nie umiały polować w dzień. Ogień nie był tym samym, ale to jedyne, co mieliśmy. – To nic nie zmienia. Idziemy dalej i...

– Skórozmienny! – Głos należał do Wysokiego Omana. Zatoczyłam łuk lufą, gotowa na spotkanie z nowym potworem, w miejscu, które Oman wskazywał palcem.

Ale on wskazywał na mnie.

Moja szima, którą zawiązałam byle jak podczas ucieczki z Fahali, spadła, gdy strzelałam, i teraz włosy spłynęły mi na ramiona, a twarz była widoczna w pełnej krasie.

Wysoki Oman podszedł do mnie długimi, pełnymi złości

krokami. Jin znalazł się obok mnie w mgnieniu oka. Zatrzymał Wysokiego Omana, kładąc mu dłoń na piersi, gdy ten znajdował się trzy kroki ode mnie. To był ostrzegawczy gest, który z łatwością mógł zmienić się w bardziej bolesny w razie potrzeby.

– Przemyśl swoje kolejne posunięcie, przyjacielu.

– On jest Skórozmiennym! – Wysoki Oman splunął, ale miał dość rozsądku, żeby nie stawiać się Jinowi. – Zmienił postać.

– Nie. – Parviz przyniósł lampę, żeby lepiej mnie obejrzeć. – To kłamczucha.

– Cóż, raczej was nabrałam, niż okłamałam – mówiłam swoim głosem, chociaż był nieco zmieniony przez fałszywą lekkość. – Siebie możecie obwiniać w takim samym stopniu jak mnie. – Już się nie trzęsłam. Nie chciałam się trząść, gdy cała karawana patrzyła na mnie, jakbym była jakimś ohydztwem.

Pierwsza odezwała się Isra, głośnym szeptem zwracając się do Jina:

– Domyślałam się, że ona nie jest twoim bratem. – Obrzuciła mnie spojrzeniem od stóp do głów. – A ja myślałam, że może byłbyś dobrym mężem dla młodej Yasmin. Powinnam się domyślić, kiedy stawałeś tak blisko niej, gdy coś mówiła. Żaden mężczyzna tak nie robi.

Parviz mierzył mnie wzrokiem tak samo, jak kiedyś w Massil. Nie wiem, co widział. Może tego samego dzieciaka z rewolwerem, ale z piersiami i biodrami, i nie tak młodego, jak myślał?

– Czy mam oddać nasze bezpieczeństwo w ręce jakiejś dziewczyny?

– Ojczy, uratowała nas od szubienicy w Fahali! – Yasmin prychnęła, lecz została uciszona podniesioną ręką.

– Uratowała, żeby ciągnąć nas nocą przez pustynię. – Parviz machnął ręką w kierunku polujących na nas Koszmarów. – I patrzcie, gdzie teraz jesteśmy. – Splunął. –

Bylibyśmy bezpieczni w świetle dnia, gdyby nie ty. – To zabolalo. Tak konczyly sie prawie dwa miesiace, podczas ktorzych obdarzal mnie zaufaniem.

– Nieprawda, znalezliscie sie tutaj, poniewaz bardziej niz nasze zycie cenisz pieniadze – przerwal mu Jin. – Teraz Amani jest twoja jedyna szansa na pozostanie przy zyciu. Na twoim miejscu sluchalbym dziewczyny z rewolwerem.

– Zamierzam przezyc te noc. – Zamknelam bębenek broni. Nie bedac mezczyzna, nie moglam okazac bezsilnosci, poniewaz nigdy nie wydostalabym sie z tej pustyni. – Niech kazdy zostanie w oswietlonym miejscu i wezmie do rak jakis przedmiot z zelaza. Jesli cos sie poruszy, bedziemy do tego strzelac. – Wraz ze zmianą płci stracilam autorytet.

Czlonkowie karawany popatrzyli na Parviza, który zerkal raz na mnie, raz na Jina.

– Róbcie to, co kaze – rozkazal wreszcie, karawana od razu sie ozywila. A potem, zwracajac sie do mnie, dodal: – Prowadz nas do switu, a nie obetne ci pensji.

Koszmary byly ostrozne, lecz glodne. Trzymaly sie z dala od swiatla, ale ilekroć zobaczyly cień, podskakiwaly i rozposcieraly skrzydla, ktore zaslanialy gwiazdy. Wtedy padal strzal, a one spadaly z loskotem na piasek.

Przez wiekszosc czasu strzelalam na oslep. Koszmary byly czarne jak noc wokol nas. Wygladaly jak piasek, dopoki nie podskoczyly i nie znalazly sie w zasięgu pochodni sekunde przed tym, nim bylo za pozno.

Ale nigdy nie bylo za pozno. A ja nie pudlowalam.

Strzelalam raz za razem, popadajac w hipnotyczne skupienie, w ktorym moj umysl poddal sie dominacji rak i cyngla. Noc zmienila sie w krzyki i zapach prochu oraz dzwiek zamykajacego sie bębenka rewolweru zaladowanego nowa porcja naboii.

Ponownie wystrzelilam, dwukrotnie. Para Koszmarow upadla, magazynek byl pusty. Siegnelam po nowe kule, zanim ostatni przestal drgac. Palce dotknely trzech kul.

Ostatnich trzech.

Natychmiast wzięłam się w garść.

Dłonie lekko mi drżały, gdy wkładałam je do bębenka. Niebo miało kolor gojącej się rany. Gdzieś na horyzoncie niespiesznie wstawało słońce. Nie wiedziałam, czy wystarczą mi trzy kule.

Jakiś Koszmar wyłonił się z ciemności dwa kroki ode mnie, strzeliłam, zanim zdążyłam skupić na nim spojrzenie.

Dwie kule. Jeszcze jeden martwy Koszmar. Dziesiątki skradających się po piasku. Potarłam pięścią zmęczone oczy.

– Wszystko w porządku? – Jin położył mi rękę na ramieniu, ale wzrokiem omiatał pustynię. Nieśmiały blask słońca na horyzoncie rzucał na jego twarz poświatę uwydatniającą jego szczękę.

– Żyję – powiedziałam. – Ty chyba też.

– Wiesz, jest takie powiedzenie na morzu: „Gdy czerwień z rana na niebie gości, żeglarze mają się na baczności”.

Zerknęłam na horyzont.

– No tak, trochę za późno na przestrogi. Trzeba było z nich skorzystać wczoraj. – Rozprostowałam palce, bolały mnie ręce od ściskania rewolweru. – Ile ci zostało naboji?

Jin pokręcił głową i rozłożył ręce. Wyjęłam bębenek. Chciałam dać mu jedną kulę.

– Nie – zaprotestował Jin. – Ty lepiej strzelasz.

– Po jednej dla każdego. Wtedy jest uczciwie. Ty bierzesz tył, ja przód. – Jin wahał się tylko przez chwilę, po czym przyjął ją i załadował do swojej broni, podczas gdy ja wycelowałam w pustynię, osłaniając go przez ten czas, którego potrzebował, żeby przeładować. Słońce już prawie wzeszło.

Dwa skoczyły w jednej chwili. Wycelowałam w drugiego. I zawahałam się. Pierwszy gnał po piasku prosto na Yasmin. Krzyknęła. Jin odepchnął ją i wystrzelił, zanim zdążyłam wycelować. Spudłował.

Koszmar przywarł do piersi Jina. Zanurzył zęby w jego piersi.

Wystrzeliłam, nie zastanawiając się, co się stanie, jeśli spudłuję i nie zastrzelę stwora, tylko chłopaka, albo że już za późno, żeby go ocalić. Kula trafiła Koszmar w głowę, bestia odczepiła się od Jina, zwijając skrzydła i zdechła na piasku w chwili, gdy słońce weszło nad horyzont.

Po pustyni potoczył się skrzek i wrzask Koszmarów zakopujących się w piasku.

Podbiegłam do Jina, nadal trzymając już nieprzydatną broń.

– Hej, hej. – Klepałam go po policzku, żeby nie musieć patrzeć na dużą, czarną ranę w jego piersi oraz krew mieszającą się z jadem nad jego tatuażem. Zapewne dostał dawkę trucizny prosto w serce. Byłam pewna, że moje pompuje krew tak szybko, że mogłoby utrzymać przy życiu i mnie i Jina.

Ręce trzęsły mi się tak bardzo, że nie mogłam wyczuć pulsu. Miał zamknięte oczy, ciało zwiotczałe, nadal trzymał broń w ręce niczym poległy żołnierz. W końcu zobaczyłam, że jego pierś unosi się i opada – oddychał, ale bardzo płytko.

Padł na nas jakiś cień wydłużony przez poranne światło. To był Parviz.

– Pomóż mi. – Nie umiałam zebrać, ale mogłam spróbować, w końcu już nawet klęczałam. Nie mogłam się bardziej niż zniżyć.

– Nie przeżyje, jeśli nie zostanie mu udzielona pomoc – powiedział Parviz. Dla niego Jin był wart niewiele, gdy był ranny. Pod palcami czułam wolny puls. – Od cywilizacji dzieli nas wiele dni.

Próbowałam sobie przypomnieć, po jakim czasie jad Koszmarów rozlewa się po całym ciele. Noc? Dzień? Jeszcze krócej?

Parviz pocierał pięścią po brodzie.

– Marnujemy czas.

Miał rację. Próbowałam zarzucić sobie rękę Jina na ramię, żeby postawić go na nogi.

– Pomóż mi wsadzić go na wielbłąda.

Parviz skrzywił się, jakby rozmawiał z niedorozwiniętą. Przypuszczam, że tak o mnie myślał, ponieważ nie byłam już facetem.

– Nic się nie da zrobić. Jest niemal martwy. A trupy to tylko dodatkowe obciążenie.

– Jin nie jest jeszcze martwy. – Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że pomógłby mi, gdyby nadal sądził, że jestem chłopakiem. – A gdyby nie on, byłibyście martwi!

– Wypijemy za niego, gdy znajdziemy się już w bezpiecznym miejscu. – Parviz nie dał się zbić z tropu. – Lecz do tego czasu mamy bardzo mało wody, więc uważam za marnotrawstwo pomaganie chłopakowi, który nie przeżyje do kolejnego świtu. Możesz z nim zostać i też umrzeć lub pójść z nami. Decyduj.

Miał rację. Jin był na skraju śmierci. A ja przysięgłam sobie, że nie umrę przez nikogo na tej pustyni. Kiedyś powiedziałam Jinowi, że nie warto za niego umierać. Nie wtedy, gdy byłam tak blisko Izmanu.

To nie będzie trudne.

Nie! To był Jin. To niemożliwe. Bałam się, zanim dotarliśmy do Dassamy, bo nie chciałam się z nim rozstawać. Bardziej zależało mi, by zostać z Jinem, niż dostać się do Izmanu. Podobało mi się życie z nim na pustyni. Jakbyśmy byli sobie równi. Jakbyśmy do siebie pasowali. Zbyt splątani ze sobą, żeby tak łatwo się rozstać.

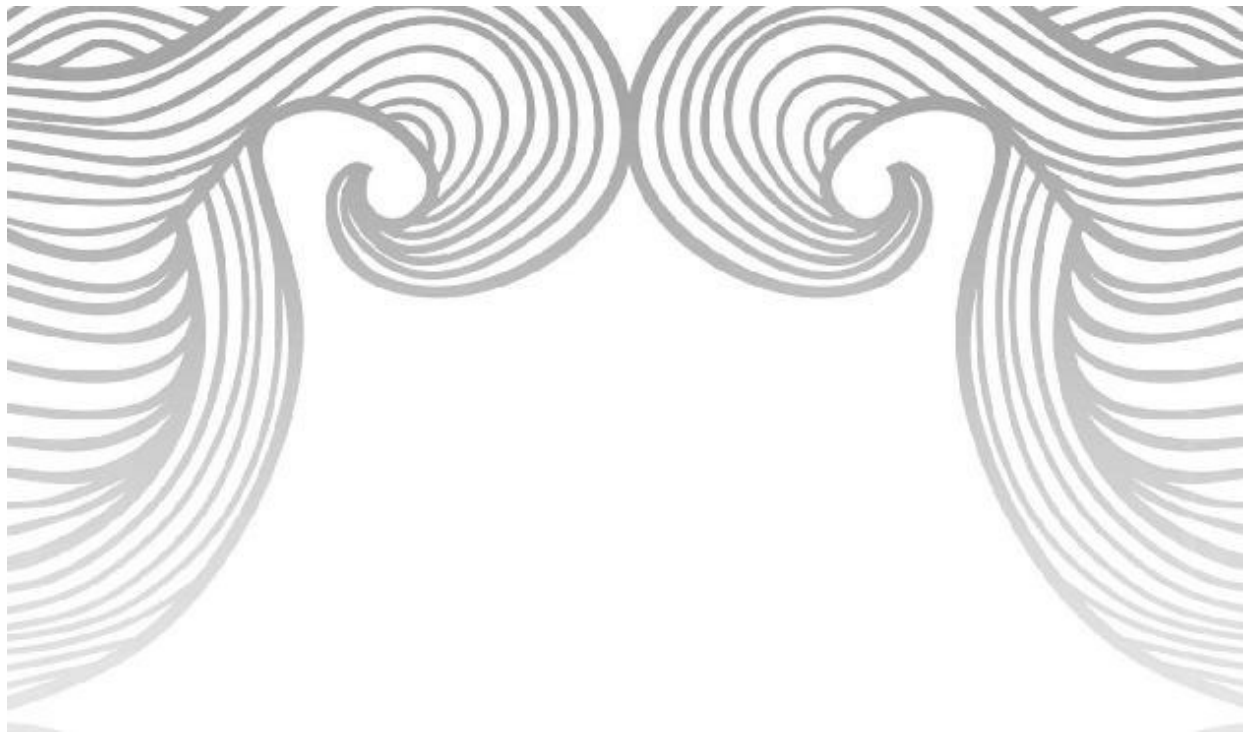
Pomyślałam o ruinach Dassamy. Gdyby Jin tu umarł, nie byłoby nikogo, kto mógłby przekazać jego ludowi wieści o tym, co zrobili Gallanie. Ta pustynia nie miała litości. Zostawiała osłabionych na pewną śmierć, jeśli nie udało jej się od razu ich zabić.

Ale nie Jina, który nie pochodził stąd. Który nie należał do tej pustyni, a przynajmniej nie na tyle, żeby na niej

skonać. Nieważne, jak lekkomyślnie się zachowywał. Nie zasłużył na to, by zostać porzuconym przez dziewczynę z pustyni, która pragnęła nowego życia.

Podobnie jak Tamid. I jak Noorsham.

– Możecie jechać do cywilizacji albo do licha, mam to gdzieś. – Czułam, jak piasek rozciąga się pod moimi stopami – tylko on mi pozostał ze świata. Izman oddalił się poza mój zasięg. – Nie zostawię go na pewną śmierć.



SZESNAŚCIE

Wyjęłam nóż zza pasa Jina. Czym innym była litość, a czym innym ucieczka tchórzy, a tchórze już sobie poszli. Przycisnęłam nóż do rany, po ostrzu spłynął czarny jad. Wytarłam go w koszulę, po czym z powrotem przyłożyłam do skóry. Ponawiałam to raz za razem, aż kark zaczął mnie piec od słońca, a z rany wyciekało więcej krwi niż jadu.

– Jin! – Uderzyłam go w twarz. Mocniej zacisnął oczy, więc uderzyłam ponownie. Tym razem je otworzył. – Jin! – Chwyciłam go za ramiona. – Ani się waż znowu zasypiać.

Rozchylił powieki zaledwie odrobinę, ale mógł już mnie zobaczyć.

– Gdzie... – zaczął słabo.

– Poszli sobie. – Usiadłam obok niego. Musieliśmy pójść za Kolanami Wielbłąda ku cywilizacji. Znaleźć pomoc. Jakies leki.

– Jesteś tutaj? – Jin zerknął na mnie i zaczął się serdecznie śmiać. – Albo śnię, albo umarłem.

Musiałam zachęcać go do mówienia.

– Często o mnie śnisz?

– Sny. Koszmary. Nie jestem pewien. – Jin wyciągnął rękę, jakby chciał sprawdzić, czy naprawdę jestem tylko złudzeniem. Chwyciłam ją, gdy pogłaskał mnie po twarzy i zarzuciłam ją sobie na ramię.

– Wstawaj, niech ci się wyśni, że się podniosłeś. – Wsunęłam ramię pod jego rękę i pomogłam mu wstać.

Jin powiedział coś po xichańsku i roześmiał się, jakby była to najzabawniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszał. No cóż, może nie był do końca przytomny, ale przynajmniej stał. A kiedy zrobiłam krok do przodu, zrobił to samo.

Szliśmy przez chwilę, kiedy zaczął bełkotać. Słowa w innych językach. Imiona, których nie znałam. Jedno

znałam. *Sakhr*. Nasz stary żart wypaczony przez jego zainfekowany jadem umysł. Próbowałam go przekonać, by przestał mówić, ale za bardzo już pogrążył się w majakach. Dopóki szedł przed siebie, nie miałam siły, żeby martwić się czymś innym.

Słońce stało już w zenicie nad naszymi głowami, gdy uświadomiłam sobie, że nie idziemy po śladach zostawionych na piasku przez karawanę. Zaskoczona, okręciłam się dokoła. Czy zeszliśmy z kursu? Czy już się zatarły? Tego ranka słońce weszło po naszej prawej stronie. Nie wiedziałam, czy nadal szliśmy na północ.

– Zgubiliśmy się.

Jin siedział z głową opuszczoną między kolanami. Próbował wyjąć z kieszeni coś błyszczącego. Popsuty kompas.

– Masz. – Wetknął mi go do ręki. – Nie zgubiliśmy się.

Chyba majaczył, twierdząc, że zepsuty kompas może nam pomóc. Coś we mnie zaczęło pękać. W tej sytuacji oboje umrzemy. Na pustyni zgubienie drogi oznaczało śmierć. Jeśli nie dopadną cię demony po zmroku, zabije cię słońce.

– Jin. – Usiadłam obok niego, żeby nie dać mu zasnąć. – Jin, ten kompas nie wskazuje północy. Jeśli pójdziemy tam, gdzie pokazuje, to dokąd trafimy?

Jin walczył z sennością, jego organizm walczył przeciw jadowi Koszmaru.

– Tam, gdzie pomoc. Niedaleko.

– Niedaleko czego? – Naciskałam. Ale Jin odpowiedział tylko coś w swoim języku. Nie zrozumiałam. Przestał mówić z sensem. Zapadłam się w piasek, trzymając kompas. Strzałka wskazywała zachód. Dolina Devy. Przez falujące pustynne powietrze dostrzegłam miejsce, gdzie kończył się piasek: strome urwisko. Do cholery, czy to ma jakieś znaczenie, gdzie umrzemy?

Zejście w dół kanionu było o wiele trudniejsze, niż wyglądało z góry. A stamtąd wyglądało na niemożliwe. Jin

wciąż mógł chodzić, ale z każdym krokiem coraz ciężej się na mnie opierał. Na jednej ręce miałam paskudne rozcięcie po tym, jak poślizgnęłam się na obluzowanych kamieniach na szczycie doliny. I jedno stłuczone żebro, gdzie wpadłam na skałę bliżej jej dna.

Pomiędzy nimi było kilka innych stłuczeń, ale nie miałam czasu, by się teraz nimi zajmować. Reszta ciała pulsowała tępym bólem pod ciężarem Jina.

Na dnie przynajmniej była woda.

Dolina Devy ciągnęła się jak głęboka rana w skórze pustyni, płytka rzeka była niczym żyła na jej dnie. Posadziłam Jina i zanurzyłam ręce w wodzie, zmyłam z nich krew, zanim wsadziłam w nie twarz i zaczęłam łapczywie pić.

Podadłam trochę wody w dłoniach Jinowi.

-- Jin. – Odchylił głowę i zamknął oczy, jakby nie chciał na coś patrzeć, lecz to, co go niepokoiło, znajdowało się wewnątrz jego głowy. – Jin. – Przytknęłam dłonie do jego ust i zmusiłam go do przełknięcia wody.

Usiadłam z nogami w wodzie i wyjęłam kompas. Przynajmniej udało mi się go nie roztrzaskać. Wskazywał wprost na labirynt kanionu, ale wciąż nie wiedziałam, jak daleko muszę iść, a Jin nie był w stanie mi powiedzieć. Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Szarpałam Jina, próbując postawić go na nogi, kiedy usłyszałam jak od ścian kanionu odbija się tętent kopyt. Ktoś wyjeżdżał z doliny. Wahałam się przez sekundę, po czym postanowiłam, że się schowamy. Poruszaliśmy się strasznie wolno, ciężar Jina wspierał się na moim kręgosłupie. Na wpół go prowadziłam, na wpół ciągnęłam w głąb pylistego labiryntu. Z każdym krokiem coraz lepiej słyszałam odgłos kopyt na kamieniach. Szliśmy zbyt wolno. Musieliśmy się ukryć, zanim jeździec nas zauważy. Dotarliśmy do początku jednej ze ścieżek prowadzących do wąwozu, kiedy z innej wyłonił się żołnierz w niebieskim mundurze Gallanów.

Całe moje ciało buntowało się na jego widok, gdyż pamiętałam Gallanów w Fahali. Generała z rewolwerem przy głowie dziewczyny. Ale mogłam tylko z zapartym tchem przyglądać się z naszego miejsca ukrytego w cieniu kanionu, jak żołnierz zsiada i klęka, żeby się napić.

– Amani. – Jin wreszcie otworzył oczy. Przez chwilę były niezmacone. – Nie może nas znaleźć. Bo jeśli znajdzie...

Położyłam dłoń na jego ustach, ponieważ żołnierz podniósł głowę i patrzył w naszą stronę.

– Nie znajdzie nas – obiecałam najciszej, jak umiałam.

Czekaliśmy w ciszy, żołnierz podniósł się i wsiadł na konia. Siedząc w siodle, wziął do ręki coś błyszczącego, co miał na szyi i wsadził to do ust. Głośny gwizd odbijał się echem od ścian kanionu. Poczekał chwilę. Wtem rozbrzmiał kolejny gwizdek. Kiedy ten ucichł, odezwał się trzeci.

Grupa poszukiwawcza. Wysłana za nami albo za kimś innym.

– Nie znajdą nas – powtórzyłam tak cicho, że nie byłam pewna, czy zwracałam się do Jina, czy może to była modlitwa. – Nie znajdą nas.

≈≈≈

Szliśmy od kilku godzin, kiedy poczułam, że muszę odpocząć. Oparłam się o skałę, pozwalając Jinowi usiąść na ziemi i spróbowałam wyrównać oddech. Dwa razy musieliśmy się cofnąć, kiedy dotarliśmy do końca ścieżki. Trzymałam kompas przy piersi. Nadal podążaliśmy za wskazaniem jego igły, ale musiałam coś zrobić, żeby odzyskać orientację. Każdy krok narażał nas na spotkanie z żołnierzami z Gallanu.

Słońce wisiało nisko na niebie, kiedy znowu znaleźliśmy się w ślepym zaułku. Ale żaden z poprzednich nie wyglądał tak jak ten.

Ściana kanionu została pomalowana jaskrawymi kolorami

– aż kłuły w oczy – położonymi jeden na drugim, począwszy od pylistego podłoża aż do szczytu klifu, którego nie mogłam dostrzec. Dziewczyna z żółtymi włosami zmieniająca się w zwierzę. Ogromny czerwony Dżin wyłaniający się ze wzburzonej wody. Niebieskoskóry człowiek otoczony przez demony. Bitwa, która mogłaby rozedrzeć ziemię w miejscu, w którym staliśmy i zostawić po sobie ślad w postaci tej doliny. Pomiedzy tańczącą dziewczyną z węzami zamiast włosów a demonem wymachującym odciętą głową namalowano drzwi. Sprawdziłam wskazania kompasu – na pewno wskazywał na drzwi.

Zostałam wychowana na historiach o Dżinach i ich świecie, sekretnych miejscach w chmurach, domach zbudowanych z piasku. Drzwiach do ich królestw, które można było otworzyć, wymawiając odpowiednie słowo. Założyłabym się o ostatniego louzi, że obóz Księcia Buntownika znajdował się za tymi drzwiami.

Dotknęłam ręką drzwi. Wyglądało, że były z kamienia. Były z kamienia, dopóki nie wypowie się odpowiedniego hasła. Jak w opowieściach.

A może byłam bujającą w obłokach dziewczyną, która za bardzo przejmowała się tym, co usłyszała w bajkach, które opowiadała jej mama?

– Jin. – Potrząsnęłam jego ramieniem. Miałam skrzeczący głos, ponieważ od dawna nie miałam wody w ustach. – Jin, obudź się. Musisz się obudzić. Potrzebuję hasła.

– Zgubiliście się? – Podskoczyłam, słysząc czyjś głos. Żołnierz, którego już widzieliśmy, stał kilka kroków dalej w cieniu, opierając się o przeciwległą ścianę kanionu. Wyglądał na zadowolonego z siebie.

Pewnie bym się bała, gdybym nie była aż tak zdesperowana.

– Jak nas znalazłeś? – wychrypiałam.

– Wstawajcie, bo będę musiał was zastrzelić – rozkazał, ale nigdzie nie widziałam broni. Poza tym mówił w języku Miraji

bez żadnego akcentu.

Coś tu nie grało.

– Sam podejdź, jeśli chcesz mnie złapać. – Cały czas trzymał się w cieniu. Wtedy zobaczyłam świeżą krew rozmazaną na jego szczęce. – Boisz się światła, Skórozmienny?

W ułamku sekundy zmienił twarz. Choć miał wygląd człowieka, nie było w nim niczego, co ludzkie. Skórozmienny obnażył swoje ostre zęby w twarzy żołnierza – twarzy należącej do jego ostatniej ofiary, co dopiero teraz zrozumiałam. Z przerażeniem patrzyłam, jak się zbliża, aż dotarł do samego skraju cienia rzucanego przez ściany kanionu.

– Miło będzie się tobą pożywić. – Spomiędzy ostrych kłów wysunął długi, czarny język. – Umieram z głodu. Chociaż zjadłem ciało tego przybysza. A ty wyglądasz tak smacznie... Sądzę jednak, że będę musiał poczekać kilka godzin.

– Możesz sobie czekać, ile chcesz. Zanim się ściemni, już mnie tu nie będzie. – Zarzuciłam na obolałe plecy rękę Jina. Jeśli było coś, co mogło zmusić mnie do dalszej wędrówki, to był to Skórozmienny.

– A dokąd to się wybierasz, niebieskooka dziewczyno? – Skórozmienny oblizał się ze smakiem. – Jesteś w pułapce. – Zerknęłam w miejsce, z którego nadeszliśmy. Gdy tu siedziałam, słońce się przesunęło i spowiło cieniem wejście do doliny.

Jin i ja staliśmy na ostatnim nasłonecznionym kawałku.

≈≈≈

– Otwierać! – Waliłam ręką w drzwi. – Otwórz. Wpuść mnie. – Kamienna powierzchnia namalowanych drzwi ani drgnęła. Nie sądziłam, że hasło będzie oczywiste, ale nie zamierzałam umrzeć, nawet nie próbując.

– Chyba jeszcze pozwolę ci trochę pożyć. – Skórozmienny

chodził w tę i z powrotem wzdłuż linii cienia. – Dzięki temu będziesz mogła patrzeć tymi swoimi ładnymi oczami, jak jem twoje mięso, a ja posłucham sobie, jak krzyczysz. – Skórozmienny uśmiechał się ustami nieżyjącego żołnierza, lecz te były pełne kłów. Chciał mojej uwagi. Był już prawie przy mnie, cień zbliżył się tak bardzo, że musiałam przyciskać rękę do brzucha. Światło by go spaliło. Potrafił jednak być cierpliwy, tym bardziej, że nasłoneczniona przestrzeń kurczyła się z każdą sekundą.

Kończył mi się czas.

Oparłam się o skałę. Tu umrzemy. Uciekliśmy z Dustwalk, wyskoczyliśmy z pociągu, przeszliśmy pustynię i przeżyliśmy Fahali oraz Koszmary, tutaj dobiegnie końca moja historia. W pylistym kanionie, gdzie umrę z rąk głodnego ducha.

Historie. Jakieś wspomnienie mignęło mi przez myśl.

Sakhr.

Jin pomylił imię. Imię Dżina niegdyś sprowadzało pomoc, otwierało drzwi do jego królestwa. A on je pomylił. Wymówił je, gdy niezrozumiale bełkotał po dawce jadu Koszmaru z pustyni.

Oparłam się o skałę w pobliżu drzwi. Czułam się głupio, chociaż nikt nie mógł mnie widzieć oprócz Skórozmiennego, który chciał mnie pożreć, jednak nie przejmowałam się tym, co może o mnie pomyśleć. Przytknęłam usta do namalowanego zamka i wyszeptałam imię:

– Sakhr. – Wstrzymałam oddech.

Nic się nie stało. Ostatnia iskra nadziei zgasła. Opadłam na ziemię przy drzwiach.

Słońce zdradziło mnie szybko. W jednej sekundzie była jeszcze plama światła, w następnej dotykał mnie cień. Razem z nim ręka Skórozmiennego. Długie pazury rozdrapały mi skórę na ręce, krew pojawiła się w pięciu długich ranach.

Zębami szukał mojej szyi. Przypomniałam sobie, czego uczył mnie Jin: nie próbowałam się wyrywać. Rzuciłam się

całym ciężarem na potwora. Jego zęby wbiły się w moje ramię, rozszarpując ciało. Ból rozlał się po całym moim ciele, gdy razem padliśmy na ziemię.

Zrzuciłam go z siebie i cofnęłam się pod malowaną ścianę. Moja krew rozmazała się na malunku przedstawiającym dziewczynę jadącą na lamparciu. Całkowicie nieistotny szczegół zarejestrowany przed śmiercią.

Kamień tarł o kamień z przeraźliwym hukiem, który aż wwiercał mi się w uszy. W otwartym kamiennym przejściu, gdzie wcześniej były drzwi, stała najbardziej błyszcząca dziewczyna, jaką kiedykolwiek widziałam.

Jakby urodziła się pięknnością, a potem została wyszorowana i wypieszczona, aż stała się tak doskonała, że nie mógł jej dorównać żaden śmiertelnik. Jej twarz była jak wszystkie pustynne równiny i wydmy, lecz w ciemnych oczach nie było łagodności. Kosmyki czarnych włosów opadały na jej rzęsy, gdy patrzyła na rozgrywającą się pod jej stopami scenę. Uniosła brwi na widok Jina, który leżał nieprzytomny obok mnie. Potem skierowała wzrok na Skórozmiennego. Sięgnęła za siebie i zamachnęła się dwoma bułatami.

– Masz krew na kłach.

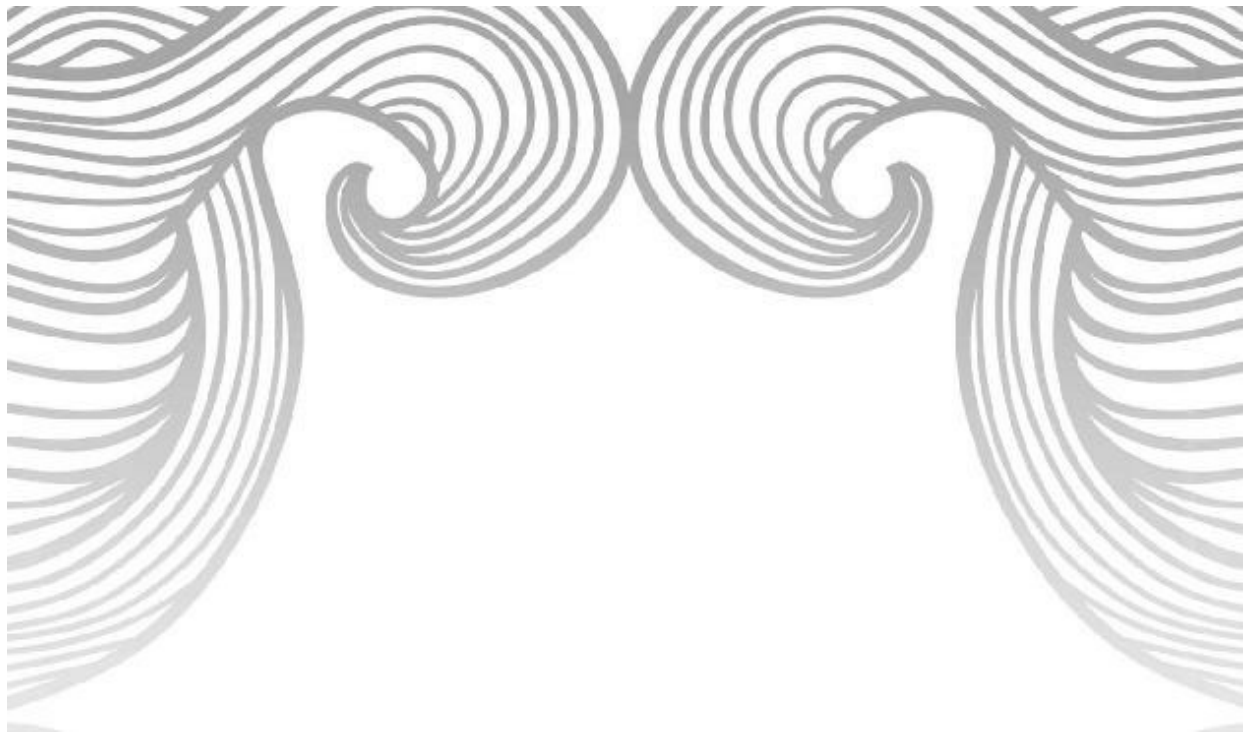
Skórozmienny rzucił się na nią.

Nie poruszała się jak Jin ani żaden inny żołnierz, którego widziałam. Poruszała się jak burza, której ktoś dał broń. Obeszła demona jak gdyby nigdy nic, mieczem trzymanym w prawej ręce uderzając w jego ramię. Potwór warknął i skoczył na nią, nadziewając się brzuchem wprost na jej miecz w lewej ręce, a szyją na ten w prawej. Oczy w ukradzonej twarzy szeroko się rozwarły. Przez sekundę moje serce zamarło – wyglądał zupełnie jak człowiek. A potem otworzył usta pełne kłów.

Wyciągnęła z niego bułaty czarne od krwi demona. Martwy potwór upadł na ziemię.

– Ty musisz być tą, która wypowiedziała zaklęcie.

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć.
Zanim ogarnęła mnie ciemność, miałam sekundę,
by uświadomić sobie, że straciłam dużo krwi.



SIEDEMNAŚCIE

Obudziłam się i patrzyłam na gwiazdy.

Ponownie zamknęłam oczy, po czym znów je otworzyłam. Gwiazdy zostały przyszyte do namiotu, pod którym leżałam, konstelacja na tle żółtej tkaniny rozświetlonej blaskiem lampy. Podciągnęłam się w górę, ramię zaprotestowało bólem, od którego zakręciło mi się w głowie. Czułam się jak śmierć. Co przynajmniej było przywilejem żyjących.

Chwilę zajęło mi uspokojenie głowy. Rękę miałam zabandażowaną od nadgarstka do ramienia. Opatrunek pachniał miodem i czymś, czego nie umiałam rozpoznać.

Obok mnie leżał Jin pod grubym kocem podciągniętym do łokci. Odkryta klatka piersiowa lśniła od potu. Ktoś założył mu świeże bandaże, więc nie widziałam jego rany. Ale jego pierś unosiła się i opadała z każdym płytkim oddechem, a to starczyło, bym się uspokoiła. Żył. Oboje żyliśmy. Ulga, którą poczułam, sprawiła, że odzyskałam dość siły, by unieść się na łokciach i rozejrzeć wokół.

W kącie siedział ktoś obcy. Chłopak mniej więcej w wieku Jina, z okrągłą twarzą, rękami skrzyżowanymi na piersi, kręconymi czarnymi włosami opadającymi mu na oczy oraz brodą wysuniętą do przodu.

Powoli usiadłam, uważając, żeby go nie zbudzić. To, że zostałam opatrzona, a nie związana i zakneblowana, samo w sobie było już dobrym znakiem. Ale zadbanie o mnie nie musiało być równoznaczne z tym, że obdarzę ich zaufaniem – kimkolwiek byli.

Zmieniono mi koszulę, lecz wciąż byłam owinięta szimą w pasie, a pomiędzy nią a moim ciałem był kompas. Serce mocniej zabiło mi z ulgi, gdy go wyjęłam.

Mój wzrok padł na niewielki zapas buteleczek i opatrunków leżący w kącie, wśród nich był nóż wyglądający jak skalpel.

Była na nim zaschnięta krew. Podniosłam go. Musiałam sprawdzić, gdzie się znajduję. A nie miałam w zwyczaju poruszać się bez broni.

Śpiący chłopak nie był trudną przeszkodą do ominięcia. W momencie, gdy rozchyliłam klapy namiotu, oślepiło mnie słońce.

Ktoś pomalował świat, kiedy spałam.

Wcześniej sądziłam, że zieleń była kolorem pokrytych pyłem zarośli, którym udało się przeżyć pomiędzy kamieniami – nie kolorem, który szczycił się swoim istnieniem, nieulękłym wobec pustyni. Za moimi plecami nad obozem wznosił się wysoki klif w kolorze przykurzonego złota, lecz im dalej od jego ściany, tym bardziej piasek ustępował. Mieliśmy widok na zaludnioną oazę pulsującą kolorami i życiem. Na pierwszy rzut oka stwierdziłam, że rozmiarami dorównuje Dustwalk i zamieszkuje ją około setki ludzi. Jednak porównywanie tego miejsca do Dustwalk było jak przyrównywanie Buraqi do osła. W samym centrum wznosiła się złoto-czerwona wieża, tak wysoka, że sięgała niemal błękitu nieba.

W ostatniej chwili moje nogi podjęły decyzję, że będą iść, a nie ugną się pode mną. Kompas trzymałam blisko ciała w jednej dłoni, w drugiej dzierżyłam nóż. Nie wiedziałam, czy będę w stanie go użyć. Kręciło mi się w głowie, albo z utraty krwi, albo z powodu obezwładniającej obcości tego miejsca. Nogi niosły mnie praktycznie tam, gdzie chciały. Po kilku krokach gorący piasek zrobił się chłodny, a ja weszłam w cień oazy.

Przeszłam pod drzewami uginającymi się pod ciężarem pomarańczy i granatów oraz jakichś owoców, których nawet nie znałam. Wyrastały wokół tak przejrzystych i głębokich stawów, że obawiałam się do nich podejść, bo miałam wrażenie, że jeśli zajrzę w głąb, będę mogła dostrzec bijące serce ziemi.

Igła kompasu wskazywała drogę przez oazę. Różnokolorowe

namioty stały pomiędzy drzewami i wspierały się o ich pnie lub gałęzie.

I jeszcze ludzie. Każdy, kogo widziałam, był ubrany w kolory, które wyglądały, jakby powstały w czasach, gdy rodził się świat. Kilka osób zebrało się wokół stawu, prali ubrania i rozmawiali: nie spojrzeli na mnie, gdy przechodziłam. Dziewczyna, która zabiła Skórozmiennego prowadziła coś, co przypominało wojskową musztrę dla pół tuzina mężczyzn i kobiet z drewnianymi mieczami. Prawie weszłam na dwóch chłopców, z wyglądu młodszych ode mnie, którzy majstrowali przy czymś, co wyglądało jak bomba. Obaj popatrzyli na mnie.

– Chcesz to zrobić określonym sposobem – powiedział jeden z nich.

– Lepiej, żeby pourywała nam ręce. – Gdy odezwał się ten drugi, uświadomiłam sobie, że to nie chłopak. To była dziewczyna, miała włosy obcięte tuż przy czaszce i była tak chuda, że musiałaby się rozdzielić, żeby móc rzucać cień. Żadne z nich nie wydawało się ani trochę zaskoczone na widok obcej osoby. Może, gdy ma się magiczne drzwi, jest się wolnym od wszelkich podejrzeń. Droga do bezpiecznego miejsca wiodła zakosami, a ja nawet nie wiedziałam, dokąd zmierzam.

Spomiędzy drzew wyszłam na duży plac o piaszczystym podłożu. Naprzeciw mnie stał jak dotąd największy namiot, jaki widziałam. Miał wysokość dwóch ludzi i wyglądał, jakby mógł pomieścić połowę obozowiska – bardziej przypominał pawilon niż miejsce do spania. Był z czerwonego płótna, a na górze widniało wyszyte wielkie, niebieskie słońce.

Identyczne jak tatuaże Jina.

Gdy podeszłam bliżej, zauważyłam, że w namiocie stał jeden człowiek. Pod wysokim baldachimem powinien wyglądać na niskiego, ale jakimś sposobem zdawał się wypełniać przestrzeń niczym światło. Pochylał się nad stołem, więc jedyne, co widziałam, to czubek jego głowy.

Ręce opierał po obu stronach dużej mapy. Inne papiery przytrzymywane były przez kamienie, puste kubki lub broń.

I jeden poobijany mosiężny kompas.

Słońce odbiło się od trzymanego przeze mnie noża, posyłając błysk w głąb namiotu. Zaskoczony chłopak podniósł głowę i spojrzał wprost na mnie.

Nie patrzył na mnie w sposób, w jaki sądziłam, że spojrzy – na nieznaną dziewczynę stojącą w wejściu do pawilonu, brudną, posiniaczoną, zakrwawioną, z włosami pozlepianymi przez piasek. I z językiem, który nagle stanął jej jak kołek w gębie. Patrzył na mnie, jakbym miała prawo i powód, żeby się tu pojawić.

– Jesteś ranna – powiedział z troską. Przez chwilę nie rozumiałam, o czym mówi, a potem uświadomiłam sobie, że krew przesiąkła przez bandaż.

Następnie jego wzrok skupił się na nożu w mojej dłoni. Zrobiłam jedyną rzecz, która przyszła mi do głowy: pokazałam mu kompas, jakby był to prezent na znak pokoju.

– Mam coś takiego.

– Aha. – Na jego twarzy pojawiło się zrozumienie. – Ty jesteś tą, którą Shazad przyprowadziła razem z moim bratem.

Powiedział coś jeszcze, ale do mnie dotarło tylko jedno.

Brat.

Słowo wirowało w mojej głowie, szukając innego znaczenia niż to, które znałam.

Potem powiedział coś jeszcze, ale to jedno słowo utkwilo mi w głowie i zagradzało wstęp pozostałym.

Brat.

Moja głowa usilnie szukała innego wyjaśnienia, ale była tylko jedna osoba, którą mógł mieć na myśli.

Jin był jego bratem.

– Kim jesteś? – zapytałam, chociaż już chyba się domyśliłam.

Na jego twarzy pojawił się cień niepewnego uśmiechu, jakby zastanawiał się, czy nie żartuję. Jego uśmiech w niczym nie przypominał uśmiechu Jina.

– Mam na imię Ahmed.

Nie przedstawił się z nazwiska. Nie powiedział, że jest księciem Ahmedem Al'Omanem Bin Izman. Zbuntowanym Księciem i prawowitym następcą tronu Miraji. Księciem. Tym, który wyszedł z historii opowiadanych przy ognisku. Który zainspirował ludzi do rewolucyjnych działań na całej pustyni.

Nie miałam pojęcia, czego spodziewałam się po Księciu Buntowniku, ale na pewno nie tego, że będzie wyglądał jak każdy inny chłopak z pustyni, którego znałam. Był młody. Miał czarne włosy, skórę ciemną od słońca i silną, ogoloną, kwadratową szczękę. Stojąc w pawilonie zwieńczonym słońcem, roztaczał wokół siebie aurę dwa razy starszego Sultana. Swojego słońca. Nie słońca jakiegoś kraju wytatuowanego na sercu Jina. Słońca rebelii. Rebelii swojego brata.

Nowy świt. Nowa pustynia.

Co oznaczało, że Jin również był księciem.

Powiedział mi, że miał złamany nos i nastawił go jego brat. Że urodził się w Izmanie, ale pochodził z Xicha.

Nigdy nie wspomniał, że jest księciem.

Pocałowałam księcia.

Poczułam lufę rewolweru na szyi, co przerwało spiralę moich myśli.

– Rzuć nóż – powiedział dziewczęcy głos. – Jesteś mi to winna za uratowanie życia.

Instynkt zaczął podnosić łeb, ale moje ciało było zbyt słabe, żeby go słuchać. Rozwarłam palce, a nóż upadł u moich stóp. Ta sama dziewczyna, która zabiła Skórozmiennego, odsunęła broń od mojej szyi i stanęła naprzeciw mnie, wciąż celując w moją stronę. Przypomniałam sobie, że Ahmed nazwał ją Shazad.

– Bahi, znalazłam ją – powiedziała dużo głośniej.
– Och, dzięki Bogu i każdemu Pierwszemu Stworzeniu. – Do namiotu wpadł chłopak z kręconymi włosami, który drzemał, kiedy się obudziłam. – Przysięgam, że zasnęłam tylko na sekundę. – Pogroził mi palcem, jak matka strofująca dziecko. – Nieładnie tak wymykać się komuś, kto uratował ci życie.

– Zrobiłam to nie po raz pierwszy – przyznałam. Nadal intensywnie myślałam, ale trudno było mi się skupić, widząc wycelowaną we mnie broń.

– Nie po raz pierwszy wymknęła ci się dziewczyna, kiedy spałeś – powiedziała Shazad do Bahiego tak cicho, że tylko ja ją usłyszałam. Kiedy zabijała Skórozmiennego, nie zauważyłam, że mówi z akcentem z północy tak jak dowódca Naguib, przez co znów zapragnęłam podnieść nóż z ziemi.

– Zastrzelisz mnie czy nie? – Mój własny akcent kontrastował z jej wymową, a ja nie spuszczałam oka z wylotu lufy. – Wydaje się, że niepotrzebnie ocalałaś mi życie.

Shazad uniosła jedną brew, jakby zastanawiała się nad tym, co powiedziałam, po czym opuściła broń.

– Wow. – Chłopak z kręconymi włosami, Bahi, zwrócił się do mnie: – Nigdy nie widziałem, żeby tak łatwo komuś odpuściła. Chyba cię lubi.

Shazad zignorowała go.

– Znała hasło – powiedziała tylko. – Jin jej ufa.

Sakhr – przypomniałam sobie.

– Drzwi i tak się nie otworzyły – stwierdziłam.

– Otwierają się tylko od wewnątrz – powiedziała Shazad. – Każdy śmiertelnik znający prawdziwe imię Dżina, który wybudował to miejsce, może je wymówić i zażądać wpuszczenia do środka. Zostajemy o tym powiadomieni. Znaleźliśmy tę historię w starej księdze razem z prawdziwym imieniem Dżina. Gdy musieliśmy uciekać z Izmanu, mieliśmy szczęście, że okazała się prawdziwa.

– Prawdziwe imiona kiedyś miały moc – powiedziała Shazad.

– Więc kto was wpuścił?

– Są inne sposoby, żeby tu wejść, jeśli umie się latać. – Albo ma się ochotę na wspinanie. Spojrzałam na szczyty otaczających nas klifów. Jeśli znało się drogę, zapewne można było przejść górą kanionu. Ile czasu zostało do momentu, aż Gallanie z Fahali znajdą drogę?

– Wybacz nam... – Ahmed zawiesił głos.

– Amani – podpowiedziałam.

– Amani. – Wyszedł zza stołu. – Jesteś zmęczona. Czy chciałabyś usiąść i coś zjeść?

– Bahi! – Wszyscy odwrócili się. Dziewczyna, która weszła, była młodsza ode mnie. Miała ciemnofioletowe włosy spadające falami wokół okrągłej twarzy, na której malowała się panika. – Coś dzieje się z moim bratem. Jin majaczy przez sen.

Znowu to samo słowo. *Brat.*

Była mniej podobna do Jina niż do Księcia Buntownika.

– To normalne – powiedział Bahi. – Jad Koszmaru będzie spalał się w jego organizmie.

– Jesteś pewien? – Fioletowowłosa dziewczyna była bliska płaczu.

– Delila. – Książę objął ją, żeby ją pocieszyć. Uświadomiłam sobie, że była jego siostrą.

– Jesteś córką Dżina! – wyrwało mi się. Kręciło mi się w głowie, gdy próbowałam oddzielić to, co prawdziwe, od tego, co tylko słyszałam przy obozowym ognisku. – Z tej opowieści.

Delila w jednej chwili zapomniała o swoim smutku. Odgarnęła fioletowe włosy do tyłu, jakby mogła je ukryć.

– Spodziewałaś się kłów i łusek? – Książę Ahmed uśmiechnął się, jakby powiedział dowcip, ale dało się w nim wyczuć ostrożność.

– Właściwie to skrzydeł i rogów. – Próbowałam zażartować.

Tak opisywano w Dustwalk potworną siostrę księcia. Zawstydzona dziewczyna spuściła wzrok. Powietrze wokół niej zafalowało. Zniknęły fioletowe pasma, a jej włosy przybrały czarną barwę, taką samą jak u brata. Nieświadomie bawiła się kosmykami. Nagle pożałowałam, że w ogóle się odezwałam.

– Mimo wszystko pójdę i sprawdzę, co u niego. – Bahi podrapał się w szyję. Najwyraźniej źle się czuł w tak napiętej sytuacji. Gdy podniósł rękę, zauważyłam, że na dłoni ma narysowane niebieskim tuszem idealne koło obwiedzione różnymi symbolami.

Moje serce zamarło.

– Jesteś Świętym. – W Dustwalk sami zszywaliśmy rany postrzałowe i opatrywaliśmy urwane palce. Dopiero jeśli urwało ci ze dwie kończyny lub straciłeś wiadro krwi, interweniował Święty. Wzywaliśmy go wtedy, gdy pozostała tylko modlitwa – częściowo po to, by próbował uzdrowić, lecz także po to, by wstawił się za umierającym u wrót śmierci. Obecność Świętego nigdy nie była dobrym omenem. To była ostatnia deska ratunku.

Moje myśli zapewne odzwierciedliły się na mojej twarzy.

– Nie martw się. – Bahi podniósł drugą rękę. Nic na niej nie było. Nie miał na niej żadnego tatuażu. – Nie jestem zbyt skuteczny.

Rękę z tatuażem położył na ramieniu Delili. Zanim wyszli, pochylił się konspiracyjnie ku niej i szeptał jej coś do ucha. Powiedział coś, co ją rozśmieszyło mimo smutku. Chciałabym wiedzieć, co to było. Chciałabym poznać słowa, które mogłyby poluzować mój węzeł zmartwień. Jeśli ciągnęłam Jina przez pół pustyni tylko po to, żeby tu umarł, to chyba go zabiję.

– Co mu się stało? – Książę Ahmed miał silniejszy akcent od mojego, ale nie tak wyraźny jak dowódca Naguib. Naguib. On też był synem Sułtana. Tak samo jak książę Ahmed był bratem Jina.

Jin celował w głowę Naguiba, ale nie pociągnął za spust. Zabicie członka rodziny było grzechem.

– Czy jest tu jeszcze ktoś spokrewniony z Jinem, o kim powinnam wiedzieć, zanim odpowiem na to pytanie? – Gdybym choć raz w porę ugryzła się w język! Przecież nawet nie byłam na nich zła.

Jednak Shazad parsknęła śmiechem. Rechetliwym, nieeleganckim śmiechem, który zupełnie do niej nie pasował, i wcale nie był skierowany *przeciw* mnie.

– Chcielibyśmy wiedzieć. Nigdy nie wiadomo w przypadku Sułtana i jego kobiet.

Ahmed jednak wyczuł, o co miałam pretensję.

– Nie wiedziałaś, że jest moim bratem. – To nie było pytanie.

– Nie wiedziałam nawet, że bierze udział w rebelii. – W środku palił mnie wstyd. Ahmed i Shazad patrzyli na mnie, czekając aż powiem coś, co wyjaśni, dlaczego ciągnęłam przez pustynię kogoś, kogo prawie nie znałam. Nie umiałabym wytłumaczyć im, w jaki sposób nasze losy się złączyły.

– Jin wysadził fabrykę. – To wydawało się dobrym punktem wyjścia, ale w rzeczywistości było inaczej. – To zdarzyło się po tym, jak spaliliśmy budynek – dodałam. – Ale zrobiliśmy to przypadkowo. – Twarz Shazad rozjaśnił uśmiech. Jakby właśnie coś sobie o mnie pomyślała i spodobała jej się ta myśl. A potem opowiedziałam całą resztę.

Uśmiech Shazad zniknął, kiedy dotarłam do Dassamy, ale nie przerywała, gdy mówiłam o ostatnich kilku dniach. Fahali. Nasza ucieczka. Koszmary.

-- Musimy wymyślić jakiś plan. – Gdy skończyłam, Shazad pokazała palcem Fahali na mapie leżącej przed księciem. – Gallanie i Sułtan podchodzą coraz bliżej. Szukają nas – mają broń, za pomocą której mogą zmieść z powierzchni ziemi całe miasta. – Zwróciła się do mnie. – Jaki, według ciebie,

ta broń ma zasięg?

– Niewystarczający, żeby wysadzić cały kanion. – Patrzyłam na poszarpaną linię symbolizującą Dolinę Devy, ciągnącą się w poprzek mapy. Palec Shazad zatrzymał się na Fahali. Tuż przy jej palcu był znak, którym oznaczono zbuntowany obóz. Odległość mniejsza niż szerokość palca zdawała mi się zbyt mała, by czuć się bezpiecznie. – Wystarczy, żeby nie musieli znać precyzyjnego położenia. Albo przedostać się przez magiczne drzwi. – Zawahałam się. – Poza tym w Dassamie nie było najmniejszego śladu odłamków.

– Co to może znaczyć? – zapytał Ahmed, patrząc na mapę. Przyglądał się krajowi, który już raz zdobył, lecz przez cały czas musiał o niego walczyć.

– Brak odłamków oznacza, że nie była to bomba jednorazowego użytku – powiedziała Shazad, rozumując szybciej niż książkę. – To coś nowego. Broń, której mogą używać wciąż na nowo.

– Co oznacza, że nie muszą znać naszego dokładnego położenia, ponieważ nie muszą nas trafić za pierwszym razem. – Ahmed i Shazad wymienili ponad moją głowę znaczące spojrzenie.

– Potrzebujemy Imin – powiedział Ahmed.

Dziewczyna, która po chwili weszła do namiotu za Shazad, zupełnie niczym się nie wyróżniała. Wyglądała tak przeciętnie, że trudno było w jej wyglądzie wskazać coś charakterystycznego. Tylko to, że miała żółte oczy.

– Potrzebujemy szpiega – powiedział Ahmed do Imin. – Musimy przedostać się do armii Gallanów w Fahali i wysłać ostrzeżenie, jeśli podejda zbyt blisko.

– Dobrze. – Dziewczyna bez entuzjazmu wruszyła ramionami. W tej samej chwili jej twarz zaczęła się zmieniać. Usta się zwężyły, skóra pojaśniała, ramiona zrobiły się szersze, pierś bardziej płaska. W mgnieniu oka stała się kimś zupełnie innym. Mężczyzną z twarzą pozbawioną jej rysów. Twarzą Gallana.

Jedyną rzeczą, która pozostała bez zmian były jej – jego – jasnożółte oczy i ubrania. Przypomniała mi się czerwonowłosa dziewczyna w Fahali tuż przed tym, jak została zastrzelona.

– Nie podoba mi się. – Shazad krytycznie spojrzała na szpiega. – Twoje oczy... – Imin przewróciła nimi. – Powinniśmy posłać Delilę.

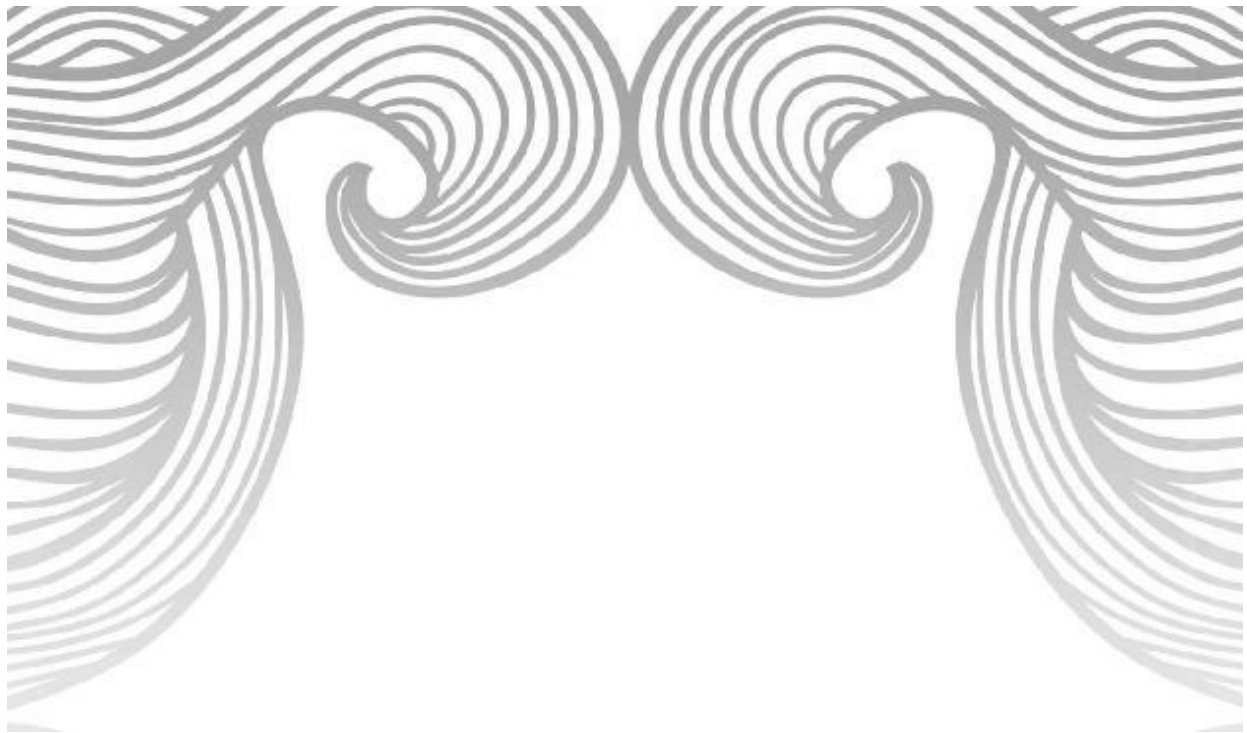
– Nie. – Ahmed pokręcił głową. – Iluzja jest zbyt ryzykowna. Posyłanie Półdzina do obozu Gallanów to jak posyłanie jagnięcia do jaskini lwa. Iluzje wymykają się spod kontroli, zmiana postaci nie.

– Delila przynajmniej może ukryć swoje znamię – powiedziała pod nosem Shazad.

– To musi być Imin. – Ton Ahmeda nie pozostawiał miejsca na dyskusję.

W końcu Shazad kiwnęła głową na zgodę.

– W kanionie jest martwy duch w mundurze Gallana. Obsłuż się sama. Masz złożyć raport przed Shihabian. – Odwróciła się i skinęła na mnie, bym poszła za nią. – I postaraj się, żeby cię nie zabili.



OSIEMNAŚCIE

Wyszłam z pawilonu za Shazad i ponownie oślepiło mnie złociste światło i jaskrawe kolory.

– Jak ona to zrobiła? – zapytałam, patrząc na Imin, gdy zrównałam z nią krok. – Czy ona jest... Nie jest Skórozmienną, prawda?

– Nie, pewnie się zdziwisz, ale niekoniecznie chcemy zostać pozabijani podczas snu. Imin jest Półdżinem jak Delila – powiedziała Shazad, jakby to wystarczyło za odpowiedź. Odsunęła materiał zasłaniający wejście do mniejszego namiotu niż ten należący do księcia, lecz wciąż wystarczająco wysokiego, żeby móc w nim stać. Wewnątrz wszystko było ustawione z zadziwiającą precyzją: schludnie zasłane łóżko, stos książek, kufer oraz różne rodzaje broni na podłodze. Shazad otworzyła kufer. – Proszę. – Wyjęła zwykłą białą koszulę i brązowe szarawary. – Powinny na ciebie pasować. Jesteś cała zakrwawiona.

– Czym jest Półdżin? – zapytałam, sekundę za późno orientując się, że najpierw powinnam jej podziękować.

– Nigdy nie słyszałaś o Półdżinach? – Opuściła klapę kufra.

– Urodziłam się daleko stąd. – W miejscu, gdzie książęta i kobiety zmieniające postać zamieszkiwały jedynie historie opowiadane przy ognisku.

– Dzieci urodzone z Dżinów i śmiertelnych kobiet. – Shazad usiadła na kufrze. – Jest ich kilkanaścioro w naszym obozie. Można powiedzieć, że Ahmed je kolekcjonuje.

– Czy wszystkie potrafią zmieniać postać? – Rana na mojej ręce zabolęła na wspomnienie Skórozmiennego z kanionu. Zdjęłam zakrwawioną koszulę.

– Nie, to zależy – odpowiedziała Shazad. – Dżiny są istotami z pustyni, zdolnymi do iluzji i manipulacji. To właśnie dziedziczą ich dzieci: iluzje, podstęp, moc

pustynnego żaru i wiatrów. Delila potrafi tworzyć obrazy, które wyglądają jak prawdziwe, ale nie można ich dotknąć, są powietrzem. Imin może zmienić swoją postać, w zależności od dnia jest kobietą lub mężczyzną, może wyglądać jak chce. Mamy też bliźniaków, którzy również zmieniają kształty, ale zamiast w ludzi, przekształcają się w zwierzęta. Jeszcze inny wpełza do twojego umysłu i tak go nagina, żebyś widziała to, co chce, przypomina to stan jak po udarze słonecznym. W świętych księgach nazywają to „Darem Dżina”. Niektórzy mawiają, że to ochrona, która ma rekompensować znamię Dżina.

– Znamię? – Czułam się jak największa ignorantka, gdy mówiła o tym w taki sposób, jakbym powinna to rozumieć.

– Złociste oczy Imin, fioletowe włosy Delili. – Shazad przesunęła palcami po swoich ciemnych włosach, które opadały jej na twarz. – Niektórzy z nich mogą uchodzić za ludzi w wielkim świecie. Kiedy jeszcze mieszkaliśmy w Izmanie, Delila farbowała włosy ciemną henną lub okrywała je iluzją. Ale są i tacy, którzy nie mogą tego ukryć. – Ci dostają kulę w głowę. – Gallanie ich zabijają, bo myślą, że Pierwsze Stworzenia występują przeciw ich wymyślonemu Bogu.

Przypomniała mi się dziewczyna z obozu Gallanów. Myślałam, że ma krew we włosach. Może po prostu miały czerwony kolor? Znamię Dżina.

– Połowa Miraji ściga ich, żeby ich do czegoś wykorzystać. Jak palec, któremu przypisuje się właściwości uzdrawiające. Zapytaj Bahiego, jeśli chcesz poznać teologię. Większość ludzi nazywa to...

– Magią pustyni. – Tak rodziły się różne historie. Bohaterowie i potwory zgromadzili się, żeby walczyć i umierać za Księcia Buntownika.

Jin i ja rozmawialiśmy o tych opowieściach. O Księciu Buntownika. A potem Jin przez cały czas kłamał, aż zrobiłam z siebie durnia, pakując się w sam środek czegoś,

na co nie byłam gotowa.

≈≈≈

Shazad była mniej więcej mojego wzrostu. Z tym, że dzięki temu, iż przez całe życie jadła porządne posiłki, miała więcej ciała w miejscach, które u mnie były płaskie i pozwalały mi udawać chłopaka, gdy wymagała tego sytuacja. Idąc przez obozowisko, próbowałam uporać się z nadmiarem materiału i odnaleźć drogę, którą przeszłam rano.

Tuż przed namiotem z gwiezdny baldachimem, w którym się obudziłam, spotkałam Bahiego. Zakradł się po cichu. Przyłapał mnie w momencie, gdy odchylałam dekolt koszuli. Krople wody kapały mi na ubranie, przez co materiał kleił się do skóry. Zanim Shazad poszła robić to, czym się tu zajmowała, pokazała mi mały staw ukryty przed wzrokiem mieszkańców obozowiska, w którym mogłam się umyć. Nie miałam nikogo innego, do kogo mogłabym się tutaj zwrócić i nic innego do roboty.

– Dlaczego masz na sobie ubrania Shazad? – zapytał Bahi, mierząc mnie wzrokiem.

– Pamiętasz wszystkie ubrania Shazad? – odpyskowałam bez namysłu.

Bahi podrapał się po karku i zrobił nadąsaną minę. Wyglądał jak dzieciak przyłapany na gorącym uczynku.

– Trudno na nią nie patrzeć – przyznał. – Nie mów jej tego. Jestem przekonany, że zna co najmniej pięć różnych sposobów, żeby mnie zabić, nawet mnie nie dotykając. A jeśli umrę, nie będzie tu nikogo, kto zaopiekowałby się twoim księciem.

– Nie jest mój – zaprzeczyłam. A potem, ponieważ nie mogłam się powstrzymać, zapytałam: – Jak on się czuje?

– Przyprowdziłaś go w ostatniej chwili. – Bahi przeczesał włosy palcami. – Teraz musimy czekać.

– Mogę go zobaczyć?

– Nie widzę przeciwwskazań. – Bahi wzruszył ramionami i wskazał za siebie.

Gdy tylko odsłoniłam wejście do namiotu, gorąco uderzyło we mnie, jakbym zderzyła się ze ścianą. Jin leżał tak, jak go zostawiłam – nieruchomo, jakby nie żył.

Jego brat siedział przy nim. Książę Ahmed miał rozpięty kołnierz koszuli i w skąpym świetle lampy na jego piersi mogłam zobaczyć taki sam tatuaż jak u Jina. Podniósł wzrok na dźwięk odsuwanej klapy namiotu.

– Wasza Wysokość. – Zacięłam się na tych słowach. – Przepraszam, powinnam...

– Nie, zostań, proszę. – Nie wiedziałam, jak mogłabym odmówić księciu. Usiadłam po drugiej stronie, naprzeciw Ahmeda.

Znieruchomiałam. Ahmed sprawił, że nie mogłam opędzić się od tego, co było tu i teraz. Jin nie był jakimś tam chłopakiem z zagranicy z uśmiechem zdrajcy; był synem Sultana, a ja znajdowałam się z dala od swojej wsi i siedziałam teraz obok dwóch książąt marnotrawnych.

– Czy Jin to jego prawdziwe imię? – zapytałam, kiedy cisza zdawała się ciągnąć zbyt długo.

– Tak – odparł Ahmed. – Ale to nie jest jego pełne imię. Nasz ojciec nazwał go Ajinahd Al'Oman Bin Izman. Lien, jego matka, mówiła na niego Jin.

Spędziliśmy ze sobą prawie dwa miesiące, a on nawet nie podał mi swojego prawdziwego imienia.

Ahmed patrzył na mnie.

– Sądysz, że ci nie ufał. Ale to nieprawda.

Prychnęłam.

– Kompas. – Kątem oka zobaczyłam zniszczony mosiężny przedmiot w jego rękach. Pomyślałam o tatuażu na plecach Jina. Kompas. Po drugiej stronie słońca. Jakby jego serce biło pomiędzy nimi. – Zrobili go Gamaniksianie. Podczas gdy Albiszowie i Gallanie prowadzą wojnę o magię i śmiertelność, Gamaniksianie równoważą jedno i drugie. Część nauki,

część magii. Każdy kompas połączony jest z innym egzemplarzem. Kompas jest naszą linią życia. W ciągu sześciu lat, czyli odkąd je otrzymaliśmy, nigdy nie spuściłem oka z mojego. Zgubiłbym Jina dziesiątki razy, gdyby nie on. Mój brat nie za bardzo troszczy się o swoje bezpieczeństwo, ale zawierzył ci w sprawie swojej rodziny, a bardziej już się nie da.

– Jak wiesz, to matka Jina wyprowadziła nas bezpiecznie z pałacu. – Nie wiedziałam. Tak jak nie wiedziałam niczego pewnego o Jinie. Ale Ahmed uważał, że musi go przede mną usprawiedliwić. Nie miałam nawet pewności, że mówi do mnie. – Lien i moja mama były jak siostry. W haremie naszego ojca pojawiły się w tym samym czasie, a narodziny Jina i moje dzieliły zaledwie godziny. Przyszedłem na świat za wcześnie, Jin za późno. Byłem piątym synem. On szóstym. Urodziliśmy się na początku panowania naszego ojca i byliśmy dość dobrze traktowani, ale nie pojawiliśmy się na świecie na tyle szybko, żeby interesował się nami tak bardzo, jak pragnęły tego nasze matki. Lien nazywała to przeznaczeniem. Jin nie wierzy w przeznaczenie. Nie pamiętam twarzy matki. Byłem za mały, kiedy umarła. – Piękna, młoda żona Sułtana z opowieści. Ta, którą pobił na śmierć za to, że urodziła Delilę. W opowieści, którą snuł przy mnie Książę Buntownik, jej życie zamknęło się w kilku słowach. Ale dla Ahmeda była człowiekiem z krwi i kości. – Wszystkie moje wspomnienia z Miraji łączą się z moim bratem. Tej nocy, gdy urodziła się Delila, Jin był chory. Lien i moja matka planowały ucieczkę, odkąd mama uświadomiła sobie, że jest brzemienna i nosi dziecko Dżina. Zabranie Jina z pałacu nie było bezpieczne, bo miał wysoką gorączkę, ale jeszcze bardziej niebezpieczne było pozostawienie Delili. Więc Lien podjęła ryzyko. Z tej nocy pamiętam zaledwie kilka rzeczy. To, że trzymałem się sukni Lien, gdy płaciła okup w złotych bransoletach, żeby dostać się na statek płynący do Xicha.

– Ale to chyba tylko moja wyobraźnia. Lepiej pamiętam, jak siedziałem na łóżku piętrowym na rozkołysanym statku wiozącym nas daleko od domu i trzymałem dłoń na sercu brata trawionego gorączką, podczas gdy Lien kazała mi się modlić za Jina, żeby przeżył tę noc, a sama kołysała moją siostrę, starając się ukoić jej płacz. – Przełknął ślinę. – Straciłem rachubę, ile modlitw od tamtego czasu zmówiłem za brata, żeby nie umarł. Zebrał już dość kuksańców od śmierci jak na jedno życie.

– Niektórym ludziom najlepiej wychodzi stawanie na linii ognia – powiedziałam. – Wasza Wysokość.

– Proszę, mów mi Ahmed. Wystarczy się rozejrzeć, żeby zobaczyć, że moja „wysokość” stoi pod dużym znakiem zapytania. – W tej chwili w ogóle nie przypominał brata. Jin zawsze się do mnie uśmiechał, jakbyśmy oboje mieli coś spsocić i sprawiałoby mu to dużą frajdę. Księżę uśmiechał się tak, jakby ci przebaczał. – Mój brat nie przejmował się swoim bezpieczeństwem, ale przez większość czasu, gdy wszedł na linię ognia, stawiał się pomiędzy śmiercią a mną lub Delilą. Nigdy nie widziałem, żeby flirtował ze śmiercią dla kogoś innego niż my. Aż pojawiłaś się ty.

Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Skupiłam się na Jinie zamiast na Księciu Buntowniku. Jego rysy były jedynym znanym mi punktem odniesienia w tym niesamowitym miejscu pełnym fioletowowłosych księżniczek i złotookich kształtozmiennych, chociaż mógł równie dobrze zmienić się w obcą mi osobę z chwilą, gdy Ahmed nazwał go bratem.

– Zdobycie tronu, królestwa... – zaczęłam. – Czy warto ryzykować życie tylu ludzi?

Czy warto ryzykować jego życie?

– Sułtan zabił *twoją* matkę, Sultrim zawłaszczył *twój* tron. Inni ludzie nie mają z tym nic wspólnego. Chcesz wiedzieć, kto zabił *moją* matkę? Twój kraj. – Nie chciałam, żeby zabrzmiało to jak drwina. Ale chciałam, żeby to powiedział. Że naprawdę może ocalić tę pustynię.

– Nie chodzi mi o władzę. – Księżę Ahmed był spokojny, jakbym przed chwilą nie rzuciła mu w twarz oskarżenia o zamordowanie mojej mamy. Jakoś udało mi się uniknąć zawadiackiego tonu. – Widzę, jak rządzi mój ojciec, jakby bał się, że może stracić choć odrobinę władzy. Sądzi, że to jedyny sposób, więc dlatego jesteśmy biedni, okupowani i słabi. Nigdy nie planowałem powrotu do Miraji, żeby zająć miejsce na tronie.

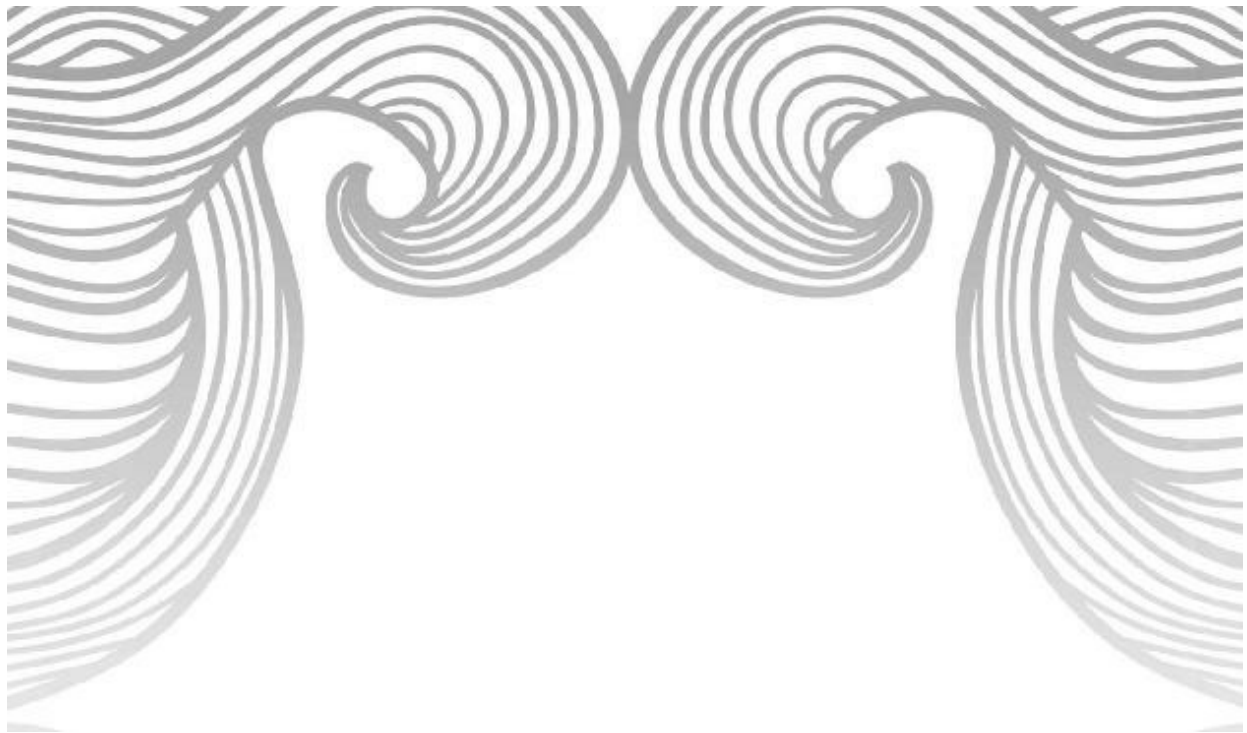
– Byliśmy wszędzie, zanim tu przybyliśmy. Widzieliśmy Półwysep Joński, gdzie zasiada rada składająca się z mężczyzn i kobiet wybranych spośród ludzi, zarówno biednych, jak i bogatych, aby wszyscy mogli być wysłuchani. Byliśmy w Amonpour, gdzie ludzie są bogaci i syci dzięki handlowi i przemysłowi. Pojechaliśmy do Albis, gdzie kobiety mogą odziedziczyć ziemię i pracować, będąc traktowane na równi z mężczyznami. I w Espie, gdzie w pewien mocno zakrapiany wieczór wymyśliłem, że zrobienie tego – powiedział i rozchylił koszulę, żebym mogła zobaczyć cały tatuaż przedstawiający słońce, identyczny jak ten Jina – jest dobrym pomysłem. To xichański symbol szczęścia i pomyślności. Pasuje, jeśli żyje się od jednej pracy do drugiej, od jednego statku do drugiego, jak my wówczas. Nie planowałem, że stanie się symbolem buntu.

– Ludzie z tej pustyni powinni mieć kraj, który należy do nich, nie do jednego człowieka. Wszyscy w tym kraju żyją, jakby w chwili urodzenia zapłonął w nich ogień. W Miraji panuje wielka świetność, chociaż na kraj spada tyle zła ze strony mojego ojca i Gallanów. Ludzie tu mieszkający zasługują na coś lepszego. Shazad zasługuje na kraj, gdzie jej zdolności nie zostałyby zmarnowane tylko dlatego, że jest kobietą. Półdżiny nie powinny obawiać się o swoje życie tylko dlatego, że mój ojciec sprzymierzył się z krajem, który pali obdarzonych darem magii. Moja matka zasługiwała na coś więcej niż podła śmierć za to, że zbuntowała się przeciw życiu, którego sama dla siebie nie wybrała.

Moglibyśmy uczynić z Miraji największą potęgę na świecie.

– Mój ojciec jest w stanie wojny, niespokojny, w połowie w rękach króla Gallanów. A mój brat Kadir jest taki sam jak on. Gdy on będzie Sultrimem, będą nami rządzić obce imperia, które przyjdą i wykrwawią pustynię do cna. Chyba że wszystko zmienimy.

Książę Ahmed ożywił się, mówiąc o pustyni. A im więcej mówił, tym mniej sceptyczna byłam. W końcu zrozumiałam tego szalonego chłopaka ze strzelnicy, w której po raz pierwszy go zobaczyłam. Uwierzyłam, że takie idee mogą sprawić, że ludzie opowiadają się za rebelią, nawet jeśli mogą za to zawisnąć.



DZIEWIĘTNAŚCIE

Ciemność zapadła nad oazą szybciej, niż się spodziewałam. Nie zauważyłam tego, gdy szliśmy przez pustynię, lecz teraz uświadomiłam sobie, że do Shihabian pozostało niewiele czasu. O zmroku kolorowy świat stał się mniej jaskrawy. Pomiedzy drzewami płonęły ogniska. Wokół każdego z nich siedziała niewielka grupa roześmianych ludzi, spożywających wspólny posiłek. Pomyślałam o Dustwalk w porze obiadowej. Każdy zamykał się we własnym domu, zazdrośnie strzegąc tej odrobiny jedzenia, którą posiadał. Tutaj jedzenie leżało na dużym dywanie pośrodku obozu razem ze stosem talerzy.

Shazad i ja usiadłyśmy przy ognisku. Shazad nałożyła na dwa talerze, pieczywo i owoce, po czym jeden z nich podała mnie.

– Skąd pochodzą ci wszyscy ludzie? – zapytałam ją między kolejnymi kęsami. Nie czułam głodu, dopóki nie zaczęłam jeść.

Shazad rozejrzała się, patrząc na setkę buntowników, jakby to pytanie ją zaskoczyło.

– Zewsząd. Zaledwie tuzin z nas uciekł z Izmanu po próbach Sultrima. Ale zeszłego roku sprawa nabrała większego rozgłosu. Przyłączyło się więcej ludzi. Kilku zostało wyrzuconych z domów lub aresztowanych za poparcie dla Ahmeda wyrażane nieco zbyt głośno. Niektórzy uciekli z więzienia. Farrouk i Fazia są sierotami z Izmanu. – Wskazała tych, którzy rano majstrowali przy bombie, a teraz stawiali jakąś konstrukcję z chleba. – Zostali wynajęci do stworzenia bomby podczas pewnej misji, która miała miejsce kilka miesięcy temu, lecz zostali rozpoznani przez armię Sułtana, więc teraz są uciekinierami. Warto ich mieć przy sobie, chociaż obawiam się, że któregoś dnia wysadzą cały obóz.

– A ty? – spytałam.

– Jestem dziewczyną, która mogłaby robić, co jej się żywnie podoba, gdyby urodziła się jako chłopak. – Wzięła kęs jedzenia. – Ale urodziłam się jako dziewczyna, więc robię to, co robię. Moja matka sądzi, że jest to głęboko przemyślana taktyka, żeby nie wyjść za mąż. – Widziałam, jak Shazad zabiła Skórozmiennego. Przyglądałam się, gdy prowadziła ćwiczenia z bronią dla kilkunastu buntowników, z taką charyzmą, że porwałaby całą armię do przemarszu przez pustynię. Skoro ona nie mogła znaleźć dla siebie miejsca w Izmanie, dla mnie tym bardziej nie było żadnej nadziei.

– Jest zbyt skromna. – Bahi usiadł obok Shazad przy ognisku, opierając nogi o poduszkę. Na kolanach trzymał talerz. – Shazad urodziła się, by sięgać po zaszczyty. Jej ojcem jest generał Hamad.

Popatrzyłam na nich, nic nie rozumiejąc.

– Przez dwie dekady był najważniejszym generałem w armii Sultana. – Bahi przechwalał się w jej imieniu. – Miał silną córkę i słabego syna. Będąc człowiekiem sięgającym po niekonwencjonalne strategie, wyszkolił córkę, by mogła pójść w jego ślady.

– Mój brat nie jest słaby, jest chory – powiedziała Shazad.

– Większość ludzi – kontynuował Bahi z uśmiechem, na który składał się komplet zębów i zero rozbawienia – zabiłoby swojego syna, próbując uczynić go silniejszym. Jak mój ojciec próbował ze mną.

Shazad uchroniła mnie przed powiedzeniem czegokolwiek.

– Bahi jest synem kapitana w armii. Jego ojciec podlega mojemu, więc dlatego Bahi i ja znamy się, odkąd mieliśmy po sześć lat.

– I do tego czasu jesteśmy przyjaciółmi, ponieważ jestem czarujący – dodał Bahi.

– I jesteś odrobinę mniejszym dupkiem niż reszta twoich braci – stwierdziła Shazad. – Kapitan Reza – w głosie Shazad słychać było pogardę, a Bahi zasalutował na dźwięk

nazwiska – ma sześciu synów, więc wydawało mu się, że może kilku poświęcić. Najbardziej lubił przechwalać się przed swoim przełożonym, że ma sześciu silnych synów, podczas gdy mój ojciec ma tylko jednego.

– I ciebie – powiedziałam.

– Kapitan Reza nigdy nie brał mnie pod uwagę.

– Jego błąd – wtrącił Bahi.

– Czy twój ojciec wie... – Nie wiedziałam, jak powinnam sformułować pytanie. – Czy wie, że zwróciłaś się przeciwko niemu?

– Nie jestem przeciw ojcu. – Shazad uśmiechnęła się. – Jestem przeciw Sułtanowi. Mój ojciec jakiś czas temu również się od niego odwrócił. To on zdradził nam, że w Ostatnim Okręgu produkuje się broń. Było to objęte taką tajemnicą, że nie dowiedział się tego od Sułtana, lecz zdobył informacje jakąś inną drogą.

Aż się wyprostowałam. W Dustwalk krążyła plotka, że rebelianci Ahmeda to banda idealistycznych durniów z pustyni. Ale buntownicy mieli na tyle duże wpływy w Dassamie, że opłacało się ją zniszczyć. A generał miał wysoką pozycję na dworze. Gdyby był lojalny wobec Ahmeda...

– Więc mówisz, że macie sojuszników na dworze Sułtana?

Shazad była najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałam, a kiedy się uśmiechała, pokazując zęby, wyglądała również na najbardziej niebezpieczną.

– Kilku. Opowieści każą ci wierzyć, że Ahmed jakby za sprawą magii pojawił się w Izmanie w dniu, gdy odbywały się próby Sultrima. Podobnie jak w to, że zniknął z pałacu w noc urodzin Delili w tumanie dymu wznieconego przez Półdzina. Lecz historie snute przy ognisku nigdy nie dają pełnego obrazu. – Przypomniałam sobie, co powiedział mi Ahmed, gdy czuwaliśmy nad Jinem w namiocie chorych. Jego matka wraz z matką Jina planowały swoją ucieczkę. Ale matka Jina w ogóle nie znalazła się w tej popularnej

opowieści. A razem z nią nie pojawił się Jin. – Ahmed wrócił do Izmanu pół roku przed próbami Sultrima, przybył na statku handlowym. Zakochał się w kręgu intelektualistów. Wśród nich było wielu bardzo mądrych, bardzo idealistycznych chłopców, w tym mój brat, którzy siadali w kręgu i rozmawiali o filozofii i o tym, jak uczynić Miraji lepszym miejscem. Wielu z nich to dzieci ludzi z dworu Sułtana.

Zaczęła jeść.

– Pewnego wieczoru znalazłam mojego brata, Ahmeda, oraz trzech innych idiotów, ich kolegów, zakutych w dyby w samym centrum Izmanu, ponieważ nauczali, że kobiety powinny mieć prawo odmowy zamążpójścia. – To coś dla mnie. – Na szczęście będąc córką generała Hamada, mogłam sobie pozwalać na wiele w stosunku do żołnierzy. Zrugłam ich za aresztowanie jedyne go syna generała, więc pospiesznie wszystkich uwolnili. Nie mieli pojęcia, że przypadkowo uwięzili marnotrawnego księcia Ahmeda. Gdyby wiedzieli, kim jest, wątpię, czy pomógłby mu mój autorytet. Ahmed wynajmował kwaterę w slumsach w Izmanie i posługiwał się fałszywym nazwiskiem. – Domyślałam się, że jest powód, żeby takie fakty nie przedostawały się do opowieści. Nikt nie chciał sobie wyobrazić, że ich bohaterski książę spał w zapchlonym łóżku. – Zaprowadziłam brata do domu, Ahmed poszedł z nami. Kiedy dotarliśmy na miejsce, zrugłam go za to, że naraził życie mojego brata. Następną rzeczą, jaką pamiętam, jest to, że sprzeczałyśmy się o rolę władcy kraju, a ja ostatecznie zgodziłam się przygotować go do udziału w próbach Sultrima.

– W tym czasie byłem zamknięty w Świętym Klasztorze – powiedział Bahi z pełnymi ustami. – Gdybym mógł, próbowałbym ją przekonać do zmiany zdania.

– Chcesz jej powiedzieć, co zrobiłeś, gdy zostałeś wywalony z klasztoru, czy ja mam to zrobić? – Shazad przeżuła

kawałek chleba.

– Niczego sobie nie przypominam. – Bahi nagle skupił całą uwagę na jedzeniu.

Shazad nie przepuściła okazji.

– Upił się i zaczął śpiewać dla mnie serenady pod domem mojego ojca.

Stłumiłam śmiech.

– Jaką piosenkę? – Nie mogłam się powstrzymać.

– Chyba „Rumi i Księżniczka”? – Shazad uchwyciła moje pełne rozbawienia spojrzenie.

– Nie. – Bahi podniósł głowę, żeby zabrać głos w swojej obronie – To była „Kobieta Dżin i Deva” i była piękna. – Wypiął pierś, gdy Shazad parsknęła śmiechem tak zaraźliwym, że po chwili ja również się śmiałam. Bahi zaczął dopominać się napitku, mówiąc, że zaśpiewa ją dla nas, jak tylko wleje w siebie trochę alkoholu.

Prawdę mówiąc, ja już czułam się lekko pijana.

Noc, kolory, śmiech, poczucie mocy i pewność tego, co robili, sprawiały, że kręciło mi się w głowie. Ta rewolucja była legendą, która powstawała na moich oczach. Opowieścią snującą się daleko przede mną i poza moim zasięgiem. Historią, którą opowiadano wciąż na nowo, żeby wyjaśnić, dlaczego świat nie był już taki sam po tym, gdy pojawiła się ta garstka ludzi, która walczyła, wygrała lub umarła, próbując go zmienić. A kiedy to się stało, koleje losu zdawały się nieuniknione. Jakby świat czekał na zmiany, chciał być ocalony, a bohaterowie opowieści zostali pozbawieni życia, jakie wiedli, i przeniesieni w miejsca, w których powinni się znaleźć, jak pionki na planszy, żeby uprawdopodobnić przebieg opowieści. Ale prawda była bardziej skomplikowana, przerażająca i szokująca, bardziej niepewna niż kiedykolwiek sobie wyobrażałam. A ja mogłam stać się jej częścią. Jeślibym chciała. Było już za późno, żeby wykręcić się z tej historii i wyrzucić ją z siebie.

– Gdzie, do cholery, byłeś, święty chłopaku? – Nowy głos

wyrwał mnie z zamyślenia. Spojrzałam na nieznajomą. Sądziłam, że Delila i Imin dziwnie wyglądały, ale ta dziewczyna, która pojawiła się nieproszona obok nas przy ognisku, była cała ze złota. Całe jej ciało – od czubków palców po powieki – wyglądało, jakby nie została urodzona, lecz wykuta w metalu. Kolejny Półdzin.

– Mógłbyś coś z tym zrobić? – Wyciągnęła w jego stronę pokrytą krwią i śladami oparzeń rękę.

Bahi zagwizdał przez zęby, gdy na nią spojrzał.

– Co się stało?

– Nastąpił wybuch. – lakonicznie odpowiedziała złota dziewczyna.

– Poparzenia nie wyglądają najgorzej – powiedział Bahi. – Niełatwo spalić córkę Pierwszego Stworzenia, która sama jest czystym ogniem.

– Kiedy wróciłaś, Hala? – zapytała Shazad. Hala nie odpowiedziała; jedynie sarkastycznie wskazała na swoje zakrwawione ubranie podróżne, co miało zasugerować, że Shazad chyba zwariowała, nie zauważając, iż dopiero co przybyła do obozu.

– Zjawiliśmy się za późno – powiedziała. – Została już aresztowana. Myślałam, że dłużej się uchowa. Zmiennokształtni zwykle lepiej się ukrywają. Imin udawało się przez dwa tygodnie, pamiętasz? Ale widocznie ta jest głupia. Chodzą plotki, że trzymają ją w Fahali do czasu rozprawy. Wróciłam po posiłki. Wyjdziemy w nocy, wkradniemy się do miasta i namieszamy im w głowach, zanim zdążą ją powiesić.

– Masz na myśli dziewczynę z czerwonymi włosami? – Przerwałam jej, niewiele myśląc. Hala po raz pierwszy obdarzyła mnie swoim spojrzeniem. – To jej szukacie w Fahali? Jest Półdzinem. – To słowo nadal brzmiało dziwnie. – Miała czerwone włosy i twarz, która się zmieniała.

– Widziałaś ją! – Złocista twarz Hali błyszczała w świetle ognia, gdy wychyliła się w moją stronę, a ja wiedziałam, że

mówimy o tej samej osobie.

Moje kolejne słowa powstrzymały jej entuzjazm.

– Gallanie ją zastrzelili.

Radosny nastrój przy ognisku momentalnie został stłumiony.

– Więc jak to możliwe, że ty wciąż żyjesz? – Hala zrobiła hardą minę.

Coś w jej głosie sugerowało, iż chciałaby, żebym zaczęła się przed nią płaszczyć. Żebym ukorzyła się przed nią i tłumaczyła, jak śmiałam przeżyć, kiedy osoba, którą miała uratować, straciła życie.

– Ponieważ mnie nie zastrzelili – odpowiedziałam.

Jej wredny uśmiech przypominał grzebień ze złota i kości słoniowej, który należał do matki Tamida. Machnęła ręką, jakby zachęcała mnie, bym mówiła dalej. Zwróciłam uwagę na to, że miała tylko osiem palców. Dwóch brakowało na jej lewej ręce, ale mogłabym przysiąc, że wcześniej tam były. Zauważyła mój wzrok i sekundę później ręka była znowu kompletna.

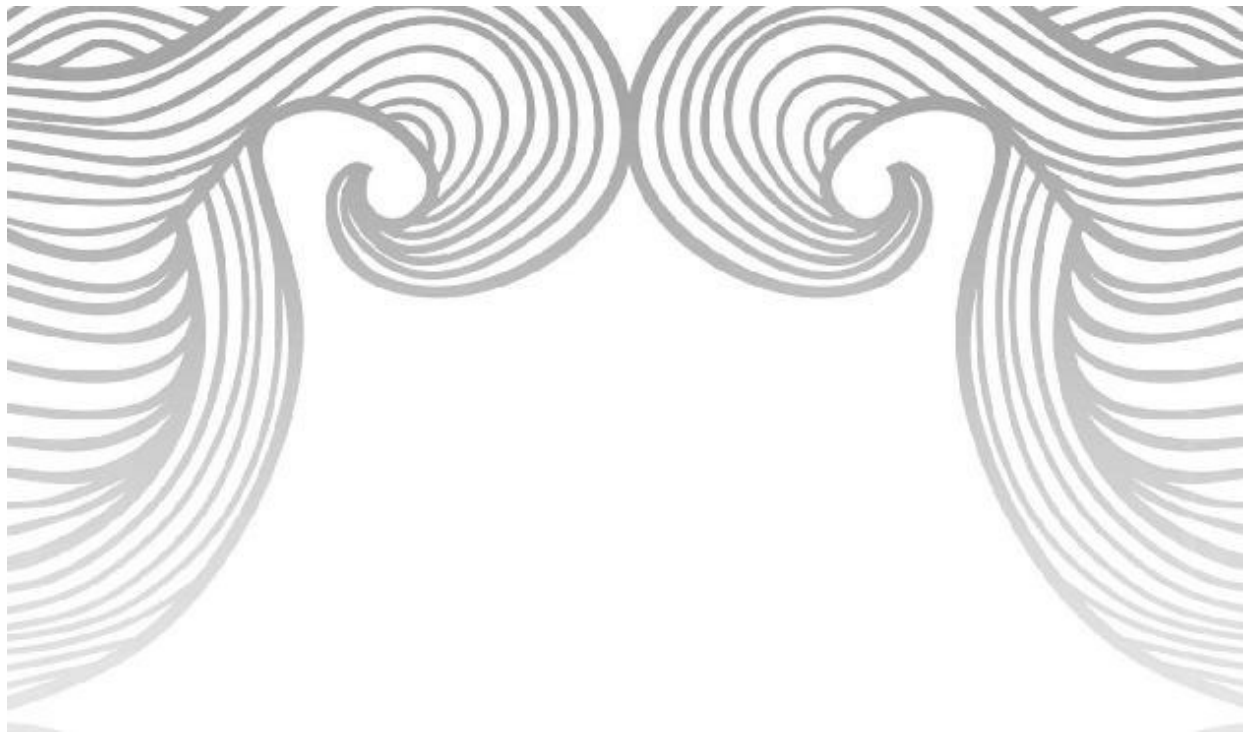
– Gapienie się jest złe. – Z piasku wypełził czarny robak, wspiął się po moim bucie i wszedł na nogę. – Złe jest zostawienie kogoś na śmierć i ratowanie swojego tyłka. – Rozgniotłam go, ale eksplodował w dziesięć czarnych robaków, a potem każdy z nich w dziesięć następnych i w końcu oblażył mnie całą. Strącałam je z siebie, aż rozboleły mnie ręce.

– Hala, przestań to robić – rozkazała Shazad. Myliłam się. Jej głos nie był ostry, był czysty, jakby skrojony na miarę. Robaki zniknęły.

Shazad wcześniej powiedziała coś o Półdżinach, które potrafiły wejść w umysły ludzi. Domyśliłam się, że właśnie taką osobę spotkałam. Już jej nienawidziłam.

– Tam, skąd pochodzę, ludzie troszczą się o siebie nawzajem. – Hala oglądała swoje paznokcie, jakby w ogóle nie majstrowała właśnie w mojej głowie.

– Ona też się troszczyła – powiedział Jin stojący za mną.



DWADZIEŚCIA

Jin ciężko wspierał się na ramieniu Ahmeda. Obaj trzymali się na skraju łuny ogniska. Był słaby i zmęczony, ale żył. I patrzył na mnie.

Moje ciało zareagowało instynktownie na jego pojawienie się w pobliżu – odwróciłam się w jego stronę, jakbym była związana z nim liną. Jakbyśmy byli połączonymi ze sobą dwiema igłami kompasu.

Ale zanim wstałam, rozległ się pisk. Nadbiegła Delila i rzuciła się na Jina, trajkocząc w jakimś obcym języku, który, jak się domyślałam, był ich ojczystym językiem z Xichan. Zaczęła płakać w jego koszulę. Wkrótce cały obóz poderwał się na nogi, ludzie go otoczyli. Zadawali pytania, witali z powrotem.

– Spokojnie! – krzyknął Bahi. – Dopiero co postawiłem go na nogi. – W końcu ludzie zaczęli odchodzić do swoich ognisk, gdzie porzucili jedzenie, zostawiając Jina i Ahmeda przy naszym niewielkim kręgu. Jin stanął naprzeciw Shazad.

– Generale – powiedział. Miał zachrypnięty głos, ponieważ od dawna go nie używał, ale sposób, w jaki to powiedział, boleśnie przypominał mi inne słowo. „Bandytko” – jak mawiał do mnie na pustyni.

– Nie mów tak na mnie. – Shazad objęła go jednym ramieniem, uważając na opatrunki bardziej niż Delila. – Co się stało z „tylko się rozejrzę, niedługo wrócę”?

Roześmiali się wszyscy, którzy jeszcze otaczali Jina, ja natomiast siedziałam na zewnątrz tego kręgu. Zastanawiałam się nad tym, co czułam, próbowałam wymyślić, co mam powiedzieć w tym miejscu, do którego nie należałam, do Jina, który znowu stał się dla mnie kimś obcym. Ci ludzie stali u jego boku i planowali rewolucję,

kiedy ja jeszcze strzelałam do puszek za domem wuja.

– Lepiej późno niż martwy – powiedziała Hala. Nie objęła go. Ale gdy światło ogniska migotało na jej złotej skórze, przez co wyglądała jak roztopiona, zauważyłam, że zniknęła jej hardość.

– Tak, i to mnie powinniście za to podziękować – dodał Bahi z pełnymi ustami. Nawet na stojąco nadal się opychał.

– Mnie dotąd nie podziękował jeszcze nikt.

– Sądziłam, że Święci mają wykonywać swoją pracę na chwałę Boga, a nie dla wdzięczności śmiertelnych. – Jin robił wszystko, żeby nie spojrzeć mi w oczy, gdy zwracał się do Bahiego.

– Dobrze więc, że nie zaliczyłem szkolenia, prawda? – Bahi zatoczył szerokie koło ręką, w której trzymał jedzenie, obsypując Delilę okruchami.

– Kiedyś musiało ci się udać zachować jakiegoś pacjenta przy życiu – powiedziała Shazad. – To Amani cię tu przywlekła. – Chciałam uściskać i jednocześnie przekląć Shazad. W chwili, gdy padło moje imię, Jin nie miał już innego wyjścia i musiał spojrzeć mi w oczy.

Między nami pojawiły się dwa miesiące spędzone razem na pustyni. Wszystko, co mi powiedział i czego nie powiedział.

Tajemnice i kłamstwa. Świadomość, że tym razem go nie zostawiłam. Że w ciągu dwóch miesięcy zmieniłam się z dziewczyny, która uśpiła go lekami i zostawiła śpiącego z głową na stole, żeby móc uciec, w taką, która uratowała mu życie, mimo wrogich żołnierzy i złych duchów.

– No cóż. – Hala uwiesiła się na ramieniu Delili. – Przynajmniej jedno z nas zdołało sprowadzić do domu Półdzina. – Nowe słowo wciąż brzmiało bardzo dziwnie, chwilę mi zajęło, zanim dotarło do mnie, że Hala wskazuje na... mnie. Zapadła cisza.

– Półdzina? – byłam skołowana.

Ahmed zmienił wyraz twarzy. Coś powiedział do Jina w ich

języku. Jin odpowiedział, przecząco kręcąc głową i nie patrząc na mnie.

– To, że nie mówię w waszym języku, nie uprawnia was do rozmawiania o mnie – powiedziałam to głośniejszym niż zamierzałam. Krzyczałam w obecności księcia. Dwóch książąt.

– Amani – odezwał się łagodnie Ahmed – może zechciałabyś usiąść?

Talerz, który podała mi Shazad, spadł z moich kolan na ziemię. Wstałam, nawet nie wiedząc, po co to robię, ale miałam pewność, że muszę mieć solidne podparcie.

– Może jednak nie. – Zauważyłam, że kąciki ust Jina drgają, mój gniew jeszcze się wzmógł. – Kłamstwo – warknęłam i spojrzałam na niego – jest grzechem.

Jin wreszcie się do mnie odezwał:

– Byłem skazany na piekło, zanim jeszcze cię poznałem. – W jego głosie wyczułam żal.

– Nie wiecie, czy jestem...

Jin mi przerwał.

– Nie rób z siebie głupka, Niebieskooka Bandytko – mówił spokojnym tonem, obcym, zrezygnowanym. – Wiedziałem, że jesteś Półdzinem, zanim jeszcze domyśliłem się, że nie jesteś chłopakiem. Wystarczyło spojrzeć w twoje oczy.

Oczy zdrajcy.

Włosy Delili. Oczy Imin. Skóra Hali.

Znamię Dżina.

– Uświadomiłem sobie, że nic o tym nie wiesz, kiedy opowiedziałaś mi o mężu swojej matki. Nazywałaś go ojcem. Półdziny, które wiedzą, kim są, nie robią tego. – Popatrzyłam na dwie Półdzinki stojące obok niego. Delila przygryzła wargę, była niespokojna, podczas gdy uwieszona jej ramienia Hala wyglądała tak, jakby miała zaraz zacząć klaskać, widząc moje zmieszanie.

– Wielu żołnierzy Gallanu ma takie oczy jak ja – argumentowałam.

– Ludzie z północy mają oczy jasne jak woda. Twoje są inne. Mają kolor rozpalonego do białości ognia. I jest jeszcze coś. – Teraz, gdy Jin przestał mnie ignorować, skupiał na mnie całą swoją uwagę. – Bardzo dobrze znasz te opowieści: Dżin nie kłamie. Nie kłamią również jego dzieci. Założyłbym się o swoje życie, że nigdy nie skłamałaś.

Mój śmiech był krótki i gwałtowny. Shazad zrobiła krok w moją stronę, ale odsunęłam się od niej.

– Nazywasz mnie szczerą?

– Nie, jesteś świetną oszustką. Ale nie kłamczuchą.

Przypomniałam sobie coś, co Jin powiedział w sklepie w Dustwalk.

Jesteś urodzoną kłamczuchą. Jak na kogoś, kto nie kłamie.

– W sklepie ukryłam cię przed Naguibem...

– Nie okłamałaś go. – Świat się skurczył, został tylko Jin, ja i wspomnienie tego dnia. Odtwarzałam je sobie w głowie, lecz... – Ani razu. Powiedziałaś mu, że dzień jest spokojny. Powiedziałaś, że w Dustwalk nie ma zbyt wielu obcych. Zwodnicza prawda, ale wciąż prawda. Nabrałaś go. Podobnie jak karawanę. Podobnie jak wtedy, gdy powiedziałaś, że mogę cię nazywać Omanem. – Pomyślałam, że Jin łatwo wierzył w to, co mówiłam. Jak łatwo zrezygnował w Fahali z szukania broni, gdy mu kazałam. – Dżiny są potężnymi, zwodniczymi istotami.

– Więc jakie masz wytłumaczenie? – wydarłam się na niego, lecz on nawet nie mrugnął okiem.

– Mogę dalej wymieniać, jeśli chcesz.

– Jin. – Ahmed rzucił ostrzegawczo, ale wydawało się, że jego głos dobiega z daleka.

– Piasek i słońce nie wyczerpują cię tak samo jak nas, zwykłych śmiertelników. Należysz do nich. – Przypomniała mi się jedna z naszych ostatnich nocy na pustyni. *Jesteś niezwyczajna*, powiedział mi. – Uczysz się języków *ot tak*. – Strzelił palcami, a ja uświadomiłam sobie, że dwa ostatnie słowa powiedział w języku xichiańskim. Przypomniałam

sobie wszystkie te wieczory na pustyni, kiedy karmił mnie opowieściami o odległych miejscach oraz słowami w innych językach. Sprawdzał mnie.

– Przestań. – Słowa z trudem przechodziły mi przez gardło. Co Shazad mówiła o Półdżinach? Że są... jesteśmy użyteczne. Czy dlatego Jin mnie uratował? Ciągnął mnie przez pustynię, nie jako sojusznika, nie dlatego, że potrzebowaliśmy siebie nawzajem, żeby przeżyć, lecz dlatego, że wiedział, iż przydam się jego bratu?

Podeszłam bliżej, a otaczający Jina krąg nerwowo się przede mną rozstąpił. Byłam tak blisko, że mogłam znowu go pocałować. Ten pocałunek to też była sztuczka. Moja sztuczka. Byłam oszukańczą kreaturą, ale nie kłamczuchą.

– Dlaczego mam wierzyć w to, co mówisz?

– No dalej, spróbuj. – Jego usta drgnęły w tłumionym uśmiechu. – Udowodnij mi, że nie mam racji. Powiedz, że masz na imię Oman, lecz tym razem powiedz to wprost. Powiedz, że jesteś chłopcem o imieniu Alidad. Powiedz, że nie jesteś Półdżinem.

– Po co miałabym to robić? – Czułam, że język buntuje się przeciw słowom, które miałam wypowiedzieć na życzenie Jina.

– Żeby przekonać się, że nie jesteś w stanie. – Cały triumfował, gdy przyglądał się, jak zmagam się sama ze sobą.

Ręka sama się podniosła. Gdy moja dłoń opadła mu na policzek, jego głowa przechyliła się w bok. Uciekłam, zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć.

≈≈≈

– Zamierzasz zabrać całą naszą broń czy tylko po jednej sztuce do każdej ręki? – Odwróciłam się w stronę głosu. Ahmed patrzył na mnie, stojąc w wejściu do małej jaskini w ścianie kanionu. Trudno go było spostrzec.

Postanowiłam odejść. Postanowiłam, zanim jeszcze dłoń przestała mnie piec po uderzeniu Jina. Ale nie chciałam odejść bezbronna. Czwarty rewolwer wetknęłam za szimę, którą obwiązałam się w pasie jak szarfą.

– Może wasza zbrojownia powinna być lepiej strzeżona, jeśli nie chcecie, żeby ludzie sami zaopiekowali się jej zawartością?

– Zanim się tu pojawiłaś, nie było takiej konieczności – powiedział Ahmed.

– Wobec tego powinniście o tym pomyśleć, zanim twój brat znów przyprowadzi tu jakąś przybłędę. – Wyminęłam go i szłam dalej. Ahmed ruszył za mną.

– Jestem więźniem? – Odwróciłam się do niego, kiedy uszliśmy zaledwie kilka kroków.

– Nie. – Ahmed założył ręce na plecach. – Chociaż Jin rzeczywiście powiedział, żebyśmy lepiej kogoś za tobą wysłali, żeby mógł cię przyprowadzić z powrotem, zanim umrzesz, gdy gnana wściekłością w końcu padniesz z wyczerpania.

– Pokłada we mnie duże nadzieje. – Nawet nie starałam się ukryć rozgoryczenia w głosie. Ręką dotykałam rewolweru za pasem.

– To prawda – przyznał Ahmed. – Szczerze mówiąc, sądził, że dotarłaś już znacznie dalej.

Niespokojnie odciągnęłam kurek broni. Nie mylił się. Byłam wyczerpana. I ranna. I głodna. I znajdowałam się wiele mil od miejsc, do których mogłabym się udać. Jeszcze dalej od miejsc, w których chciałabym się znaleźć. Lecz zanim Jin się ocknął, zanim słowo „Półdzin” wyszło z ust Hali, chciałam tu zostać.

– Dlaczego? – zachrypiałam, więc odchrząknęłam.

– Cóż – powiedział Ahmed – z tego, co zrozumiałem, przeszłaś długą drogę, żeby się tu znaleźć. Jin uznał, że uda ci się dotrzeć do miejsca, skąd nie będzie już możliwości powrotu...

Prawie się roześmiałam. Mogłabym udawać, że jest zwykłym chłopakiem z Ostatniego Okręgu, który wysławia się z nieco ładniejszym akcentem.

– Dlaczego mi nie powiedział?

– Musisz spytać o to samego Jina, co nim kierowało, że postanowił nic ci nie mówić. Ale jeśli mam być szczery... – Ahmed westchnął. Nagle wyglądał na więcej niż osiemnaście lat. – Półdżiny są kapitałem, Amani. Nie zrozum mnie źle; każdy mężczyzna i każda kobieta stojąca po tej stronie rebelii nim jest. Ale Imin jest najlepszym szpiegiem, jakiego mam. A Hala ocaliła tylu ludzi, że chyba tylko Shazad ma więcej na swoim koncie. Dzięki mojej siostrze nie umarłem pod koniec prób Sultrima. Bliźniacy mogą przybrać postać zwierząt i w ciągu kilku dni przebyć wielkie odległości, co zwykłemu człowiekowi zajęłoby wiele tygodni. Podczas wojny korzystasz z tego, co najlepiej może przysłużyć się twojej sprawie.

Szkoda, że to nie Jin próbował mnie przekonać. Z nim o wiele łatwiej byłoby się posprzeczać. Ale logicznego wyводу Ahmeda nie dałoby się zbyt łatwo podważyć. Poza tym, zostawałam jeszcze ja jako pewien problem.

– Nie potrafię... – Potykałam się na słowach. – Nie potrafię robić tego, co inne Półdżiny. Do tej pory chyba bym zauważyła, gdybym mogła zmieniać wygląd lub tworzyć iluzje. Rozważałam pozostanie i... zajęcie się tym, co robi Shazad. – Chociaż powiedziałam to na głos, nadal brzmiało to głupio. Shazad mogła być w całości człowiekiem, ale widziałam, jak bez żadnego wysiłku zabiła Skórozmiennego. Bez rewolwerów byłam po prostu zwykłą dziewczyną. Nie Półdżinem. – Nie chciałam zostać po to, by kazać robakom wypełzać ludziom ze skóry lub zmieniać się w kogoś innego.

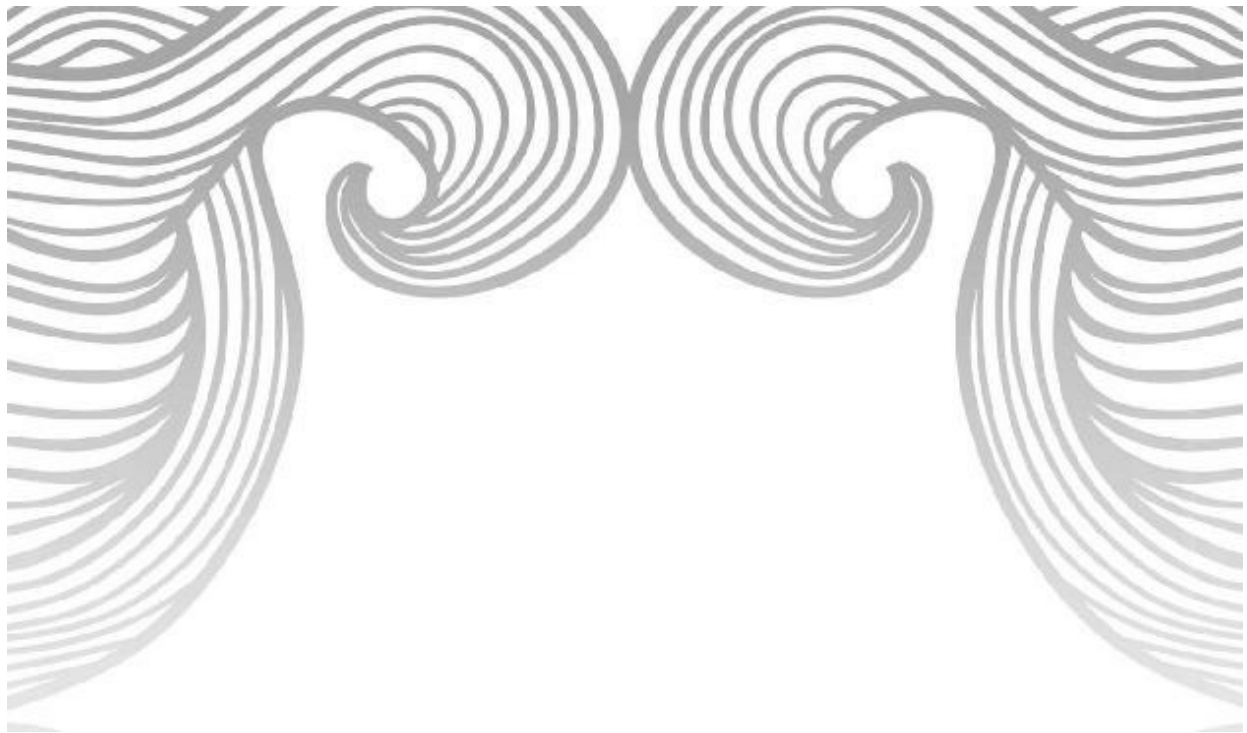
– Jeśli postanowisz odejść, możesz iść – powiedział Ahmed. – W Miraji Półdżinowi grozi niebezpieczeństwo, ale jak dotąd dobrze sobie radziłaś. – Pomyślałam o dziewczynie, którą zastrzelił generał Gallanów w Fahali. Była taka jak ja.

Przypomniałam sobie, że Jin prosił, bym była ostrożna. Ostrzegął mnie przed Izmanem. – Ale jeśli postanowisz zostać, jest tu pół tuzina innych Póldżinów, które pomogą ci odkryć, jaką posiadasz moc i co *możesz* zrobić, żeby wspomóc rebelię. Jeśli nadal tego chcesz.

Jeśli chciałam.

Jeśli chciałam być częścią tej opowieści. Tej zagadki.

Prawdę mówiąc, to było więcej, niż kiedykolwiek pragnęłam.



DWADZIEŚCIA JEDEN

Z gałęzi zwisały trzy granaty. Potem dwa, a po chwili cztery. Popatrzyłam na Delilę, która uśmiechała się słodko.

– Widzisz, to nic trudnego.

Minął tydzień od dnia, gdy Jin się ocknął, a Ahmed obiecał, że mogą pomóc mi odkryć moje moce. Tydzień medytacji z Bahim i ćwiczeń z Delilą, podczas których pokazywała mi, jak tworzyć iluzje tak jak ona. Sądziła, że pokaz może mi pomóc.

– To bez sensu. – Nic nie działało. – Nawet nie wiemy, czy mój talent ma coś wspólnego z iluzjami.

– To najbardziej powszechna umiejętność Półdzina – dodał melancholijnie Bahi.

– Po prostu spróbuj – zachęciła mnie Delila.

– Tak – wtrąciła się Hala. – Spraw, żeby jeden znikł, a dorównasz ulicznym kuglarzom z ulic Izmanu.

Gapiłam się na drzewo. Nie byłam pewna, na co się porywam. Hala powiedziała, że to przychodziło z głowy. Delila twierdziła, że czerpie moc z piersi. Nie mogłam niczego znaleźć w żadnym z tych miejsc. Ciche rżenie koni dobiegające z nieopodal rozproszyło całe moje niezbyt imponujące skupienie. Obejrzałam się przez ramię. To była grupa, którą Ahmed posłał trzy dni wcześniej. Mieli napaść na górski posterunek, żeby przywieźć więcej broni.

Poprosiłam, żeby pozwolił mi jechać z nimi. Znałam się na broni. Ahmed odmówił. Powiedział, że nie warto wysyłać Półdzina, zanim nie objawią się jego zdolności. Że jeszcze jest na to czas. Zaczęłam się zastanawiać, po co zostałam, skoro nie mogłam się do niczego przydać.

Gdy patrzyłam na ich juki, w których postukiwały o siebie rewolwery, frustracja, która we mnie wzbierała, zmieniła się we wściekłość. Nie umiałam poradzić sobie ze zmianą w coś

lub kogoś innego, nie umiałam dostać się do niczyjego umysłu ani tworzyć obrazów z powietrza. Ludzie w obozie zaczęli zakładać się o to, ile czasu zajmie mi odkrycie zdolności. Zaczęto nawet sugerować po cichu, że nie miałam żadnych.

Gdy tak patrzyłam, jeden z trzech granatów pękł i wyciekł z niego czarny sok. Wiedziałam, że to sprawka Hali. Instynktownie chwyciłam rewolwer. Wycelowałam bez żadnego wysiłku i pociągnęłam za spust. Granat eksplodował, rozsypując wokół pestki i sok, a wraz z nimi zniknęła iluzja Hali.

– Proszę – powiedziałam, odkładając broń. – Teraz są dwa.

Odwróciłam się, słysząc czyjś śmiech. Uświadomiłam sobie, że Jin się temu przyglądał. Przechodził obok nas, niosąc na ramieniu drewno na ognisko. Szybko doszedł do siebie po ukąszeniu Koszmaru. Widziałam już, jak wczoraj ćwiczył walkę wręcz z Shazad. Nadal była lepsza od niego. Dużo lepsza. Ale w tej chwili to on kontrolował sytuację.

Nowe upokorzenie sprawiło, że oblałam się rumieńcem, Jin zasalutował w moją stronę i odwrócił się. Przez cały tydzień wykonywaliśmy ten osobliwy taniec, w którym Jin udawał, że nic złego między nami nie zaszło, a ja udawałam, że on nie istnieje.

Zachowywał się, jakby sądził, że to, iż ściągnął mnie tutaj podstępem, jest sprawą bez znaczenia. Że wyciągnął mnie z pociągu, żebym nie pojechała do Izmanu, nie po to, by zapewnić mi bezpieczeństwo. Że przekonał mnie, iż najlepszą drogą, by się tam dostać, jest dołączenie do karawany, liczył na moją naiwność i nieznajomość własnego kraju. Że zgodziłam się na to, bo byłam na tyle głupia, iż uwierzyłam, że naprawdę jesteśmy drużyną.

Odpędziłam od siebie te myśli. Nienawiść do niego była czymś małostkowym. Trwała wojna. Robiliśmy to, co musieliśmy. Nawet jeśli okazywało się, że na niewiele się

to zdawało.

– Wiesz, że tworzysz iluzje przez sen? – zapytałam Delili. Pytanie zabrzmiało ostrzej niż chciałam. – Nie stanę się jakimś potężnym Półdzinem z dnia na dzień poprzez samą koncentrację.

– Tak czy owak powinniśmy zrobić sobie przerwę – wtrącił Bahi, zanim Delila zdążyła odpowiedzieć. – Do zmroku zostało kilka godzin, a dziś wieczorem przypada Shihabian.

Hala spojrzała na niebo. Słońce już opadało. Choć raz na jej twarzy pojawił się uśmiech, który nie był szyderczy. Delila też to zauważyła. Położyła dłoń na ramieniu Hali.

– Imin już wraca – powiedziała Delila. Myślni wróciłam do swojego pierwszego dnia w obozie, kiedy Imin została wysłana na misję w postaci żołnierza Gallanu. Miała wrócić do Shihabian.

– Skąd wiesz? – zapytałam Delili. Im więcej czasu spędzałam w obozie, tym bardziej obawiałam się Gallanów w Fahali. Oaza nie przypominała żadnego innego miejsca, w jakim byłam i – jeśli można było wierzyć tym mieszkańcom obozu, którzy pochodzili z różnych zakątków Miraji – żadne podobne miejsce nie istniało. Jedyne, co mogło je zniszczyć, to Gallanie za pomocą swojej broni.

Delila wyglądała na nieco zażenowaną.

– To coś, co do mnie przyszło, jak byłam mała. Kiedy moi bracia zaczęli zaciągać się na statki i pływać po świecie, zostawiając mnie w domu, nigdy nie wiedziałam, kiedy wrócą. Każdego ranka otwierałam usta, żeby upewnić się, że mogę powiedzieć, że nadal żyją, że są bezpieczni, że wracają do domu. Potem próbowałam mówić, że dzisiaj przybiją do doków. A jeśli nie mogłam tego powiedzieć, to nie mogła być prawda i nie mogło się zdarzyć. Imin wraca do obozu. – Powiedziała to z przekonaniem proroka.

Nie mogliśmy mówić o niczym, co nie było prawdą; a jeśli było, to działało również w drugą stronę? Raz już to zrobiłam, z gallańskim żołnierzem, jeśli dobrze

pamiętałam. Powiedziałam mu, że nie znajdzie nas w kanionie. I nie znalazł. Ale Skórozmienny już tak.

– Co by się stało, gdybym oświadczyła, że jutro moje moce się ujawnią? Albo gdybym powiedziała...

Delila szeroko otworzyła oczy, Bahi błyskawicznie położył rękę na moich ustach. Tę z tatuażem. Pachniała olejkami i dymem, jak wewnątrz domu modlitw. Choć raz wyglądał poważnie.

– Póldżin nie powinien czynić prawd z rzeczy, które nimi nie są. Nigdy nie da się przewidzieć, jak potoczy się przyszłość.

– Nie – dodała cierpkim tonem Hala. – Możesz powiedzieć, że Ahmed wygra próby Sultrima, ale zapomnisz dodać, że zasiądzie na tronie. Na przykład. A jeśli byś się w to nie mieszała, mógłby zostać najpotężniejszym Sułtanem i rządzić do chwili, aż będzie stary i siwy.

Wystarczyło spojrzeć na jej minę, żeby domyślić się, że podaje przykład wzięty z życia. Pomyślałam o tych wszystkich historiach, kiedy ludzie siedząc przy ognisku, wymyślali głupie życzenia lub żądania, a Dżin spełniał je w zbyt dosłowny sposób, przez co pozbawiał ich wszelkiego szczęścia. Żołnierz Gallanu nie odnalazł nas w kanionie. Zamiast tego został pożarty żywcem. Bahi zamilkł, jakby chciał się upewnić, że zrozumiałam, po czym zabrał rękę z moich ust.

Kiedy popatrzyłam na Halę, gapiła się na czubki swoich butów. Nic dziwnego, że nie przebaczyła mi porzucenia czerwonołosej Póldżinki. Od ponad roku pielęgnowała urazę do samej siebie. Tylko dlatego, że chciała oszukać wszechświat i sprawić, żeby Ahmed został Sułtanem.

– Podejrzewam, że zrobiłabym tak samo.

Hala potraktowała mnie iluzją przedstawiającą ogień trawiący moje dłonie. Skóra zaczęła skwierczeć, nim zniknął. Moje współczucie dla niej od razu wyparowało.

– Tak, ale tego nie zrobiłaś. A ja tak. A gdybym nie zrobiła,

może nie musielibyśmy walczyć i ludzie nie musieliby umierać.

Milcząc, Hala odeszła gniewnym krokiem.

Bahi klasnął w dłonie.

– Wiesz co, sędzę, że właśnie nadeszła właściwa chwila na przerwę.

≈≈≈

Delila i ja powoli wracałyśmy do obozu, gdzie trwały przygotowania do Shihabian. Ludzie wieszali latarnie pomiędzy drzewami, w całym obozie pachniało pieczonym mięsem i świeżym chlebem. Nawet kiedy wyobrażałam sobie Izman, nigdy nie marzyłam o takim miejscu. Każdy zdawał się doskonale pasować do swojej roli, a wszystkich jednoczył wspólny cel: osadzenie Ahmeda na tronie. Żeby reszta Miraji wyglądała jak ten malutki wycinek świata.

– Jak to możliwe, że Jin nie współzawodniczył w próbach Sultrima? – zapytałam, przerywając pełną napięcia ciszę, która zapadła między nami po wybuchu Hali. – Według tradycji do próby ma stanąć dwunastu najstarszych książąt. Ahmed jest piątym, Jin szóstym synem, więc miał do tego prawo. Mógłby wystąpić, będąc jednym z tych synów, którzy przeżyli. – Co oznaczało, że postanowił nie brać udziału. Że Ahmed zdecydował, że wystąpi i zażąda prawa do tronu, a Jin nie. Ale przecież Jin w ogóle nie występował w opowieściach. Nie pojawiały się wzmianki o tym, że tej nocy, gdy matka Delili i Ahmeda została zatłuczona, zniknął jeszcze jeden syn. Ani o tym, że potem powrócił.

– Dlaczego sama nie zapytasz mojego brata? – Delila nerwowo obgryzała kciuk. Nieświadomie wyjęła go z ust.

Bo go unikam.

– Twój brat ma w zwyczaju niemówienie mi niczego wprost.

– Sprzeczaliśmy się o to – przyznała w końcu. – Shazad powiedziała, że zdobędą przewagę, jeśli podczas prób Ahmed

będzie miał sprzymierzeńca osłaniającego tyły. Hala powiedziała, że nikt nie uwierzy żadnemu z nich, jeśli nagle pojawi się dwóch marnotrawnych książąt. Jin powiedział, że jemu nikt nie uwierzy, ponieważ w ogóle nie jest podobny do Sułtana. Bahi powiedział, że to tylko osłabi wrażenie, jakie zrobi Ahmed. Potem Shazad powiedziała, że pobyt w Świętym Zakonie skaził go uwielbieniem do dramatyzowania. I tak dalej, i tak dalej – ciągnęła nieśmiało. – Ale w końcu nikt nie był w stanie zmusić Jina do zrobienia czegoś, czego nie chciał. A prawda jest taka, że nigdy nie chciał mieć nic do czynienia z Miraji. – Podniosła rękę i zerwała pomarańczę z drzewa, pod którym przechodziłyśmy. Zaczęła ją obierać, unikając patrzenia mi w oczy. – Ahmed zakochał się w Miraji, gdy tylko tu wrócił. Powiedział, że poczuł się tak, jakby zapomniany kawałek serca powrócił na właściwe miejsce. Kiedy Ahmed postanowił tu zostać, Jin nie mógł zrozumieć tej jego decyzji. Ja też nie rozumiałam, dopóki nie zobaczyłam na własne oczy. Czuję się tutaj... jak w domu. Kłócili się. Gdy Ahmed postanowił zostać, Jin wsiadł na statek bez niego. Cały czas wydawało mu się, że Ahmed zmieni zdanie i powróci na morze. A potem nasza matka, Lien... Tak naprawdę to matka Jina, ale moja także.... – Posmutniała, jakby wciąż nie mogła pogodzić się z tym faktem. – Umarła, a Jin i ja przyjechaliśmy do Ahmeda. To stało się kilka miesięcy przed próbami Sultrima. Jin czekał, aż Ahmed zmieni zdanie, a w międzyczasie budował poparcie dla ruchu w Izmanie. Sądziłam, że Jin sam sobie złamie nos, kiedy wreszcie namierzyliśmy go za pomocą kompasu. Ale Shazad była szybsza i ona mu go złamała.

Jin powiedział mi kiedyś, że nos złamała mu dziewczyna, a jego brat go nastawił. Sądziłam wtedy, że chodziło o kłótnię kochanków w jakimś odległym porcie, nie o Shazad. Dobrze wiedzieć, że nie wszystko co mówił, było kłamstwem.

– Uznał, że najlepsze, co może się zdarzyć to to, że Ahmed nie zostanie zabity w próbach Sultrima. Potem wyjedziemy, a Ahmed przestanie walczyć. – Szerokim gestem objęła cały obóz. – Mylił się.

– Więc dlaczego Jin został?

– Jin bił się za Ahmeda, odkąd byli dziećmi. Bił każdego, kto nazwał Ahmeda... – Zastanowiła się nad przetłumaczeniem słowa z języka xichiańskiego. – To słowo oznacza „brudny przybłęda”. Teraz też by to zrobił. Wydaje mi się, że do tej pory nie wybaczył Ahmedowi, że jego sercu było bliskie coś spoza naszej rodziny. Cóż... może teraz dopiero zaczyna to rozumieć. – Uśmiech wrócił na jej oblicze. Poczułam, że oblewa mnie fala gorąca.

– To nie... – Potykałam się o słowa. – Jin i ja nie jesteśmy...

– Gdyby to była prawda – Delila zaczęła podśpiewywać dziewczęcym głosem – mogłabyś ją wypowiedzieć. – Roześmiała się i odskoczyła ode mnie, przeskakując przez ognisko i zostawiając mnie w stanie coraz większego zmieszania.

≈≈≈

Było późne popołudnie, co oznaczało, że Shazad niedługo skończy trening i wróci do naszego namiotu. A raczej – swojego namiotu. Zasnęłam w nim pierwszej nocy, gdy byłam zbyt wycieńczona po rewelacjach związanych z faktem, iż okazałam się Półdziną, żeby protestować. A potem tak już zostało. Wciąż jeszcze mnie nie wyrzuciła, po mojej stronie na podłodze leżał niewielki stosik ubrań, które mi pożyczyła. Czułam się tu prawie jak w domu.

Wchodząc do namiotu, zostałam przywitana przez stos ubrań lecący w stronę mojej twarzy.

– Łap – powiedziała Shazad. Za późno. Pozbierałam je z podłogi. W rękę trzymałam jaskrawoczerwoną tkaninę

ze złotym haftem.

– Co to jest? – spytałam.

– Rzadka okazja, kiedy tradycja nakazuje włożyć swoje najlepsze ubrania. – Zobaczyłam, że Shazad już przebrała się na Shihabian. Wystroiła się od stóp do głów. Ciemne włosy upięła wysoko na głowie i teraz spadały na ramiona w mocno skręconych lokach, wśród nich połyskiwały złote spinki, a khalat miała tak zielony, że drzewa wyglądały przy niej blado.

– Nie pomyślałam, żeby zabrać swoje najlepsze rzeczy, gdy ratowałam życie. – Pogłaskałam tkaninę i wyobraziłam sobie, że ubieram się w nią i zmieniam w jakiegoś feniksa z legend; w ogień i złoto.

– W takim razie załóż najlepsze ubrania swojej przyjaciółki – powiedziała Shazad.

Przyjaciółki. To proste słowo przyciągnęło moją uwagę. Nie miałam przyjaciół poza Tamidem.

Shazad chyba zauważyła moje wahanie.

– Mam inne khalaty. Jeśli ten ci się nie podoba – dodała szybko, zakładając za ucho kosmyk, jakby próbowała ukryć zdenerwowanie, chociaż było to niemożliwe.

– Czy Imin już wróciła? – spytałam. Nieważne, co mówiła Delila, denerwowałam się na samą myśl o żółtookiej Półdzince w obozie Gallanów.

– Nie. – Shazad spoważniała. – Jeszcze nie. Daję jej czas do końca Shihabian i jutro wyruszamy jej szukać.

Żeby upewnić się, że nie skończyła jak czerwonowłosa Półdzinka.

– Jacy my? – spytałam i zaczęłam się rozbierać.

– Ja, Jin i ty... Jeśli zechcesz.

Moje dłonie zadrżały na guzikach – wciąż jeszcze miałam w głowie słowa Delili.

– Nie sądzę, bym mogła opuścić obóz, zanim dowiem się, jakie mam moce. – Nie brzmiałam przekonująco nawet dla siebie samej, a Shazad mruknęła coś niezrozumiałego.

- Jakkolwiek krótko będziemy żyć, jeśli rewolucja upadnie, nie jesteś w stanie unikać go przez cały czas.
- Chcesz się przekonać?

≈≈≈

Obchody święta Shihabian zaczęły się zaraz po zachodzie słońca, upamiętniały noc, podczas której nadeszła Pogromczyni Światów i sprowadziła na ziemię ciemność. W zeszłym roku Tamid obracał mną w miejscu, aż zakręciło mi się w głowie, a oboje śmialiśmy się tak, że musieliśmy się nawzajem podtrzymywać, podchmieleni i rozochoceni po picciu i tańcach. Świętowaliśmy do północy, kiedy cały świat oblekał się czernią, upamiętniając pierwszą noc. A potem, kiedy wyszły gwiazdy i księżyc, modliliśmy się do świtu.

Obchody w Dustwalk w niczym nie przypominały tych w obozie rebeliantów. Pomiedzy drzewami zawieszono tyle latarni, że prawie nie było widać gałęzi. Figi spadały prosto z drzew, a ciasta były tak słodkie, że lepiły się od nich palce. W powietrzu unosił się zapach olejków i kadzideł, a także jedzenia i pustyni.

Nieustannie miałam świadomość tego, jak pożyczony khalat z jedwabiu i muślinu układa się na moim ciele. Złocista tkanina opinała się na mnie, nie przypominając żadnego innego ubrania, jakie kiedykolwiek nosiłam. Spięłam ją w pasie. Shazad miała pełniejszą figurę ode mnie, ale w tym stroju nikt nie wziąłby mnie za chłopaka, zwłaszcza że rozpięła trzy górne guziki w moim dekolcie. Trochę buntowałam się przeciw temu, lecz Shazad była urodzoną wojowniczką, więc w końcu musiałam się poddać. Domyśliłam się, że bez powodzenia chciała zmienić mnie w coś tak wspaniałego i eleganckiego jak ona sama. Ale kiedy podała mi lusterko, spoglądała na mnie jakaś dzikuska.

Miałam podkreścone włosy, które opadały falami i sięgały aż do brody, zaś na karku wyglądały tak, jakbym wpadła w burzę piaskową. Shazad pomalowała moje usta tak intensywną czerwienią, że zdawało mi się, że czuję krew. Moje niebieskie oczy obwiodła czarną kredką, aż obawiałam się o każdego, kogo dosięgnie ich spojrzenie.

Wyglądałam jak ktoś, kto żył dla rewolucji.

Obie chodziłyśmy od ogniska do ogniska, ludzie zaczepiali nas, żeby porozmawiać, włączając mnie do obozowych pogaduszek, bym uczestniczyła w nich z taką swobodą jak Shazad. Jadłam miodowe ciastka i piłam słodkie wino. Zauważyłam, jak Jin po drugiej stronie głównego ogniska gra w jakąś grę ze swoją siostrą, śmiechem kwitując swoją przegraną.

Przy ognisku siedziały dwa koty. Jeden niebieski, drugi szary z niebieską kępką na głowie. Uklękłam, żeby pogłaskać tego niebieskiego, lecz zamiast kota trzymałam rękę na brzuchu bardzo nagiego, bardzo niebieskiego chłopca.

– Szczęśliwego Shihabian, generale. – Chłopak zasalutował Shazad, która przeszła nad nim, prawie nie patrząc pod nogi. Próbowałam skupić wzrok na jego twarzy, nie na innych częściach jego ciała.

– Izz – odpowiedziała Shazad, zwracając się do niebieskoskórego chłopaka – poznaj Amani, Amani, poznaj bliźniaków. A raczej jednego z nich. Właśnie dziś rano wrócili z wyprawy po zapasy.

Zaczerwieniłam się i odwróciłam wzrok, Shazad wyglądała na cholernie rozbawioną. Drugi kot również zmienił się w chłopca. Wyglądał tak samo jak Izz, ale miał ciemną skórę. Jedynie jego włosy były koloru skóry brata.

– A to jest Maz – powiedziała Shazad.

– Jedyny i niepowtarzalny. – Maz się uśmiechnął.

Popatrzyłam najpierw na niego, a potem na jego brata bliźniaka.

– Kto cię uczył liczyć?

Bliźniacy aż promienieli radością.

– Więc to ty jesteś tą nową Półdzinką – powiedział Izz i wstał, żeby lepiej mi się przyjrzeć, nie zważał przy tym na fakt, iż był zupełnie goły. – Chcieliśmy cię poznać.

– Zastanawialiśmy się, czy przypadkiem nie jesteś naszą siostrą – powiedział Maz. – Ze względu na twoje oczy. – Wskazał na swoje nienaturalnie niebieskie włosy, niewiele różniące się odcieniem od moich oczu. Jeśli oboje odziedziczyliśmy je po naszych ojcach, istniała możliwość, że byliśmy rodzeństwem. Świadomość tego, że nagle, po siedemnastu latach, mogłabym mieć brata, mocno mnie zaniepokoiła.

– Zawsze chciałem mieć siostrę – powiedział radośnie Izz. – Spotkałaś już Imin? Pewnie wiesz, że ona i Hala miały tego samego ojca. Ich matki mieszkały na tej samej ulicy w Izmanie. – Więc byłam odpowiedzialna za złotooką siostrę Hali, która ryzykowała życie w obozie Gallanów. Zdaje się, że nie mogłam przestać robić rzeczy ściągających na mnie jej nienawiść.

– Amani nie jest jednak naszą siostrą. – Maz miał rozczarowaną minę, gdy to mówił. – W przeciwnym razie nie moglibyśmy powiedzieć, że nie jest naszą siostrą.

– Czeka! – powiedział Izz, ożywiając się. – Może potrafisz zmieniać kształt tak jak my? To też byłoby fajne!

– Chcesz się napić? – Shazad szczęśliwie odciągnęła mnie od nagich bliźniaków.

Niedługo potem zaczęły się tańce. Nigdy nie tańczyłam tak jak na święcie Shihabian. Nie mogłam ze względu na nogę Tamida. Nie mogłam go przecież zostawić. Ale moje ciało rozluźniło się i podrygiwało pomiędzy iskrami z ogniska, a ja przechodziłam z objęć jednego partnera do kolejnego. Alkohol płynął szerokim strumieniem, ludzie robili się coraz weselsi i tańczyli coraz intensywniej. Krążyłam wokół Shazad tańczącej z Bahim, gdy chwyciły mnie ręce należące

do mojego następnego partnera i odwróciłam się twarzą do niego.

Stałam tuż przed Jinem. Oboje zatrzymaliśmy się, podczas gdy wszyscy wokół tańczyli. Czułam ciepło jego rąk przez cienki materiał khalatu. Po tygodniach wędrowania z nim jako chłopak wszystko, co czyniło ze mnie dziewczynę, teraz znajdowało się w jego rękach. Powoli mierzył mnie wzrokiem, na chwilę dłużej zatrzymując się na czerwonej szimie zawiązanej w pasie. To była ta sama, którą dostałam od niego. Jeszcze w Sazi.

– Wyglądasz, jakbyś zrodziła się z ognia.

– Jin... – zaczęłam. I nie skończyłam. Północ spadła na niebo jak peleryna, tak samo jak w każde święto Shihabian. W jednej chwili płonęły ogniska, paliły się latarnie, świeciły gwiazdy i księżyc, a potem była już tylko ciemność.

Nieważne, że Buraqi występowały coraz rzadziej, a Dżiny nie mieszkały już obok ludzi, nieważne, że budowano fabryki wypełnione żelazem i dymem: to była magia, która wciąż trwała. Mieszkała w pamięci świata. Pierwsza prawdziwa ciemność, kiedy nie zapalały się zapałki, drewno nie zajmowało się ogniem, gwiazdy się chowały. Jin zabrał ręce, poczułam, że nawet jego obecność zanika. Nie mogłam pójść za nim. Nie w tej ciemności. Wszyscy staliśmy całkowicie nieruchomo w miejscu, gdzie się zatrzymaliśmy. Czekając na powrót światła.

Z prawej strony pojawił się ogień. Mrugające gwiazdy wracały na firmament. Wszyscy nadal milczeli. Przed północą trwała zabawa, teraz nadeszła pora na modlitwy i wspomnienia. Rozglądałam się za Jinem, podczas gdy pozostali niczym ómy ruszyli w stronę ognia.

Opowiadaczem była młoda kobieta. Stanęła na kawałku skały przy ogniu, Półdżiny zebrały się wokół niej, stojąc przodem do reszty mieszkańców obozu.

– Świat został stworzony w świetle – zaczęła

od tradycyjnego wstępu. Historie mogą się różnie potoczyć, ale zawsze tak samo się zaczynają. – A potem zapadła noc. Pogromczyni Światów wyszła z ciemności, która istniała tylko w miejscach, gdzie nie docierało słońce.

Zauważyłam tył głowy Jina, gdy uciekał od tłumu. Poszłam za nim, wymijając ludzi zajmujących pozycję do modlitwy, szłam, aż hałas, światła, iluzje, śmiech zostały daleko za mną, a przede mną otworzyła się pustynia.

– Niebieskooka Bandytko. – Podskoczyłam, słysząc głos Jina. Mogłam go już zobaczyć w nikłym świetle powracających na niebo gwiazd.

Pociągnął łyk z butelki, którą trzymał w dłoni i przez jedną szaloną sekundę myślałam, że pije, by dodać sobie odwagi, żeby tym razem naprawdę stanąć ze mną twarzą w twarz.

– Chcesz się napić? – Podał mi butelkę. – Kiedyś znałem dziewczynę z Ostatniego Okręgu, która potrafiła pić z umiarem, podczas gdy ja skończyłem, śpiąc na stole.

Miał na myśli knajpę Pijany Dżin, znajdującą się przy wyeksploatowanych kopalniach w Sazi, kiedy ja byłam tylko dziewczyną z rewolwerem, która potrafiła powstrzymać się od picia, a on był obcokrajowcem, który nie mógł powstrzymać działania leków, które wrzuciłam do jego szklanki. Zamiast Półdzinki i księcia. Kiedy wciąż jeszcze byłam pewna wszystkiego, a on już wtedy mnie okłamywał.

– Poza tym – powiedział i znowu się napił – tamta dziewczyna nie uciekała z opowieści, zanim dobiegła końca.

W tej chwili naprawdę zmieniłam się w ogień. Rzuciłam butelką o ziemię, piasek wsysał rozlany alkohol. Uświadomiłam sobie, że chciałam, by mnie powstrzymał, złapał za rękę, zanim go uderzyłam.

– Opowieści i kłamstwa. – Usłyszałam swój głos i przełknęłam dalszy ciąg, który zbierał się w gardle, bo nie chciałam mówić przez łyżę. – Nie lubię ich tak bardzo jak kiedyś. Ale już wiesz, że wszystkie twoje kłamstwa, które wypowiedziałeś, żeby mnie tu sprowadzić, były próżnym

wysiłkiem. Czyżbyś nie słyszał, co mówią? Że jestem jedynym Półdzinem w świecie pozbawionym mocy? – Próbował przebić się przez pijacką mgłę i skupić na mnie wzrok. – Czy kiedykolwiek pomyślałeś, żeby mi powiedzieć, kim jestem?

W jednej chwili Jin zawładnął moimi zmysłami: zapach alkoholu, ciepło, widok odległych równin jego twarzy, tatuaży ledwo widocznych pod koszulą.

– Chcesz o tym rozmawiać? W tej chwili?

– Dlaczego nie? – Rozłożyłam szeroko ręce, jakby rzucając mu wyzwanie. – Dlaczego nie powiesz mi, jaki był twój plan? Gdybyśmy zastali inną sytuację w Dassamie, zamierzałeś spętać mnie jak więźnia i przywlec tu siłą? A może przygotowałeś już inne kłamstwa?

– Nie zmusiłem cię do przyjscia tutaj. – Jin intensywnie patrzył w moje oczy, a ja nie unikałam jego wzroku. Powiedział, że mam oczy zdrajcy. Niech więc patrzy na zdradę. Niech się w niej utopi. – Nie oszukałem cię i nie prosiłem, żebyś tu przyszła.

– A co innego mogłam zrobić? Zostawić cię na pewną śmierć?

– Mogłaś.

– Nie zrobiłabym tego.

– Prawda jest taka, że nie miałem pojęcia, co z tobą zrobić, Amani. Próbowałem zostawić cię w Dustwalk, bo nie chciałem wikłać cię w wojnę mojego brata. Wróciłem po ciebie, bo nie chciałem patrzeć, jak giniesz z rąk mojego drugiego brata. Ale tak czy owak, musiałem wybrać jedno z dwóch. Tylko co było lepsze? – Podniósł rękę, jakby chciał mnie dotknąć, ale po chwili ją opuścił. – Cieszyłem się w Sazi, gdy okazało się, że uciekłaś, bo to oznaczało, że poszłaś swoją drogą, a jednocześnie cieszyłem się, że zabrałaś kompas, bo to dawało mi powód, by za tobą podążać. I tak, kłamałem, by trzymać cię z dala od Izmanu, bo bałem się, że ktoś domyśli się, kim jesteś, a wtedy

zostałabyś pojmana i sprzedana Sułtanowi. Wobec tego kierowałem tobą w stronę Dassamy, sądząc, że to da mi szansę, bym posłał cię na morze i wyciągnął z tego kraju, zanim cię zabiją. – Jego twarz znajdowała się teraz bardzo blisko. Przypomniałam sobie, co kiedyś powiedział, podczas przeprawy przez pustynię, że morze miało kolor moich oczu.

– Nie masz prawa decydować za mnie. – Odsunęłam go ode mnie, starając się usunąć go z mojej przestrzeni i z mojej głowy.

– A *on* ma? – krzyknął Jin. – Mój brat mówi, że jesteś Półdżinem, a ty uważasz, że to nada więcej sensu twojemu życiu niż bycie Niebieskookim Bandytą?

Naskoczyłam na niego.

– Nie możesz mnie osądzać tylko dlatego, że chcę być czymś więcej niż tylko nic nieznaczącym ziarnkiem piasku na pustyni! Na pewno nie w sytuacji, kiedy sam urodziłeś się kimś znacznie ważniejszym. Nie wtedy, gdy *sam* urodziłeś się i od razu miałeś władzę i poważanie!

– Doprawdy? – Zrobił dwa szybkie kroki. Poruszał się niemal agresywnie. – Urodziłem się w tym samym roku co dziesięciu braci i tuzin sióstr. Samo urodzenie nie jest jednoznaczne z tym, że jest się kimś ważnym. Lecz ty byłaś ważna, kiedy cię poznałem, tę dziewczynę przebraną za chłopaka, która nauczyła się strzelać, która marzyła, oszczędzała i pragnęła z całego serca. Ta dziewczyna sprawiła, że była kimś ważnym. Była kimś, kogo polubiłem. Co, do cholery, stało się od czasu, kiedy tu przybyłaś, że *ona* nie ma dla ciebie żadnego znaczenia? Co się stało, że jedynie aprobata mojego brata i władza, której nigdy nie potrzebowałaś, może sprawić, że czujesz się kimś ważnym? Dlatego nie chciałem cię włączać w tę rewolucję, Amani. Bo nie chciałem przyglądać się, jak Niebieskooka Bandytka znika pod wpływem księcia bez królestwa.

Tak bardzo chciałam powiedzieć mu, że się myli, ale na samą myśl język stanął mi kołkiem w gardle. Ale

to również nie znaczyło, że miał rację.

– Dlaczego więc walczysz za ten kraj, jeśli nie czynisz tego dla niego? Za kraj, którego nie rozumiesz i masz mu za złe, że zabrał ci rodzinę...

– Masz rację – przerwał mi. – Nigdy nie rozumiałem tego kraju. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego Ahmed postanowił wszystko rzucić i przenieść się tutaj. Dopóki cię nie poznałem.

Poczułam się tak, jakby mnie popchnął, jakbym upadała i chciała, żeby cofnął te słowa, wciągnął je, żebym mogła stać prosto.

– Ty *jesteś* tym krajem, Amani – mówił ciszej. – Bardziej żywa niż cokolwiek innego. Cała z ognia i prochu strzelniczego, zawsze z jednym palcem na cynglu.

Staliśmy blisko siebie, między nami pulsowała złość. Moje serce biło szybko. A może to było jego serce? Oddychaliśmy sobą.

Tylko on i ja.

Pierwszy raz, odkąd dowiedziałam się, że jestem Półdżinem, poczułam w sobie ogień. Otwierałam i zaciskałam dłonie, pragnąc go przytulić.

– Jin. – Głos Bahiego zniszczył tę chwilę. Jego twarz nigdy nie była tak poważna. – Ahmed cię szuka. Są wieści o broni, którą ma Naguib.

≈≈≈

– Broń jest właśnie przewożona. – Imin łapczywie piła wodę. Praktycznie biegła całą drogę z Fahali.

– Widziałaś ją?

Imin pokręciła głową. Nadal była pod postacią żołnierza Gallanu. Otaczali ją wszyscy należący do ścisłego kręgu, spijali każde jej słowo: książkę, Shazad, Jin, Bahi, Hala. A także ja.

– Słyszałam plotki. Jakieś przypadkowe pożary w Izmanie,

które próbowali nam przypisać. I trzy statki zakotwiczone w porcie, który spłonął. Ale dziś rano nadeszło pismo. Do Fahali. Dowódca Naguib przyjedzie jako przedstawiciel swojego ojca, żeby negocjować warunki sojuszu z generałem Dumasem.

– Cóż, to rzeczywiście brzmi, jak: „Wieziemy dla was broń, którą stłumicie rebelię” – skomentowała Hala, kładąc dłoń na ramieniu siostry-brata.

– Namierzyli nas?

– Jeszcze nie – powiedziała Imin. – Ale są blisko.

– Musimy przenieść obóz.

– Dokąd pójdziemy? – wtrącił się Bahi. – Jeśli skierujemy się na północ, wpadniemy w łapy Gallanów. Gdy pójdziemy na zachód, przekroczymy granicę do Amonpouuru... Jeśli najpierw nie utkniemy w górach. Na wschodzie czeka nas śmierć z rąk waszego ojca, na południu rozciąga się pustynia. Inaczej było, gdy po raz pierwszy uciekaliśmy z Izmanu, lecz od czasu, gdy była nas tylko garstka, rebelia znacznie się powiększyła. Nie da się tak łatwo przenieść królestwa. Nawet małego.

– Ma rację – przyznała Shazad.

Ahmed przytrzymał się ręką stołu. Jego palce pobieleły.

– Wobec tego przejmujemy ją – powiedział Jin. Z ręki do ręki przerzucał kompas. Igła latała jak oszalała, wskazując Ahmeda. – Wioz ją pociągiem?

Imin przytaknęła, jasne gallańskie loki opadły jej na czoło.

Ahmed nie odezwał się od razu. Wszyscy oczekiwaliśmy jego słów.

– Nie mogą się dowiedzieć, że jej szukamy – powiedział w końcu. Mówił do Jina, nie do swojego generała, nie do Półdżinów. Do swojego brata. – Musisz sprawić, żebyście wyglądali jak zwykli bandyci napadający na pociągi dla zysku. Jin, zabierzesz...

– Ja pojedę. – Słowa wyskoczyły z moich ust, zanim zdążyłam to przemyśleć.

Wszyscy popatrzyli na mnie.

Moja sprzeczka z Jinem wciąż była świeża. Miał rację. Nigdy nie będę się do niczego nadawała, jeśli będę czekać na pojawienie się mocy Półdzina. Za długo się na tym skupiałam.

– To ryzykowne – powiedział Ahmed. Nie powiedział „nie”.

– Podjąłbym to ryzyko bez chwili zastanowienia – powiedział Jin, patrząc na brata. – Nie potrzebuję jej jako Półdzina.

Shazad wstawiła się za mną.

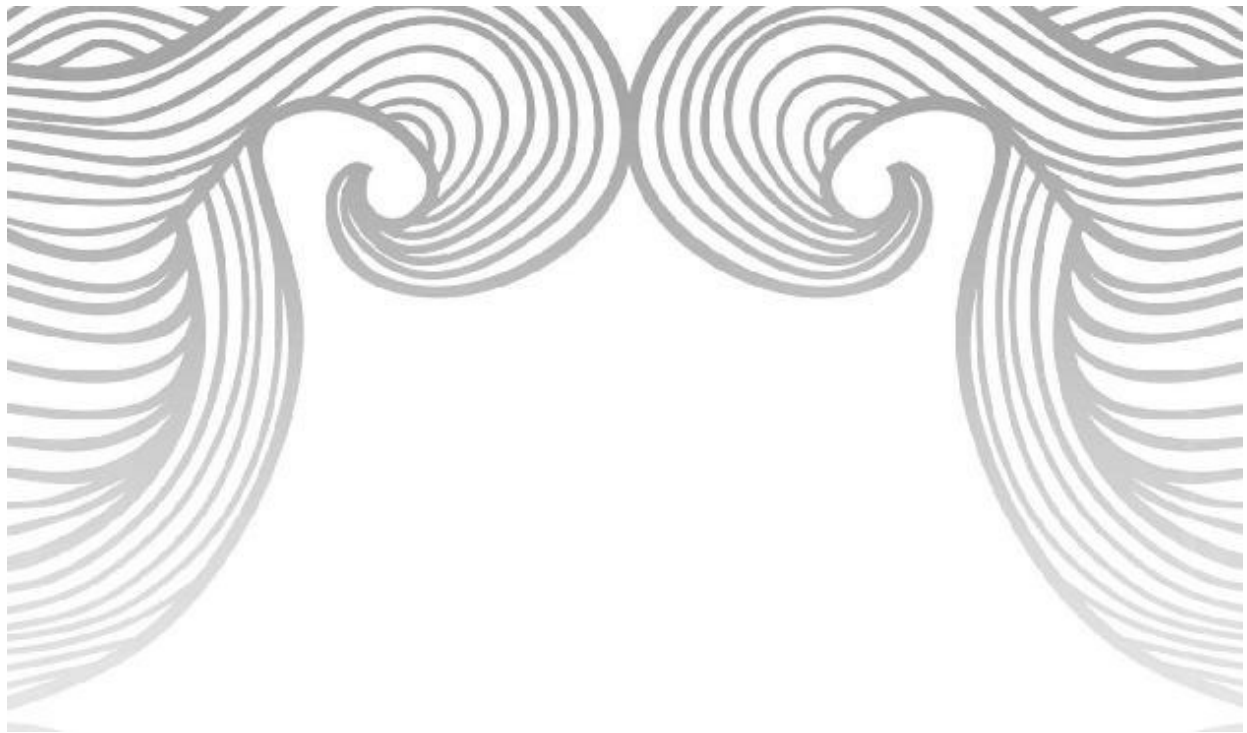
– Amani jest najlepszym strzelcem, jakiego widziałam, i może podawać się za człowieka. Robiła to przez całe życie.

– Mogę to zrobić – nalegałam.

Ahmed spojrzał mi w oczy i przez chwilę nie wyglądał jak czyjś brat czy przyjaciel: wyglądał jak władca. Wyprostowałam się, starając się wyglądać jak prawdziwy żołnierz.

Skinął głową.

– Wyruszyście o świcie.



DWADZIEŚCIA DWA

– Wiesz, dlaczego nazywają to miejsce Pasmem Umarlaka? – zapytał radośnie Bahi. Gadał bez przerwy, odkąd wylądowaliśmy i zesliśmy z pleców Izza, który przybrał postać gigantycznego Roka i przewiózł nas przez pustynię. Niebieskoskóry Półdżin leżał teraz skulony wśród skał jako duża, niebieska jaszczurka. Przynajmniej nie próbował nago pomagać w rozłożeniu namiotu.

– Może dlatego, że cię zabiję, jeśli nie przestaniesz gadać? – zapytała Shazad, rzucając w niego szczapą drewna.

– Niestety, kartografowie nie przewidzieli, że się tu pojawisz, Shazad. – Bahi zarzucił rękę na jej ramię. Siedzieliśmy na górze. Pod nami z każdej strony rozciągała się pustynia. Jedynie na północy udawało mi się dojrzeć morze, o którym powiedział mi Jin. Bezpośrednio pod nami góry przecinała linia kolejowa. – Dlatego, że wielu robotników straciło życie podczas wysadzania tuneli – wyjaśnił Bahi. – Mówią, że ich niespokojne duchy błąkają się po torach.

– Kolejne wspaniałe osiągnięcie wynikające z sojuszu Sułtana z Gallanami – powiedział Jin, kopniakiem odsuwając kamień ze swojego legowiska. Jin nazwał go Sułtanem, jak zauważyłam. Ahmed nazywał go ojcem, Jin nigdy tego nie robił.

– Dopiero teraz nam to mówisz? – Hala odsunęła Bahiego. – Gdy mamy wysadzić tunel w powietrze?

– Po prostu chcę, żeby każdy zdawał sobie sprawę z sytuacji. – Poczucie humoru Bahiego nieco wykraczało poza moje granice tolerancji, zwłaszcza że z trudem panowałam nad sobą.

Fragment torów widoczny z Pasma Umarlaka prowadził do Izmanu, a po drugiej stronie góry łączył się z Fahali. Stąd

był tylko jeden dzień drogi do obozu Ahmeda.

Musieliśmy zyskać pewność, że broń nie ma aż takiego zasięgu. Pociąg miał nadjechać za dwa dni. Jutro naszpikujemy tunel materiałami wybuchowymi, które zmuszą pociąg do zatrzymania się, dając nam czas na wejście do środka w przebraniu bandytów. Hala przeniknie do głów pasażerów, tak żeby widzieli tuzin bandytów, nie tylko naszą czwórkę, i odciągnie uwagę żołnierzy, gdy my będziemy wyciągali broń.

– Czy Święci Ojcowie nie powinni kontemplować w milczeniu? – zapytałam, rozkładając swoje legowisko.

Bahi nie stracił humoru.

– Jestem zbyt młody i przystojny, żeby być ojcem.

– Sara twierdzi co innego – mruknęła Shazad.

Pomyślałam, że ta Sara była przyczyną jego niepowodzenia w zostaniu Świętym Ojcem. Twierdził, że za dużo wypił przed porannymi modlitwami i obiad zjedzony przez niego poprzedniego dnia wylądował na szacie Najwyższego Ojca, ale słyszałam wiele różnych historii, tłumaczących, dlaczego Bahi nie zakończył szkolenia.

– Nikt nie może udowodnić, że dziecko jest moje – bronił się Bahi.

– Jest tak samo pyskate jak ty – skwitowała Shazad.

– To noworodek – powiedział Bahi. – Przecież one tylko płaczą i krzyczą.

– Wrzeszczy jak twój syn – powiedziała pod nosem.

Jin zachnął się.

– Oj, przestańcie. – Bahi wyjął butelkę z torby. – To jest mój syn.

– Po co ci alkohol? – Shazad masowała skronie, jakby już miała kaca. W odpowiedzi wyjął jeszcze dwie butelki.

– Z powodów zdrowotnych. Tak stoi w piśmie. Sprawdźcie. Panie pierwsze. – Podał jej butelkę. Gdy dłoń Shazad zacisnęła się na niej, twarz Bahiego wyrażała czystą satysfakcję. Przez chwilę nie puszczał butelki. Zaczęłam

skłaniać się do tego, że słusznie oceniłam, iż opuścił zakon dla dziewczyny, ale nie tej o imieniu Sara. Zastanawiałam się, czy Shazad rzeczywiście niczego nie zauważała, czy tylko udawała.

– Wiesz, że nie mogę pić – powiedziała Shazad i przełknęła duży łyk.

– Nie możesz pić? – Nie mogłam powstrzymać się od sceptycznej uwagi, gdy podała mi butelkę. To był tani alkohol, który palił w przełyku.

– Generał nie pozwala – wtrącił się Bahi. Wiedziałam, że ma na myśli jej ojca, a nie ją samą.

Shazad zaszutowała dla żartu, ale jej uśmiech był zbyt szczery, żebym mogła uwierzyć, że nie kocha swojego ojca.

– Mówi, że pijany żołnierz to martwy żołnierz.

– Zapewne generał się myli – powiedział Bahi, wyciągając drugą butelkę. – W przeciwnym razie z tysiąc razy miałby martwego kapitana w osobie mojego ojca.

Shazad zaczęła coś mówić, ale Bahi już namawiał Izza, Jina i Halę do wzięcia udziału w jakiejś pijackiej zabawie, polegającej na odwróceniu dwóch monet, uderzeniu dłońmi w skałę i napiciu się.

Dotarło do mnie, że możemy tu umrzeć. Oni byli już do tego przyzwyczajeni. Przez cały rok ryzykowali i igrali ze śmiercią, ponieważ wymarzyli sobie lepszy świat. Ja też to robiłam. Poszłam na strzelnicę, choć przede wszystkim mogłam znaleźć tam śmierć, a nie szansę na zamieszkanie w jakimś lepszym miejscu. Ale wówczas chodziło tylko o mnie. Oni pakowali się w niebezpieczeństwo za siebie i za innych. Za całe Miraji. Aby nikt już nie umarł w taki sposób jak mieszkańcy Dassamy. Żeby nikt nie musiał żyć tak, jak ja żyłam w Dustwalk.

– Drogie panie! – krzyknął Bahi, wytrącając mnie z rozmyślań. – Może do nas dołączycie? Jak na razie wygrywam.

– Sądziłam, że zabawa polega na tym, by nie wypić za dużo

– oburzyła się Hala.

– Widocznie ty i ja mamy zupełnie inne definicje zwycięstwa – powiedział Bahi.

– Dawaliśmy ci fory. – Shazad stanęła ramię w ramię ze mną. – Kiedy się obudzisz, a twoja krew zmieni się w alkohol, spojrzysz na to jak na pierwszy błąd, który doprowadził cię do przegranej.

Roześmiałam się mimo woli. Po opróżnieniu jednej butelki Bahi nabrał brawury i postanowił odtworzyć śpiewanie serenad, które wykonywał pod oknem Shazad. Byliśmy pijani oczekiwaniem oraz dobrym, starym alkoholem. Siedzieliśmy pod gwiazdami, które zdawały się należeć do nas i układać w konstelacje na jedno skinienie palca.

Uświadomiłam sobie, że chociaż się bałam, nigdy nie byłam szczęśliwsza niż tej nocy.

≈≈≈

Następnego dnia coś obudziło mnie przed wschodem słońca. Leżałam nieruchomo, próbując dociec, czy to tylko jakieś wspomnienie snu, który już zaczęłam zapominać.

Obóz wokół mnie nadal był pogrążony we śnie. Ogień przygasł. Shazad leżała na boku, jedną rękę trzymała na mieczu, jakby spodziewała się, że w każdej chwili ktoś może się na nią rzucić. Po drugiej stronie paleniska spała Hala, zakopana w swoim legowisku.

Izz powinien być na warcie na niebie pod postacią Roka, lecz posłania Bahiego i Jina też były puste. Wstałam, przeciągnęłam się i ruszyłam w stronę wschodzącego słońca, podciągając się na półkę skalną chroniącą nasze obozowisko. Tam ich znalazłam.

Bahi nie miał maty modlitwnej, lecz klęczał z pochyloną głową, usta trzymał tuż przy złożonych rękach. Stałam bez ruchu. Słyszałam słowa porannej modlitwy szeptane niczym największy sekret. Poczułam się jak intruz będący

świadkiem bardzo intymnej sceny. Cofnęłam się, nie chcąc przeszkadzać. Zauważyłam Jina siedzącego kilka stóp dalej na wąskiej półce skalnej. Plecami opierał się o skałę, a ręce przewiesił przez barierki. Przeszłam bosą po kamieniach, żeby znaleźć się bliżej niego.

– Kac nie jest aż taki zły. – Siadając obok, usłyszałam swój własny zachrypnięty głos.

– Chociaż wolałbym zrzucić winę na Bahiego za przyniesienie taniego alkoholu, to wiem, że powinienem się powstrzymać od picia. – Przetarł twarz dłonią. – Nie śpię dobrze, odkąd wybudziłem się po ukąszeniu Koszmaru. Kiedy zamykam oczy, widzę płonący obóz, bo nie udaje nam się przejąć ich broni. Płonie moja rodzina. Ty płoniesz.

Słyszając ostatnie zdanie, podniosłam wzrok. Przeciagle westchnął.

– Wiesz, że nie musisz zostawać, prawda? Miałaś rację podczas Shihabian. Znalazłaś się tutaj, ponieważ ja... Ponieważ zostałaś w to uwikłana. Ponieważ to ja chciałem, żebyś została. Ale nie chcę, żebyś musiała tu umrzeć. Możesz odejść. Do Izmanu. Albo gdziekolwiek zechcesz. Wydostać się stąd. – Przepraszał, ale ja już nie chciałam jego przeprosin.

Patrzyłam na rozciągającą się przed nami pustynię. Wydawała się nie mieć końca, ale słońce wschodziło z lewej strony, co oznaczało, że gdzieś tam, gdzie kierowałam wzrok, leżało Dustwalk.

– Sądzę, że jestem tam, gdzie powinnam być.

– Wiesz, brakuje mi trochę tej dziewczyny, która była gotowa zostawić każdego, żeby ratować własną skórę – powiedział Jin. – Wtedy nie miała zamiaru umierać za coś głupiego i heroicznego.

– Zamierzam uznać to za komplement. – Roześmiałam się, ale zaraz zamilkłam. Tam, gdzie patrzyłam, poza torami, zauważyłam, że promienie słoneczne od czegoś się odbijają.

– Czy to...

Niebo zbudziło się z krzykiem, zanim zdążyłam dokończyć pytanie.

Oboje zadarliśmy głowy, wokół obozu latał Izz, zataczając coraz mniejsze kręgi, kilka stóp nad ziemią zmienił się z powrotem w chłopca i wylądował w kucki. Zerwałam się na nogi i rzuciłam w stronę obozu – w piersi już odczuwałam skutki paniki. Ale dłonie Jina znalazły się na mojej talii. Odwrócił mnie do siebie. Jego usta desperacko i silnie złączyły się z moimi.

Jego dłonie parzyły moje plecy. Jego dotyk krzeszał iskry na moim ubraniu. Nie wiedziałam, czy to jego pocałunki sprawiają, że ogarnia mnie ogień, czy samoczynnie zmieniałam się w płomień.

Oderwał się ode mnie, zanim oboje spłonęliśmy; jego dłonie zostały na mojej twarzy.

– Nadal czujesz się nieśmiertelna, Bandytko?

Pobiegliśmy do obozu. Shazad już się obudziła i chwyciła za broń. Izz miał dzikie spojrzenie.

– Nadjeżdża pociąg.

Shazad potrząsnęła głową, jakby próbowała oczyścić umysł.

– W rozkładzie nie ma żadnego pociągu przed tym, na który czekamy – powiedziała, potwierdzając to, o czym wszyscy myśleliśmy. Wyczytałam to z twarzy Shazad w tej samej chwili, gdy sama o tym pomyślałam.

– Załadowali ją do innego pociągu. – Równie dobrze mogłam splunąć. – Broń właśnie nadjeżdża.

≈≈≈

Nie było czasu na przygotowanie zasadzki w tunelu, nie było czasu na zatrzymanie pociągu i wejście na pokład. Na to właśnie liczyli. Nikt nic nie mówił, gdy przysiedliśmy na skale z widokiem na tunel, czekając, aż pojawi się w nim pociąg. Z początku słyszałam tylko oddech pozostałych.

Potem zmieszał się z terkotaniem torów, a następnie słyszeć było już tylko huk przejeżdżającego pod nami pociągu.

Czekanie.

Czekanie.

Pociąg wynurzył się w chmurze czarnego dymu.

– Naprzód!

Niektórzy z nas pobiegli, inni ześlizgnęli się z góry, ale wszyscy wskoczyliśmy w dym. Czarna chmura wdarła się do moich płuc, nosa, oślepiła mnie i przewróciła. Szybko się podniosłam i skoczyłam, zanim poczułam pieczenie obdartych łokci.

W jednej chwili pod stopami czułam skałę, w następnej już tylko powietrze. Cały świat się zatrzymał.

Stopami uderzyłam o dach pociągu, poślizgnęłam się. Spanikowałam i zaczęłam ześlizgiwać się w kierunku krawędzi. Złapała mnie czyjaś ręka. Jin wciągnął mnie do góry. Nie mogłam mu podziękować, ponieważ wszystko zagłuszał huk pociągu. Po prostu przez chwilę przytrzymałam jego rękę.

Zaraz potem zabrał swoją dłoń. Shazad i ja pobiegliśmy na początek składu, Jin, Bahi i Hala na koniec. Nie patrzyłam w dół ani na mknące pod nami tory, ani na nic innego, dopóki nie znalazłyśmy się tak blisko przodu pociągu, że przed nami była już tylko lokomotywa.

Pierwsza opuściłam się w dół, gdzie były drzwi, którymi miałyśmy dostać się do środka pociągu. Przyłgnęłam do ściany, jako że maszyna każdym podskokiem próbowała mnie strącić, powietrze wyło wokół mojej głowy.

Shazad wylądowała obok mnie z kocią gracją. Sprawdziłam, czy rewolwer znajduje się na swoim miejscu za pasem, a ona zacisnęła dłoń na rękojeści noża.

O moją uwagę biły się przerażenie i ekscytacja. Wszystko, co czułam, widziałam również w jej oczach. Zmieniłyśmy się w jeden organizm.

Drzwi do wagonu otwały się pod naszymi nogami.

Patrzyły na nas rzędy pustych siedzeń. Zakurzone lampy lekko kołysały się pod wpływem ruchu pociągu. Shazad i ja opuściłyśmy broń. Jedno z okien było rozbite, a stół przewrócony.

Bez słowa ruszyłyśmy przed siebie, palec wciąż trzymałam na spuście. Drugą ręką ściskałam drugi rewolwer.

Szłyśmy przez pociąg, mijając kolejne puste wagony. W połowie drogi Shazad głośno wyraziła strach, który zaczął kiełkować w mojej głowie.

– Powinnyśmy już natknąć się na pozostałych.

Pewniej chwyciłam rękojeść broni i pożałowałam, że nie mam do kogo strzelić.

Kiedy otworzyłyśmy kolejne drzwi, pomiędzy nami a następnym wagonem rozciągała się przepaść o szerokości rozwartych ramion. Stojąc na jednym jej krańcu, miałam wrażenie, że ma szerokość Doliny Devy.

Nie mogłam patrzeć w dół. Nie spojrzałabym w dół. Nie chciałam widzieć umykających, rozmazanych torów. Ale musiałyśmy iść dalej. Musiałyśmy znaleźć broń, zanim ona znajdzie nas.

– Odsuń się – powiedziałam Shazad, zatykając broń za pas. – Skoczę pierwsza. – Nie było czasu na słowne przepychanki – chwyciłam się futryny, odsunęłam i skoczyłam.

Wiatr gwizdał w moich uszach, namawiając mnie do upadku.

Wpadłam na następny wagon. Drzwi nie otwarły się. Zachwiałam się i wyciągnęłam rękę. Nie poczułam żadnego oporu pod dłonią, serce niemal wyskoczyło mi z piersi, chcąc porwać za sobą całe ciało i rzucić nim o tory.

Natrafiłam dłonią na coś twardego. Z lewej strony drzwi była drabina. Stanęłam na niej i drżąc, przylgnęłam do zimnego metalowego stopnia. Widziałam jedynie swoje ręce na stopniu drabiny. Shazad coś krzyknęła, ale nie słyszałam słów.

Odwróciłam się i wyciągnęłam rękę najdalej jak mogłam, żeby chwycić jej dłoń. Jej palce sięgające ku mnie znajdowały się na skraju mojego pola widzenia.

Otworzyły się drzwi. Jedyne, co zobaczyłam, to złocisty mundur, zwiastujący moją śmierć.

Ale Shazad była szybsza od śmierci.

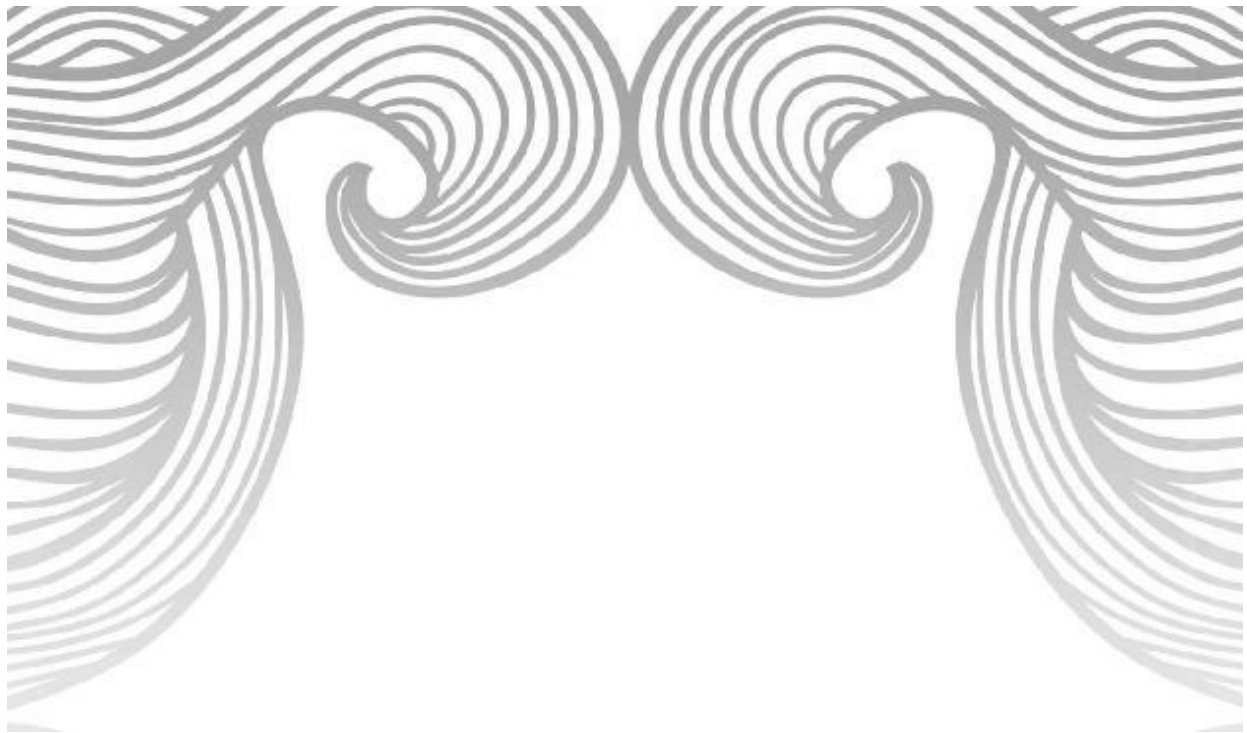
Przeskoczyła przez przepaść. Zauważyłam tylko błysk noża w jej ręce, a potem czerwień rozbryzgującą się na złocie i bieli. Jeśli żołnierz krzyknął, zanim wpadł pod koła, jego wrzask zagłuszył huk pociągu.

Nie widziałam, jak umierał. Jedyne, co widziałam, to Shazad, która źle wylądowała.

Ugięła się pod nią noga.

Wiatr szarpał jej ciemnymi włosami, omotując je wokół szyniczym pętlę.

Gdy spadała na tory, nasze spojrzenia spotkały się.



DWADZIEŚCIA TRZY

Przez najdłuższą chwilę w moim życiu pomiędzy palcami miałam tylko powietrze.

A potem moja dłoń zacisnęła się na nadgarstku Shazad. Zalała mnie fala ulgi, gdy złapała mnie też drugą ręką, jakby jakaś większa siła przyciągała nas do siebie.

Shazad jedną stopą uczepiła się wąskiego występu – to wystarczyło, żebym mogła ją utrzymać. Jej ciężar ciągle przyciągał ją niebezpiecznie blisko torów – próbowała podciągnąć się i wyjść z niebezpiecznego położenia, które w każdej chwili mogło zmienić się w upadek, gdyby któraś z nas poluzowała uścisk.

Moje palce aż drżały z wysiłku, gdy starałam się ją utrzymać. Krzyczała coś, ale wiatr porywał jej słowa.

– Nie słyszę cię! – odkrzyknęłam.

– Jest was więcej? – powiedział ktoś trzeci, zdawało mi się, że jego głos dochodzi do mnie z koszmarne snu. Zapomniałam o otwartych drzwiach i znajdujących się za nimi żołnierzach, stałam plecami do nich, więc w każdej chwili mogli mnie zadźgać. – To wygląda na jakąś inwazję.

Znałam ten głos. Ostry, z akcentem z północy, który słyszałam, kiedy groził, że przestrzeli nogę Tamida, trzymał mnie na muszce, rozmawiał z generałem Gallanów w Fahali.

Wiatr poniósł śmiech Naguiba.

Złapałam spojrzenie Shazad. Nie mogłam oderwać oczu nawet na chwilę, inaczej mogłaby mi się wyslizgnąć. Tory przesuwwały się pod jej stopami, którymi szukała oparcia, jej szima poluzowała się i łopotała szaleńczo na wietrze. Ręka mi drżała, gdy próbowałam podciągnąć ją do pionu.

Ale Shazad widziała wszystko. Widziała to, co rozgrywało się w wagonie za moimi plecami. Nie miała tylko broni.

– Niech ktoś je tu wciągnie – powiedział leniwie Naguib.

Shazad wzrokiem wskazała broń, którą miałam na biodrze, a potem spojrzała ponad moje ramię. Doskonale wiedziałam, czego ode mnie oczekiwała. Mogłabym wyjąć rewolwer, odwrócić się i wpakować kulkę prosto w głowę Naguiba.

Ale nie mogłam tego zrobić, bo najpierw musiałabym ją puścić.

„Puść mnie” – odczytałam z jej ust.

Chciała zabić i umrzeć dla sprawy. Bo jeśli dowódca Naguib nie umrze, umrzemy my wszyscy. Gdzieś w głębi mojego umysłu pojawił się obraz Tamida. Nie byłam już tamtą dziewczyną, która zostawiała ludzi w potrzebie.

Moja dłoń jeszcze mocniej zacisnęła się na jej nadgarstku.

Czyjeś ręce chwyciły mnie w pasie, pociągnęły i zawlekły do bezpiecznego wagonu. „Bezpieczny” nie było jednak właściwym słowem w tej sytuacji.

Ktoś mnie przeszukał. Podczas rewizji przycisnęłam czoło do dywanu; sapałam. Nogi drżały mi tak, że nie mogłabym stać ani walczyć. Shazad pomogła mi wstać.

Znajdowałyśmy się w jednym z luksusowych, prywatnych wagonów. Był wypełniony mężczyznami w schludnych mundurach i naszymi obszarpanymi buntownikami. Naliczyłam około dwóch tuzinów żołnierzy.

Dwóch z nich trzymało Jina. Klęczał i wyglądał tak, jakby z trudem utrzymywał się w pionie. Ale uśmiechnął się do mnie zawadiacko, a ja próbowałam mu odpowiedzieć tym samym.

Hala miała związane z tyłu ręce i lufę przytkniętą do głowy. Na początku nie zauważyłam Bahiego i przez jedną szaloną sekundę miałam nadzieję, że był sprytny i udało mu się wysiąść z pociągu. Potem go rozpoznałam, kołnierz jego koszuli zabarwił się na czerwono od krwi buchającej z nosa. Nie przypominał siebie.

Przy błyszczącym drewnianym barze, niczym gospodarz tego nieudanego przyjęcia, stał Naguib.

– Cóż za żalosna misja. – Spojrzał na mnie przelotem, lecz

po chwili wbił we mnie wzrok. – A czyż to nie jest ta niebieskooka suka? A przecież mówiła, że nie współpracuje ze zdrajcą.

– Okoliczności się zmieniły – wyraziłam się tak, jakby zrobiła to Shazad: mile, spokojnie, lecz z pazurem. Gdybym wyraziła się po swojemu, zapewne by mnie zastrzelili. – Nic tak nie przekonuje do przyłączenia się do przeciwnej strony niż rewolwer przyłożony do głowy, *dowódco*.

– Niewątpliwie. – Naguib odsunął się od baru tym swoim nienaturalnym, sztywnym krokiem. – Jestem pewien, że mój *brat* był bardzo przekonujący. – Ostatnie słowo podkreślił kopniakiem w żebra Jina, którym posłał go na gruby dywan. Nie zareagowałam. Nie mogłam dać Naguibowi satysfakcji.

– Wiesz – mruknął i poprawił mankiety – możesz równie dobrze powiedzieć mi, gdzie znajdę mojego drugiego brata, uzurpatora, i oszczędzić sobie bólu. W końcu mam was aż siedmioro! Wystarczy, że tylko jedno z was będzie mówić. Prawdę mówiąc, wystarczy, że tylko jedno z was pozostanie przy życiu. – Dotknął rewolweru na biodrze.

– Kiepski z ciebie hazardzista – powiedziała Shazad. Domyśliłam się, że Naguib wreszcie zwrócił na nią uwagę dzięki jej akcentowi.

– Shazad Al’Hamad?

Shazad popatrzyła na niego w taki sposób, jakbyśmy naprawdę byli gośćmi na jego przyjęciu.

– Proszę mi wybaczyć, czy my się znamy?

Mina mu zrzędnęła.

– Oczywiście. Nie spodziewam się, że wspaniała, jedyna córka generała mogłaby zauważyć jednego z wielu synów Sułtana. Chociaż wielu z nas zauważało *ciebie*.

– Zauważałam synów, którzy coś znaczyli – odpowiedziała chłodno Shazad.

Przyglądałam się, jak słowa ugodziły dowódcę Naguiba, raniąc chłopca, którego nosił pod skórą.

– Masz świadomość, że twój ojciec za to zawiśnie? Co jak

najbardziej mi pasuje, ponieważ zostanę generałem po jego śmierci. – Naguib wyciągnął rękę ku twarzy Shazad. – Wszystko to dzięki tobie. Ale chyba zajmę się...

– Jeśli ją skrzywdzisz, spłoniesz w piekle. – Bahi mówił niskim tonem, bo krew zatkała mu nos. – Jeśli mi nie wierzysz, możesz dostać zapewnienie od Półdżina. – Uświadomiłam sobie, że mówi o mnie. – Ona nie może kłamać. – Naguib spojrział na mnie, wreszcie pojmując, o czym świadczą moje dziwne oczy.

– To prawda – powiedziałam bez wahania. Bahi ostrzegł mnie, żebym tego nie robiła. Żebym nie zaginała wszechświata, kształtując go według własnej woli. Ale teraz kazał mi to zrobić. Dla Shazad. Żeby ocalić jej życie, żeby była bezpieczna. – Dotknij jej, a umrzesz w męczarniach. – W chwili, gdy te słowa wyszły z moich ust, stały się prawdą. Gdy Bahi mnie ostrzegał, myślałam, że w takiej chwili coś pocuję. Że wypłynie ze mnie jakaś moc, żebym wiedziała, iż moje słowa kształtują wszechświat, by ocalić Shazad. Niebezpieczeństwo wiązało się właśnie z tym. To były tylko słowa. Tak łatwo było je wypowiedzieć. Jak każde inne. – I błagać o życie.

Palce Naguiba zatrzymały się tuż przed brodą Shazad. Wystraszył się gry, która rozgrywała się tuż przed nim.

Bahi spojrział mi w oczy.

– Kłamstwo jest przecież grzechem – wtrącił się Jin.

Wybuchłam śmiechem, chociaż miałam lufę przystawioną do karku.

– A co wy wiecie o grzechach? – Niski głos dobiegł z kąta, ucinając mój śmiech i posyłając zimny dreszcz w dół mojego kręgosłupa. Zerknęłam tam, gdzie, jak sądziłam, znajdowały się tylko stosy broni i hełmów.

Jedna ze starych zbroi właśnie się poruszyła.

Człowiek był zrobiony z czystego metalu. Dłonie z wykutej z brązu kolczugi trzeszczały, gdy ruszał palcami, brązowe stawy stukały, gdy chodził. Nawet jego twarz była maską

z błyszczącej miedzi, od której odbijały się promienie słoneczne wpadające przez okna pociągu.

Nie podobało mi się to, że żołnierze schodzili mu z drogi, jakby się go bali.

– Usiądź prosto, klecho. – Metalowe usta nie poruszały się, gdy mężczyzna mówił, ale głos odbijał się echem w środku maski, słyhać w nim było akcent podobny do tego, którym posługiwali się ludzie w Ostatnim Okręgu. Bahi z trudem uniósł swoją zakrwawioną twarz, a dwaj strażnicy przygwoździli go do ściany, choć ledwo stał.

Człowiek z brązu podszedł i chwycił Bahiego za rękę. Metalowy człowiek przechylił głowę w bok, jak ciekawski ptak. Gdy to zrobił, zauważyłam kawałek skóry na jego szyi. Nie był więc cały z metalu. Człowiek w przebraniu z metalu.

– Noorsham – powiedział Naguib, co brzmiało trochę jak rozkaz.

Noorsham. I nagle znowu znalazłam się w Fahali. W domu modlitw zmienionym w więzienie. Chłopiec z lekko asymetrycznym uśmiechem przykuty do ściany. „Jestem wyjątkowy” – powiedział.

Jedyne, co widziałam przez szpary z miedzi, to niebieski kolor. Niebieski jak niebo nad pustynią, jak woda w oazie. Niebieski jak moje oczy.

– Jesteś zdrajcą. – Głos Noorshama dobiegał z daleka. Swoje płonące, niebieskie oczy zwrócił z powrotem na Bahiego. Brzmiał inaczej, daleko mu było do pełnego desperacji i nadziei tonu, jakim mówił, gdy mi pomagał. Próbowałam coś dostrzec za żołnierzem, który mnie trzymał.

– Zdrajcy powinni powrócić do armii Boga. Na sąd ostateczny.

Podniósł rękę z brązu i położył ją płasko na czole Bahiego, jakby go błogosławił.

Bahi uśmiechnął się przez zakrwawione, spuchnięte usta.

– Przykro mi, że cię rozczaruję. Wydaje mi się, że zbyt daleko zszedłem z drogi, żeby znaleźć swoje... – I wtedy

zaczął krzyczeć.

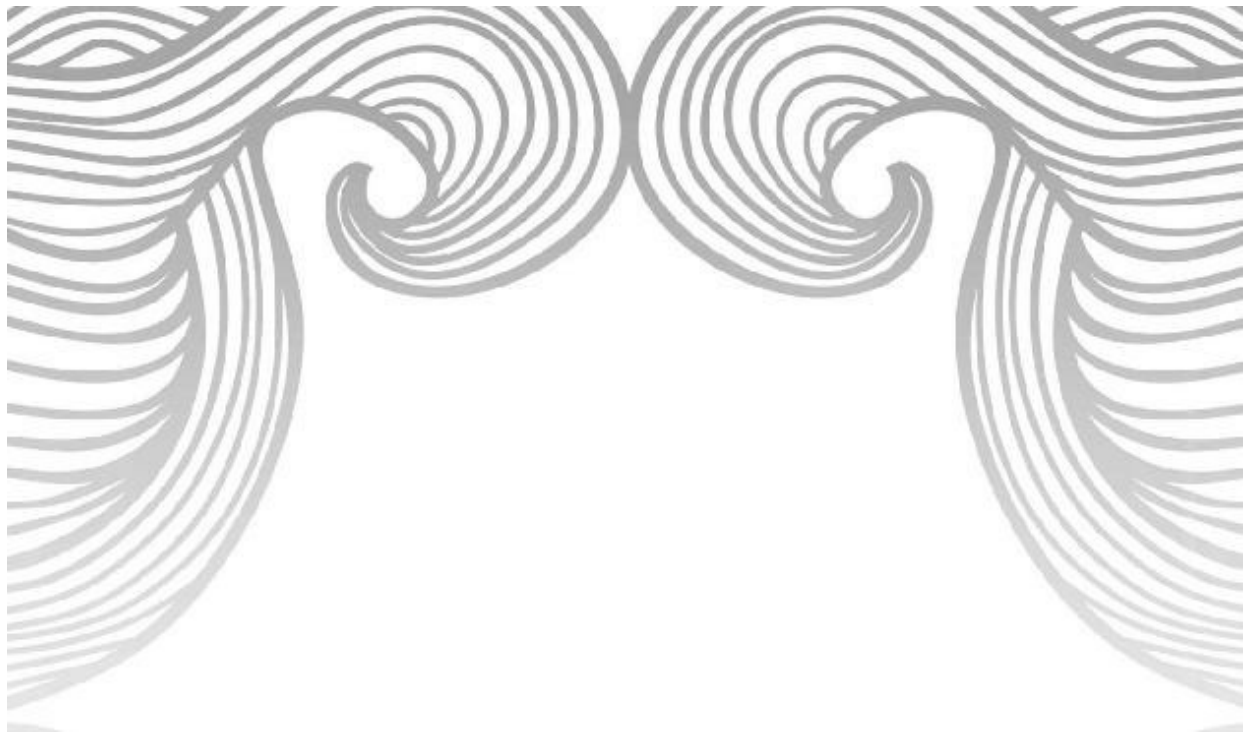
Shazad wykrzyknęła jego imię.

Zanim zdołałam wykonać jakiś ruch, przez wagon przeszła gwałtowna, dusząca fala gorąca, a dłoń na czole Bahiego zmieniła je w rozżarzony węgiel. Skóra Bahiego zaskwierczała i poczerniała, wszyscy krzyknęliśmy.

Ucisk na moim ramieniu zelżał. Znajdowałam się dwa kroki od Bahiego, żar był nie do wytrzymania. Opadłam na kolana, z trudem łapałam powietrze.

Skóra Bahiego najpierw zrobiła się czarna, a potem biała. Bezradnie patrzyłam, jak zmieniał się w popiół.

Znaleźliśmy naszą broń.



DWADZIEŚCIA CZTERY

Upał zelżał. Trawiła mnie gorączka, a płuca piekły.

Byłam na czworaka, nie mogłam zaczerpnąć powietrza, serce biło mi w rytmie stukotania pociągu.

Bahi nie żył. Umarł w męczarniach, tak jak przepowiedziałam to dowódcy Naguibowi. Zagięłam rzeczywistość, przez co nieszczęście spadło nie na Shazad, lecz wprost na Bahiego. W wagonie zapadła cisza, słysząc było tylko huśtające się nad nami żyrandole, rozkołysane ruchem pociągu.

Jin próbował się wyrwać. Jeden z trzymających go żołnierzy wbił mu kolano w kręgosłup i zmusił do położenia się na podłodze.

– Związać go. – Naguib bardzo się starał mówić znudzonym tonem, ale w jego głosie słysząc było poddenerwowanie. Mokre od potu włosy przylgnęły mu do czaszki. Hala cicho zaszlochała. – Sugeruję, żeby mój szanowny brat był następny.

Noorsham zignorował swojego dowódcę.

– Amani. – Cała jego uwaga skupiała się na mnie. – Wciąż żyjesz.

Z początku go nie rozumiałam, lecz po chwili uświadomiłam sobie, że miałam nadpalone, poczerniałe ubrania. Mnie jednak nic się nie stało. Miałam skórę Półdzina. Cóрки istot nieśmiertelnych nie zajmują się ogniem tak łatwo.

– Wychowałam się na pustyni – powiedziałam drżącym głosem. – Wiem, czym jest gorąco.

– Nie. – Wyciągnął przed siebie metalową dłoń, jakby chciał dotknąć mojej twarzy. Czułam, jak bije od niej gorąco. – Jesteś wyjątkowa, jak ja.

To była prawda, mieliśmy podobne pochodzenie

i niebieskie oczy. Nie mogłam mu powiedzieć, że jest inaczej. Oboje byliśmy Półdzinami, nie umieliśmy kłamać.

– Chcę zostać z nią sam. – Podniósł głos, by mógł usłyszeć go Naguib.

– Piekielnie chce. – Shazad leżała na podłodze wagonu. Ale dzięki tym dwóm słowom wiedziałam, że jest w niej jeszcze wola walki.

– Lepiej bym tego nie ujął. – Jin z trudem gramolił się na kolana. But Naguiba znowu zetknął się z jego bokiem.

– Nikt ich nie skrzywdzi – krzyknęłam, gdy Naguib znowu podniósł nogę. Zatrzymał się w pół ruchu, jego but zawisł tuż nad żebrami brata. W tej chwili nie był dowódcą, który ma do czynienia z więźniem. Był synem, który nie mógł brać udziału w potyczce o szacunek ojca podczas prób Sultrima. Synem, który nie mógł zjednać sobie szacunku swoich żołnierzy i słyszał, jak szepczą za jego plecami, że jego zbuntowany brat jest lepszym człowiekiem od niego. Próbował to sobie zrekompensować na Jinie. – Pójdę z tobą. A gdy mnie nie będzie, nikt nie zrobi im krzywdy. – Odwróciłam się tam, gdzie były niebieskie oczy ukryte za metalową maską. Czy moje też były takie deprymujące? – Umowa stoi?

Jego oczy uśmiechnęły się, ale metalowe usta ani drgnęły. Zastanawiałam się, czy podobnie jak ja dorastał w całkowitej niewiedzy na temat tego, kim był.

– Masz moje słowo: nikt ich nie skrzywdzi, kiedy wyjdiesz.

Ponownie podał mi rękę. Nie liczyło się to, że byłam córką Dżina; jego metalowa rękawica zostawiła bąbel na mojej dłoni, gdy ją chwyciłam.

≈≈≈

Zanim zostawili mnie z nim sam na sam, obszukali mnie dwa razy, wykonali to jednak dość pobieżnie. Miałam wrażenie, że żołnierze robili w gacie ze strachu przed swoją

bronią. Potem byliśmy sami w drugim wagonie, służącym za jadalnię. Wyglądała niemal tak samo jak ta, w której jadłam w pociągu z Juniper City. Każdy ruch pojazdu sprawiał, że stukwały o siebie szklanki, co brzmiało jak refren jakiegoś obłąkanego chóru. Noorsham usiadł na jasnoczerwonym krześle, ja zatrzymałam się przy drzwiach, tak daleko od niego, jak tylko się dało.

– Nie wróciłaś – powiedział w końcu. – W Fahali. Nie wróciłaś po mnie. – Wydawał się młodszy, niż gdy odzywał się przy Naguibie. Przez chwilę przerażająca zbroja z brązu rozmyła się przed moimi oczami i ujrzałam obszarpanego chłopca-żołnierza na podłodze więzienia.

– Chciałam. Miałam taki zamiar. Próbowałam, ale... – zaczęłam się tłumaczyć. Miałam wiele usprawiedliwień złamanej obietnicy, złożonej wtedy, gdy oboje sądziliśmy, że jesteśmy dziećmi mężczyzn z obcej krainy. A nie wadliwym Półdżinem i bronią masowego zabijania. – Wiem – przyznałam. – Przepraszam.

– Jak doszło do tego, że zostałeś zamknięty? – spytałam.

– Nie wykonywałem rozkazów dowódcy.

– Dom modlitw – zrozumiałam. – Nie chciałeś spalić domu modlitw w Dassamie. – Powoli skinął głową. – Jak to się stało? – Przypomniałam sobie jego obrzydzenie w stosunku do Bahiego. – Myślałeś, że ten, kto jest na tyle pobożny, żeby pójść się pomodlić, nie może być buntownikiem?

– Wiedziałem, że w środku nie ma żadnych Gallanów – powiedział tylko.

– Gallanów. – Pokręciłam głową, bo czegoś tu nie rozumiałam. – Dlaczego mielibyście... – Dassama nie tylko wspierała Ahmeda, była również główną bazą armii Gallanów. Sułtan nie zamierzał tłumić rebelii w imieniu Gallanów. Nie wykorzystał Dassamy jako poligonu doświadczalnego tylko dlatego, że popierała Ahmeda. Wypędzał obcokrajowców ze swojej pustyni. – Nie ścigacie nas. Ścigacie ich.

– Sułtan powiedział mi, że Bóg jest zły o to, że pozwoliliśmy niewiernym wojskom wkroczyć na pustynię. Powiedział, że mnie potrzebuje, żeby oddać ziemię naszym ludziom. Mój ogień pomoże pozbyć się obcych armii, które nas krzywdzą, kontrolują i zabierają nam to, co do nich nie należy.

Tych, którzy wmaszerowują w tych swoich niebieskich mundurach, zabierają z pustyni kobiety i broń.

Pomyślałam o tym, jak stałam w namiocie z Ahmedem i bałam się, że ściga nas jego ojciec. Jakie to głupie i naiwne. Sułtan nie przejmował się garstką buntowników, którzy zapragnęli lepszego świata. On również tworzył nowy świat. Taki, którym nie będzie musiał się dzielić.

Coś błysnęło za oknem. Niebieskie skrzydła. Duży niebieski Rok. Izz krążący nad pociągiem. Pewnie już się domyślił, że coś poszło nie po naszej myśli.

Noorsham podążył za moim spojrzeniem w chwili, gdy Izz poderwał się do góry i zniknął z oczu.

– Pochodzisz z Sazi – powiedziałam, odciągając uwagę Noorshama. Oderwałam się od drzwi i zaczęłam się przechadzać, żeby musiał na mnie patrzeć. To, że mówiliśmy tylko prawdę, nie oznaczało, że nie mogę go nabrać. – Poznaję twój akcent. Kopalnie. – Kawałki układanki zaczęły trafiać na swoje miejsca: spalone miasto przypomniało mi o czymś, czego nie mogłam wówczas wydobyć z pamięci. Dwie wielkie katastrofy rozdzielone pustynią. – To nie był wypadek. Ty to zrobiłeś.

– Zniszczyłem kopalnie tego dnia, gdy odkryłem swój dar. – Wstał tak samo powoli jak Święty Ojciec. – Tego dnia sprowadziłem światło i gniew na niegodziwych.

– Sazi było niegodziwe, prawda? – Przesunęłam palcem po barze. Tak długo jak tu będę, moi przyjaciele nie zginą. Tak długo jak tu będę, mogę kupić nam więcej czasu. Po prostu muszę zachęcać go do mówienia. Kiedy zerknęłam za okno, Izza już nie było. Ile czasu zajmie mu domyślenie się, że napytaliśmy sobie biedy?

– Ty też pochodzisz z Ostatniego Okręgu – powiedział. – Jak dobrzy byli ludzie w mieście, w którym mieszkałaś?

Nie mylił się.

– Zabiłeś więcej ludzi niż jakikolwiek inny mieszkaniec Ostatniego Okręgu.

Noorsham rozłożył ręce, ściśle utkana kolczuga odbiła światło.

– Zostałem wybrany do większych celów. To moje przeznaczenie.

Wzdrygnęłam się. Większe cele. To brzmiało podobnie do tego, co mówiłam Tamidowi, gdy chciałam opuścić Dustwalk. O tym, że gdzieś tam czeka inne życie. Takie, które nie jest aż tak małe, bezsensowne i krótkie. O nich myślałam w obozie buntowników. Miałam prawie taki sam akcent jak ktoś, kto zabijał tak bezrefleksyjnie, ale nie chciałam używać identycznych słów.

– A co oni ci zrobili, ci podli ludzie z Sazi?

Przez chwilę wyglądał jak człowiek, chociaż był z metalu.

– Pamiętasz, jak siedem lat temu przeszła armia Gallanów? – Palcami wybijał jakiś rytm na barze, był coraz bliżej mnie.

– Armia Gallanów przeszła więcej niż raz – powiedziałam. Nie śmiałam się od niego odsunąć.

– Nie udawaj, że nie pamiętasz. – Miał silniejszy akcent, słyszałam w nim bardzo dobrze Ostatni Okręg. Sam się poprawił. – Tym razem było inaczej.

– Pamiętam – przyznałam, chociaż nie chciałam. To był rok suszy. Niepokój wnikał pod skórę, w okolicy kręciło się więcej niebieskich mundurów niż zwykle. – Moja mama i ja schowałyśmy się pod domem na cały dzień. Próbowwała mnie przekonać, że to taka zabawa. Ale byłam już na tyle duża, że rozumiałam, dlaczego to robimy.

Noorsham przytaknął.

– Moja siostra Rabia była też wystarczająco duża – powiedział. – A kiedy wojsko sobie poszło, ją i inne dziewczyny zaczęto obrzucać kamieniami za to, że położyły

się pod obcokrajowcami. Rzucano, dopóki, nie padły martwe. A moja mama na to pozwoliła.

Nie miałam nic do powiedzenia.

– Przez wiele lat czekałem, aż Bóg ich ukarze. Modliłem się. Nigdy nie przypuszczałem, że kara spadnie z moich rąk. – Jego słowa przypomniały mi to, co mówił Święty Ojciec podczas nabożeństwa w dni modlitewne. Czasami słyszałam u niego taką religijną żarliwość jak w wykonaniu Tamida.

– Od jakiegoś czasu nie pracowałem w kopalni. Byłem zbyt chory. Próbowałem chodzić do pracy, ale mama nie pozwalała, a ja nie miałem w sobie żadnej woli walki. Kiedy wróciłem, wszyscy mężczyźni patrzyli na mnie z ukosa. Ciągłe pytali o moją drugą siostrę, Suhe. W porze obiadowej jeden z nich tak się upił, że powiedział mi, o co chodzi. Kiedy chorowałem, skończyły nam się pieniądze. Mama bała się, że umrzemy z głodu, więc sprzedawała Suhe mężczyznom z kopalni. Tym samym, którzy zabili Rabię za to, że została do tego przymuszona przez obcokrajowców. Gdy się dowiedziałem, poczułem, że to ze mnie wypływa, światło zesłane przez jakąś siłę wyższą, która ich zniszczyła, a mnie oszczędziła.

Jak w piekle.

Noorsham zatrzymał się tuż przy mnie. Nieruchome rysy jego maski wyrażały spokój. Ale jedna z brązowych pięści zacisnęła się ze złości. Czułam, że wzbiera w nim gniew. Na ludzi z Dustwalk, którzy powiesili moją mamę. Którzy powiesili Dalalę. Którzy pozwoliliby na to, żeby wziął mnie ktoś taki jak Fazim lub mój wuj.

– Potem znalazł mnie książę Naguib. Przyszedł, kiedy kryłem się w górach, czekając na kolejny rozkaz Boga. Zabrał mnie do naszego czcigodnego Sułtana, który wyjaśnił mi, że mój ogień jest darem. Że dzięki niemu mogę zabijać grzesznych i oszczędzić dobrych.

– Ogień nie rozróżnia dobra od zła, podobnie jak wystrzelona kula. – Nie mogłam się powstrzymać.

Przechylił głowę jak zaskoczony ptak.

– Ciągłe żyjesz – powiedział.

– To powinno być wystarczającym dowodem. – Oparłam się o bar i schowałam za plecy drżące ręce. – Domyślam się, że ty również o tym wiesz. W przeciwnym wypadku nie zostałbyś uwięziony w Fahali. Jak do tego doszło, że zostałeś zakuty w zbroi? Sądzę, że skoro tak jak ja pochodzisz z Ostatniego Okręgu, to wiesz, że do żelaza dodajemy brąz, żeby okiełznać Buraqi. – Armia Gallanów, która poszukiwała obozu buntowników, stacjonowała w Dassamie. Zamierzali ją spalić. Ale Noorsham nie chciał. Więc zabrali go z powrotem do Izmanu i ubrali w zbroję z brązu. – Wydaje mi się, że on sądzi, iż ciebie także trzeba zmusić do posłuszeństwa. Chcesz wiedzieć, co myślę? Naguib się ciebie boi. – Nie można było go za to winić. – Po prostu cię wykorzystuje. Jesteś tylko narzędziem.

Noorsham poruszył palcami.

– Wydajesz się bardzo pewna siebie.

– Bo mam rację. – Zastanawiałam się, co jeszcze mam mu powiedzieć, jaką prawdę mu podsunąć. Nie było sensu przypominać mu, że jest Półdżinem, a nie bronią Boga. Ani mówić, że walczy po złej stronie. To samo mógłby powiedzieć o mnie. Wierzył w Sułtana, ja wierzyłam w Księcia Buntownika.

Jin powiedział mi kiedyś, że bezcelowe jest dyskutowanie z czyjąś wiarą. To był język obcy dla logiki. A chociaż byłam córką Dżina, mogłam zostać spalona przez niego żywcem, gdyby uznał, że stoję po drugiej stronie.

Musiałam się stąd wydostać. Oderwałam się od baru i podeszłam do okna. Ciągłe widziałam latającego wysoko Izza. Otworzyłam okno jednym pociągnięciem i wpuściłam do środka chłodne powietrze.

– Co robisz?

– Gorąco mi – powiedziałam, zdejmując szimę z szyi. Wystawiłam czerwoną, skradzioną ze sznura w Sazi chustę

za okno, gdzie łopotała niczym zakrwawiona flaga. Modliłam się, by Izz ją zobaczył i zrozumiał.

– Czy to podstęp? – Znowu wydawał się młodym chłopcem.

– Nie musisz zgadzać się na to, żeby cię wykorzystywali. – W moim głosie dało się usłyszeć desperację, odwróciłam się do niego. – Gdyby książę Ahmed został Sułtanem, mógłby również wygnać Gallanów. Bez zabijania tak wielu ludzi. Ma po swojej stronie istoty takie jak my. Ale nie używa nas do palenia miast. Nie jesteśmy narzędziami, jesteśmy żołnierzami.

– Nie jestem narzędziem – zaprotestował Noorsham.

Może Jin miał rację. Może dyskusja z przekonaniem nie miała sensu. Jeszcze raz wyjrzałam za okno. Izz zniżył lot i utrzymywał tempo pociągu.

– Więc jak to możliwe – spytałam, przytrzymując się baru – że nie jesteś w stanie zdjąć zbroi? – Chwycił za sprzączkę z boku maski, w tej samej chwili Izz w postaci gigantycznego Roka rzucił się na pociąg.

Wagon zakołysał się tak mocno, że przez chwilę zdawało mi się, że wypadniemy z torów. Uderzyłam w bar, a powietrze uszło mi z płuc. Usłyszałam pisk rozrywanego metalu i kątem oka dostrzegłam, jak otwiera się ściana wagonu przecięta ostrymi pazurami Izza.

Rzuciłam się do wąskiego wyjścia. Ze wszystkich stron rozpościerała się pustynia.

Wtem na piasku zmaterializowały się kolorowe ubrania. Z pociągu wyskoczyła Shazad i przetoczyła się po ziemi. Zanim zniknęła mi z oczu, stała już na nogach, a za nią wyskoczyli dwaj żołnierze. Następnie na piasku pojawiła się złota dziewczyna, mocująca się z żołnierzem.

Otworzyły się drzwi. Do środka wpadł Naguib w poszukiwaniu Noorshama. Odskokczyłam z szybkością charakterystyczną dla Shazad, po czym wpadłam za bar. Zacisnęłam dłoń na szyjce butelki. Odwróciłam się i rzuciłam nią, niemal trafiając twarz Naguiba. Chwycił mnie

za nadgarstek i unieruchomił. Poczułam ból promieniujący w całym ciele i krzyknęłam. Butelka roztrzaskała się na podłodze, odciągając na chwilę jego uwagę, dzięki czemu udało mi się oswobodzić.

Ktoś mnie wołał. W drzwiach stał Jin. Wielka dziura wydarła w ścianie pociągu rozdzielała dwa wagony, ale czy on naprawdę chciał po mnie przyjść?

– Skacz! – krzyknęłam. – Skoczę po tobie. – Wiedział, że nie ma co się ze mną kłócić. Wyskoczył, ja również ruszyłam do rozdarcia w ścianie wagonu.

Znalazłam się tam zaraz po tym, jak skoczył, chwyciłam się obiema rękami krawędzi luki.

Noorsham.

Obejrzałam się za siebie. Leżał na boku – najwyraźniej przewrócił się podczas uderzenia. W jego metalowym hełmie było wgniecenie, ale ruszał się i próbował wstać. Przez lukę zobaczyłam, że dojeżdżamy do kanionu, gdzie tory biegły nad przepaścią.

Musiałam skakać. Teraz. Ale nie mogłam zostawić Noorshama. Nie mogłam zostawić go żywego. Nie mogłam zostawić go w rękach Naguiba. Musiałam go zabić. Albo uratować. Nasze niebieskie oczy spotkały się ponad połamanymi sprzętami leżącymi na podłodze wagonu.

Wewnątrz mnie wzbierał krzyk, który przypominał głos Bahiego, błagający mnie o to, bym przeszła przez wagon, zdjęła mu maskę, wyciągnęła stąd. Ale pod nami już prawie rozciągała się dolina, może już było za późno.

Jeśli wrócę, złapią mnie i nie będę mogła wyskoczyć.

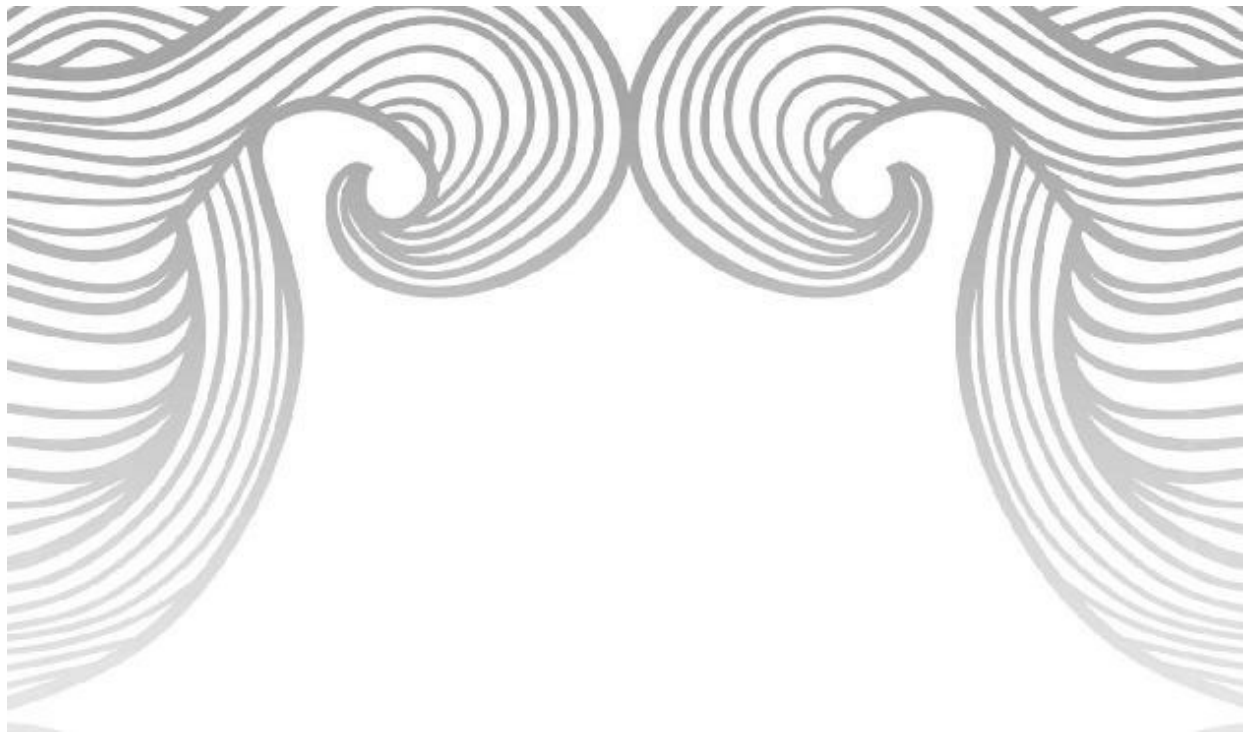
Jeśli skoczę teraz, i tak mogę spaść w przepaść.

Tak czy owak, byłam na przegranej pozycji.

Rzuciłam się przez rozdarcie w ścianie wagonu. Porwał mnie wiatr. Upadłam na ziemię, moje ciało rozbłysło konstelacją bólu. Z impetem toczyłam się po piasku z taką swobodą, jakbym była powietrzem; silny ból nie pozwalał mi z tym walczyć. Odzyskałam ostrość widzenia w samą

porę, żeby zobaczyć, jak otwiera się otchłań przepaści, żeby mnie pochłonąć. Wbiłam palce w piasek. Walczyłam o utrzymanie się na powierzchni, ale nie miałam szans. Nie było za co chwycić, sam piasek.

Moje nogi już przeleciały przez krawędź, a za nimi reszta mojego ciała.



DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Palce coś złapały. Poczułam szarpnięcie w żołądku, zmusiłam pokiereszowaną rękę do uchwycenia się. Moim ciałem zarzuciło o ścianę kanionu, usłyszałam obrzydliwe gruchnięcie połączone z bólem łamanych żeber. Wrzasnęłam – ból był nie do wytrzymania. Przez chwilę mogłam tylko wisieć z zamkniętymi oczami, płytkim oddechem i myślą, by nie patrzeć w dół. Kazałam ręce się trzymać.

Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że nie wiem, co mnie zatrzymało.

Trzęsłam się tak, że ledwo mogłam się ruszyć. Miałam wrażenie, że minęło dużo czasu, zanim otworzyłam oczy. Powoli podniosłam głowę, jakby każdy ruch mógł sprawić, że stracę równowagę i spadnę na dno przepaści.

Trzymałam się piasku. A raczej to piasek trzymał mnie. Ręka z piasku zacisnęła się na moim nadgarstku. Uratowała mi życie.

Opuściłam głowę i zacisnęłam powieki. Chciałam sobie przypomnieć, jak się oddycha. Jak szybko powinno bić serce.

W ciągu swojego szesnastoletniego życia widziałam dziesiątki istot zrodzonych z piasku, wiatru i duchów zamieszkujących pustynię. Słyszałam wiele historii o nieśmiertelnych i złych duchach, które wyszły z piasku. Ale to było coś nowego. Czułam, że jest zupełnie obce, a jednocześnie całkowicie znajome.

To nie było stworzenie z piasku. To byłam ja.

Wzięłam głęboki oddech. Moje żebra rozciągnęły się w nieskończonym bólu, który objął całe ciało. Zarzuciłam lewe ramię do góry, ten ruch sprawił, że aż krzyknęłam, złapałam piaskową rękę za nadgarstek i próbowałam udawać, że nie czuję ziarenek przesypujących się pomiędzy

palcami.

Powoli, niczym zachodzące słońce rzucające cień na pustynię, piasek ciągnął mnie za sobą. Gdy moja ręka zaczynała się wyslizgiwać, z pustyni wyłaniała się następna, która mnie łapała. A potem jeszcze jedna. Trzymały mnie dziesiątki rąk, ciągnęły mnie za ubranie i za dłonie. Wyciągały mnie z powrotem na pustynię.

A potem znalazłam się na górze, leżąc płasko na brzuchu. Odczołgałam się od krawędzi, cała drżałam. Nie wiedziałam, czy z bólu, czy dlatego, że czekało na mnie coś potężniejszego. Coś, o czym moje ciało dowiedziało się szybciej niż mój umysł. Nie myślałam o niczym. Przyglądałam się, ale nie rozumiałam. Wokół mnie rozpadały się ręce z piasku. Wzdrygnęłam się.

Nic innego się nie ruszało. Nawet ja. A potem chciałam dotknąć kupki piasku, która uratowała mi życie. Nawet jeszcze jej nie trąciłam, gdy zaczęła unosić się ku mojej dłoni, jak węże w koszu obudzone przez zaklinacza.

Więc byłam takim Półdzinem.

Gdzieś padł strzał. Piasek opadł, gdy odwróciłam się w stronę wystrzału. Świat powrócił na swoje miejsce w jednej chwili. Na piasku już leżały ciała. Akurat zobaczyłam, jak Shazad wbija łokieć w gardło jakiegoś mężczyzny i próbuje ustawić się w taki sposób, żeby móc mu wbić nóż w brzuch. Żołnierz zaszedł ją od prawej strony.

– Nie!

Nie byłam już pusta. Byłam furia. Piasek ich smagał, wybuchał pomiędzy nimi, oboje rzucił na kolana. Pobiełam po Shazad, gdy chmura opadła.

Próbowała wykaszelec pustynny pył, kiedy uklękłam obok niej. Kiedy mnie zobaczyła, znowu zaczęła się krztusić.

– Myślałam, że nie żyjesz! Widziałam, jak wpadasz w przepaść – powiedziała pomiędzy atakami kaszlu. – Widziałam, jak spadasz.

Z prawej strony padł strzał. Nie zastanawiając się,

podniosłam rękę; fala piasku przewróciła żołnierza. Zakopała go. Jego broń spadła u moich stóp. Nie podniosłam jej. Cała ta sytuacja sprawiła, że kręciło mi się w głowie, czułam się jak pijana i wystraszona zarazem. Tak jakby wyrosła mi dodatkowa kończyna, której nie umiałam jeszcze w pełni kontrolować.

Chwyciłam dłoń Shazad i pomogłam jej wstać. Ciągle jeszcze się mocno trzęsłam i nie umiałam znaleźć słów. Kiedy się odwróciłam, piasek u moich stóp odwrócił się ze mną – wiedziałam o tym bez patrzenia. Czułam to. Tak jak zawsze, ale wtedy jeszcze sobie tego nie uświadamiałam. Pustynia wokół mnie, piasek były jak żywe stworzenia, wzywały mnie, prosiły, bym je wykorzystała, chcąc być częścią mnie.

Walka ustała, ale ja nie potrafiłam się powstrzymać.

– Amani. – Ręka Shazad wyslizgnęła się z mojej. Piasek poruszał się pode mną. Utworzyłam mały wir, jak podczas burzy piaskowej. Po chwili zaczął rosnać, aż otoczył mnie całą. Dotykał moich włosów, ubrania, wzywał mnie do siebie, na pustynię.

Żeby w niej utonęła.

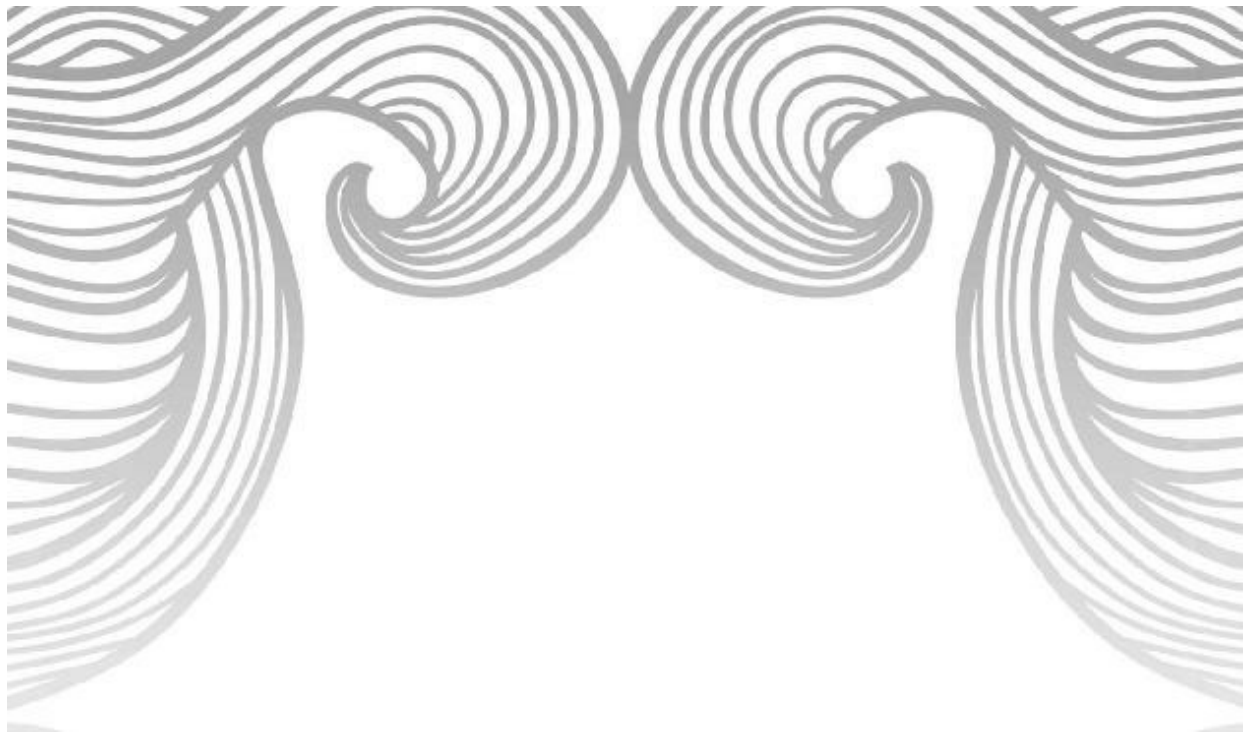
Nie mogłam oddychać. Nie mogłam tego kontrolować. To było zbyt wiele!

Czyjaś dłoń zacisnęła się na mojej, lecz tym razem była z kości i ciała. Przez piasek przeszedł Jin z szimą obwiązaną wokół twarzy, na oślep przeciskając się do mnie. Wiedziałam, że trzyma coś metalicznego, zanim jeszcze mnie objął i przyciągnął do swojej piersi. Coś mówił, ale nie słyszałam go w tej burzy. Czułam jedynie, że jego dłoń uciska moją rękę. To była kula, zimna i twarda, żelazo kłuszące moją gołą skórę.

Jej chłód przeciął rosnący we mnie żar.

Piasek zaczął opadać w spiralach, coraz niżej i niżej, aż znowu znalazł się u moich stóp, a ja mogłam usłyszeć bicie serca Jina przy moim uchu, czułam ból w miejscu, gdzie

nabój wbijał się w moje ciało, słyszałam, jak szeptem powtarza moje imię do chwili, gdy przestałam się trząść.



DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Kilka godzin przed świtem wreszcie się zatrzymaliśmy, żeby dać odpocząć Izzowi, wiozącemu całą naszą czwórkę. Znajdowaliśmy się w połowie drogi między domem a miejscem, w którym wyskoczyliśmy z pociągu. Ze wszystkich stron rozciągała się pustynia, chociaż na horyzoncie dało się dostrzec góry Doliny Devy. Nie rozpakowaliśmy swoich zapasów ani nie rozpaliliśmy ogniska. Każdy położył się tam, gdzie stał. Izz zmienił się w wielką, podobną do kota, bestię, jakiej nigdy wcześniej nie widziałam, po czym zasnął. Shazad oparła się o niego. Miała czerwone oczy, chociaż nie widziałam, żeby płakała.

Jin bez słowa usiadł obok mnie. Trzymał coś w rękach. Czerwoną szimę. Tę, którą wyrzuciłam przez okno. Delikatnie, bez pytania, chwycił mnie za prawą rękę. Była spuchnięta i obolała, ale prawie już nie zwracałam uwagi na pulsujący ból.

Zwichnięta. Nie złamana. W miejscu, gdzie moje żebra zetknęły się ze ścianą kanionu, odczuwałam tępy ból. Czułam nieobecność Bahiego jak pulsującą bólem ranę, podczas gdy dłonie Jina, niewprawne na skutek zmęczenia, unieruchamiały mi rękę za pomocą czerwonej szimy. Zawiązał ją i pogładził palcami materiał, zanim ją puścił.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Zagoi się.

Oboje wiedzieliśmy, że nie o to pytał, ale Jin nie drażył tematu.

– Umiesz strzelać lewą ręką?

– Jeśli muszę – powiedziałam.

Jin podał mi broń.

– Chcesz? – Patrzyłam na broń w jego rękach, ale nie wzięłam jej, tak jak bym zrobiła to kiedyś. Wczoraj. – Wiesz

już, prawda?

– To przez żelazo. – Złapałam broń za skórzaną rękojeść, uważając, żeby nie dotknąć metalu. Pomyślałam o tym, jak dotykał nabojem mojej skóry, gdy wokół nas szalał piasek. Jeden dotyk odzierał mnie z mocy kształtującej całe moje życie, za moim przyzwoleniem i wbrew mojej woli. Podobnie jak w przypadku Buraqi i metalowych podków: jak długo miałam żelazo przy skórze, nie mogłam dotrzeć do moich mocy Półdzina. – To powód, dla którego przeszłam przez życie, nie wiedząc, że jestem Półdzinem. Bo mieszkałam w Dustwalk. – Dziewczyna, która sama nauczyła się strzelać. Umiała zestrzelić cały rząd puszek, jakby były niczym, a broń była wszystkim. – Ponieważ byłam dziewczyną z rewolwerem. – A Noorsham był chłopakiem z kopalni rudy żelaza. Mówił, że chorował. Był tak chory, że przestał pracować w kopalni i przez jakiś czas nie wdychał żelaznego pyłu. Więc kiedy wrócił do pracy, pojawił się tam jako Półdzin.

– Z miasta, gdzie nawet woda ma posmak żelaza. – Jako że bali się Noorshama w Fahali, przykuli go tam żelaznym łańcuchem. Jin zaciskał i otwierał pustą dłoń. Miał zdartą skórę na kostkach, więc podczas tego gestu otwierały się jego rany. To musiało boleć.

– Założę się, że nie sądziłeś, że wszystko się tak skomplikuje, kiedy uprowadzałeś mnie z tego zapomnianego przez Boga miejsca.

– Nie *uprowadziłem* cię! – Przynajmniej przestał znęcać się nad swoimi kostkami. Trochę za późno dotarło do niego, że się z nim drażnię. Rozluźnił się nieco. Żadne z nas nie potrafiło zbyt długo z gniewną zaciętością odgradzać się od świata.

– Trochę mnie uprowadziłeś. – Przez chwilę było między nami tak jak w Kolanach Wielbłąda, tylko że nie musieliśmy już udawać, że jestem kimś innym.

Nie miałam w repertuarze iluzji, nie umiałam dostawać się

do cudzych umysłów ani zmieniać postaci. To były moce Dżinów z opowieści, w których oszukiwały ludzi i siebie nawzajem. Ale były też inne historie. Massil i piasek, który wypełnił morze. Złote miasto Habadden spalone przez Dżina za karę za zepsucie. Noorsham zrobił to samo. Zastanawiałam się, czy i ja umiałabym przysypać morze piaskiem.

– Oczy Noorshama mają taki sam kolor jak moje – wyrzuciłam z siebie. Na pewno nie byłam jedyną, która dodała dwa do dwóch. – Jest mniej więcej w moim wieku. Urodził się niedaleko ode mnie. – Na pewno nie tylko ja o tym myślałam. – Dustwalk i Sazi dzieli zaledwie kilka godzin jazdy na Buraqi. Jaką odległość, według ciebie, pokonują Dżiny? Jest moim bratem, prawda?

– Amani. Nieważne, kim jest. Nie jest twoim bratem. Rodzina i krew to nie to samo.

– Jeśli to prawda, to dlaczego nie zastrzełeś Naguiba w Dustwalk? – Odpowiedź na to pytanie mimowolnie pojawiła się w jego spojrzeniu, na tyle długo, bym mogła ją zobaczyć. – Ja też nie chcę, żeby mój brat musiał zginąć. – Rozumieliśmy się. Jego brat i mój brat byli bronią Sułtana.

Jin położył dłonie na mojej twarzy.

– Nie musimy nic robić. Ściga Gallanów. Nie trzeba go powstrzymywać. – Przywykłam do niezachwianej pewności Jina. Wahanie w jego głosie, niepewność jego dotyku na mojej twarzy, to było coś nowego. – Możemy się wycofać. Podjąć walkę kiedy indziej.

– Kiedy indziej możemy co najwyżej umrzeć. – Oparłam się czołem o jego czoło. – Noorsham... Musimy go powstrzymać. Jeśli Sułtan ma taką broń, to tylko kwestia czasu, zanim przedrze się przez obcokrajowców i dopadnie również nas. Możemy nie mieć drugiej szansy. – Nie byłam nawet pewna, co miałam na myśli, mówiąc, że musimy go powstrzymać. Zabić go? Ocalić? Uratować? – Jadą do obozu Gallanów – powiedziałam i w tej chwili zyskałam pewność. – Chcą ich

zabić. Możemy być tam przed nimi.

– Nie mam zamiaru ratować żołnierzy Gallanów – wtrąciła się Hala. – Jako Półdżin mieszkam dłużej niż wy w okupowanym przez nich kraju. Wszyscy zasłużyli na spalenie, jeśli chcecie mojego zdania. Powinniśmy zająć się własnym bezpieczeństwem.

– A Fahali? – Popatrzyłam na grupkę zmęczonych, obszarpanych buntowników. – A co z ludźmi, którzy tam mieszkają? Wracają tam, żeby spalić Gallanów. Razem z nimi spłonie wielu ludzi z pustyni.

Nikt nie odpowiedział.

– Musimy się przespać. – Jin przetarł twarz dłonią. Ja też czułam się wyczerpana. – Nikt nie podejmuje rozsądnych decyzji w ciemności. Prześpijmy się i jutro wracamy do obozu. Powiedzmy Ahmedowi o broni. A potem zadecydujemy.

≈≈≈

Jutro będzie za późno. Wiedziałam o tym, leżąc pomiędzy pustynią a gwiazdami, potwornie zmęczona i zbyt ożywiona, by móc zasnąć.

„Nikt nie podejmuje rozsądnych decyzji w ciemności” – to słowa Jina. Głupia decyzja podjęta w ciemności sprawiła, że znalazłam się w Deadshot w przebraniu chłopaka. Podejmowałabym ją wciąż na nowo, gdybym musiała. To nawet nie była decyzja. Podobnie jak teraz.

Wstałam, zanim nabrałam pewności, że wiem, co mam zrobić. Przy świetle gwiazd zaczęłam pakować zapasy wystarczające na dzień wędrówki po pustyni.

– Uciekasz jak złodziejka w środku nocy? – Rewolwer podskoczył mi w dłoni. Shazad nadal opierała się o niebieską, futrzaną bestię, Izza, ale miała otwarte oczy i patrzyła na mnie. Nie wiedziałam, od jak dawna nie śpi.

– Chcesz mnie powstrzymać? – Obie wiedziałyśmy, że

mogła, a ja nie strzelę do niej. Mimo wszystko nie odłożyłam broni, choć nie leżała dobrze w mojej dłoni.

– Jest moim bratem, Shazad. Czuję odpowiedzialność. Mogę ich ostrzec. Nawet jeśli nie uda mi się zrobić niczego poza tym, mogę...

– Nie chcę cię zatrzymywać. – Shazad usiadła. – Tylko czuję się urażona, że nie spytałaś, czy pójde z tobą.

– Czy to rozsądne, generale? – Poczułam, jak znów płonie we mnie ogień. Ten, który został stłumiony strachem i śmiercią Bahiego. Dostrzegłam go również u Shazad.

– Nie – przyznała. Sięgnęła po swoją broń i zaczęła mocować miecze na plecach. – Rozsądne byłoby oczekiwanie, aż Sułtan zmęczy się walką ze swoimi sprzymierzeńcami i pielęgnowanie nadziei, że zostanie przez nich złapany i zabity, a jego tron przypadnie Ahmedowi. – Zapięła pas podtrzymujący drugi miecz. – Ale Naguib mnie rozpoznał. Więc nie mam czasu na oczekiwanie. Jeśli go nie powstrzymamy, prześle wieści Sułtanowi. Mój ojciec, moja matka i mój brat spłoną tak jak Bahi. A następnie zwróci się przeciw reszcie z nas. Poza tym – powiedziała i wyciągnęła do mnie rękę, a ja ją chwyciłam i pomogłam jej wstać – należy to zrobić.

Może łączyło mnie coś z Jinem. Ale z Shazad wszystko było prostsze.

Odwróciła się do Jina, który leżał przy ogniu z kapeluszem na twarzy.

– Widzę, że nie śpisz. Idziesz z nami?

Westchnął i odsunął kapelusz.

– Tak, tak. Próbuję tylko się przespać, zanim znajdę się o krok od pewnej śmierci.

– Sądzę, że złodzieje w ciemności powinni ciszej się zachowywać – wymamrotała Hala po swojej stronie ogniska.

– Jak przedstawia się twój plan, generale, w wyniku którego wszyscy zginiemy?

– Prosto. Zmusimy ich, żeby powybijali się nawzajem. –

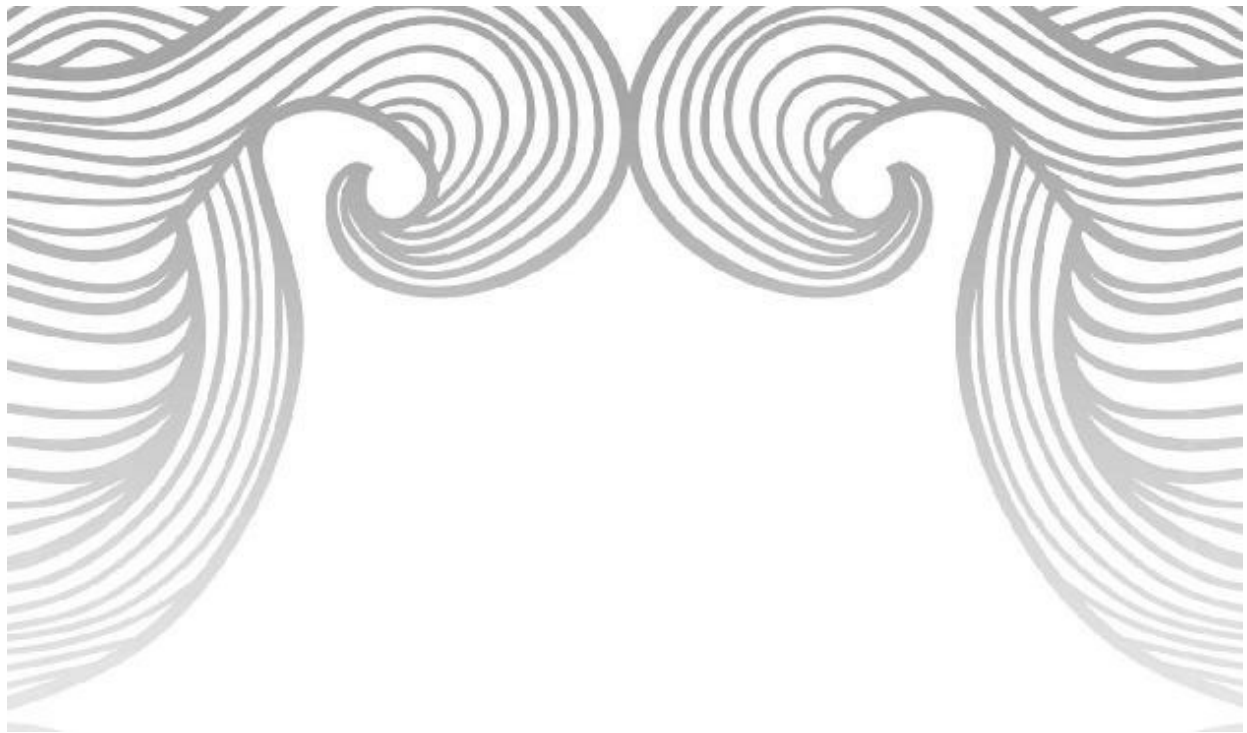
Wszyscy patrzyliśmy na nią w oczekiwaniu. Chwilę zajęło jej uświadomienie sobie, że stoi dwa kroki przed nami. – Sułtan może i chce najechać na Gallanów, ale nie ma zamiaru wszczynać otwartej wojny. Dlatego próbuje przypisywać nam winę za szkody, jakie wyrządził Noorsham. Jeśli Gallanie zobaczą Noorshama, przekonają się, że służy Sułtanowi, a nie nam. Wówczas skończy się to wojną. Sułtan straci sojusz z Gallanami. A to oznacza dla nas, że będziemy mieli na głowie tylko Sułtana, a nie całą obcą armię. Jedyne, co musimy zrobić, to zabić Noorshama, zanim on ich pozabija.

– Albo pozabija nas – dodała Hala. – Więc nasza piątka ma stanąć naprzeciw dwóch armii oraz szalonego Półdżina.

Spojrzałam na krąg twarzy. Dwa dni temu podczas Shihabian – Boże, to było tylko dwa dni temu? – czułam się jak uzurpator. Jak ktoś, kto nie do końca pasuje do tej rebelii, nieważne, jak bardzo się stara. Głupiutka Niebieskooka Bandytka Jina, która porzuciła swoje miasto, nie wiedząc, dla jakiej sprawy je porzuca. Półdżin bez mocy, niemogący nikogo ocalić. Ale teraz, gdy stałam w tym kole, czułam to, tę sprawę, która kazała im wszystkim stanąć i ryzykować życie. Byłam ogniwem w tym łańcuchu.

– Tak, zapewne – powiedziałam.

– Jest takie stare powiedzenie – rzekła Shazad. Może nie chciała, żeby nazywać ją generałem, ale nie mogła się tego wyprzeć. Przyjrzała się swojej małej armii: zmieniacz kształtów, złotoskóra dziewczyna, księżę i niebieskooka bandytka. – O zwalczaniu ognia ogniem. Nigdy nie widziałam w nim większego sensu. Ale użycie ognia przeciwko Półdżinowi, który nie tak łatwo stanie w płomieniach, może się udać.



DWADZIEŚCIA SIEDEM

Noorsham od razu rzucał się w oczy. Nawet z daleka widziałam ponad lufą strzelby, jak słońce odbija się od jego mosiężnego hełmu.

Znajdowaliśmy się o pół dnia drogi od posterunku kolejowego w Fahali. Wylądowaliśmy na górze po wschodzie słońca. Teraz zbliżało się południe, a słońce wisiało nad nami. Co chwilę przed moimi oczami pojawiał się cień Izza, powoli krążącego nad górami. Czekał na szansę.

Przesunęłam lufę z Noorshama na żołnierzy. Było ich kilkudziesięciu. Wśród nich Naguib.

Palec mocniej nacisnął spust.

– Nawet ty nie jesteś w stanie stąd trafić, Bandytko. – Głos Jina przy moim uchu sprawił, że zdjęłam palec ze spustu. Powróciło przerażające, przyprawiające mnie o zawroty głowy uczucie, że mam całą pustynię do dyspozycji, gotową, by wymknąć się spod kontroli. Moje moce nadal ciążyły mi jak kula u nogi, jak stwierdziła Shazad. Na razie nie wiedziałam, czy w ogóle na coś się przydam jako Półdżin.

Odetchnęłam przeciągle. W tej samej chwili Noorsham odwrócił się w naszą stronę. Mogłabym przysiąc, że patrzył wprost na naszą kryjówkę. Siedząca obok mnie Shazad nabrała powietrza w płuca.

Nie jest w stanie nas zobaczyć – uspokajałam samą siebie.

Hala o to zadbała. Leżała na skale obok mnie, miała zamknięte oczy. Na jej twarzy malował się wysiłek, jaki wkładała w kontrolę umysłu każdego z żołnierzy. Umieściła w nich iluzję, więc gdy spojrzeli na klify nad Fahali, widzieli jedynie gołe skały.

Gdy głowa Noorshama podniosła się, zauważyłam kawałek skóry na gardle, tam, gdzie maska nie stykała się ze zbroją. Był to trudniejszy cel niż szklana butelka na strzelnicy

po drugiej stronie pustyni. Modliłam się o to, żebym nie musiała oddawać tego strzału.

Plan był prosty. Użyć iluzji Hali, żeby odciągnąć Noorshama od jego małej armii i pokazać Gallanom zdradę Sułtana. Następnie zabić Noorshama i uciec, zostawiając Naguiba i Generała Dumasa, by sami rozstrzygnęli swoje sprawy.

Prosty jak ocalenie całego miasta w Miraji i zniszczenie trwającego dwie dekady sojuszu obu krajów. Prosty jak zamordowanie mojego brata. Zabicie Noorshama było najtrudniejszą częścią. Cieszyłam się, że przypadła Izzowi. Miałam broń tylko na wypadek, gdyby mu się nie powiodło. Na wypadek, gdybym miała okazję do oddania czystego strzału.

Powiedział to sam generał Dumas. Miał doświadczenie w zabijaniu członków rodziny królewskiej. Po prostu nie będzie to księżę, którego miał na myśli.

Bez Noorshama Naguib nie będzie miał z czym stanąć naprzeciw armii Gallanów, mała grupka żołnierzy Miraji przeciw oddziałom generała. Zostanie zabity lub pojmany. Tak czy inaczej, śmierć księcia Miraji lub zdrada Sułtana doprowadzą do wojny.

Miałam rewolwer na wypadek, gdyby nadarzyła się okazja zabicia mojego brata.

Nie. Nie chciałam o tym myśleć. Jin miał rację. Rodzina i krew nie znaczą tego samego. Może i nie chciałam patrzeć, jak Noorsham umiera, ale to była wojna. Nie liczyło się to, czego chciałam.

Serce uwięzione pomiędzy kręgosłupem a skałą waliło jak oszalałe, gdy leżałam na brzuchu i patrzyłam na mały oddział Naguiba zmierzający do Fahali.

Obok mnie Jin marszczył brwi, przyglądając się czemuś, co trzymał w rękach. Wyciągnęłam szyję i zobaczyłam, że to zniszczony, mosiężny kompas. Igła latała jak szalona. Widziałam coś takiego tylko raz, kiedy oba kompasy po raz

pierwszy znalazły się blisko siebie.

– Dlaczego tak się zachowuje? – wyszeptałam. Wojsko było już blisko, na tyle blisko, że głos poniesiony w dół kanionu mógł ich zaalarmować.

– To znaczy, że Ahmed gdzieś wyruszył. Ale nie ma możliwości, by Ahmed wiedział, co robimy.

– Delila mu powiedziała. – Uświadomiłam sobie. Powiedziała mi, że zwykła budzić się w nocy i mówić na głos, że Jin żyje. Że jest bezpieczny. Że niedługo wróci do domu. Że udaje się to tylko wtedy, gdy jest prawdą. Znaleźliśmy się w takiej sytuacji, że któreś z tych haseł nie było prawdą. Ahmed wyruszył, żeby nas odnaleźć.

– Musimy się stąd wydostać, zanim pojawi się Ahmed. – Jin schował kompas do kieszeni. Nie wiadomo, skąd poczułam przypływ żalu. On robił wszystko, żeby chronić życie swojego brata, podczas gdy ja celowałam w mojego.

– Hala – rozkazała Shazad. – Teraz.

– Och, czy to naprawdę jest takie proste? – rzuciła sarkastycznie Hala. Ale wzięła głęboki oddech, po czym zmusiła trzy tuziny umysłów do zobaczenia tej samej iluzji.

My również widzieliśmy to samo, co wszyscy ludzie Naguiba – otwierające się bramy miasta, z których wychodzi tuzin mężczyzn w gallańskich mundurach. Wychyliłam się ponad krawędź kanionu, lecz jedyne, co widziałam, to czubki ich hełmów, gdy jechali w stronę wojska Naguiba, a ich konie rozpryskiwały piasek.

Nie byli prawdziwi. Ale wyglądali dość autentycznie, żeby nabrać każdego, kto o tym nie wiedział. Nawet żeby zmylić prawdziwych gallańskich żołnierzy, którzy teraz wspinali się na mury miasta. Patrzyli na żołnierzy, będących ich sojusznikami i jechali wprost na iluzję.

Naguib pochylił się do przodu i powiedział coś Noorshamowi. Ten zsiadł z konia i ruszył pieszo na spotkanie z gallańskimi żołnierzami. Oddalił się na bezpieczną odległość, żeby nie spalić swoich razem

z wrogiem.

Już prawie. Jeszcze krok. Podniósł ręce. *Prawie. Prawie.*

Żar uderzył. Czułam, jak wznosi się nad iluzję. Odskokczyłam, podobnie jak pozostali. Pierwsze, co zobaczyłam, to piasek u jego stóp, zmieniający kolor na czarny. Potem iluzję – krzyczących Gallanów. Krzyczących tak jak Bahi. Wojsko Naguiba słyszało wrzaski, które wybrała dla nich Hala. Zadbała nawet o to, by powietrze wypełniło się smrodem spalenizny.

Noorsham podszedł bliżej.

Jeszcze kilka kroków. Serce biło mi jak szalone.

Miał uniesione ręce, jakby udzielał im błogosławieństwa.

Kolejny krok.

Żar przetoczył się po piasku i uderzył w mury miasta, dosięgając prawdziwych gallańskich żołnierzy. Nagle wrzaski stały się autentyczne. Smród spalonej skóry na chwilę rozproszył uwagę Hali. Nie na długo, ale wystarczyło. Dość, by iluzja zniknęła.

Jeden z żołnierzy coś krzyknął i wskazał prosto na nas, gdy staliśmy się widoczni. Wymierzono w nas broń. Odsunęłam się od krawędzi wąwozu na chwilę przed tym, jak pierwsza kula odłupała kawałek skały. Wstałam, trzymając rewolwer w dłoni.

Wysoko nad nami zakrakał Izz. Iluzja zniknęła całkowicie, sekundę przed tym, jak Izz zanurkował i spadł na Noorshama. Mała, brązowa postać upadła na ziemię, a Izz zmienił się w gigantyczną małpę. Odwróciłam głowę. Nie chciałam patrzeć, jak pięść Izza przebija się przez miedź i czaszkę.

– Izz! – Krzyk Hali sprawił, że znowu spojrzałam.

Noorsham wstawał. Izz leżał na piasku, zmieniony w chłopaka. Przez chwilę wydawało mi się, że nie żyje, lecz przetoczył się na bok. Moja własna skóra zapiekła na widok czerwonego, świeżego poparzenia na jego szyi.

Noorsham uniósł dłoń nad głowę Izza.

Krzyknęłam jego imię.

Zagłuszył je kolejny skrzek. Nad kanionem pojawił się wielki, brązowy Rok z niebieską kępką piór na głowie.

Maz. Na jego grzbiecie leciał Ahmed.

Maz kierował się prosto na swojego brata. Noorsham podnosił już rękę w jego stronę. Czubki jego skrzydeł zajęły się ogniem.

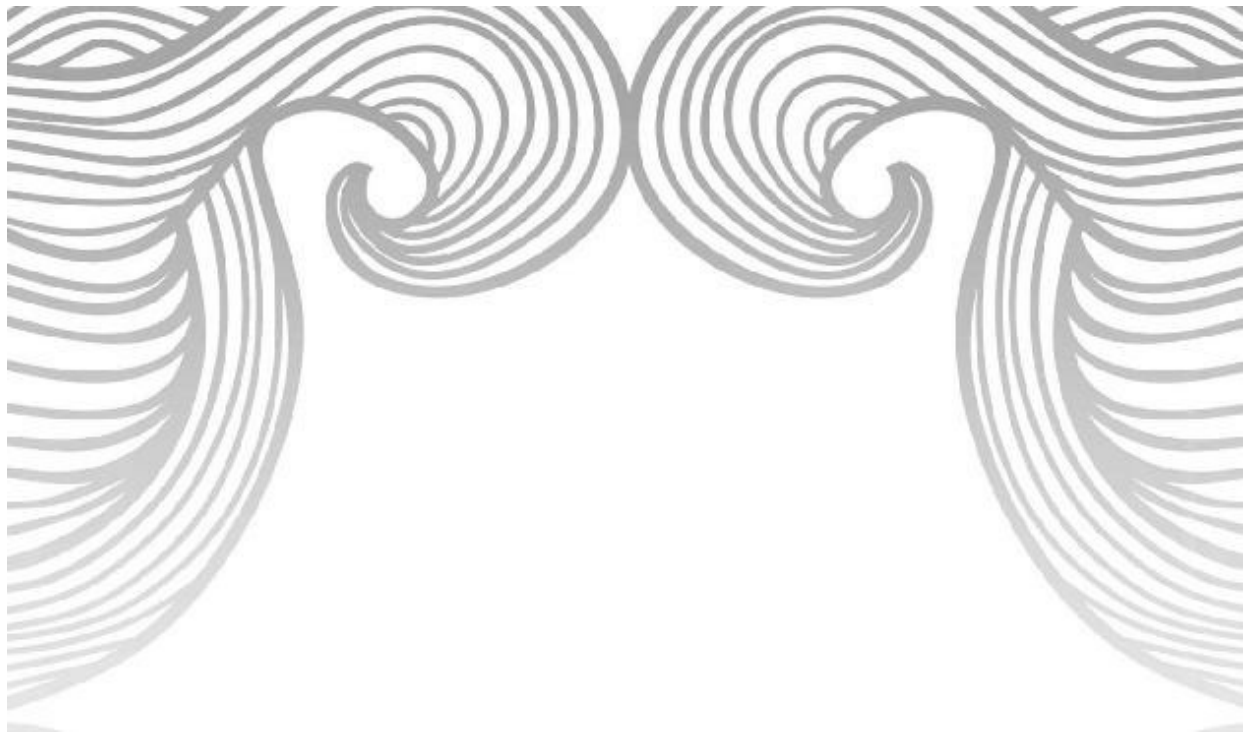
Nie!

W ułamku sekundy wstałam i wychyliłam się ponad krawędź skalnej półki. Widziałam teraz Noorshama, palec trzymałam na spuście.

Kula uderzyła w napierśnik. Noorsham zatoczył się. Uniósł głowę. Nawet z tej odległości widziałam jego oczy, błękit ukryty za maską. Zauważył mnie.

Podniósł ręce, jakby chciał przywitać się z dawno niewidzianym przyjacielem.

Uderzenie gorąca przewróciło mnie.



DWADZIEŚCIA OSIEM

Pod plecami miałam piasek i wpatrywałam się w niebo. Miało taki sam kolor jak oczy Noorshama. Stracił mnie z góry.

Spadłam dwadzieścia stóp w dół. Powinnam już nie żyć. Ale przypomniałam sobie, że piasek podniósł się, żeby mnie przechwycić, a ja tylko na chwilę straciłam przytomność.

Wsparłam się na łokciach, całe ciało protestowało. Widziałam, że Jin i Shazad wychylają się, żeby mnie zobaczyć. Jin zerwał się, żeby skoczyć za mną, ale Ahmed odciągnął go od ściany kanionu, gdy świsnęła kula. Ahmed i Maz bezpiecznie wylądowali. Dlaczego nie uciekali? Dlaczego nie odlatywali? Czy bliźniacy byli ranni?

Kolejna kula wbiła się w piasek tuż przy moim łokciu.

Instynktownie przetoczyłam się w bok. Palce szukały broni. Pewnie ją upuściłam, gdy spadałam.

Siły Naguiba podchodziły pod górę, kierując się w stronę naszej kryjówki.

Nawet bez Półdżinów nie byłaby to równa walka, lecz oni mieli Noorshama. Widziałam go. Gdybym miała rewolwer, mogłabym oddać czysty strzał. Ale nie miałam.

Poruszyłam obolałymi palcami. Czerwona szima wciąż była związana wokół mojej prawej ręki jako usztywnienie. Szybko ją rozwiązałam i obwiązałam nią szyję. Czułam, jak w odpowiedzi na każdy mój ruch przesuwają się piasek. Nie miałam pojęcia, co robię. Ostatnie szesnaście lat przeżyłam jako dziewczyna z rewolwerem, a nie Półdżin. Widziałam, co robi Hala, tworząc światy w ludzkich umysłach. Delila zaginała rzeczywistość. Noorsham zmieniał świat w kulę ognia.

To była druga natura.

Dla mnie to broń była drugą naturą. Ale ta surowa moc

stanowiła część mnie, nie była czymś wyuczonym. Była antyczną siłą, która ciągnęła mnie do piasku. Linią krwi mojego ojca, która łączyła mnie z czasami przed pojawieniem się śmierci.

Ponad piaskiem mój wzrok napotkał spojrzenie Noorshama. Wyciągał płonąca dłoń w stronę moich przyjaciół. Chciał ich spalić żywcem.

Uniosłam obie ręce – co kosztowało mnie naprawdę wiele energii – i skupiłam się na swojej niedawno odnalezionej mocy. Piasek poderwał się w górę i utworzył ścianę. Wyrosła za Noorshamem, odcinając go od reszty ludzi Naguiba. Pomiędzy nim a moimi ludźmi.

Ogarnęła mnie radość. Zrobiłam to. Cała drżałam. Pociłam się z wysiłku, pot zalewał mi twarz. W gardle czułam gulę. Noorsham miał rację: byłam taka jak on. To była moc, której mogłam użyć do zrównywania miast z ziemią. Której nie mogłam kontrolować. Która wymykała się zbyt łatwo i brała odwet na całych miastach w Ostatnim Okręgu. Która z czystej złośliwości mogła wypełnić morze piaskiem.

Podniosłam piasek jeszcze wyżej, raz na zawsze odcinając Noorshama i siebie od wojska. Byliśmy po jednej stronie, a Naguib i buntownicy stali po drugiej.

Teraz walka była wyrównana.

Noorsham podniósł ręce, a ziemia pod moimi stopami poczerniała. Cofnęłam się. Zza ściany piasku dobiegł mnie huk wystrzału i krzyk. Modliłam się, by kula znalazła jednego z ludzi Naguiba.

Noorsham odwrócił się, słysząc ten dźwięk. Z jego dłoni buchnął żar i uderzył w wirujący piasek. Podniosłam ręce, zacisnęłam powieki, chociaż piasek zmienił się w szkło, kłuł mnie w ręce, głowę, nogi. Kiedy otworzyłam oczy, miałam zakrwawione ręce.

– Amani. – Głos Noorshama dobiegał z głębi zbroi z brązu.
– Dlaczego ze mną walczysz? Nie ciebie ścigam. Tylko ich. – Szeroko rozłożył ramiona, obejmując żołnierzy Gallanu oraz

rebeliantów.

– Ich, a także całe miasto zamieszkane przez swój własny lud.

Musiałam odciągnąć go od nich. Zrobiłam krok w tył, ciągnąc za sobą ścianę piasku, zmuszając Noorshama do zrobienia kroku w przód. Uniemożliwiając potyczkę. To sprowadzało się tylko do nas dwojga.

To była sprawa Półdżinów. Zajmowaliśmy się tym, co nasze.

Poczułam piekący ból na nodze, gdzie kula otarła się o moją łydkę. Krzyknęłam i upadłam na kolana.

Wystarczył dotyk żelaza.

Słabiej kontrolowałam piasek. Burza, oddzielająca nas od walki, opadła. Wstrzymałam oddech, starając się znów ją wzniecić, ale nie udało mi się.

Widziałam, jak walczą. Buntownicy przeciw armii Naguiba. Połowa ludzi Naguiba walczyła z niewidzialnymi przeciwnikami, takimi, którzy – dzięki Hali – istnieli tylko w ich umysłach. Bliźniacy nieustannie zmieniali kształty, od wielkich, skórzastych bestii po małe ptaki, wbijali pazury w oczy wrogów. Shazad walczyła z dwoma przeciwnikami, jej miecze wirowały tak szybko, że były jedynie rozmazaną plamą w kolorze stali i czerwieni. Jin i Ahmed stali do siebie plecami, poruszali się w tym samym rytmie, jakby całe życie nie robili nic innego. I zapewne tak było.

Udawało im się utrzymać przewagę. Ale Noorsham już się odwracał w ich stronę, gotowy, by wyrównać szanse na polu bitwy. Znowu zwróciłam się ku mojej mocy. Powstrzymała mnie lufa przytknięta do mojej szyi. Pocałunek żelaza zmienił mnie na powrót w człowieka.

– Ręce za głowę! – Rozpoznałam głos generała Dumasa.

Choć raz w życiu zrobiłam, co mi kazano.

Po chwili byłam otoczona dwoma tuzinami gallańskich żołnierzy, uzbrojonych i oopancerzonych. Gotowych do walki.

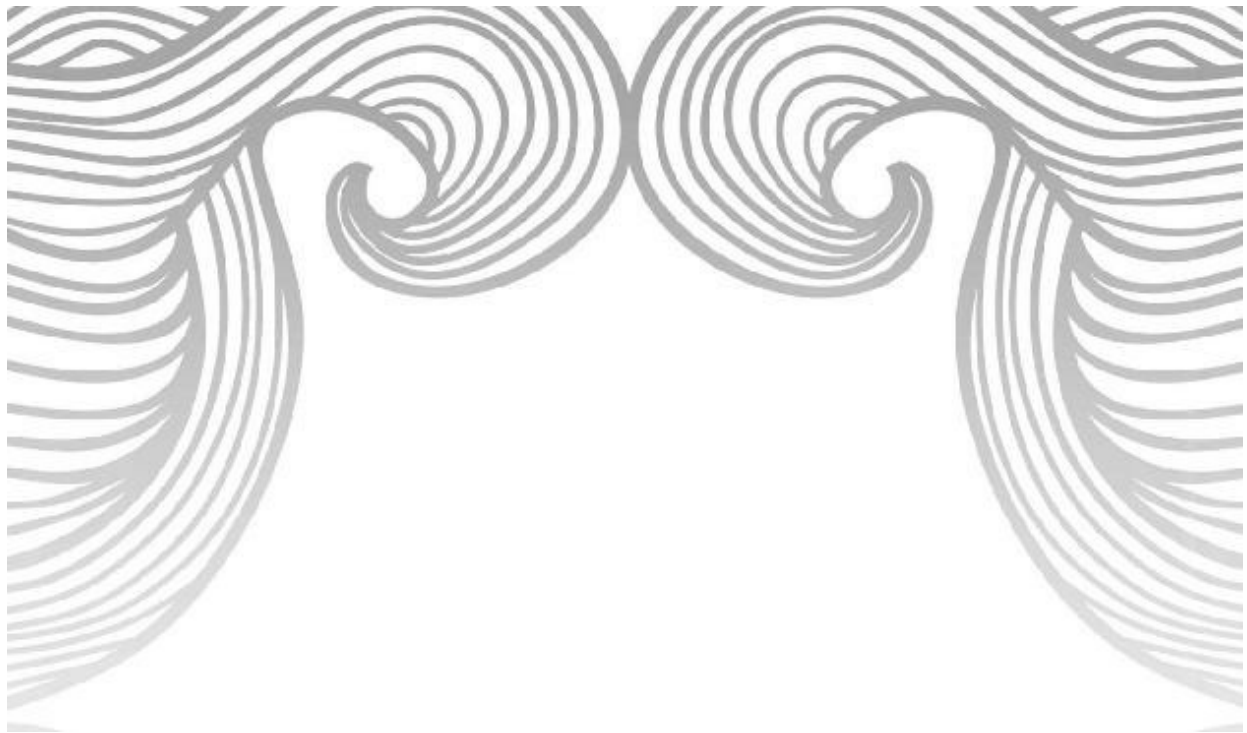
Wbiłam wzrok w Noorshama. Stał zupełnie nieruchomo kilka kroków dalej. Nadal był odwrócony tyłem do bitwy między jego armią a moją małą grupą Półdżinów i buntowników. Przekrzywił głowę, jak ciekawski ptak i przyglądał się, jak stoję pomiędzy Gallanami.

Generał Dumas powoli obszedł mnie dookoła, nie odrywając lufy rewolweru od mojej skóry, aż w końcu miałam ją pośrodku czoła. Zasłaniał mi widok na bitwę. I na Noorshama.

Zerwał mi szimę z szyi i podał ją komuś. Zawiazali mi ją na oczach. Oślepił mnie.

Ostatnią rzeczą, jaką widziałam, zanim zniknął świat, był generał celujący w moją głowę.

Zamknęłam oczy.



DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Zamiast wystrzału rozległ się krzyk.

Poczułam, że zimny metal odsuwa się od mojego czoła. Wykorzystałam ten moment, żeby rzucić się na piasek. Jednym szarpnięciem zdjęłam chustę z oczu i czołgałam się dalej. Widok, jaki ujrzałam, był jednocześnie przerażający i wspaniały.

Generał Dumas płonął. Płonął dokładnie tak, jak Bahi. Gdy ugięły się pod nim kolana, zobaczyłam za nim Noorshama z jedną podniesioną ręką niczym Święty Ojciec w chwili udzielania błogosławieństwa. Gallanie wycelowali w niego broń. Padły strzały. Większość kul nie trafiła celu, byle jak wycelowana w bezładnej strzelaninie. Jedna czy dwie dosięgły jego napierśnika, zostawiając w nim wgłębienie i nic więcej.

Stojący najbliżej mnie gallański żołnierz nie spieszył się.

Celował spokojnie. Widziałam linię strzału. Wiedziałam, że uda mu się trafić w cel.

Jego palec nacisnął spust, gdy ja uniosłam rękę. Piasek spod jego stóp eksplodował, pozbawiając go równowagi. Jego krzyk zwrócił uwagę Noorshama. Sekundę później zmienił się w krzyk bólu, bo żołnierz płonął.

Jeden z Gallanów odwrócił się w moim kierunku z bronią gotową do strzału. Moje dłonie poruszyły się instynktownie, jak wtedy, gdy trzymały rewolwer. Jakby to było równie naturalne jak dotykanie cyngla.

W odpowiedzi, z piasku uformowała się postać. Poruszyłam palcami, wtedy jej ręce chwyciły żołnierza za szyję i rzuciły nim o ziemię.

Pojawiła się kolejna piaskowa postać i włączyła się do walki. Żołnierz oddał strzał, ale kula przeszła przez jej pierś, nie czyniąc żadnych szkód, a piaskolud już się

na niego rzucił i wytrącił mu broń z ręki. Potem powstały kolejne piaskoludy, aż było ich pół tuzina, przytrzymały żołnierzy, którzy jeden po drugim byli paleni przez Noorshama. Poruszałam się jak burza piaskowa, jak Shazad ze swoimi mieczami. Tylko że moją bronią była cała pustynia, moje stopy podrywały piasek, który podążał tam, gdzie chciałam. Uchyliłam się przed mieczem, machnęłam ręką i sypnęłam piaskiem w twarz żołnierza.

A potem wszystko ucichło.

Rozejrzałam się wokół. W chaosie walki dotarliśmy aż za mury miasta. Gallańscy żołnierze zniknęli. Został tylko Noorsham i ja. Staliśmy naprzeciw siebie na pustej ulicy, z której uciekli wszyscy mieszkańcy. Ludzie pochowali się w domach. W jednym z okien dostrzegłam jakiś ruch. Byliśmy obserwowani.

Słońce odbijało się od jego zbroi. W okolicy serca, gdzie trafiła moja ostatnia kula, powstało wgłębienie. Może będzie miał siniaka.

Gdy opadł piasek, wszystko ucichło, było zbyt spokojnie.

– Co teraz? – zapytał Noorsham. W jego słowach słychać było zaśpiew z Ostatniego Okręgu. Cały przypominał mi o dobrze znanych rzeczach. O mieście, które opuściłam. O żarze pustyni, który zamieszkał pod moją skórą. O naszych oczach, które wyglądały jak bezchmurne pustynne niebo. O więzach krwi, które nas łączyły i pamiętały niebo bez gwiazd i starożytną wojnę.

Usłyszałam, że ktoś biegnie. Jeszcze tu nie skończyliśmy. Fahali leżało na granicy. Było dobrze strzeżone. Noorsham podniósł rękę, która od razu rozgrzała się do czerwoności.

– Noorsham! Nie chcesz tego zrobić. – Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Zawahał się.

– Noorsham! – krzyknął ktoś nad nami. Oboje spojrzeliśmy w tamtą stronę. Nad nami stał Naguib. Stał przy bramie do miasta. Wydostał się z pola bitwy z rebeliantami, żeby odnaleźć swoją broń. – Jeszcze nie skończyłeś.

Na ulicę wbiegły dwa tuziny gallańskich żołnierzy, otoczyły nas i wycelowały broń, krzycząc coś w swoim gardłowym języku. Sięgnęłam po piasek. Ich generał nie żył. Nie mógł wydać im rozkazu oddania strzałów. Ale jeden z nich mógł beztrąsko pociągnąć za spust.

Naguib uniósł rękę. Błysnął pierścień z brązu, tego samego metalu, z jakiego zrobiono zbroję Noorshama. Były na nim jakieś słowa.

Uświadomiłam sobie, że to prawdziwe imię Noorshama. Podobnie jak Atiyah miała prawdziwe imię swojego Dżina-kochanka. Podobnie jak w opowieściach, w których zachłanni handlarze lub pyszni władcy uzurpowali sobie władzę nad jakimś Dżinem. Dżiny zazdrośnie strzegły swoich sekretów, lecz one i tak jakoś się wymykały w obecności kobiet, które kochały.

Dotarło do mnie, że to było również moje prawdziwe imię. Imię naszego ojca.

– Spal miasto.

Noorsham zwrócił na mnie swoje niebieskie oczy. Widziałam, że rozumiemy się nawzajem. Nie chciał mnie zabijać. Podniósł rękę, jakby chciał mnie objąć, pobłogosławić lub spalić. Jego najmniejszy gest rozgrzewał do białości powietrze wokół mnie.

Wiedziałam, co powinnam zrobić. I miałam tylko jedną szansę.

Do moich dłoni przylgnął piasek. Lekko poruszyłam palcami. Poczułam, że piasek odpowiada, chociaż żar bijący od Noorshama był coraz większy, chyba nawet wbrew jego woli, nawet mimo tego, że próbował go powstrzymać. Lufy Gallanów kołysały się niepewnie, celując raz we mnie, raz w Noorshama.

Ogień był coraz bliżej mnie. U moich stóp. Zebrałam piasek w ręce i uformowałam z niego kulę.

Świat przybrał znajomą formę. Jakbym znowu była zdesperowaną dziewczyną w strzelnicy w Deadshot.

Miałam jeden, jedyny strzał.

Miałam też dobre oko.

Wykonałam płynny ruch, wystrzeliłam ręką do przodu, jakbym miała w niej rewolwer. Piasek posłusznie poleciał razem z nią. Tym razem nie jako gwałtowna, niekontrolowana fala.

Jedna, czysta kula.

Uderzyła w twarz Noorshama. Ten cofnął się z krzykiem, gdy kula zmieniła się z powrotem w chmurę pyłu, a żar zmalął.

Wstrzymałam oddech, gdy Noorsham podniósł głowę. Zamek mocujący maskę się poluzował. Siła uderzenia uszkodziła go. Patrzyłam, jak Noorsham podnosi drżące ręce do twarzy. Maską z brązu, która opasywała jego głowę, spadła.

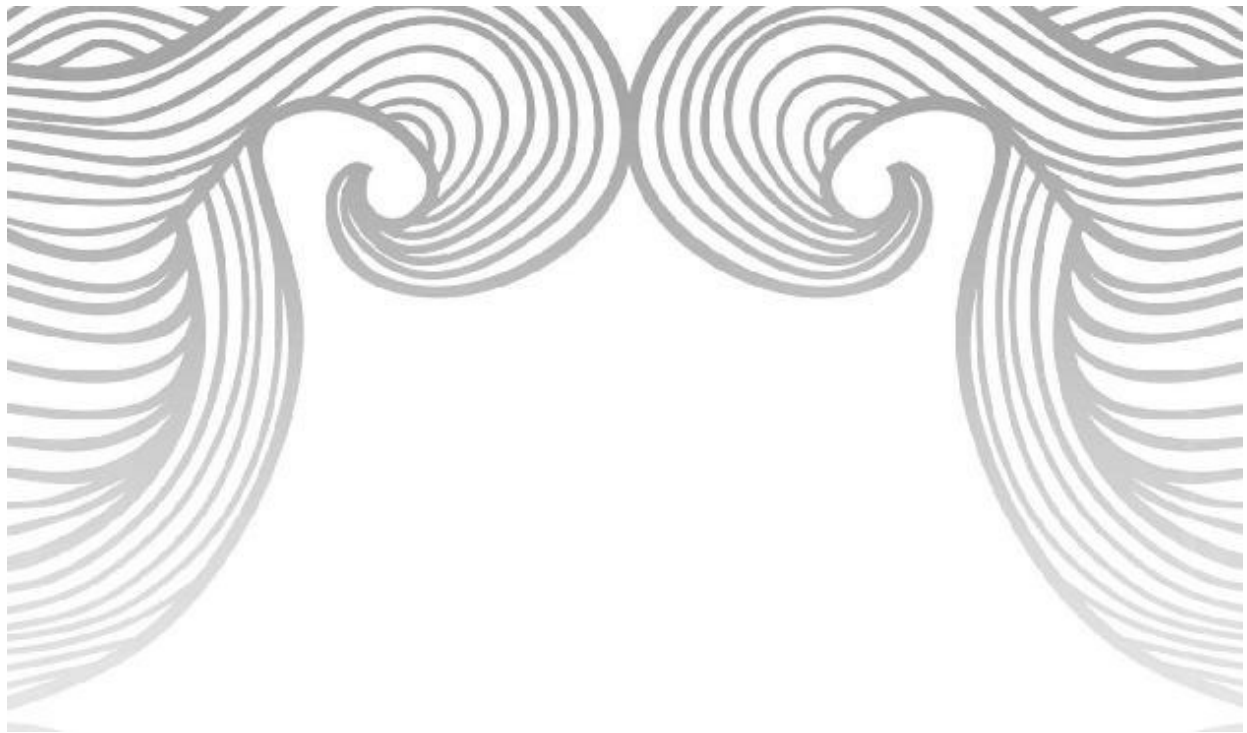
Wyglądał tak młodo. Tak młodo jak wtedy, gdy był tylko niebieskookim, pyskatym chłopakiem ze sklepu w Dustwalk. Dzieciakiem, o którym myślałam, że jest zbyt miękki, żeby przeżyć.

Myliłam się w całej rozciągłości.

– To nie miasto powinno spłonąć – powiedział i uniósł dłoń w kierunku Naguiba.

Żar wydostał się z niego w postaci wściekłej fali, wywracającej wszystko na swojej drodze. Gallanie wycelowali rewolwery w Noorshama. Poderwałam obie ręce w górę, ciągnąc wraz z nimi piasek pustyni. Ochroniłam go przed kulami, podczas gdy ogień trawił naszego wroga.

Naguib wrzeszczał.



TRZYDZIEŚCI

Urodziłam się na pustyni. Pustynia była częścią mnie. To wszystko, co zapamiętałam z walki, jaka się później wywiązała. Chaos, piasek i mijające mnie kule. A kiedy wszyscy moi wrogowie polegli, oparłam się o ścianę, będąc zbyt zmęczoną, by przejmować się tym, że ktoś mógłby chcieć mnie zastrzelić lub spalić żywcem.

– Amani. – Otworzyłam oczy. W bramie miasta stał Jin. Jego twarz zmieniła się, gdy mnie zobaczył, przybiegł do mnie, na jego obliczu rysowała się ulga. – Dzięki Bogu!

– Nie wierzysz w Boga – powiedziałam. A raczej zachrypiałam. Natychmiast zamknął mi usta pocałunkiem.

Ktoś odchrząknął gdzieś za nami. Odskokczyliśmy od siebie.

Kilka kroków dalej stali bliźniacy z tak samo założonymi rękami na piersi. Byli nieco osmoleni, ale najwyraźniej nie odnieśli poważniejszych ran.

– Czy właśnie tego rodzaju gratulacje dostaniemy za to, że udało nam się przeżyć? – spytał Maz. – Ponieważ nie jestem pewien, co mam o tym sądzić.

Izz nastroszył włosy.

– A ja wiem, co mam o tym sądzić.

– A ja wiem, jak się poczuje, gdy połamię wam nosy. – Shazad odepchnęła Izza jedną ręką, nie zatrzymując się nawet na chwilę. Hala szła za nią, jej złota skóra była pochłapana krwią. Uświadomiłam sobie, że walka dobiegła końca. A my wszyscy nadal żyliśmy. Chciało mi się płakać z ulgi. Shazad włożyła do pochwy miecz, po czym złapała mnie w swoje objęcia. Z wdzięcznością się w nią wtuliłam.

Gdy odsunęliśmy się od siebie, zobaczyłam, że mamy publiczność. Wokół nas zgromadzili się mieszkańcy Fahali, którzy pojawili się, gdy tylko opadł kurz. Ale nie patrzyli na nas. Wszyscy skupili się na Ahmedzie.

Stał tuż przed bramą prowadzącą za mury miasta, wraz z nim trzech mirjańskich żołnierzy. Domyśliłam się, że to jeńcy, bo klęczeli z opuszczonymi głowami i czekali na jego decyzję.

Naprawdę miał postawę księcia. Zobaczyłam to dopiero w tej chwili. Nie było już uśmiechniętego, przyjaznego Ahmeda, który nie chciał, żeby zwracać się do niego „Wasza Wysokość”. Ale nie był jakimś tam władcą gotowym do wskoczenia na tron. Wyglądał jak legendarny bohater schodzący z pola bitwy. Jak mężczyzna, który może poprowadzić ten kraj.

– Co się stało? – zapytałam Shazad. Niczego nie pamiętałam od momentu, gdy zginął Naguib.

– Żołnierze Gallanu, którym udało się przeżyć, wycofali się – odpowiedziała cicho Shazad. – Widziałam, jak kierują się na północ. Kiedy złożą meldunek swojemu królowi i powiedzą, że Sułtan próbował ich zabić, sojusz się rozpadnie. Ci, którzy przeżyli z armii Naguiba, poddali się nam po jego śmierci. Wszyscy widzieli, jak palił ludzi.

– A Noorsham? W czasie walki straciłam go z oczu...

– Uciekł. – Shazad zacisnęła usta.

Wymknął się. Staralam się ukryć ulgę. Noorsham zabił Bahiego. Chłopaka, który po pijaku śpiewał serenady pod jej oknem i ze względu na nią dołączył do rebelii. Ale nadal był moim bratem. Moim bratem, który się gdzieś ukrył i miał taką moc, że mógł zniszczyć całą tę pustynię, gdyby tylko zechciał. I znał moje prawdziwe imię.

– Nie zabiję was. – Ahmed zwracał się do mirjańskich żołnierzy, którzy złożyli broń, mówił na tyle głośno, że wszyscy mogliśmy go usłyszeć. – To Gallanie od dekad przeprowadzali egzekucje bez sądu. A ich wpływy na naszej pustyni niedługo dobiegną końca. – Jeden z trzech żołnierzy podniósł głowę, jakby poczuł nadzieję na to, że uda mu się zachować życie. – Wypuszczę was więc pod warunkiem, że zanieście wiadomość mojemu ojcu.

Wśród tłumu rozległ się szmer na słowo „ojciec”. Jeśli Ahmed to zauważył, nie dał po sobie poznać.

– Powieście mu, że Fahali jest nietknięte i pod moją opieką. Że roszczę sobie prawo do każdego miasta na zachód od gór środkowych. Bez sojuszu z Gallanami mój ojciec nie może utrzymać całego kraju w ryzach. A jeśli nie będzie słuchał woli ludzi, posłucha mojej. Tak czy inaczej, pewnego dnia zasiądę na tronie tego narodu. Ale do tej pory to moi ludzie.

Wszyscy słuchali Ahmeda, gdy przemawiał do trzech żołnierzy. Mogą uciec z Miraji i nie zawieźć wiadomości Sułtanowi. Jednak różne historie zawsze jakoś rozchodziły się po pustyni. Sułtan dowie się, że Książę Buntownik zwyciężył w bitwie o Fahali i zażądał praw do królestwa. – A jeśli najedzie moje ziemie, zaprowadzę wojnę na progi jego pałacu!

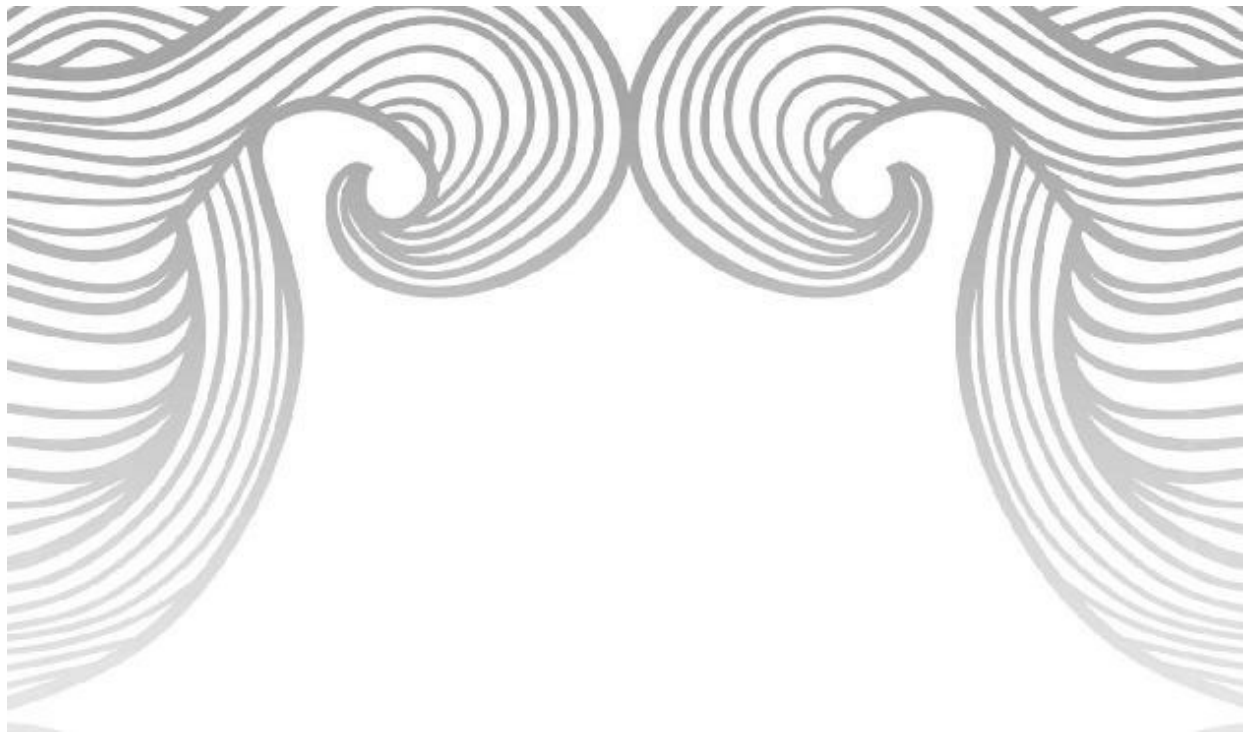
– Nowy świt! – Ludzie zaczęli skandować, zanim Ahmed skończył przemowę.

– Nowa pustynia! – Nierówno odkrzyknęły dziesiątki gardeł.

– Nowy świt! Nowa pustynia! – Krzyczano już w całym Fahali, tysiące mirajińskich głosów połączonych w jedno. Skandowali dla swojego księcia, bohatera, dla nas wszystkich.

Słońce zachodziło, gdy wyruszaliśmy z miasta, by wrócić do Doliny Devy. Kiedy opowieść o tym dniu dotrze do Sułtana, nikt mu nie powie, że stanowiliśmy małą grupę zmęczonych i żałośnie wyglądających buntowników. Że nie wyglądaliśmy na zdolnych do walki na wojnie, która nieuchronnie się zbliżała. Że połowa z nas nie była pewna, czy damy radę. Dowie się tylko, że zwyciężyliśmy i nadal żyliśmy.

A jutro po raz pierwszy słońce wstanie nad nową pustynią.



PODZIĘKOWANIA

Jest to książka o dziewczynie, która zaczynała w pojedynkę, a stała się częścią czegoś większego. Odnoszę wrażenie, że to zdanie opisuje również podróż, jaką sama odbyłam przed wydaniem swojej pierwszej książki.

Pierwszą osobą napotkaną w tej książkowej podróży była moja agentka, Molly Ker Hawn. Na zawsze zapamiętam tę chwilę, ponieważ właśnie wtedy książka znalazła osobę, która ją przeczytała i uwierzyła w nią. A potem zabrała tę powieść dalej niż mogłam sobie wyobrazić, jestem więc wdzięczna jej i całej reszcie wspaniałej Bent Agency za nieustające wsparcie i asekurowanie każdego mojego kroku.

Jestem niezmiernie szczęśliwa, że ta książka znalazła drogę do moich redaktorek, Kendry Levin i Alice Swan, które przyjęły ją z entuzjazmem i mądrze kierowały mnie we właściwą stronę. Dziękuję więc za wszystko: począwszy od zaufania pokładanego we mnie, poprzez listy z odnośnikami do „Star Wars” i utworów Czechowa oraz długi fragment zwany „seksownym”, po sześciogodzinne rozmowy telefoniczne. Najbardziej jednak chcę wam podziękować za nieskończoną cierpliwość dla mało zorientowanej debiutantki. Jestem bardzo zadowolona, że książka znalazła dom w wydawnictwie Viking and Faber i jestem zobowiązana niesamowitym redaktorom w Stanach Zjednoczonych i w Wielkiej Brytanii. Nie wiedziałam, że książka przechodzi przez tak wiele rąk, ale jestem wdzięczna wszystkim.

Dziękuję każdemu, kto kupił tę książkę w innym kraju, fakt, iż będziecie tłumaczyć moje słowa na języki, których nie znam, przygotowia mnie o zawrót głowy.

Tę książkę dedykuję moim rodzicom. Jedną z zasad

pisania jest: „pokazuj, nie mów”, a moi rodzice stosowali ją w codziennym życiu. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek powtarzali wyświechtane frazesy: „Wierzymy w ciebie” czy „Wspieramy cię, cokolwiek zrobisz”, nie pamiętam również, żebym kiedykolwiek o tym nie wiedziała.

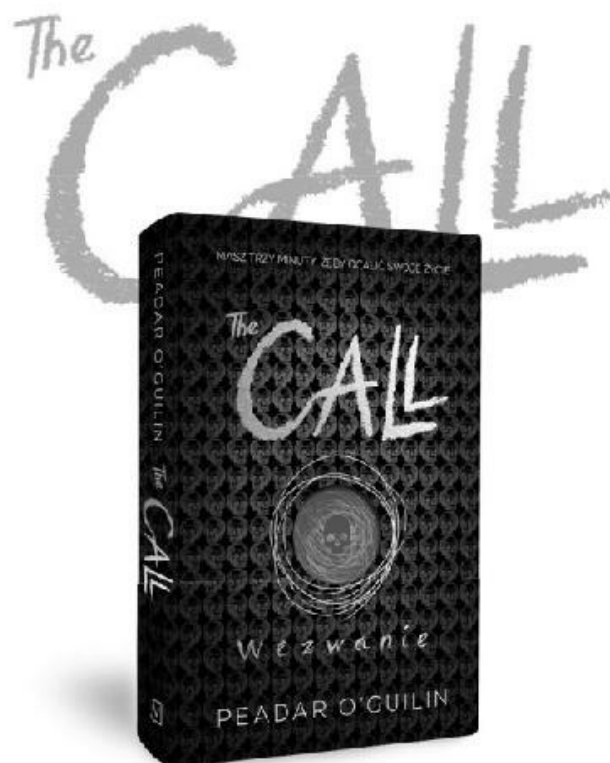
Jestem dłużniczką każdego, kto pomógł mi pozostać przy zdrowych zmysłach, kiedy zmieniałam się z pisarki w autorkę. Pomagano mi na różne sposoby, więc muszę podziękować za konkretne rzeczy, które pojawiły się wraz ze wsparciem moralnym. Wobec tego, dziękuję Rachel Rose Smith za rogaliki migdałowe, noce spędzone na twojej podłodze i za to, że jesteś jedną z najlepszych osób, jakie znam. Michelli Domenici dziękuję za ponowne przeczytanie książki po zmianach, za to, że jest dla mnie pierwszą instancją, z którą omawiam pomysły oraz jednocześnie moją pierwszą fanką. Jon Andrews za motywujące obrazki na serwetkach przedstawiające Taylor Swift. Amelii Hodgson za spędzenie ze mną całego popołudnia i pomoc w burzy mózgów. Mojemu młodszemu bratu Maxowi za to, że wytrzymał ze mną podczas świąt, gdy próbowałam wymyślić powieściową bombę, i za udzielenie mi naukowych porad, których nie rozumiałam. Janet Hamilton-Davies za to, że zupełnie naturalnie przyjęła fakt, iż jej siostrzenica napisała książkę, w sposób typowy dla nauczycielki, która całe życie poświęciła na to, by jej uczniowie mieli świadomość możliwości, jakimi dysponują. Nickowi Simsowi za niezwykłą wyrozumiałość dla roztargnionej pracownicy, która próbowała zredagować swoją książkę. Justine Caillaud za stworzenie plakatów z napisem „POSZUKIWANA” i za kreatywność przejawianą przez ostatnie dwadzieścia cztery lata. Dziękuję Sweet Sixteens, dopiero zaczynam rozumieć, jaką niesamowitą grupą wsparcia jesteście dla debiutantów i jak bardzo was potrzebowałam. Dziękuję każdemu, kto w 2016 roku zabiera się ze mną w wydawniczą podróż. Dziękuję wspaniałym blogerom książkowym za pokazywanie

okładki, organizację czatów i za niekończący się entuzjizm oraz pozytywne komentarze o książce w internecie i poza nim. Dziękuję również każdemu, kto mnie wspierał, mimo że wtedy wydawało się to pozbawione znaczenia. Za każdy raz, gdy mówiliście mi, że mi się uda, gdy traciłam wiarę, czy to w formie zachęty słownej, zabawnego tekstu, czy podarowanego notesu. Roisin Ellison, Tempe Nell, Catherine Parkes, Meredith Sykes, Olivia Bliss, Annik Vrana, Elisa Peccerillo, Anne Murphy, Sophie Cass, Heidi Heilig, Roshani Chokshi, Jessica Cluess, Harriet Reuter Hapgood, Kathryn Purdie, Stephanie Garber, Alexia Casale i wielu innych, których nie wymieniam tu tylko przez przypadek. Proszę, udawajcie, że nic się nie stało, choć bardzo staram się przypomnieć sobie każdego, kto był ze mną podczas tej podróży. Ale wiecie, kim jesteście, a ja mam nadzieję, że wiecie, iż jestem wam wdzięczna.

Opowieść kończy się tym, że dziewczyna znajduje dom i swoje miejsce. Dziękuję również Tobie, czytelniku, za wybranie tej książki i że jesteś zakończeniem tej powieściowej podróży.

ZAPOMNIJCIE O IGRZYSKACH ŚMIERCI I WIĘZNIU LABIRYNTU.

PORA NA:



Co byś zrobił mając tylko chwilę, żeby uratować swoje życie, a zegar już zaczął odliczanie?

Trzy minuty

Nessa, Megan i Anto wiedzą, że pewnego dnia znajdą się w przerażającej krainie, do której zostaną Wezwani.

Dwie minuty

Na nieznanym terenie ruszą za nimi bezwzględni łowcy, którzy zrobią wszystko, by ich dopaść i zabić.

Minuta

A Nessa nie może biegać. Czy mimo porażenia nóg ma szansę na przeżycie, kiedy przyjdzie pora jej Wezwania?

Czas ucieka...

MÓWIA, ŻE DEMONY, ZABOBONY I CZARY
ODESZŁY JUŻ DO PRZESZŁOŚCI.

CZY NA PEWNO?



Na pierwszy rzut oka Magda jest zwykłą dwudziestolatką. Czas wypełnia jej praca w małej księgarni oraz obowiązki domowe. To jednak tylko pozory, gdyż w wolnych chwilach, zamiast spotykać się z rówieśnikami, Magda tropi upiory rodem ze słowiańskich wierzeń. Z krainy umarłych ucieka najpotężniejsza istota, z jaką żniwarze kiedykolwiek musieli się zmierzyć.

Tymczasem między Magdą a Mateuszem, tajemniczym chłopakiem, który niedawno wprowadził się do miasteczka, zawiązuje się nić sympatii. Dziewczyna pokazuje Mateuszowi świat słowiańskich wierzeń, nie mając pojęcia, że już wkrótce ona i jej przyjaciele znajdą się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

LEGENDA ANDUMĒNII GŁOSI,
ŻE GENERAŁOWIE POWSTANĄ,
GDY OJCZYŻNA BĘDZIE W POTRZEBIE...



Władcy Andumēnii decyduje się wybudzić po 120 latach
skrzydlatych generałów armii, uspionych po wielkiej bitwie z Zineanem
mocą niezwyklego zaklęcia.

Losy Andumēnii spoczywają w niepewnych rękach, a zagrożenie może przyjść
z najmniej spodziewanej strony...

Powieść laureatki I edycji konkursu „Czwarta Strona Fantastyki” została
doceniona przez jury za rewelacyjną kompozycję, świetnie przemyślane intrygi
i język godny światowych bestsellerów.

SPIS TREŚCI

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

PIĘĆ

SZEŚĆ

SIEDEM

OSIEM

DZIEWIĘĆ

DZIESIĘĆ

JEDENAŚCIE

DWANAŚCIE

TRZYNAŚCIE

CZTERNAŚCIE

PIĘTNAŚCIE

SZESNAŚCIE

SIEDEMNAŚCIE

OSIEMNAŚCIE

DZIEWIĘTNAŚCIE

DWADZIEŚCIA

DWADZIEŚCIA JEDEN

DWADZIEŚCIA DWA

DWADZIEŚCIA TRZY
DWADZIEŚCIA CZTERY
DWADZIEŚCIA PIĘĆ
DWADZIEŚCIA SZEŚĆ
DWADZIEŚCIA SIEDEM
DWADZIEŚCIA OSIEM
DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ
TRZYDZIEŚCI
PODZIĘKOWANIA

Polecamy również